

KSIĘGA I

Czy jesteś gotowy wejść w świat magii
i niebezpiecznych przygód?

Gobelin

Henry H. Neff



PIES Z ROWAN

Świat Książki

Henry H. Neff

Pies z Rowan

Gobelin 1

Przełożył Patryk Gołębiowski

Dla rodziny, przyjaciół i uczniów

1

CHŁOPIEC, POCIĄG I GOBELIN

Max McDaniels przycisnął czoło do okna pociągu i patrzył, jak po żółtym niebie mkną burzowe chmury. Deszcz zaczął cicho bębnić o szybę, na której pojawiły się pierwsze smugi, a niebo pociemniało jak siniak. Max zamrugął na widok swojego rozmytego odbicia w oknie. W odpowiedzi zamrugął do niego ciemnooki chłopiec z falującymi czarnymi włosami – po matce – i mocno zarysowanymi policzkami.

Na dźwięk tubalnego głosu siedzącego obok ojca Max odwrócił się w miejscu.

– Która ci się bardziej podoba? – zapytał ojciec z entuzjastycznym uśmiechem. Między grubymi palcami trzymał parę reklam na błyszczącym papierze. Max spojrział na reklamy i jego wzrok zatrzymał się na zdjęciu eleganckiej kobiety przy zlewie z odrzuconą radośnie głową.

– Nie ta – odparł. – Za bardzo tandetna.

Szeroka, uśmiechnięta twarz pana McDanielsa posmutniała. Wielki jak niedźwiedź ojciec Maxa miał jasnoniebieskie oczy i brodę z głębokim dołeczkiem.

– Nie jest tandetna – zaprotestował, mrużąc oczy i przyglądając kępkę rzadziejących brązowych włosów. – Co jest w niej tandetnego?

– Nikt nie jest tak radosny w trakcie zmywania – wyjaśnił Max, pokazując rozpromienioną kobietę po łokcie w mydlinach. – I nikt nie zmywa tak wystrojony...

– Ale właśnie o to chodzi! – przerwał mu ojciec, wymachując cienkim papierem – Ambrozja to pierwszy płyn do zmywania „ultraekskluzywny"! Niebiańska piana, miękka jak do kąpieli, a przy tym posiadająca moc, by usunąć najgorszy...

Max zarumienił się.

– Tato...

Pan McDaniels zamilkł na chwilę. Zorientował się, że współpasażerowie przyglądają się im z zaciekawieniem. Prychnął i wsunął reklamy z powrotem do wewnętrznej kieszeni płaszcza, kiedy pociąg zatrzymał się na chwilę na obrzeżach miasta.

– Nie jest taka najgorsza – pocieszył go Max. – Może gdyby tylko ta kobieta nie szczyrzyła tak zębów.

Pan McDaniels zachichotał i trącił syna wielkim biodrem. Max odepchnął go kuksańcem, a do pociągu wsiadali kolejni ludzie, składając parasole i odgarniając z oczu mokre włosy.

Błyskawica rozdarła powietrze w chwili, gdy pociąg znowu ruszył. Kiedy zapadła ciemność, rozległy się krzyki i śmiech pasażerów. Max ścisnął ojca za ramię. Żółte światła pociągu zamigotały i powoli zrobiło się jasno. Na dobre rozpadało się, kiedy dojeżdżali do Chicago, mającego na horyzoncie krajobrazu z cegieł i stali, wyraźnie odcinającego się na tle letniej burzy.

Max uśmiechał się i wtedy zobaczył mężczyznę.

Siedział po drugiej stronie wagonu, rząd za nimi, był blady i zaniedbany. Miał krótkie ciemne włosy ciągle mokre od deszczu. Wyglądał na wyczerpanego; powieki mu drgały, siedział skulony w brudnym płaszczu i bezgłośnie mamrotał coś do szyby.

Max odwrócił się, chcąc mu się lepiej przyjrzeć. Wstrzymał oddech.

Mężczyzna na niego patrzył.

Siedział w całkowitym bezruchu i przyglądał się Maxowi przerażającą parą niepasujących do siebie oczu. Jedno było zielone, a drugie lśniło bielą jak obrane ze skorupki jajo. Max wpatrywał się w nie zahipnotyzowany. Oko wyglądało na ślepe, martwe – jak z koszmaru.

Jednak Max jakimś sposobem wiedział, że oko nie jest ślepe ani martwe. Wiedział, że mu się przygląda – ocenia go tak, jak matka miała w zwyczaju oglądać kieliszek wina albo stare zdjęcie. Nie spuszczał wzroku z Maxa, mężczyzna odsunął głowę od szyby i przeniósł ciężar ciała w stronę przejścia.

Pociąg wjechał do tunelu i w wagonie zrobiło się ciemno. Max zadrżał ze strachu. Wtulił twarz w ciepły płaszcz ojca. Pan McDaniels stęknął i upuścił kilka broszur na podłogę. Pociąg się zatrzymał i Max usłyszał głos ojca.

– Zasypiasz mi tu, Max? Weź się w garść, jesteśmy na miejscu, mały.

Chłopiec otworzył oczy i zobaczył, że w wagonie jest

jasno, a pasażerowie drepczą do wyjścia. Jego wzrok przebiegał po twarzach ludzi. Dziwnego mężczyzny nigdzie nie było widać. Max, z wypiekami na twarzy, wziął parasol i szkicownik i szybko wyszedł za ojcem.

Na stacji tłum ludzi kotłował się na peronach. Z głośników płynęły monotonne informacje; weekendowi podróżni śpieszyli się obciążeni torbami, ciągnąc za sobą dzieci. Pan McDaniels skierował syna po ruchomych schodach w stronę wyjścia. Deszcz przestał padać, ale niebo nadal wyglądało groźnie, a podrywane wiatrem gazety wirowały po ulicy. Kiedy doszli do kolejki żółtych taksówek, pan McDaniels otworzył drzwi jednej z nich i odsunął się, żeby Max mógł wskoczyć na długie, winylowe siedzenie.

– Poproszę do Instytutu Sztuki – powiedział ojciec.

Max wyciągnął szyję, usiłując dojrzeć wierzchołki wieżowców, kiedy taksówka jechała na wschód w stronę jeziora.

– Tato? – zapytał. – Widziałeś tego mężczyznę w pociągu?

– Jakiego mężczyznę?

– Siedział po drugiej stronie w rzędzie za nami – powiedział Max i zadrżał.

– Nie, chyba nie – odparł ojciec, strzepując z płaszcza jakiś paproch. – Co w nim było takiego niezwykłego?

– Nie wiem. Wyglądał przerażająco i patrzył na mnie, jakby zamierzał mi coś powiedzieć albo do mnie podejść, tuż przed wjazdem do tunelu.

– No cóż, jeżeli na ciebie patrzył, to pewnie dlatego, że ty na niego patrzyłeś – powiedział pan McDaniels. – Max, w mieście zobaczysz wielu różnych ludzi.

– Wiem, tato, ale...

– Pozory mylą.

– Tato, wiem, ale...

– W mojej pracy jest taki jeden gość. Młody chłopak, ma jeszcze mleko pod nosem. No i pierwszego dnia widzę tego dzieciaka przy ekspresie do kawy z pomalowanymi oczami, z harpunem w nosie, a ze słuchawek ryczy muzyka...

Max wyjrzał przez okno taksówki, podczas gdy ojciec po raz kolejny opowiadał znaną chłopcu historię. W końcu Max zobaczył to, czego wypatrywał: dwa lwy z brązu preżące się dumnie z obu stron wejścia do muzeum.

– Tato, to Instytut Sztuki.

– Zgadza się, zgadza się. O, i zanim zapomnę – dodał pan McDaniels, odwracając się do syna ze smutnym uśmiechem na szerokiej twarzy – dziękuję, że ze mną dzisiaj przyjechałeś. Doceniam to. Twoja mama też to docenia.

Max przytaknął z poważną miną i mocno uścisnął dłoń ojca. W urodziny Bryn McDaniels wszyscy troje zawsze wybierali się na wycieczkę do jej ulubionego muzeum. Choć jego matka zniknęła ponad dwa lata temu, Max wraz z ojcem kontynuowali tę tradycję.

* * *

Po wejściu do Instytutu zapytali młodą kobietę z identyfikatorem, gdzie mogą znaleźć obrazy ulubionych artystów Bryn McDaniels. Max słuchał, jak ojciec recytuje z kartki nazwiska: Picasso, Matisse i van Gogh poszły bez trudu, ale przy ostatnim się zatrzymał.

– Gał-gin? – przeczytał, krzywiąc się i marszcząc brwi.

– Gauguin. To wspaniały artysta. Jego prace powinny się panom spodobać. – Kobieta uśmiechnęła się i skierowała ich ku dużym marmurowym schodom wiodącym na drugie piętro.

– Twoja mama zna te wszystkie nazwiska. Ja nie mam głowy do takich spraw, bez względu na to, jak często tu jestem. – Pan McDaniels zachichotał i klepnął Maxa w ramię mapką.

Galerie na piętrze były niezwykle barwne – wspaniałe zawijasy grubych warstw farby na płótnie i drewnie. Pan McDaniels wskazał na duży obraz przedstawiający przechodniów na deszczowej paryskiej ulicy.

– Wygląda trochę jak dzisiaj, co nie?

– Deszcz tak, ale żeby wyglądać tak jak on, musiałbyś mieć wąsy i cylinder – zastanowił się Max, przyglądając się postaci na pierwszym planie.

– Uee. Miałem kiedyś wąsy. Twoja mama kazała mi je zgolić, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić.

Niektóre obrazy zajmowały całe ściany, a inne były oprawione w małe złoczone ramy. Przez jakąś godzinę

krażyli między obrazami, zwracając szczególną uwagę na ulubione dzieła pani McDaniels. Maxowi najbardziej podobał się obraz Picassa, na którym stary, sterany życiem mężczyzna trzyma gitarę. Przyglądał się obrazowi, kiedy usłyszał za plecami okrzyk ojca.

– Bob? Bob Lukens! Jak się masz?

Max odwrócił się i zobaczył, jak ojciec ściska dłoń szczupłego, ubranego w czarny sweter mężczyzny w średnim wieku. Towarzyszyła mu kobieta; oboje uśmiechali się niepewnie do pana McDanielsa, który ich osaczył.

– Cześć, Scott. Miło cię widzieć – odpowiedział grzecznie mężczyzna. – Kochanie, to jest Scott McDaniels. Jest odpowiedzialny za obsługę marki'Bracia Bedford...

– Co za miła niespodzianka. Cieszę się, że mogę cię poznać, Scott.

– Z nimi zobaczysz zupę w nowym świetle! – zagrzemiał pan McDaniels, wskazując palcem na sufit.

Pani Lukens przestraszyła się i upuściła torebkę.

– Wyobraźcie sobie zimowy dzień – mówił dalej pan McDaniels, nachylając się, żeby podnieść rzeczy pani Lukens, która schowała się za męża. – Cieknie wam z nosa, wieje wiatr, a jedyne, czym możecie się rozgrzać, to puszka starej, nudnej zupy z szafki. Ale z Braćmi Bedford żadna zupa nie jest nudna. Chrupiące Wafelki do Zupy! Ich wyborne kształty i rozkoszne chrupanie tak wam podkreślą zupkę, że aż wam kubki smakowe na baczność

staną!

Pan McDaniels zasalutował i posłusznie stał na baczność. Max chciał iść do domu.

Pan Lukens zachichotał.

– Kochanie, czy wspominałem ci, że Scott to maniak?

Pani Lukens uśmiechnęła się, kiedy pan McDaniels uścisnął jej dłoń, a potem zwrócił się do syna.

– Max, chciałbym, żebyś poznał pana i panią Lukens. Pan Lukens prowadzi moją agencję – to szef nad szefami. Przyszliśmy tu z Maxem zażyć trochę kultury, co nie?

Max uśmiechnął się nerwowo i wyciągnął dłoń do pana Lukensa, który uścisnął ją przyjaźnie.

– Miło mi cię poznać, Max. Dobrze widzieć młodzieńca z dala od gier komputerowych i MTV! Czy coś tutaj zwróciło twoją uwagę?

– Podoba mi się ten obraz Picassa – powiedział Max.

– Mnie też właśnie ten się zawsze podobał. Masz dobre oko... – Pan Lukens poklepał go w ramię i zwrócił się do pana McDanielsa. – Chciałbym, żebyś mógł porównać go z moim ulubionym, ale ten niestety zniknął.

– Jak to? – zapytał pan McDaniels.

– To jeden z trzech obrazów skradzionych stąd w zeszłym tygodniu – powiedział pan Lukens ze zmarszczonym czołem. – W gazetach napisali, że dwa następne skradziono wczoraj w nocy z Prado.

– Och... – przejął się pan McDaniels. – To okropne.

– To naprawdę okropne – podsumował pan Lukens, zerkając ponownie na chłopca. – Scott, przyprowadź

kiedyś Maxa do biura. Mam tam reprodukcję mojego ulubionego obrazu i zobaczymy, czy Rembrandt pokona Picassa!

– Pewnie, że przyprowadzę – odparł pan McDaniels, chichocząc i przykucając na wysokość Maxa. – Hej, mały – powiedział z mrugnięciem. – Tata musi porozmawiać o pracy, a nie chce zanudzić cię na śmierć. Może pójdziesz i poszkicujesz sobie te zbroje, które rysowaliście z mamą? Spotkamy się za pół godziny w księgarni. Zgoda?

Max przytaknął i pożegnał się z Lukensami, których szybko przysłoniła żywo gestykulująca postać Scotta McDanielsa. Wziął szkicownik i ołówek i poszedł korytarzem, w głębi duszy zły, że jego tata nigdy nie przepuszczał okazji, żeby pogadać o pracy, nawet w specjalny dzień mamy.

W galerii zbroi było ciemniej niż w pozostałych, a eksponaty połyskiwały lekko zza szklanych tafli. Było tu też mniej ludzi i Max cieszył się z okazji do poszkicowania w ciszy i spokoju. Spacerował wzdłuż aksamitnej liny, przystając, żeby przyjrzeć się kuszy albo kielichowi. Na ścianach rozwieszono najróżniejsze rodzaje broni: czarne żelazne buzdygany, topory z szerokimi ostrzami i wielkie miecze. Max zatrzymał się przed gablotą z ceremonialnymi halabardami, po czym dostrzegł idealny obiekt do naszkicowania.

Zbroja była olbrzymia. Przytłaczała swoim rozmiarem sąsiednie eksponaty, połyskując srebrzyście w

szerokiej szklanej gablocie.

Max obszedł ją, odchylając głowę do tyłu, żeby lepiej zobaczyć hełm. Kilka minut później skończył szkicować jej zarys.

Kiedy pracował nad rysunkiem kunsztownej zbroi, jego uwagę zwrócił jakiś hałas z drugiego końca korytarza. Zerknął przez gablotę i natychmiast wstrzymał oddech.

Zobaczył mężczyznę z pociągu.

Max przykucnął i przyglądał się, jak mężczyzna patrzy z góry na strażnika przy wejściu do galerii. Robił gwałtowne gesty dłonią, jakby coś przecinał. Jego ruchy stawały się szybsze, w miarę jak rosło napięcie jego głosu.

– Tego wzrostu – powiedział z wschodnioeuropejskim akcentem. Pokazał dłonią przybliżony wzrost Maxa. – Chłopiec z ciemnymi włosami, koło dwunastu lat, ze szkicownikiem.

Strażnik stał przyparty do ściany i mierzył mężczyznę wzrokiem. Już sięgał po krótkofalówkę, ale wtedy dziwny mężczyzna nachylił się do niego i syknął coś, czego Max nie dosłyszał. Nie wiadomo dlaczego strażnik przytaknął i pokazał grubym kciukiem za siebie na zbroję, za którą chował się Max.

Spanikowany chłopiec rozejrzał się i po prawej stronie zauważył ciemny korytarz. W wejściu wisiała aksamitna lina z tabliczką: Remont. WSTĘP WZBRONIONY.

Ignorując napis na tabliczce, Max przeszedł nad liną i

zniknął za rogiem. Stał wyprężony za ścianą i czekał, aż mężczyzna znajdzie jego kryjówkę. Nic takiego się jednak nie stało. Dopiero po kilku dłużeń się chwilach Max uświadomił sobie, że zostawił w tamtej galerii szkicownik. Ogarnęła go fala paniki; mężczyzna z pewnością go zobaczy i zorientuje się, gdzie się schował Max.

Minęła minuta, potem następna i następna. Chłopiec usłyszał kroki i rozmowy ludzi mijających galerię. Wyjrzał zza rogu. Mężczyzna zniknął – wraz z jego szkicownikiem. Osuwając się powoli na podłogę, Max miał przed oczyma swoje nazwisko i adres wykaligrafowane ołówkiem na wewnętrznej stronie okładki. Podniósł głowę i rozejrzał się rozpaczliwie po pomieszczeniu, w którym znalazł schronienie.

Zaskakująco mała sala jak na galerię. Powietrze było zatechłe, a pomieszczenie wypełniała delikatna bursztynowa poświata. Jedynym przedmiotem, jaki się w nim znajdował, był wiszący na przeciwległej ścianie postrzępiony gobelin. Max zamrugał. Choć wydawało się to dziwne, delikatne światło promieniowało z samego gobelinu. Podszedł bliżej.

Gobelin był bardzo stary. Pod wpływem słońca wypłowiał w ciągu wieków, aż zostały tylko poplamione i wyblakłe żółtobrunatne pasma. Jednak kiedy Max podszedł bliżej, dostrzegł delikatne ślady i akcenty koloru ukryte pod burą, zniszczoną powierzchnią.

Chłopiec poczuł łaskotanie w żołądku, jakby właśnie

połknął garść pszczoł. Włoski na jego przedramionach podnosiły się jeden po drugim, a Max stał bez ruchu i oddychał ciężko.

Brzdęk!

Jedna z nici gobelinu zmieniła barwę na jaskrawozłotą. Max krzyknął i odskoczył do tyłu. Nitka migotała jak ogień, tak cienka i delikatna jak nić pajęcza. Wibrowała niczym struna harfy, wydając z siebie dźwięk, który rozszedł się echem po galerii, po czym ucichł. Max zerknął na wejście do sali. Zwiedzający nadal się przechadzali, ale wydawało się, że są bardzo daleko i nie zwracają uwagi ani na małą galerię i jedyną przebywającą w niej osobę, ani na dziwny gobelin.

Kolejne nici zaczęły ożywać, budząc się ze snu wśród blasku i muzyki. Niektóre pojawiały się oddzielnie, w błysku światła i dźwięku, inne wyłaniały się wspólnie, splecione w harmonii srebra, zieleni i złota. Max miał wrażenie, jakby odkurzył obcy instrument, który teraz zaczął ponownie grać dziwną, zapomnianą melodię. Melodia ta nabierała głębi. Kiedy ostatnia nić odśpiewała swoje pojawienie się, Max wydał z siebie jęk bólu. Ból był silniejszy niż kolka, a jego przyczyną było coś ukrytego głęboko we wnętrzu chłopca.

To coś towarzyszyło Maxowi, od kiedy tylko pamiętał. Czaiło się w nim, olbrzymie i dzikie, i Max się tego bał. Przez całe życie z wielkim trudem walczył, żeby utrzymać to pod kontrolą, ale zmagania wywoływały migreny, które niekiedy ciągnęły się całymi dniami i były

nie do wytrzymania. Max przypuszczał, że to już przeszłość – teraz poczuł, jak ta siła się wyzwala. Nareszcie nieskrępowana, sunęła powoli przez jego świadomość, aż odezwała się głęboko w jego wnętrzu, zakłócając spokój.

Ból ustąpił. Max wziął głęboki oddech, a łzy ciekły mu po twarzy ciepłymi strumieniami. Przebiegł palcami po wyszywanej powierzchni gobelinu.

Światło i barwy przekształciły się w złote, przeplatające się wzory, które ułożyły się wokół trzech dziwnych, lśniących słów na samej górze.

TÁIN BÓ CUAILNGE

Na środku pod tymi wyrazami utkany był przepiękny obraz przedstawiający byka pasącego się w otoczeniu tuzinów śpiących wojowników. Z prawej strony nadciągała grupa uzbrojonych mężczyzn; na niebie nad nimi krążyły trzy czarne ptaki. Na pobliskim wzgórzu widać było sylwetkę wysokiego mężczyzny, który trzymał włócznię i przyglądał się całej scenie.

Wzrok Maxa błędził po obrazie, ale ciągle powracał do mrocznej postaci na wzgórzu. Stopniowo światło gobelinu stawało się coraz jaśniejsze; obrazy drżały i tańczyły w rozedrganym od fal ciepła powietrzu. Przy nasilającej się kakofonii dźwięków z gobelinu eksplodowało światło tak gorące i jaskrawe, że Max bał się, że go pochłonie.

– Max! Max McDaniels!

W sali zrobiło się znowu ciemno. Gobelin wisiał na ścianie, szary, brzydki i nieruchomy. Max cofnął się zdezorientowany i przestraszony i przeszedł nad aksamitną liną do galerii średniowiecznej.

Na końcu sali zobaczył ogromną sylwetkę ojca w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Max zawołał. Na dźwięk jego głosu pan McDaniels popędził do syna.

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! – Pan McDaniels otarł łzy, pochylając się nad synem i przyduszając go fałdami płaszcza. – Max, gdzieś ty się u diabła podziewał? Szukam cię od dwóch godzin!

– Przepraszam, tato – powiedział zbity z tropu Max. – Nic mi nie jest. Poszedłem do tamtej sali, ale nie było mnie najwyżej dwadzieścia minut.

– O czym ty mówisz? Do jakiej sali? – Głos pana McDanielsa zadrżał, kiedy zerknął nad ramieniem syna.

– Do tej w remoncie – odparł Max, odwracając się, żeby wskazać tabliczkę. Urwał, otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Nie było żadnego przejścia, tabliczki ani aksamitnej liny.

Pan McDaniels odwrócił się do strażników i mocno uścisnął im dłonie. Kiedy strażnicy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, pan McDaniels przykucnął na wysokość chłopca. Jego oczy były podpuchnięte, a spojrzenie zaintrygowane.

– Max, bądź ze mną szczery. Gdzie byłeś przez ostatnie dwie godziny?

Max wziął głęboki oddech.

– Byłem w sali obok tej galerii. Tato, przysięgam, nie zauważyłem, że minęło tyle czasu.

– Gdzie była ta sala? – zapytał pan McDaniels, rozkładając mapkę muzeum.

Maxowi zrobiło się niedobrze.

Sali z gobelinem po prostu nie było na mapie.

– Max... Zapytam cię o to tylko raz. Czy ty mnie okłamujesz?

Max wpatrywał się w swoje buty. Kiedy podniósł wzrok i spojrzał ojcu w oczy, usłyszał swój własny głos, łagodny i drżący.

– Nie, tato. Nie okłamuję cię.

Zanim zdążył dokończyć zdanie, ojciec pociągnął go stanowczo do wyjścia. Kilka dziewczynek w jego wieku zachichotało i zaczęło między sobą szeptać, podczas gdy ojciec ciągnął Maxa, który powłóczył stopami i szedł ze spuszczoną głową do wyjścia z muzeum, a potem na dół po schodach.

W trakcie jazdy taksówką na dworzec słyhać było tylko szelest przeglądanych przez pana McDanielsa broszur. Max zauważył, że niektóre były do góry nogami. Kiedy taksówka zatrzymała się przy dworcu, deszcz i wiatr znowu przybierały na sile.

– Sprawdź, czy wszystko wzięłeś – powiedział z westchnieniem pan McDaniels, wychodząc z taksówki. W jego głosie było zmęczenie i smutek. Max skulił się i postanowił na razie nie mówić o utracie szkicownika.

Po wejściu do pociągu obaj osunęli się zmęczeni na miękkie siedzenia. Pan McDaniels wręczył konduktorowi bilet powrotny, potem odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Konduktor zwrócił się do Maxa:

– Poproszę bilet.

– Mam go tutaj – wymamrotał odruchowo chłopiec. Sięgnął do kieszeni, ale zamiast biletu wyciągnął z niej małą kopertę. Na widok napisanego czytelnie na kopercie własnego imienia zamarł. Zdezorientowany, wyciągnął z drugiej kieszeni bilet i podał go konduktorowi. Zerknąwszy, żeby się upewnić, że ojciec nadal śpi, Max obejrzał kopertę. W ciepłym, żółtym świetle miała śmietankowy kolor, a jej zagięcia z grubego papieru schodziły się w miłe dla oka rogi. Odwrócił kopertę i przyjrzał się jedwabistemu niebieskiemu pismu.

Sz. P. Max McDaniels

Jego ojciec sapał przez sen. Max odkleił palcem skrzydełko koperty. W środku był złożony list.

Szanowny Panie McDaniels!

Według naszych danych, zarejestrował się Pan jako kandydat tego popołudnia o godzinie 15.37 czasu środkowoamerykańskiego. Gratulujemy! Musi Pan być niezwykłym młodym człowiekiem i chętnie Pana poznamy. Jeden z naszych lokalnych przedstawicieli niedługo się z Panem skontaktuje. Do tego czasu prosimy o zachowanie

milczenia i utrzymanie tej sprawy w całkowitej tajemnicy.

*Z poważaniem,
Gabrielle Richter
Dyrektor*

Max przeczytał wiadomość kilka razy, po czym schował ją do kieszeni. Był zupełnie wycieńczony. Nie miał pojęcia, jak list do niego trafił, a tym bardziej, kim jest „kandydat” i co to wszystko ma z nim wspólnego. Domyślał się, że to musi mieć związek z ukrytym gobelinem i tajemniczą siłą, która się w nim wyzwoliła. Wyglądał przez okno. Jaskrawe promienie słońca goniły po zachodnim niebie wątle resztki burzowych chmur. Wyczerpany, oparł się o ojca i zasnął z palcami mocno zaciśniętymi na tajemniczej kopercie.

2

PUK, PUK, PUK

Następnego ranka Max ziewał, przyglądając się, jak ojciec wrzuca do podróżnej torby parę czarnych skarpet. Podczas pakowania ojciec nagle chrząknął i poczłapał korytarzem. Za chwilę wrócił, trzymając w garści pęk kabli telewizyjnych i padów do konsoli.

– Nie, żeby ci nie ufał...

Plątanina trafiła do torby i ojciec zasunął zamek.

– To co ja mam robić przez cały dzień? – zajączał Max.

– Dostałeś szlaban i to jest twoja kara – warknął ojciec. – Skoro ziewasz, to możesz przez cały dzień spać.

Max musiał przyznać, że ta perspektywa nie była wcale najgorsza. Przez większość nocy wyglądał przez okno. Świadomość, że mężczyzna z martwym okiem zna jego nazwisko i adres i może pojawić się w każdej chwili, dręczyła go do samego rana. Jednak kiedy zrobiło się jasno, jego lęk wydał mu się śmieszny.

Mimo to kiedy na dworze zatrąbiła taksówka, Max odczuł nagle potrzebę powiedzenia ojcu o mężczyźnie z muzeum. Jednak się opanował. W tej chwili wyglądałoby to jak desperacka próba uniknięcia kary.

– Nie będzie mnie tylko jeden dzień – westchnął ojciec. Pan Lukens zaproponował, żeby pan McDaniels

przedstawił nowemu klientowi prezentację, i tata Maxa zostawał na noc w Kansas City. – Telefon do Raleighów jest na lodówce. Będą na ciebie czekać z kolacją o szóstej i możesz u nich spać. Bądź grzeczny. Zobaczymy się jutro po południu.

Scott McDaniels pocałował syna w czoło i pojechał. Max zamknął drzwi na zasuwkę, po czym wiedziony ciekawością wszedł z powrotem na piętro, żeby obejrzeć list. Choć czytał go już wiele razy, nadal był on wielką niewiadomą. Max stał i wyglądał przez okno, wsłuchując się w wiatr, który poruszał wysokimi drzewami nad stojącym na podwórzu fortem, który zbudował z ojcem. Kiedy zaczęło mu burczeć w brzuchu, Max odłożył w końcu list i zszedł na dół, zrobić sobie kanapkę.

Schodząc po schodach, zobaczył jakiś cień w szparze pod frontowymi drzwiami. Chłopiec zatrzymał się na dźwięk trzech cichych stuknięć. Zamarł w pół kroku i stał nieruchomo, kiedy pukanie się powtórzyło.

– Przepraszam – usłyszał kobiecy głos. – Czy ktoś jest w domu?

Max odetchnął – to nie był mężczyzna z muzeum. Podeszedł na palcach do okna i zobaczył pulchną starowinkę, która spoglądała na zegarek i trzymała walizkę. Jej laska stała oparta o drzwi. Na widok Maxa uśmiechnęła się szeroko i pomachała.

– Dzień dobry. Czy ty jesteś Max McDaniels? Nazywam się Millen. Dostałeś chyba list z wiadomością o mojej wizycie?

Max uśmiechnął się i pomachał do staruszki.

– Mogę wejść? – zapytała słodkim głosem, pokazując zamknięte na zasuwkę drzwi.

Max odsunął mosiężną zasuwkę i otworzył drzwi. Pani Millen stanęła w progu, uśmiechając się promiennie, i wyciągnęła dłoń.

– Bardzo miło mi cię poznać, Max. Chciałabym zamienić z tobą parę słów na temat listu, który otrzymałeś.

– Pewnie. Mnie też miło panią poznać.

– Czy możemy gdzieś usiąść i porozmawiać?

Max zaprowadził panią Millen do jadalni. Staruszka grzecznie odmówiła, kiedy zaproponował, że poniesie jej walizkę, i opierała się z wysiłkiem na swojej lasce, którą wymachiwała przy każdym kroku. Z westchnieniem ulgi usadowiła się na krześle i rozszedł się od niej zapach perfum. Uśmiechnęła się i zdjęła okulary, żeby przetrzeć czerwone, napuchnięte oczy, a Max usiadł naprzeciwko.

– No dobrze, zanim zaczniemy... czy mogłabym poznać twoich rodziców? Są w domu?

– Mój tata wyjechał służbowo.

– Rozumiem – powiedziała. – A mama?

Max zerknął na stojące na kredensie stare zdjęcie rodziny McDanielsów.

– Jej też nie ma w domu.

– No cóż, w takim razie moje zadanie będzie nieco łatwiejsze – powiedziała i rozluźniła ramiona, po czym mrugnęła do Maxa.

– Jak to? – zdziwił się chłopiec, opierając się na krześle. Zerknął na jej walizkę, zaintrygowany długimi, płytkimi zadrapaniami na boku.

– Cóż, rodzice są często bardzo uparci. Na przykład większość z nich nie rozumie dziwnych wydarzeń w Instytucie Sztuki, prawda?

Chłopiec uśmiechnął się.

– Wczorajszy dzień był niezwykły, prawda, Max?

– Pewnie... to znaczy, tak. Owszem.

– Powiedz mi, co było w nim takiego niezwykłego?

– No, zobaczyłem wiele dziwnych rzeczy – powiedział Max, wzruszając ramionami. – Znalazłem salę, salę, do której nie mogłem trafić, kiedy już z niej wyszedłem. Kiedy byłem w tej sali, zobaczyłem gobelin.

Pani Millen przytaknęła, stukając palcem w gładki, lśniący blat stołu.

– Czy był ładny? – zapytała. – Czy to był ładny gobelin?

– Na początku nie.

Jej palec zamarł w połowie ruchu.

– Był brzydki – wyszeptał Max. Ale wtedy urwał. Jego doświadczenie było bardzo osobiste. Nie chciał się nim dzielić.

– Tak? – zapytała pani Millen. – Był brzydki? Stary, postrzępiony gobelin? Mów dalej, słonko... Wiem, że to się wydaje tajemnicze i dziecinne, ale możesz się tym ze mną podzielić. Uwierz mi, Max, wtedy lepiej się poczujesz.

Uśmiechnęła się i nachyliła wyczekująco. Max nagle zrobił się Henny.

– Zaczął lśnić – powiedział powoli, wiodąc palcem po słojach blatu. – Były tam słowa i obrazy, i muzyka.

– Jakie to były słowa, Max? Powiedz mi, jakie ujrzałeś obrazy?

Jej głos był przyciszony i nagły. Max poczuł mrowienie na szyi; przyjrzał się uważnie kobiecie. Twarz pani Millen była okrągła i dziwnie napięta. Choć jej uśmiech się nie zmieniał, jej źrenice zaczęły się rozszerzać. Max patrzył zafascynowany, jak rosną. Przypomniawszy mu się niedźwiedź polarny, którego widział kiedyś w zoo. Nigdy nie zapomniał, jak zwierzę pożądlawie wodziło za nim płaskimi, czarnymi oczami zza barierki.

Max zamrugnął zaniepokojony.

Tutaj nie było barierki.

– Muszę iść do łazienki – wymamrotał.

– Tak, tak, oczywiście. Ale najpierw powiedz, co ujrzałeś na gobelinie.

– Może powinniśmy porozmawiać po powrocie mojego taty.

Oczy pani Millen rozszerzyły się ze zdziwienia. Krzesło zaskrzypiało pod jej ciężarem i nagle kobieta pociągnęła nosem, jakby była przeziębiona. Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie badawczo. Potem na jej twarzy pojawił się przebiegły uśmiech, jakby mieli wspólną tajemnicę.

– Ho, ho, ho! – zachichotała. – Jesteś bardzo ostrożny, Max! Jesteś bardzo ostrożnym, bystrym chłopcem! Być może jesteś tym, kogo szukamy.

Na czoło Maxa wystąpił pot; w gardle go drapało. Zerknął na jej laskę, zastanawiając się, czy nie uciekać. Kiedy uciekał, nikt nie mógł go dogonić, a pani Millen była stara.

– Chyba powinna pani już sobie iść – powiedział. – Nie czuję się najlepiej.

– Oczywiście, mój drogi... Kobieta odepchnęła się od stołu. – ... ale ty pójdziesz ze mną!

Nadal się uśmiechała, kiedy jej dłoń śmignęła nad stołem i chwyciła Maxa za nadgarstek. Chłopiec krzyknął i odskoczył do tyłu, wyrwał się z jej zaskakująco silnego uścisku i spadł z krzesła. Jednocześnie usłyszał jakiś hałas na górze w swoim pokoju. Słyszać było odgłos ciężkich kroków, jakby ktoś zbiegał po schodach.

W domu był ktoś jeszcze.

Max skoczył na nogi i rzucił się do tylnego wyjścia. Z przerażeniem zauważył, że staruszka nie potrzebowała laski, kiedy okrążyła stół i pognała za nim.

Uciekł na podwórko i popędził do dużego fortu z sosnowych desek. Otworzył szybko zardzewiały zamek, pchnął drzwi i wpadł do środka. Zatrzasnął za sobą drzwiczki, kiedy pani Millen przykucnęła, żeby się za nim wcisnąć. Udało jej się wepchnąć do środka rękę i wściekle nią wymachiwała.

Napierając plecami na drzwiczki, czekał.

– Ho, ho, ho! – zarechotała. – A jednak nie jest taki mądry ani ostrożny! Nasz maluch był szybki, ale doprawdy kiepsko wybrał...

Kobieta cofnęła rękę. Po chwili Max usłyszał, jak jej paznokcie drapią o ścianę fortu, kiedy go powoli okrążała. Przystanęła, żeby zapukać w wąskie okienko. Max opanował strach i próbował myśleć. Mógł wzywać pomocy, ale jego dom stał na samym końcu cichej uliczki, a sąsiedzi w ciągu dnia byli w pracy. Kiedy usłyszał, że kobieta jest przy tylnej ścianie fortu, postanowił uciekać. Jednak kiedy tylko dobiegł do poprzecznej belki, ta rozplynęła się, zostawiając po sobie tylko kupkę szarego popiołu.

– Ho, ho, ho!

Drzwi otworzyły się i pani Millen złapała Maxa za koszulę na piersi. Max wrzasnął i walnął ją nasadą dłoni w nos. Pani Millen zaklęła i wzdrygnęła się, rozluźniając uchwyt. Wycofując się rozpaczliwie, Max zatrzymał się na przeciwległej ścianie i zaczął wchodzić po drabinie prowadzącej na dach fortu. Kiedy się wspinał, usłyszał, jak kobieta mamrocze coś kilka metrów pod nim. Zerknąwszy w dół, zobaczył, że stoi na najniższym szczeblu. Jej palce z pierścionkami próbowały sięgnąć jego kostki.

– Natychmiast się zatrzymaj, Max! Astaroth!

W tej chwili Max poczuł lodowate mrowienie w prawej nodze. Z trudem wspiął się przez właz, gdzie odczekał chwilę, po czym z całej siły uderzył klapą w

głowę wdrapującej się za nim kobiety. Z kompletnie zdrętwiałą nogą czołgał się ku krawędzi dachu. Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył, że pani Millen wychodzi przez właz. Przecisnąwszy cielsko, szła za nim na czworakach jak zwierzę.

Max zacisnął powieki i sturlał się z krawędzi. Kiedy oszołomiony otworzył oczy, zobaczył, że pani Millen przygląda mu się z dachu fortu trzy metry nad ziemią.

– Nie waż się go tknąć – wydyszała, patrząc w stronę domu. – Ten mały hultaj jest mój!

Max szybko zbadał wzrokiem dom i podwórko, ale nikogo nie zobaczył. Wtedy spostrzegł, że głowa pani Millen zniknęła znad krawędzi dachu. Usłyszał, jak spadła kłapa, i kobieta zaczęła schodzić.

Max jęknął i podniósł się. Kiedy obchodził dom, czuł, że noga w każdej chwili może odmówić mu posłuszeństwa, ale udało mu się dokuśtykać po podjeździe do ulicy. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że pani Millen pędzi za nim.

Skrećwszy za róg przed dom, zderzył się z mężczyzną, który jęknął i upuścił walizkę. Max krzyknął, zamknął oczy i zaczął go zajadle okładać pięściami.

– Hej! Ała! Przestań mnie bić! – zawołał mężczyzna, mocno chwytając Maxa za ramiona. Chłopiec odwrócił się, czekając, że pani Millen wypadnie zza rogu. Ale nie było jej.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – zapytał mężczyzna głosem, w którym pobrzmiwał brytyjski

akcent.

Max poczuł, że uścisk na jego ramionach zelżał. Odwrócił się i spojrzał do góry na mężczyznę przed sobą. To nie był nieznajomy z białym okiem z muzeum. Ten mężczyzna, wysoki i ubrany w nieskazitelny granatowy garnitur, miał jasne, rudawe włosy, wysokie czoło i okulary w metalowej oprawce. Uśmiechnął się nerwowo i spojrzał na trzęsące się, mocno zaciśnięte pięści Maxa.

– Czy ona mówiła do pana? – zapytał Max.

– Słucham? Kto?

Max jednak nie zdołał odpowiedzieć, bo stracił przytomność.

Ocknął się przestraszony. Leżał na kanapie w pokoju i miał już sprawną nogę, choć nadal czuł mrowienie, jakby mu zdrętwiała. Zobaczył, że ma zdjęte buty, które stały teraz równo na podłodze. Słyszał zbliżające się korytarzem miłe gwizdanie. Ledwo zdążył usiąść, kiedy do pokoju wszedł mężczyzna w okularach z talerzem ciasteczek i kubkiem parującego kakao.

– Witaj, Max! Mam nadzieję, że czujesz się troszkę lepiej – powiedział radośnie, stawiając tacę i kubek na niskim stoliku. – Nazywam się Nigel Bristow i bardzo mi przykro, że tak cię przestraszyłem. Nie masz mi chyba za złe, że poszperałem trochę w twojej kuchni. Powinieneś zjeść ciastko. Mnie zawsze to pomaga.

Max był zbyt wyczerpany, żeby się bać albo żeby protestować. Sięgnął po ciastko, nie spuszczając wzroku z

Nigela, który usiadł na skórzanym fotelu ojca. Max zaczął skubać ciastko.

– Nie przestraszyłeś mnie – wymamrotał. – Ktoś mnie gonił.

Uśmiech Nigela zniknął, a jego wzrok spoważniał.

– O czym ty mówisz, Max? Kto cię gonił?

– Dostałem list... List, w którym było napisane, że ktoś mnie odwiedzi. I ona przyszła dzisiaj do mojego domu i... – Max urwał; oczy zaszyły mu łzami. Zasłonił twarz ręką, upokorzony tym, że ktoś, a co dopiero obca osoba, ogląda go w takim stanie.

– Rozumiem. – W głosie Nigela był spokój i współczucie. – Max, chciałbym ci pomóc. Czy mógłbyś mi opowiedzieć, co ci się przytrafiło?

Max przytaknął i wziął głęboki oddech, po czym zdał Nigelowi relację z wizyty pani Millen.

Kiedy skończył, Nigel podciągnął fotel do przodu i poklepał chłopca po ramieniu.

– Wszystko w porządku, chłopcze. Chciałbym, żebyś tutaj został. Z tego, co mi opowiedziałeś, wnioskuję, że muszę się zająć kilkoma sprawami. Będę zaraz obok.

Nigel rozwinął leżącą na oparciu kanapy narzutę i przykrył nią Maxa, a potem podał mu kubek kakao. Mamrocząc słowa w nieznanym języku, wyszedł z pokoju, opukując po drodze drzwi i okna.

Max z ulgą zauważył, że mrowienie w nodze ustępuje z każdym łykiem kakao. Na wszelki wypadek pokręcił stopą. Potem, kiedy usłyszał kroki Nigela na piętrze,

przypomniawszy sobie, że powinien pójść do domu Raleighów na kolację. Nigel wrócił w chwili, kiedy Max podnosił słuchawkę.

– Nie zrobię ci krzywdy, Max. Nie musisz dzwonić na policję.

– Nie dzwoniłem... Wiem, że pan nie zrobi mi krzywdy. Dzwonię do znajomych taty. Mój tata wyjechał, a ja miałem u nich dzisiaj nocować.

– Rozumiem. Max, myślę, że lepiej byłoby, gdybyś dziś wieczorem przebywał ze mną. Jeżeli chcesz, wszystkim się zajmę.

– Kim pan jest? – zapytał Max, przesuwał się do przodu.

– Jestem egzaminatorem – powiedział Nigel, przystając, żeby przyjrzeć się zdjęciu na półce. – To ja jestem osobą, która miała cię odwiedzić. Przykro mi, że nie udało mi się przyjść wcześniej.

– Więc kim była ta kobieta, pani Millen? Myślałem, że mnie zabije.

Nigel zmarszczył brwi.

– Nie wiem jeszcze, kim była, ani jak się dowiedziała, kim ty jesteś. To poważna sprawa i już poinformowałem o niej moich kolegów. Nie jestem potężnym, wzbudzającym lęk mistykiem, ale moja obecność powinna odstraszyć ewentualnych intruzów do czasu przybycia naszych specjalistów.

Max nie był pewien, czy chce przyjmować następnych gości.

– A teraz – powiedział Nigel – zrobmy jeszcze kakao, a ja spróbuję ci wszystko wytłumaczyć.

Poszli do kuchni. Max włączył czajnik, a Nigel nucił jakąś przyjemną melodię i szukał ciasteczek. Sięgnął do szafki i wyciągnął pudełko Chrupiących Wafli do Zupy Braci Bedford.

– To jest dobre?

– Według mojego taty, te wafle ocalą cywilizację – wymamrotał Max, masując odrętwiałą nogę. Usłyszał głośnie chrupnięcie.

– Nie jestem pewien, czy ocalą cywilizację – zapiał z zachwytu Nigel – ale są pyszne!

Egzaminator wziął garść smakołyków i poszedł do salonu. Na dworze robiło się ciemno; w oddali rozległ się grzmot. Max przyniósł z kuchni dwa kubki kakao i zastał Nigela stojącego przy kominku.

– Wygląda na to, że nadciąga burza. Przydałoby się coś na poprawienie nastroju.

Palce Nigela zatańczyły, jakby poruszał marionetką. Zimne kłody w kominku nagle zasyczały i zaskwierczały. Wzdłuż krawędzi pojawiły się żółte płomienie. Za chwilę trzaskał wesoło jaskrawy ogień.

– Proszę bardzo! – zawołał Nigel. – Nadciąga burza, w kominku napalone i łyk kakao na ogrzanie duszy! Max, podejdź tu.

Max wpatrywał się w ogień, zdumiony.

– Ale jak...

– Wszystko w swoim czasie – powiedział Nigel,

rozkładając narzutę na podłodze, żeby mogli usiąść. – Max, zanim zaczniemy, musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz, że zjadłem tyle tych ciasteczek o dziwnej nazwie.

– No... dobrze – powiedział zdezorientowany Max.

– Świetnie. – Nigel znów wepchnął sobie parę wafli Bedford do ust. – Te wyjazdy rekrutacyjne to dla mnie jedyna okazja, żeby sobie trochę podjeść! – Otrzepał dłonie z okruchów, po czym mówił dalej: – Max, choć możesz się czuć sfrustrowany tym, że nie odpowiem jeszcze na twoje pytania, chciałbym, żebyś na początek opowiedział mi o swoich wczorajszych przeżyciach.

Ogień trzaskał w kominku, nadciągała burza, a Max zrelacjonował Nigelowi wydarzenia poprzedniego dnia. Jednak w odróżnieniu od pani Millen, Nigel tylko słuchał i nie dopytywał się o szczegóły.

– Nie wiem, co to wszystko znaczy – powiedział Max, kiedy zakończył opowieść.

– Aha, wygląda na to, że komuś przydałaby się podstawowa wiedza o mitologii celtyckiej! To bardzo niezwykła wizja, Max, związana z uprowadzeniem stad z Cuailnge. To dobrze świadczy o twoim potencjale na kandydata.

– Kim jest kandydat? Ten wyraz pojawił się w liście, który dostałem.

– Max, to ty jesteś kandydatem i właśnie dlatego tu jestem. Należysz do garstki ludzi na naszej cudownej małej planecie, którzy mają potencjał, żeby stać się

jednym z nas. Kiedy znalazłeś tę salę i odkryłeś gobelin, zdaliśmy sobie sprawę z twojej obecności. Przybyłem tu upewnić się, czy jesteś na tyle niezwykły, żebyśmy mogli złożyć ci propozycję.

– Kim są ci „my”? Jaką propozycję?

– Wszystko w swoim czasie, wszystko w swoim czasie. Przede wszystkim muszę przeprowadzić kilka testów.

Deszcz tłukł w szyby. Maxowi wydawało się, że zobaczył przemykający za oknem cień.

– Ktoś tam jest!

Nigel uśmiechnął się.

– To zupełnie naturalne, że jesteś nieco nerwowy. Ale jesteśmy tu całkiem bezpieczni. Nad tym domem czuwają przyjazne oczy.

Max zadrżał, nie do końca przekonany, czy chce, żeby czuwały nad nim jakieś oczy, nawet przyjazne.

– A co się stanie, jeżeli nie przejdę tych tekstów?

– Wtedy posprzątam kuchnię i pójdę sobie w siną dal, zadowolony, że mogłem poznać tak ciekawą osobę. Za kilka dni zapomnisz o mnie i nieprzyjemnych wydarzeniach tego popołudnia. Nie będziesz pamiętał nic a nic.

– Ale...

– Wiem, o czym myślisz, ale nic się nie martw. Umieściłem ten dom pod szczególną ochroną. Biorąc pod uwagę, co się stało, jeszcze przez jakiś czas będzie strzeżony, nawet jeżeli nie poradzisz sobie z testami.

Twojego domu pilnuje zapewne niejeden agent, Max.

Zdaniem Nigela to wyjaśnienie wyraźnie wystarczało. Tak jednak nie było. Max podszedł do okna i wyjrzał na dwór.

– Nie zobaczysz tam agenta – powiedział Nigel, kiedy Max zerkał zza zasłon. – Nawet ja mogę ich nie zobaczyć. To jedno z zadań agenta – być nieuchwytnym jak dym.

Max zmarszczył brwi i zasunął zasłony; burza była teraz tuż nad nimi.

Nigel wstał i pokazał chłopcu, żeby poszedł za nim do kuchni.

Egzaminator postawił teczkę na kuchennym stole. Po otwarciu zatrząsków wyciągnął z torby cyfrowy dyktafon i coś, co wyglądało jak srebrna rakietka do tenisa bez naciągu. Max nie potrafił sobie wyobrazić, jak rakietka mogła się zmieścić w tak małej torbie.

– Podejdź tutaj, Max. Właściwie możemy zaczynać. Gdybyś mógł usiąść na blacie i wybaczyć mi formalności.
– Nigel włączył dyktafon i oparł się o szafkę.

– Starszy egzaminator Nigel Bristow rozpoczyna Standardową Serię Testów Kandydackich pana Maxa McDanielsa, lat dwanaście, zamieszkałego w Chicago, Illinois, w Stanach Zjednoczonych. – Wyciągnąwszy dyktafon w stronę chłopca, Nigel mówił dalej przyciszonym, monotonnym głosem: – Panie McDaniels, proszę potwierdzić, że otrzymał pan informacje i wyraża pan zgodę na udział w następujących testach z pełną

świadomością, że są one wysoce eksperymentalne i przypuszczalnie skończą się ciężkim oszpecceniem...

– Hej, chwileczkę! – krzyknął Max, zeskakując z blatu.

Nigel zachichotał.

– Taki mały żarcik. Nie mogłem się powstrzymać. – Machnął dłonią, zachęcając Maxa do powrotu na blat. – Dobrze. Pierwszy test: sprawność fizyczna. Max, byłeś już kiedyś u lekarza, prawda? Więc ten test będzie podobny do tego, gdy lekarz uderza w kolano gumowym młoteczkem. Tylko zamiast młotka użyję tego małego urządzenia. Nic ci się nie stanie, obiecuję.

Max patrzył, jak Nigel ustawia maleńkie pokrętła na rączce. Pojawił się niewielki ekran, a wewnątrz pustej owalnej główki wyświetlił się pierścień białego światła. Urządzenie zaczęło zawodzić.

Max się skrzywił.

– Nigel, jesteś pewien, że to jest bezpieczne? Nie brzmi, jakby było bezpieczne!

– Zupełnie bezpieczne, zupełnie bezpieczne – mamrotał Nigel, ostrożnie prowadząc urządzenie wokół zwisającej stopy Nigela w stronę kolana. – Za chwilę poczujesz lekki szok – to nie będzie bolało, ale będziesz miał ochotę kopnąć. Chcę, żebyś oparł się tej pokusie i utrzymał kolano wewnątrz pierścienia. Nie dotykaj urządzenia! Gotowy... zaczynamy.

Zawodzenie maszyny przeszło we wściekłe wycie i Max poczuł uderzenie w kolano. Zamknął oczy i

skoncentrował całą siłę woli na opanowaniu odruchu kopnięcia. Na twarz wystąpił mu pot, który zaczął mu też ściekać po plecach. Kiedy chłopiec zerknął w dół, zobaczył, jak jego drżące kolano zakreśla maleńkie kręgi, które zbliżają się do ramy urządzenia, ale jej nie dotykają. W końcu wycie maszyny przeszło w szum, a potem zupełnie ustało. Nigel przyjrzał się ekranowi urządzenia i sięgnął po dyktafon.

– Tempo produkcji kwasu mlekowego: osiemdziesiąt dwa. Tempo rozpraszania kwasu mlekowego: osiemdziesiąt cztery. Prędkość drgań: dziewięćdziesiąt pięć. Gęstość mięśni aktualna: sześćdziesiąt cztery. Gęstość mięśni prognozowana: osiemdziesiąt siedem. Obwód synaptyczny: osiemdziesiąt cztery. Zmęczenie pod wpływem stresu umysłowego: pięćdziesiąt dwa.

Czytając ostatnią liczbę, Nigel zmarszczył brwi.

– Hm. Zmęczenie pod wpływem stresu zaskakująco niskie. Wynik jest przypuszczalnie rezultatem wyczerpania w następstwie poprzedzającego przechwycenia przez Wroga. Egzaminator zaleca ewentualny ponowny test w późniejszym terminie.

Nigel rozpromienił się i spojrzał na Maxa, który ocierał pot z czoła. Wyłączył dyktafon.

– Świetna robota, chłopcze! Wszystkie wyniki przyzwoite i udało ci się nie dotknąć urządzenia. Zdolny z ciebie szatan. Egzaminuję dopiero od siedmiu lat, ale nigdy nie testowałem nikogo z wynikiem szybkości drgań dziewięćdziesiąt pięć. Nawet nigdy o czymś takim nie

słyszałem.

– Co znaczą te wszystkie liczby? – zapytał Max.

– To tak naprawdę stek bzdur – odparł Nigel odruchowo, wyłączając urządzenie. – Mają dać nam pojęcie o twoich możliwościach fizycznych i, co ważniejsze, twojej zdolności do panowania nad odruchami w sytuacji stresogennej. Jestem pewien, że ktoś ci później wytłumaczy te wszystkie numerki, jeżeli będziesz zainteresowany.

Max zerknął na dziwne srebrzyste urządzenie.

– Czy to coś jest magiczne?

– Magiczne? Na Boga, nie! I w żadnym wypadku nie palnij czegoś takiego przy kimś z Działu Urządzeń. Są bardzo dumni – moim zdaniem za bardzo – z projektowania najróżniejszych pożytecznych niemistycznych rzeczy. Cieszę się tylko, że ten model zadziałał. Poprzedni był... – Odkaszlnął i zerknął na Maxa, który podniósł brwi. – No cóż, dość powiedzieć, że nie był tak niezawodny jak ten. Ten model działa za to bez zarzutu!

Nigel poklepał urządzenie zadowolony i wypuścił je z palców do teczki. Rakieta wpadła do niej, nie wydając żadnego odgłosu ani nie powodując wybrzuszenia gładkich boków z cielejącej skóry. Z dyktafonem w dłoni, Nigel zaprowadził Maxa z powrotem do salonu.

– Dobrze. Jeden test za nami, zostały jeszcze najwyżej dwa. Chciałbym, żebyś stanął teraz po drugiej stronie pokoju twarzą do kominka.

Machnięciem ręki Nigel wyłączył lampy. Ogień był teraz jedynym źródłem światła w pokoju.

– O rany – szepnął Max.

Nigel uśmiechnął się i dołożył do paleniska kilka kłód. Blask płomieni tańczył na ścianach. Max czekał zdenerwowany, a jego wzrok przyzwyczajał się do półmroku wypełniającego pokój. Kiedy Nigel w końcu wstał i zwrócił się do chłopca, ogień płonął znacznie mocniej.

– Max, pierwszy test nie był specjalnie niezwykły. To była taka trochę bardziej fikuśna wizyta u lekarza. Ale następny test może ci się wydać dość dziwny. Poproszę cię, żebyś spróbował zrobić coś, co wydaje ci się niemożliwe. Chcę, żebyś zgasił ogień, nie ruszając się z miejsca.

– To jakiś żart? – zapytał Max, kręcąc głową i śmiejąc się z niedowierzania.

– Masz w sobie potencjał, żeby to zrobić, Max. Odpręż umysł. Wyobraź sobie, jak płomienie przygasają, potem zostaje z nich smużka dymu, a w końcu zimne palenisko.

Max objął wzrokiem jaskrawopomarańczowe i żółte płomienie, które oplatały kłody. Słyszał trzaskające drewno, patrzył, jak równymi falami unosi się gorąco. Jedna kłoda spadła, wzniecając fontannę iskier. Max napiął palce. Wyobraził sobie, że płomienie się zatrzymują, tracą intensywność, a przestrzeń staje się zimna i ciemna.

Ku zupełnemu zaskoczeniu chłopca ogień zaczął przygasać. To nie ulegało wątpliwości – wyglądało jakby drewno stopniowo pochłaniało płomienie.

– Bardzo dobrze – powiedział Nigel. – Teraz dokończ dzieła i zgaś je...

Max zamknął oczy i skoncentrował się na lśniących kłodach i dogasającym żarze. Zacisnął pięści, wyobrażając sobie, jak ciepło jest wchłaniane przez cegły kominka i rozprzestrzenia się po całym domu. Zadrżał; czuł się wycieńczony. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Nigel się do niego uśmiecha.

– Brawo, Max. Doskonale. – Nigel włączył światło machnięciem dłoni. Max skrzywił się, kiedy Nigel chwycił kłodę, która jeszcze przed chwilą płonęła. Rzucił ją do chłopca, który odruchowo cofnął się, a kłoda spadła na podłogę, syjąc popiołem i sadzą.

Max przykucnął i musnął ją palcem. Była chłodna. Uśmiechając się do Nigela, włożył ją z powrotem do kominka.

Nigel uruchomił dyktafon.

– Test numer dwa zakończony. Badany zgasił kontrolowany ogień drugiego stopnia z odległości siedmiu kroków. Badany skutecznie wyeliminował płomienie i ostudził kłody, pozbawiając je energii cieplnej. Test zajął minutę i czterdzieści siedem sekund.

Kiedy Nigel wyłączył dyktafon, Max wypiął dumnie pierś.

– Minuta i czterdzieści siedem sekund to całkiem

nieźle, prawda?

– No cóż, Max, chyba muszę rozwiać twoje złudzenia. Obecny rekord wynosi niecałe pięć sekund i należy do naszej panny Hazel Boon. Twój wynik był, cóż, przeciętny na tle innych kandydatów. Ale nie masz powodu do zmartwień! Obecnemu tu biednemu egzaminatorowi zdławienie pierwszego płomienia zajęło ponad trzy minuty, a nawet wtedy nad kłodami dało się opiekować ziemniaki!

Max uśmiechnął się na myśl o marszczącym brwi miniaturowym Nigelu w niebieskim garniturze, podczas gdy jakiś egzaminator opiekował ziemniaki i odnotowywał mierny wynik.

– I co teraz?

– No cóż, ostatni test nie jest taki najgorszy. Te najcięższe masz już za sobą! To swego rodzaju zagadka. Mam ją w teczce w kuch...

Zanim Nigel zdołał dokończyć zdanie, rozległ się ogłuszający grzmot i w domu zrobiło się ciemno. Wyteżając w ciemności wzrok, Max zobaczył egzaminatora leżącego na podłodze. Kuchenne drzwi były roztrzaskane na kawałki. Ku przerażeniu chłopca, z kuchni przyglądała im się pani Millen.

Jej włosy były splątane od deszczu, a na mięsistej twarzy widać było ciemne smugi rozmazanego makijażu. Człapała do nich, pochylona i wściekła. Jej laska uderzała w podłogę w regularnych, krótkich odstępach.

– Ho, ho, ho! Myślałeś, że już mnie nie ma?

Myślałeś, że małe zaklęcia twojego przyjaciela mogą mnie zatrzymać?

Max zaczął krzyczeć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Nigel jęczał i próbował się podnieść, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się z powrotem na podłogę.

– Lepiej uciekaj, Max! – ostrzegła pani Millen. – Lepiej uciekaj, dopóki jeszcze możesz! Zostaw tę cherlawą istotę mnie, to pozwolę ci uciec!

Była trzy metry od niego, kiedy Max w końcu rzucił się do ucieczki.

Otworzył frontowe drzwi, za którymi padał letni deszcz. Odwróciwszy się gwałtownie, zobaczył, jak pani Millen rechocze i nachyla się nad Nigelem, którego stopa uderzała głucho o podłogę z desek.

Maxa zaślepiła wściekłość.

– Zostaw go! Zostaw go! – Rzucił się z powrotem do salonu, gdzie zobaczył opanowanego Nigela siedzącego wygodnie przy rozpalonym ponownie kominku. Max biegł korytarzem, a jego ciało było pobudzone adrenaliną. Po pani Millen nie było ani śladu. Drzwi kuchenne były całe, solidne i porządnie zamocowane na zawiasach.

Nigel uśmiechnął się i zaczął mówić spokojnym głosem do dyktafonu:

– Test trzeci zakończony. Po krótkiej chwili wahania i ucieczki, pan McDaniels zareagował na zjawę frontalnym atakiem, wykazując się niezwykle determinacją i, jak by to ująć, zaciekłością! Jest to

szczególnie niezwykle w kontekście faktu, że zjawą została wykreowana z zasobów pamięci wystawionych niedawno na obecność Wroga. Z wielką dumą i osobistą satysfakcją egzaminator odnotowuje, że pan Max McDaniels pomyślnie przeszedł Standardową Serię Testów Kandydackich.

Max patrzył na Nigela z niedowierzaniem.

– Czyli to był tylko... test?

– Tak, wybacz – powiedział Nigel i westchnął. – To jedyny sposób, żeby przetestować odwagę i lojalność kandydata. Niestety na nim właśnie odpada większość kandydatów, ale nie zamierzamy obniżać standardów. Byłeś gotów mi pomóc, pomimo grożącego ci wielkiego niebezpieczeństwa, chłopcze, i jestem naprawdę wzruszony.

Nigel uśmiechnął się, wstał i położył dłoń na ramieniu Maxa.

Chłopiec zerknął na tę dłoń, która zsunęła mu się z ramienia, kiedy ruszył zmęczonym krokiem do kuchni. Nigel poszedł za nim.

– Nie bądź na mnie zły! – poprosił. – Mnie też nie jest z tym lekko... te wszystkie wrzaski, płacze, zafajdane majtki...

– Nie jestem już wściekły – westchnął Max. – Obiecay tylko, że nie będziesz wzywał więcej pani Millen. Chyba nie zniósłbym jej trzy razy w ciągu jednego dnia.

– Umowa stoi – zachichotał Nigel. – A teraz poszukajmy tych Chrupiących Przekąsek Synka, czy jak

się tam nazywają.

3

CZAS DECYZJI

Max obudził się wcześniej niż zwykle. Z dołu dochodziło gwizdanie Nigela i zapach kawy. Na dworze było jasno; spryskiwacze do trawy pracowały wytrwale. Max ziewnął, sturlał się z łóżka, włożył T-shirt i poczłapał na dół po schodach.

Nigel siedział przy stole w jadalni, ubrany w garnitur i krawat. Czytał „Tribune” i sączył kawę z kubka. Na stole stał przykryty koszyk, z którego unosiła się para, a obok talerzyk z kostką masła, kilka rodzajów dżemu i szklanka soku.

– I oto nasz śpioszek wychynął ze swojej jamy! Nie żebym cię winił, wczoraj miałaś ciężki dzień.

– Nigel, jest piętnaście po szóstej...

– Właśnie. Czas wstawać! Niedługo będę się musiał zbierać, więc pomyślałem, że najpierw zjemy porządne śniadanie.

Nigel odsłonił koszyk, pokazując tuzin gorących ciasteczek.

– Max, jadłeś kiedyś takie oto bułeczki biszkoptowe?

– Czy to coś w rodzaju nadziewanych tostów? – zapytał chłopiec.

– Ależ skąd – odparł Nigel, wzdrygając się. – Gdyby zrobiła je moja żona, byłyby jeszcze lepsze, ale i tak

myślę, że będą ci smakować! Wypijmy za nowe odkrycia!

Max podniósł szklankę, a potem spędził kolejne kilka minut, pochłaniając gorące bułeczki.

– Mo mamabme myfne! – powiedział w końcu.

Nigel spojrział na niego znad gazety.

– Słucham?

– Są naprawdę pyszne! – powtórzył Max, sięgając po następną.

– Czyli przyznajesz, że dobrze wypadają na tle mocarnych nadziewanych tostów? Chyba udało ci się już wsunąć czwartą... – Max zmrużył oczy, a Nigel ciągnął: – No cóż, skoro potwór nakarmiony, może czas wręczyć mu prezent.

Max wytarł usta, a egzaminator dał mu taką samą kopertę z grubego papieru w kolorze śmietankowym jak tamta z tajemniczym listem, która pojawiła się u niego w kieszeni. Ta koperta była większa, ale na jej a wersie również było wykaligrafowane nazwisko Maxa. Chłopiec wsunął dłoń pod pieczęć i otworzył kopertę, po czym wyjął z niej plik papierów i lśniącą broszurkę.

– Broszurkę zostaw na potem – poradził Nigel. – Zerknij na resztę.

Max odwrócił papiery i przyjrzał się pierwszej stronie.

Szanowny Panie McDaniels!

Zgodnie z informacjami, które otrzymałam, zdał Pan Standardową Serię Testów Kandydackich. Jak bez

wątpienia poinformował Pana pan Bristow, jest to niezwykle osiągnięcie. W imieniu Akademii Rowan chciałabym złożyć Panu nasze najszczerze gratulacje.

Biorąc pod uwagę Pana wyniki, Akademia Rowan przedkłada Panu niniejszym propozycję wstąpienia na naszą uczelnię w charakterze ucznia pierwszego roku.

Żywimy nadzieję, że rozpocznie Pan semestr jesienny udziałem w kursie wprowadzającym, który odbędzie się za tydzień. Załączamy wszystkie informacje i wierzymy, że spodoba się Panu nasza propozycja stypendialna.

Nasza przedstawicielka złoży Panu i Pana ojcu wizytę dziś wieczorem, aby omówić tę unikalną okazję i, miejmy nadzieję, uczcić Pana decyzję o przyjęciu naszej propozycji.

W świetle niecodziennych okoliczności pierwszego spotkania z Panem, podjęliśmy dodatkowe środki ostrożności. Chcemy Pana zapewnić, że panna Awolowo jest naszą wysłanniczką. Pojawi się ona u Pana równo o ósmej.

Z wyrazami szacunku
Gabrielle Richter
Dyrektor

– Kto to jest? – zapytał Max. – Jej podpis był również pod pierwszym listem.

– Pani Richter? No cóż, to szefowa, z braku lepszego określenia. Tak na marginesie, niesamowita kobieta.

– Aha. A co to takiego akademia?

– Hm. Może nie jestem najlepszą osobą, żeby ci to wytłumaczyć. To należy do obowiązków panny Awolowo. Mogę jednak powiedzieć, że to niezwykle miejsce dla niezwykłych ludzi, takich jak ty, Max.

– Nie rozumiem. Czy będę musiał stąd wyjechać?

– Raczej tak. Akademia znajduje się w Nowej Anglii.

Max odłożył list i pokręcił głową.

– Nic z tego. Nie mogę tak po prostu wyjechać. Nie po tym wszystkim, co się stało.

– Max, rozumiem, co czujesz – zaczął Nigel.

– Nic nie rozumiesz. Beze mnie mój tata zostałby zupełnie sam.

Nigel zamknął oczy i przytaknął.

– Mojej mamy nie ma od dwóch lat – wypalił Max i zaczerwienił się. – Tata mówi o niej, jakby ciągle żyła, ale tak nie jest. Nigdy jej nawet nie znaleźli.

– Czy chciałbyś o tym porozmawiać? – zapytał cicho Nigel, wycierając okruszki i dolewając Maxowi soku.

– Nie ma o czym rozmawiać – powiedział chłopiec. Znowu czuł się zmęczony. – Jej samochód znaleziono na poboczu. Silnik był włączony. A jej nie było. – Max spojrzał na Nigela wilkiem i pstryknął leżący na stole okruszek. – Tak czy inaczej – wymamrotał – wyjazd to chyba niedobry pomysł.

– Rozumiem. – Nigel popchnął bułeczki z powrotem do chłopca.

– Max, nie będę cię namawiał. Proszę cię tylko, żebyś

zachował otwarty umysł i wysłuchał tego, co będzie ci miała do powiedzenia panna Awolowo. A na razie zachęcam cię do lektury materiałów w pakiecie. – Nigel wyprostował materiały i broszurkę i podał je Maxowi, po czym wstał z teczką w dłoni. – Zdaję sobie sprawę, że to fatalna chwila, ale muszę już iść. Wczorajsze wydarzenia poruszyły kwestie, na które trzeba zareagować, i dostałem polecenie powrotu. Nie martw się o ojca i o Raleighów. Wszystkim się zająłem.

Max nie mógł w to uwierzyć.

– Nigel! Nie możesz mnie tu zostawić samego. Mój tata będzie z powrotem dopiero po południu! A co jeżeli znowu pojawi się pani Millen?

– Max, ten dom został objęty szczególną ochroną. Nic ci nie będzie.

Chłopiec zerwał się od stołu i zaczął chodzić po pokoju.

– Nie, nie, nie! Tak samo powiedziałaś, że pani Millen nie powinna była wiedzieć, że jestem kandydatem, i nie miała się tu prawa pojawić! Nie mogę pojechać z tobą?

– Obawiam się, że to niemożliwe. Jednak będę chyba mógł zadbać o to, żebyś miał towarzystwo.

Max zamilkł.

– Sprowadzisz tu agenta? – zapytał po chwili.

Nigel pokręcił głową.

– Nie, nie agenta. Agenci mają ściśle rozkazy pilnować domu z zewnątrz. Zresztą nie spodobałoby ci się

ich towarzystwo. Są zbyt poważni! – Nigel postawił teczkę na stole. – To może chwilę potrwać, w zależności od tego, czy będzie w zasięgu. – Egzaminator otworzył zaciski teczki i wsadził do niej całą głowę. Max usłyszał jego stłumione pomruki. – A oto i moja mała. O, jak ty wspaniale rośniesz! Nie, oczywiście, że nie wyglądasz grubo. Nie mów pani Bristow, ale moim zdaniem świetnie się trzymasz. No cóż, dziękuję za komplement. Nie chcę, żeby to zabrzmiało nieskromnie, ale trochę ostatnio ćwiczyłem. – Nigel uszczypnął się w dość wąty biceps z głową przez cały czas w teczce. – No więc chciałbym cię prosić o drobną przysługę. Czy mogłabyś przez parę godzin popilnować mojego przyjaciela? Mogłabyś? Niech Bóg cię błogosławi, moja droga. Będzie mu bardzo miło.

Max zrobił krok w tył, a Nigel wcisnął do teczki rękę i naprężył się, żeby wyciągnąć coś ze środka. Kiedy się stamtąd wydostał i odwrócił, trzymał na rękach różową świnkę, niczym niemowlaka.

Max rozmasował sobie skronie i pokręcił głową.

– Chyba żartujesz.

Świnka wciągnęła powietrze i skoncentrowała zaspany wzrok na Maksie. Kilka razy mrugnęła, po czym szybkim ruchem wcisnęła Nigelowi ryjek pod pachę.

– Max, chciałbym ci przedstawić Lucy – oznajmił radośnie egzaminator.

Głos Maxa był spokojny i opanowany.

– Nigel, nie chcesz mnie chyba zostawić pod opieką świni.

Nigel uśmiechnął się.

– Nie zostawiam cię pod jej opieką; zostawiam cię w jej towarzystwie. Możesz się uważać za szczęściarza. Lucy to wyborowe towarzystwo!

Lucy przekręciła się, żeby spojrzeć z miłością na Nigela, puszczając przy okazji wiatry.

– Ale...

Nigel zignorował Maxa i ostrożnie postawił Lucy na podłodze. Świnka podreptała do kuchni, chrupkając radośnie.

– Nie będziesz miał z nią kłopotów. Daj jej tylko gryza – albo dwa – tego, co będziesz akurat jadł. Kiedy twój tata wróci do domu, wypuść ją tylnymi drzwiami, a ona już mnie znajdzie.

Zrezygnowany Max spojrzał na podłogę i przytaknął. W kuchni coś spadło. Kiedy się odwrócił, zobaczył Lucy siedzącą niepewnie na krześle, grzebiącą ryjkiem w resztkach ciasta.

– No cóż – powiedział Nigel, zerkając na zegarek. – Jestem już naprawdę spóźniony i muszę iść. Wiem, że tak wiele wydarzyło się tak szybko, ale nie daj się tym zdeprymować. Sprawy wyjaśnią się szybciej, niż ci się wydaje. Miło było cię poznać.

Nigel uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

– Czy my się jeszcze zobaczymy? – zapytał Max.

– Mam nadzieję. Z pewnością wpadniemy na siebie na kursie wprowadzającym. – Nigel uśmiechnął się i mocno poklepał Maxa po plecach. – Liczę na to, że

zacznieš u nas naukę. Rowan to idealne miejsce dla ciebie.

Za chwilę już go nie było. Max przyglądał się, jak idzie szybkim krokiem po chodniku z teczką w dłoni, a potem skręca w przecznicę. Chłopiec poczuł się samotny. Zamknął drzwi na zamek i zebrał talerze i szklanki. Po drodze do kuchni minął Lucy, która poczłapała za nim. Przechodząc nad sporym bałaganem, którego narobiła, Max westchnął i włożył stertę naczyń do zlewu. Zostawił Lucy w pokoju, gdzie turlała się i pochrząkiwała zadowolona.

Do słuchającego jednym uchem Maxa dotarło, że Chicago Cubs przegrywają z San Francisco Giants, kiedy usłyszał otwieranie frontowych drzwi. Zerwał się z fotela ojca, wyłączył radio i popędził do tylnych drzwi z Lucy, która dotychczas leżała mu na kolanach zwinięta w kłębek. Świnka obudziła się, pochrząkując ze strachu.

Max postawił Lucy na ziemi, podrapał ją za uszami i wyszeptał:

– Dziękuję ci, że ze mną zostałaś, Lucy. Przepraszam, że miałem co do ciebie wątpliwości. Znajdziesz Nigela?

Lucy szturchnęła ryjkiem nogę Maxa, obróciła się zwawo, potruchtała na podwórko i zniknęła za fortem. Chłopiec zamknął drzwi na zamek i poszedł na bosaka do przedpokoju, gdzie upuszczona przez ojca torba uderzyła głucho o podłogę.

– Cześć, Max. Jak było u Raleighów?

– Eh... w porządku – odpowiedział Max, unikając wzroku ojca. – Dobrze, że już wróciłeś.

– No, ja też się cieszę. Trochę się odprężyłem w Kansas City i chyba skrócimy ci szlaban z dwóch tygodni do jednego. Zamknięcie na dwa tygodnie latem to chyba przesada. Czy to brzmi uczciwie?

– Pewnie – odparł Max. – Tato, ktoś przyjdzie tu dzisiaj wieczorem porozmawiać z nami.

– Kto taki? Nic nie nabroiłeś, prawda?

– Nie, nic z tych rzeczy. Zdobyłem takie stypendium. Scott McDaniels zerknął znad poczty na Maxa.

– Naprawdę? Stypendium? Jakie stypendium?

– Dokładnie nie wiem, ale mam opłacone czesne w takiej jednej szkole.

– Jakiej szkole? – zainteresował się ojciec, uśmiechając się pytająco.

– W Akademii Rowan, w Nowej Anglii.

Uśmiech pana McDanielsa zniknął.

– W Nowej Anglii? Max, to kilkaset kilometrów stąd. Jak zdobyłeś to stypendium?

Max zaczął się wiercić.

– Eh... chyba dobrze mi poszły takie testy i... no... znaleźli mnie.

– A co to za osoba ma dzisiaj tu przyjść?

– Panna Awolowo.

– Phi – prychnął ojciec. – To ci dopiero połamaniec. Zobaczmy, co panna Aloha będzie miała do powiedzenia.

Potem zrobili kanapki z indykiem i na zmianę sięgali do wielkiego pudła chipsów. Pan McDaniels raczył Maxa opowieściami o nowym papierowym ręczniku, który charakteryzował się niezwykle chłonnością.

Panna Awolowo przybyła punktualnie o ósmej. Ta elegancka kobieta była prawie wzrostu pana McDanielsa, a Max nie potrafił określić jej wieku. Miała na sobie wielobarwne szaty, naszyjnik z ciężkich koralików i nosiła plecioną torbę ozdobioną wzorem lecących ptaków. Położyła torbę na progu i wyciągnęła dłoń. Jej skóra była gładka i ciemna jak ziarno kawy, a głos głęboki i ze śladami akcentu.

– Pan musi być panem McDanielsem. Ja jestem Ndidi Awolowo z Akademii Rowan. To dla mnie wielki zaszczyt pana poznać.

Scott McDaniels niezręcznie zawahał się przed uściśnięciem jej dłoni.

– Tak, oczywiście. Mnie również bardzo miło panią poznać. Proszę wejść.

– Dziękuję – powiedziała panna Awolowo, przechodząc obok niego do przedpokoju, gdzie czekał zdenerwowany Max.

– Witam. A to musi być Max! Panna Awolowo.

Max podał jej dłoń i poczuł, że jego niepokój znika. Tak samo jak w przypadku Nigela, u tej kobiety wyczuwało się uspokajającą siłę i ciepło. Położyła mu dłoń na ramieniu, a on zaprowadził ją do salonu, gdzie

pan McDaniels nieporadnie krzątał się przy kawie i tacy z ciasteczkami. Panna Awolowo usiadła na końcu kanapy, a jej promienne oczy patrzyły na zmianę na Maxa i jego ojca.

– Ma pan wspaniały dom, panie McDaniels, i niezwykłego syna. Przepraszam za tak nagłe najście; dopiero niedawno otrzymaliśmy wyniki Maxa. Czy miał pan okazję przyjrzeć się warunkom stypendium, które chcemy mu zaproponować?

– Tak, i bardzo to doceniamy, panno Ahoooloo. – Max skrzywił się, kiedy usłyszał, że ojciec mówi tonem, którym zwykle rozmawia z klientami. – Jesteśmy wniebowzięci, ale chyba będziemy musieli zrezygnować. Max wiele przeszedł przez ostatnie parę lat i chyba powinien być blisko domu.

Panna Awolowo przytaknęło trzeźwo i po chwili odparła:

– Tak, proszę mi wybaczyć szczerłość, ale jestem świadoma tego, co stało się z panią McDaniels. Przykro mi.

– Właśnie. Jest nam ciężko, ale jakoś sobie radzimy.

– Oczywiście. I bardzo dobrze to panu wychodzi, panie McDaniels. Wychował pan wspaniałego chłopca w niesprzyjających warunkach. Mam jednak nadzieję, że nie pozwoli pan, aby tragedia w przeszłości syna przysłoniła świetną okazję, która czeka na niego w przyszłości.

– Chcę dla Maxa jak najlepiej – odparł ojciec obronnym tonem.

– Wiem – powiedziała łagodnie panna Awolowo. – I tego właśnie dotyczy nasza propozycja. Nasze zajęcia są lepiej dopasowane do potrzeb pana syna niż standardowy program nauczania. Widzi pan, panie McDaniels, chłopiec tak zdolny i kreatywny jak Max nie może rozwijać swoich umiejętności w ramach programu, który nie jest w stanie rozpoznać i stymulować jego unikalnego talentu.

– A dlaczego państwa akademia ma być lepsza?

– Bo umieścimy w niej Maxa wśród innych zdolnych, kreatywnych uczniów z całego świata. Bo zapewnimy mu opiekę nauczycieli, którzy rozumieją jego dar i potrafią w pełni rozbudzić jego potencjał.

– Czy pani chodziła do Rowan?

– Owszem, panie McDaniels. Egzaminator odwiedził mnie w mojej wiosce w Afryce. – Klasnęła dłońmi i zaśmiała się jak dziewczynka. – Ach, to się wydaje wieki temu. Moi rodzice nie chcieli oddać swojego dziecka; bali się, że coś mi się stanie! Ale kiedy już się uspokoili, ojciec przyszedł do mnie i powiedział: „Jeżeli człowiek się za coś nie opowie, to da się nabrać na wszystko. Ja chcę się opowiedzieć za tobą”.

Oczy jej zaśniły i uśmiechnęła się na to wspomnienie. Pan McDaniels patrzył na swoje guzowate palce. Kiedy się odezwał, w jego głosie było napięcie.

– Nie wiem, co zrobić. To chyba dobra okazja, ale nie wiem, czy Max jest gotowy na coś takiego. Max, co o tym myślisz?

Do tej chwili chłopcu odpowiadała rola widza. Teraz,

kiedy uwaga dorosłych skupiła się na nim, zaczął się denerwować.

– Nie wiem. Nie chcę cię zostawiać samego.

– Nie martw się o mnie, Max. Jestem duży.

Po chwili kłopotliwej ciszy odezwała się panna Awolowo.

– Panie McDaniels? Czy mogłabym porozmawiać z Maxem na osobności?

– Max? Co ty na to?

Max spojrzał na pannę Awolowo, która czekała cierpliwie.

– Mamy wspaniały letni wieczór. Może przejdziemy się na spacer i odetchniemy świeżym powietrzem?

Max spojrzał na ojca, który przytaknął na zgodę.

Panna Awolowo wzięła Maxa za ramię, kiedy wychodzili przez frontowe drzwi. Nocne niebo było zupełnie bezchmurne. Spacerowali bez słowa, przechodząc w milczeniu pod latarnią. Panna Awolowo delikatnie klepnęła chłopca w ramię i przerwała ciszę.

– Nigel przesyła pozdrowienia. Zrobiłeś na nim spore wrażenie. Bardzo dobrze się o tobie wyrażał. Chcielibyśmy cię najmocniej przeprosić za niefortunne najście tamtej kobiety.

Max zadrżał i skoncentrował wzrok na otaczających go ciemnych krzakach i trawnikach. Panna Awolowo przyciągnęła go bliżej i zanuciła cicho ładną melodię.

– Nie masz się czego bać, Max – odezwała się po

chwili. – Wróg wie, że tu jestem, i wie, że ze mną to już nie przelewki. Stara Awolowo potrafi dać w kość! – Z błyskiem w oku zachichotała i szturchnęła go zadziornie. Max uśmiechnął się i spróbował się odprężyć.

– Panno Awolowo? Kim jest Wróg? Nigel nie chciał odpowiedzieć na moje pytania.

– Udzielanie odpowiedzi na takie pytania nie należy do jego obowiązków. Pójdiesz ze mną? Chciałabym ci coś pokazać.

Max przytaknął. Panna Awolowo wyprostowała się i spojrzała na niego z góry. Jej oczy błysnęły srebrzyście i wydała mu się tak mądra i piękna jak wszystkie królowe z jego starych albumów z bajkami razem wzięte. Uśmiechnęła się i ujęła go za rękę.

Wnętrznosci Maxa zadrżały tak jak wtedy, kiedy zobaczył gobelin. Tylko tym razem nie miał wrażenia, jakby połknął pszczoły. Teraz jego żołądek wypełniały balony z helem. Czuł pieczenie w stopy, jakby wszedł do wanny ze zbyt gorącą wodą. Kiedy spojrzał w dół, żeby zobaczyć, co się dzieje, oniemiał.

Chodnik się zmniejszał.

Panna Awolowo trzymała go mocno za rękę i wznosili się powoli ponad latarnie i ciemne kępy drzew. Unosili się razem na nocnym wietrze, zostawiając pod sobą domy i parki, szybując nad wierzchołkami drzew i kominami. Prześlizgnęli się nad jeziorem i wznosili po łagodnej spirali.

Szybowali tak wysoko, że Max myślał, że osiągną

księżycyca. Zaśmiał się i wyciągnął ku niemu dłoń. Nie udało mu się go jednak dotknąć. Nadal unosił się nad nimi, jaskrawy, odległy i zimny.

– Żyjemy w pięknym świecie, nieprawdaż?

Słowa panny Awolowo wyrwały Maxa z zamyślenia. Wszystko to wydawało mu się częścią snu, aż nagle przerażony zdał sobie sprawę, że faktycznie jest wysoko nad jeziorem smagany silnymi podmuchami wiatru.

Panna Awolowo była zupełnie spokojna.

– Znajdźmy jakieś wygodniejsze miejsce, dobrze?

Max przytaknął gorliwie.

Po wykonaniu szerokiego, nieśpiesznego zakrętu panna Awolowo poprowadziła ich w stronę świątyni Baha'i, która jaśniała na tle nocnego nieba jak potężny blok wyrzeźbiony z kości słoniowej. Panna Awolowo posadziła ich na kopule, wiele pięter nad drzewami. Siedzieli obok siebie, a ona wygładziła szaty i złożyła dłonie.

– Tak! Teraz lepiej. – Przebiegając dłonią po kunsztownie zdobionej kamiennej powierzchni, oznajmiła: – Uwielbiam ten budynek. Tak czy inaczej, czy jest ci teraz cieplej, słonko?

– Tak, proszę pani.

– Teraz spójrz na niebo. Co widzisz?

– Nie wiem – powiedział Max. – Gwiazdy. Księżyc.

– Ale widzisz też mnóstwo ciemności, prawda? Max, na tym polega nasza walka. Jest na tym świecie siła, która nie kocha księżycyca, gwiazd ani słońca. Nie obchodzą jej

światła miast, radość śmiechu, czy nawet odgłosy smutku. Nie obchodzi jej nic, co zakłóca idealnie mroczną ciszę, z której przybyła. Gdyby mogła, pożarłaby księżyc.

Max zadrżał i patrzył, jak para staruszków przechadza się po ogrodzie daleko w dole. Panna Awolowo mówiła dalej.

– Nie może pożreć księżycy, więc zamiast tego chce pożreć człowieka. Od tysięcy lat ludzie walczą z Wrogiem pod wieloma różnymi postaciami. Ludzie tacy jak ja czy ty.

Max przyjrzał się uważnie jej twarzy. Panna Awolowo przytaknęła i położyła mu dwa palce na czole.

– Tak, Max – ludzie tacy jak ty. Urodziłeś się jako książę, książę ludzkości. Od stuleci utalentowani ludzie doskonalili swoje zdolności, żeby człowiek mógł się rozwijać i tworzyć piękne rzeczy, jak choćby ten budynek. Bez nas ludzkość już dawno temu by wyginęła. Prowadzimy odwieczne zmagania o przetrwanie.

– I chcecie, żebym przyłączył się do tych zmagania?

Panna Awolowo uśmiechnęła się i przysunęła głowę do głowy Maxa.

– Nigel powiedział, że jesteś dzielnym chłopcem. Jesteś jednak zbyt młody, żeby dokonać takiego wyboru. Tylko absolwenci Rowan mogą podjąć decyzję i niektórzy postanawiają zająć się czymś innym. Chciałabym tylko, żebyś spróbował i zobaczył, czy ci się to spodoba.

Max zmarszczył brwi.

– A jeżeli nie wstąpię do akademii? Czy będziecie na

mnie źli?

Panna Awolowo siedziała przez kilka chwil bez słowa. Potem odpowiedziała opanowanym tonem:

– Będę rozczarowana, ale nie będę się gniewać. Nie chcę cię jednak oszukiwać. Bardzo pragnę, żebyś przyjechał do Rowan. Z raportu Nigela wynika, że jest w tobie Stara Magia, że być może jesteś księciem nawet na tle naszej grupy. Po spotkaniu z tobą mogę stwierdzić, że to możliwe. Światelko w tobie płonie tak mocno, że rozgrzewa nawet starą Awolowo!

Paciorki na jej naszyjniku zatrzęśły się w rytm jej śmiechu.

– Tak, Max, to światło jest doprawdy bardzo silne. Jest mi tylko przykro, że inni też je zobaczyli. Biorąc pod uwagę, co zaszło, w Rowan będziesz bezpieczniejszy. Ale jestem tu tylko po to, żeby złożyć ci propozycję – nie będę cię oceniać ani zwodzić. Decyzja należy wyłącznie do ciebie i to jest bardzo ważna decyzja.

Zasłuchany Max objął ramionami kolana. Odwrócił się od panny Awolowo i popatrzył na łuk zakreślany przez samolot nad jeziorem w świetle księżyca. Światło pozycyjne mrugało w równych odstępach na tle granatowego nieba. Kiedy chłopiec się do niej znowu odwrócił, miał zaciętą, zdecydowaną minę.

– Chcę pojechać.

4

LOT DO ROWAN

W nocy przed wyjazdem do Rowan Max miał niezwykle sen.

Szedł o zmierzchu po polu, podrzucając wysoko przed sobą piłkę i podbiegając, żeby ją złapać. Wiatr był rześki i właśnie wschodził księżyc, kiedy chłopiec dotarł do ścieżki prowadzącej do odległego domu, w którego oknach paliło się światło.

Nagle coś dużego wyskoczyło z pobliskich krzaków i dało susa tuż przed niego. To był olbrzymi wilczur. Zwierzę stanęło i spojrzało na niego spode łba.

Max zamarł. Ciężka głowa zwierzęcia zaczęła migotać i zmieniać się, na chwilę przybierając postać charakterystycznej twarzy pani Millen, potem Nigela, panny Awolowo i dziwnego mężczyzny z pociągu. Wilczur poczłapał w stronę Maxa. Z jego gardzieli wydobył się groźny warkot i wtedy chłopiec zobaczył twarz swojego ojca.

Max nie mógł się ruszyć. Wilczur stanął na tylnych nogach i położył łapy wielkości rękawic do baseballa na jego ramionach. Spojrzał na niego z góry, a każdy jego oddech był jak uderzenie gorąca. Warcząc, przycisnął czoło do czoła Maxa i zapytał: „O czym jesteś? Odpowiadaj albo cię pożrę!”.

* * *

Kiedy Max otworzył oczy, zobaczył siedzącego w nogach łóżka ojca. Uśmiechał się, ale wyglądał na starszego i zmęczonego. Wokół oczu miał głębokie zmarszczki.

– Śpisz zupełnie tak jak wtedy, kiedy byłeś małym chłopcem.

Max zamrugął i podniósł się na łokciu.

– Miałem zły sen.

– O, nie! – wykrzyknął pan McDaniels, udając przerażenie. – O czym?

– O wielkim psie – wymamrotał zaspany Max, odgarniając ciemne włosy z czoła.

– O wielkim psie! No i co, on ugryzł ciebie czy ty jego?

– Nikt nikogo nie ugryzł – wyszeptał Max.

Ojciec poklepał go w stopę i wstał.

– Pamiętaj – nie liczy się rozmiar psa w walce, tylko rozmiar ducha walki w psie.

Max schował się pod kołdrę i zaczął pełznąć do stóp łóżka.

– Wiem, tato. Mówiłeś mi to już sto razy.

– To prawda – zachichotał pan McDaniels. – Wskakuj pod prysznic i szykuj się. Ktoś z twojej szkoły leci z tobą i mamy się z nim spotkać na lotnisku o ósmej.

Max zajęczał, kiedy ojciec ściągnął kołdrę z łóżka i

odsunął zasłony, ukazując poranne niebo koloru brzoskwini i złota.

Nigel, który czekał obok stanowiska odprawy, trzymał kartonik z napisem „McDaniels” i miał dość znudzoną minę. Był elegancko ubrany w sportowy płaszcz, ale od czasu spotkania z Maxem słońce trochę go przypiekło. Kiedy McDanielsowie podeszli, przestał poprawiać okulary i wyciągnął dłoń.

– Witam. Mówię zapewne z panem McDanielsem. Ja jestem Nigel Bristow z Rowan.

– Nigel, mów mi Scott – powiedział pan McDaniels, ściskając dłoń Nigela. – A to jest Max, który będzie dzisiaj twoim drugim pilotem.

– Cześć, Max – powiedział wesoło Nigel, mrugając do chłopca. – Dobrze, że przyjechałeś. Bez dobrego towarzystwa latanie to straszna nuda. Trochę nam się śpieszy, prawda? Chodźmy do stanowiska odprawy.

Kiedy Nigel wziął worek marynarski Maxa i stanął w kolejce, pan McDaniels trącił syna łokciem.

– Całkiem miły facet, co nie? – zapytał.

– Pewnie – odparł chłopiec, zastanawiając się, dlaczego Nigel trzymał tekturkę z jego nazwiskiem. Max myślał, że po tym, co się wydarzyło, jego nazwisko i plany podróży będą utrzymywane w większej tajemnicy.

Kiedy przyszła ich kolej odprawy, Nigel zawołał Maxa. Ten odpowiedział na pytania urzędniczki i patrzył, jak jego worek znika na taśmociągu.

– Wszystko załatwione. Dam ci chwilę na pożegnanie z tatą – powiedział cicho Nigel, kiedy wracali do pana McDanielsa stojącego z rękami w kieszeniach. – To może zabrzmieć okrutnie, ale musisz się pośpieszyć. I masz się nie rozpłakać. To ważne.

Nigel pożegnał się z panem McDanielsem i obiecał uważać na Maxa, po czym stanął w kolejce do bramki kontrolnej. Mając w pamięci ostrzeżenie Nigela, Max unikał wzroku ojca. Musnął palcami jego kciuki i patrzył prosto na wielką żółtą koszulę pana McDanielsa.

– No dobrze, Max. Tutaj muszę się z tobą pożegnać.

Max przytaknął.

– Jesteś najlepszy. Jesteś najlepszym synem, o jakim może marzyć ojciec.

Chłopiec poczuł, jak ręce ojca mocno go ściskają. Zamknął oczy i obiecał zadzwonić i pisać, i modlić się za matkę. Kiedy ojciec go w końcu puścił, poszedł sztywno do czekającego na niego Nigela. Nie odwrócił się.

Nigel zostawił Maxa jego własnym myślom, aż przeszli przez kontrolę.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu. – Wiem, że nie było ci łatwo.

– Czy to był kolejny test? – zapytał niewyraźnie Max.

– Nie – odparł Nigel. – Tylko środki ostrożności. Na lotnisku panuje dzisiaj spory ruch. Musimy unikać tego, co zbyt prawdziwe.

– O czym ty... – urwał pytanie, kiedy zobaczył chłopca bardzo podobnego do niego, który szedł w

przeciwną stronę. Max zamrugał. Chłopiec nie był do niego bardzo podobny – był identyczny!

– Spróbuj się nie gapić – powiedział Nigel od niechcienia, przyspieszając kroku. – To nasi.

Max jeszcze kilka razy minął samego siebie. Zauważył, że chłopcom zawsze towarzyszył jeden bądź dwóch dorosłych o poważnych minach.

– Pewnie jesteś zmęczony – powiedział cicho Nigel, kiedy w końcu zajęli miejsca w zatłoczonym samolocie. – Założę się, że nie miałeś pojęcia, że przez ostatnie trzy dni wylatywałeś stąd już wiele razy...

– Ale...

Nigel uciszył go podniesieniem palca.

– To agenci. Na wabia. Więcej ci opowiem, kiedy będziemy już w Rowan – powiedział Nigel, wyciągając z teczki czekoladowy batonik i talię kart. – Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Max skubał czekoladkę i słuchał silników samolotu, kiedy Nigel rozdawał karty.

Kilka godzin później wylądowali. Wyszli z samolotu po ruchomej kładce, a potem poszli na dół po odbiór bagażu.

Nigel właśnie zabierał z podajnika jego worek marynarski, kiedy Max zauważył, jak ktoś wychodzi zza pobliskiej kolumny.

To był mężczyzna z pociągu – mężczyzna z martwym białym okiem.

Jego płaszcz był brudny, a oko tak niepokojące, jak to zapamiętał Max. Mężczyzna stał nieruchomy jak kamień między nimi a wyjściem, podczas gdy ludzie przechodzili obok.

– On tam jest – wyszeptał Max.

Nigel zachowywał się, jakby nie usłyszał, i dalej zmagął się z workiem chłopca.

– On tu jest! – krzyknął Max, chwytając Nigela za ramię.

Nigel zerknął na niego zdziwiony, po czym spojrzał mu przez ramię.

Zbladł.

Natychmiast chwycił Maxa za kołnierz i obrócił go. Potem pociągnął go z powrotem po schodach, po których przed chwilą zeszli. Kiedy przeciskali się przez tłum przestraszonych ludzi, Max próbował się odwrócić, ale był zbyt duży tłok.

Nigel mówił coś szybko do płaskiego telefonu, ale Max nie słyszał rozmowy. Przeszli do kolejnego terminalu, gdzie Nigel przepchnął chłopca przez rozsuwane drzwi i wtłoczył do limuzyny, która zatrzymała się z piskiem opon przy krawężniku.

Samochód popędził na autostradę i kierował się na północ, a Nigel pisał SMS-y z nietypową dla siebie ponurą miną. Przez ponad godzinę jechali w pełnej napięcia ciszy, aż nagle skręcili z drogi międzystanowej na mniejszą. Byli bardzo blisko wybrzeża; wysokie trawy

kołysały się na poboczach, podczas gdy oni przejeżdżali wijącymi się drogami obok małych gospodarstw i przez miasteczka. Podniszczone tablice reklamowały otwarte plaże, świeże homary i zbieranie małży. Wszystko to wydawało się zupełnie obce.

Nigel zerknął przez tylną szybę. Przez wiele kilometrów droga za nimi była pusta. Wyraźnie zadowolony, nacisnął jakiś guzik i odsunął szybę. Do samochodu wleciało ciepłe letnie powietrze, wonne i ciężkie od soli.

– Jak się czujesz? – zapytał, a jego poważną minę złagodził uśmiech.

– Teraz już dobrze. Wiesz, to był on. Ten mężczyzna na lotnisku. Ten, który śledził mnie w muzeum.

– Wiem. Doskonale pasował do twojego opisu. To był bez dwóch zdań nieprzyjemny szok. Ale zadanie wykonane: oto jesteś tutaj, cały i zdrow!

Max wziął głęboki oddech; to był pierwszy prawdziwy oddech, jaki zaczerpnął od wyjazdu z lotniska.

– Nigel, mojemu tacie nic się nie stało, prawda? Nie będą go nachodzić teraz, kiedy jestem tutaj?...

– Nic mu nie będzie, Max – powiedział Nigel wyrozumiale. – To na tobie im zależy.

Nigel spojrzął nad ramieniem chłopca i wskazał mu coś za oknem. Max odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć starą drewnianą tabliczkę: „Witamy w miasteczku Rowan (rok założenia 1649)“.

Minęli kilka zadbanych domków na obrzeżach

miasteczka. Ocean Atlantycki skrzył się w oddali, a Max chłonał wzrokiem przystrzyżone trawniki, świeżą farbę, czyste markizy. Budynki były stare, ale pięknie zachowane. Minęli kino w dawnym stylu, a potem skwer i kawiarnię. Oprócz tego w miasteczku było jeszcze kilka sklepików i małych restauracji. Minąwszy pasaż handlowy, dotarli do małego, białego kościoła, na którym znajdowała się tabliczka wskazująca, że Akademia Rowan jest tuż przed nimi. Max przełknął ślinę i poczuł, jak tętno mu przyspiesza.

Skręcili z drogi w równą aleję pod zielonym sklepieniem utworzonym przez krzyżujące się gałęzie wysokich drzew o splełanych koronach. Przyspieszyli w stronę wysokiej bramy z czarnego żelaza, przy której stała solidna kamienna stróżówka. Kiedy podjechali, brama otworzyła się do środka. Max chciał się lepiej przyjrzeć jej niezwykłemu srebrnemu grzbietowi, kiedy limuzyna mijała próg, nie brama się za nimi zatrzasnęła.

Nawierzchnia alei była tu żwirowa. Samochód skręcił teraz w prawo, wjeżdżając w gęsty las jesionów, dębów i buków.

Max odwrócił się do Nigela.

– Dlaczego nie pozwoliłeś mi się pożegnać z tatą? Dlaczego musiałem się tak śpieszyć?

– A, tamto. Przepraszam. Musieliśmy utrzymać synchronizację z resztą wypuszczonych na wabia par, które pojawiły się przed tobą. Świetnie sobie poradziłeś.

– Kim były te pozostałe dzieci? Czy coś im grozi?

Nigel uśmiechnął się.

– To nie były dzieci. Byli bardzo dobrze przygotowani na ewentualne niebezpieczeństwa. Pierwszy raz widziałeś agentów, Max.

Nigel zdjął płaszcz i przytrzymał go przy oknie. Max zobaczył pod jego pachami duże ciemne plamy. Nigel westchnął.

– Ale ja nie jestem agentem, tylko starym biednym egzaminatorem wpłątany w to wszystko, który nie nadaje się do tych eskapad spod znaku płaszcza i szpady.
– Powąchał płaszcz, po czym złożył go równo na kolanach.

– Więc dlaczego to ciebie wyznaczono, żebyś ze mną poleciał? – zapytał Max.

– Agenci uznali, że będę najlepszą przynętą – przyznał zmieszany Nigel. – Wiesz, oni potrafią być naprawdę bezwzględni.

– To się pomylili – powiedział Max. – Tamten mężczyzna nie dał się nabrać. Poza tym cieszę się, że mogłem podróżować z tobą, a nie z jakimś nudnym agentem.

Nigel rozchmurzył się, a limuzyna zwolniła przed zbliżającym się zakrętem.

– Dziękuję ci, Max... Witaj w Rowan.

Wyjechali z gęstego lasu i trafili na wielką słoneczną równinę, na której znajdowały się strzyżone trawniki, boiska sportowe, barwne ogrody i stare kamienne budynki na wybrzeżu. Max wystawił głowę przez okno i słuchał

krzyku mew. Samochód jechał drogą wzdłuż obrośniętego trawą klifu wysoko nad powierzchnią wody, po czym skręcił, aby zatrzymać się na dużym podjeździe w kształcie ronda przed rozległą rezydencją z jasnoszarego kamienia. Stało przed nią wiele samochodów.

Max otworzył drzwiczki ze swojej strony i patrzył oniemiały na marmurową fontannę, na której z pysków koni z rybimi ogonami wysoko tryskała woda. Przez mgiełkę przyjrzał się rezydencji. Nie mógł się doliczyć wszystkich okien i kominów.

– Sto jedenaście – wymamrotał Nigel, kręcąc się koło samochodu z workiem Maxa.

– Słucham? – powiedział chłopiec, niepewny, czy jego uszy odkorkowały się już po locie.

– Domostwo ma sto jedenaście kominów. Próbowalesz je policzyć.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał Max, zaniepokojony tym, że jego myśli są takie czytelne.

– Bo ja chciałem zrobić to samo, kiedy tu przyjechałem jakieś... dobry Boże... trzydzieści lat temu. – Egzaminator zachichotał i nachylił się, żeby zerwać biały kwiat z rosnącej na bruku u stóp Maxa kępki. – Kwiecie Rowan – powiedział, pokazując tuzin wątych drzewek otaczających pierścieniem podjazd. Zamknął drzwi od strony Maxa i poprowadził chłopca po kamiennych schodach. Przed wielkimi podwójnymi wrotami do rezydencji zatrzymał się na chwilę. – Aha, Max, jeszcze jedno. Rozumiem, że może cię korcić, ale byłbym ci

bardzo wdzięczny, gdybyś nie wspominał nikomu o naszych przygodach. O tym mężczyźnie, o pani Millen. Tak naprawdę to o niczym. Im mniej plotek, tym większe mamy szanse, żeby to wszystko naprawić. Obiecasz, że powiesz o tym wyłącznie pani dyrektor, i tylko jeżeli cię o to zapyta?

Max przytaknął z poważną miną i uściśnął dłoń Nigela.

– Dobrze – powiedział egzaminator z wyraźną ulgą. – Chodźmy do pozostałych. Kurs wprowadzający już się zaczął.

Max przeszedł za Nigelem przez podwójne drzwi i znalazł się w wysokim hallu, po którego obu stronach wznosiły się szerokie schody. Przeszli przez drzwi na wprost i poszli długim korytarzem, minęli kilka pokoi, aż zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami z wypolerowanego orzecha. Zza drzwi dobiegł Maxa głęboki, ciepły głos panny Awolowo.

– Och! Tego się właśnie obawiałem – powiedział Nigel. – Te drzwi zawsze skrzypią. Przepraszam...

Kiedy Nigel popchnął drzwi, rozległ się długi, przeciągły pisk. Setki ludzi odwróciło się i spojrzało na stojącą w wejściu do małego teatru dwójkę. Stojąca na mównicy panna Awolowo urwała w połowie zdania.

– A! Jesteście. Właśnie zaczynałam się zastanawiać. Panie i panowie, przywitajcie się z Maxem McDanielsem, który dołączył do nas z Chicago w Stanach Zjednoczonych.

Oniemiały i zawstydzony Max rozejrzał się po morzu twarzy. Pomachał nieśmiało, a Nigel zaprowadził go do krzesła w tylnym rzędzie. Panna Awolowo mówiła dalej; Max usłyszał coś o praktykach.

– Muszę się odświeżyć i zadzwonić tu i ówdzie – wyszeptał Nigel, klepiąc Maxa po ramieniu. – Wpadnę do ciebie później, przed konfiguracją.

Max przytaknął, ale wtedy zdał sobie sprawę, że czegoś nie rozumie.

– Nigel – wyszeptał przejęty – co to jest konfiguracja?

Nie otrzymał odpowiedzi. Odwrócił się, ale egzaminator już się wymknął. Chuda dziewczynka z aparatem na zębach i jej matka pokazały Maxowi, żeby był cicho. Chłopiec spojrzał na nie wilkiem i odwrócił się, żeby posłuchać panny Awolowo.

Mówiła głównie o godzinach dyżurów, opiekunach naukowych, feriach i planach zajęć. Max puszczał większość z tego mimo uszu i przyglądał się swoim nowym kolegom i koleżankom. Nie wyglądali jak uczniowie z jego starej szkoły; dzieci siedzące na krzesłach cechowała znacznie większa różnorodność. Choć wiele z nich było w egzotycznych strojach, Maxa bardziej interesowały subtelniejsze różnice, takie jak mowa ciała i wyraz twarzy. Wielu uczniów wyglądało na starszych i miało poważne miny. Kiedy wszyscy wstali i zaczęli wychodzić przejściem między krzesłami, Max próbował odgadnąć wiek wychodzących.

Scena rozgrywająca się na podjeździe była kłopotliwa i Max starał się trzymać na uboczu, kiedy ci, którzy przyjechali z rodzicami, żegnali się z nimi. Było sporo łez i okrzyków, wszędzie piętrzyły się bagaże, a panna Awolowo odpowiadała na ostatnie pytania i odprowadzała rodziców do samochodów. Max patrzył, jak chuda dziewczynka z aparatem na zębach przylgnęła do matki i nie mogła opanować szlochania, aż panna Awolowo delikatnie ją odciągnęła i odprowadziła matkę do taksówki. Max pożałował, że wcześniej krzywo na nie spojrział.

Kiedy wszyscy rodzice odjechali, panna Awolowo zaprowadziła ich do wielkiego hallu. Weszła na schody i przemówiła do nich z podestu.

– No dobrze, dzieci. Teraz musimy przydzielić wam pokoje. Jednak przed rozlokowaniem mam dla was ważne ogłoszenie dotyczące Rowan, miejsca, które jest mi bardzo drogie i które jest waszym nowym domem.

Zapanowała idealna cisza; wszystkie rozmowy się urwały. Coś się zmieniło w głosie starszej kobiety.

– Dziękuję. Dopóki nie zostaniecie oprowadzeni po terenie akademii i po wszystkich budynkach, proszę was, żebyście trzymali się wyłącznie tych pokojów i obszarów, które dla was wyznaczę. Jak się przekonacie, Domostwo i reszta terenu Rowan są... dziwne. Kampus i budynki cechuje swoista nieprzewidywalność, która bywa zaskakująca nawet dla naszej starszej kadry. W tym domu i w jego otoczeniu znajduje się również wiele urządzeń,

których obsługa wymaga dokładnego instruktażu. Jako że jest to dopiero wasz pierwszy dzień, nie mam ochoty ratować ani opłakiwać żadnego zuchwałego ucznia. Czy to jasne? Szczery i przenikliwy wzrok panny Awolowo przesuwiał się po twarzach, kiedy na podeście obok niej pojawił się Nigel. – Wspaniale – rozpromieniła się. – Teraz, przed rozpoczęciem konfiguracji, chciałabym powiedzieć rzecz następującą. Doświadczenie nauczyło nas, że zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie rozczarowany swoim pokojem lub współlokatorem, lub jednym i drugim. Jeżeli tak się stanie, to bardzo mi przykro, ale będziecie sobie musieli z tym jakoś poradzić. Przydział współlokatorów i rozmieszczenie po pokojach nie może ulec zmianie. A więc: żadnego jęczenia i narzekania. Zgoda?

Dzieci przytaknęły powoli i rozejrzały się zdziwione.

– Doskonale. To jest Nigel Bristow. Niektórzy z was już go chyba poznali. On pokaże pokoje chłopcom. Młode damy pójdą ze mną.

– No dobrze – zawołał Nigel. – To zapraszam na górę i potem za mną.

Max popędził po schodach z resztą chłopców. Za sobą usłyszeli głos panny Awolowo.

– Powodzenia, Nigel! Powodzenia, chłopcy! Spotykamy się w hallu o piątej na szybką wycieczkę przed kolacją. Słuchajcie bicia zegara!

Max pośpieszył za Nigelem wraz z dziesiątkami

innych chłopców.

– Dobrze, chłopcy, raz dwa, raz dwa – popędzał ich egzaminator. – Północne skrzydło jest w Rowan dla panów. Panie zatrzymują się w południowym, więc jeżeli nie będziecie mogli nigdzie znaleźć pisuaru, to znaczy, że zabłąkaliście się nie tam, gdzie trzeba.

Chłopcy zachichotali, wspinając się po spiralnych schodach, których skrzypiąca drewniana balustrada była idealnie gładka od użytkowania. Głos Nigela rozchodził się echem z góry.

– Tak się składa, że wasz rok jest na drugim piętrze. Macie pecha. Trzeci i czwarty rok będą was dręczyć z pierwszego piętra. Piąty i szósty rok korzystają z wygody parteru i czują się do tego uprawnieni.

Max wszedł po schodach do długiego, szerokiego korytarza o masywnym łukowym sklepieniu. Po obu stronach biegły tuziny lśniących zielonych drzwi. Nigel zaprowadził ich na sam koniec korytarza. Max, który został trochę z tyłu, zauważył, że każde drzwi miały duży zdobiony zamek i lśniącą srebrną liczbę na środku. Obok każdej pary drzwi znajdowała się umieszczona wysoko tabliczka z wypolerowanego czarnego drewna i mosiądzu, a na pierwszych dwóch tuzinach tabliczek były wygrawerowane nazwiska.

Kiedy Nigel doszedł do końca korytarza – gdzie, jak zauważył Max, tabliczki były bez nazwisk – odwrócił się do chłopców, którzy zaczynali się wiercić.

– Zobaczmy... sześćdziesiąt dziewięć, siedemdziesiąt

i z Omarem będzie siedemdziesiąt jeden. Wspaniale – po drodze udało nam się nikogo nie zgubić! Brawa dla mnie. Teraz, na mój sygnał, zaczynajcie szukać swojego nazwiska na tabliczkach przy drzwiach. Kiedy je zobaczycie, zatrzymajcie się tam i nic nie róbcie. Wszyscy zrozumieli?

Krępy, przystojny chłopiec z kasztanowymi włosami i jasnoniebieskimi oczami podniósł dłoń. Miał tak silny irlandzki akcent, że Max ledwo go rozumiał.

– Czy nasze nazwiska już na nich są?

– Jak cię zwa, o ciekawska istoto?

– Connor Lynch.

– Nie – wyjaśnił Nigel, pocierając dłonie. – Ale zaraz będą. Na tym polega cała zabawa. Nie wybieracie sobie współlokatorów ani my wam ich nie wybieramy. To zadanie Domostwa... Wszyscy gotowi? Szukajcie swoich pokoi!

Max miał wrażenie, jakby uczestniczył w szaleńczej zabawie w szukanie pisanek wielkanocnych – wszyscy chłopcy biegali po korytarzu i wpadali na siebie, sprawdzając tabliczki z nazwiskami.

– Znalazłem swoją! – zawołał niski chłopiec, który wyglądał jak mysz.

– Ja też! – zawołał inny, który z wrażenia zgubił aparat na zęby.

Kiedy inni chłopcy krzyczeli podekscytowani i miotali się po korytarzu, Max szedł powoli. Też chciał być podekscytowany, ale czuł się nieswojo – siła, która w

nim czyhała, znowu dawała o sobie znać. Zatrzymał się przed pokojem 318 i patrzył na tabliczkę przy drzwiach. Jakby pisane niewidzialną dłonią, na jej gładkiej powierzchni pojawiły się dwa nazwiska. Max przebiegł palcami po swoim, dotykając liter wyrytych głęboko w mosiądzu. Za sobą usłyszał kasznięcie.

– Moje nazwisko też tam jest, prawda?

Max odwrócił się w stronę głosu, który brzmiał, jakby należał do Amerykanina. Spojrzał w dół na małego chłopca o cerze białej jak mleko. Rysy chłopca były subtelne i delikatne, oprócz fioletowych kręgów pod oczami. Wyglądał niezdrowo, jak niedoświetlone zdjęcie.

– Nazywasz się David Menlo? – zapytał Max.

Chłopiec przytaknął i znowu odkaslnął.

– Ja jestem Max.

Właśnie wtedy Max usłyszał wznoszący się ponad harmider głos Nigela.

– Aha! Nie ruszaj się, Jesse Chu! Nie słyszałeś, co mówiłem? Nie rób nic więcej bez mojego polecenia!

Przysadzisty Azjata po drugiej stronie korytarza skrzywił się i oderwał dłoń od gałki, jakby była gorąca. Nigel podszedł do niego szybko, grożąc mu palcem. Zatrzymał się jednak na widok stojących przy swoich drzwiach Maxa i Davida.

– A wy? Kogo wam brakuje?

Max zerknął jeszcze raz na tabliczkę, uświadamiając sobie, że inne grupy składają się z czterech albo pięciu chłopców.

– Nikogo – powiedział Max. – Tu są tylko nasze nazwiska.

– Naprawdę? – zaciekawiał się Nigel, uśmiechnął się zaintrygowany i nachylił, żeby się przyjrzeć. – To dopiero dziwne.

Pokręcił głową, po czym złożył dłonie wokół ust, żeby było go słychać na całej długości korytarza.

– Teraz chciałbym, żebyście *na moje polecenie* otworzyli drzwi i weszli do swoich pokoi. Kiedy będziecie już w środku, zamkniecie za sobą drzwi na klucz i zaciśnięcie powieki. Wtedy zakręci wam się w głowie. To zupełnie normalne. Nie otwierajcie oczu, dopóki to uczucie nie ustąpi. Na wszelki wypadek zalecam, żebyście policzyli do trzech, kiedy zawroty ustąpią, zanim się rozejrzycie. Wszystko jasne?

Przerażony Max przytaknął z innymi.

– W porządku, panowie. Wejdźcie do pokoi, żeby zacząć konfiguracje.

Max spojrział na Davida, który przechylił głowę, sugerując, żeby to Max otworzył drzwi. Obaj niepewnie weszli do małego, ciemnego pokoju z kamienną podłogą i ścianami z surowych desek.

– Gotów? – wyszeptał Max. – Kiedy zamknę drzwi, zamknij oczy. Powiedz mi, kiedy zawroty miną, i obaj policzymy do trzech. Zgoda?

Oddychając szybko i płytko i próbując zapomnieć o szaleńczym trzepocie serca, Max zamknął drzwi i mocno zaciśnął oczy.

Przez chwilę nic się nie działo. Jednak stopniowo poczuł, jakby jego ciało przyspieszało do niesamowitej prędkości, obracając się jak bączek. Uczucie to wzmagало się przez dobrą minutę, a jego kulminacją była ściskająca gardło fala mdłości.

Był bliski wymiotów, kiedy wirowanie ustało. Jego ciało było praktycznie nieważkie, jakby opadało powoli na ziemię. Za chwilę uczucie to ustąpiło zupełnie. Syknął do Davida.

– David? Przeszło?

– Chyba tak.

– Dobra. To liczymy. Raz. Dwa. *Trzy!*

Max otworzył oczy i gwałtownie wciągnął powietrze.

Zamiast w małym kwadratowym pokoju stali teraz na najwyższym schodku w bardzo dużej okrągłej komnacie przykrytej szklaną kopułą. Przez szkło Max widział księżyc i gwiazdy. Wydawały się znacznie większe, niż kiedy oglądał je gołym okiem. Obracały się powoli za szkłem. Max zachłysnął się ze zdumienia, kiedy pojawiły się delikatne złote nici i ułożyły w kształt niebiańskiego centaury, po czym powoli zniknęły. Za chwilę spośród wielu skrzących się gwiazd wyłonił się w ten sposób wielki skorpion.

Na poziomie drzwi i najwyższego schodka była szeroka galeria z mosiężną balustradą. Prowadziła w obie strony ku olbrzymim, osłoniętym kotarami łóżkom z polerowanego drewna, rozmieszczonym na przeciwległych krańcach pokoju.

Max i David bez słowa zeszli po schodach na znajdujące się niżej piętro. Na środku, na grubym dywanie koloru kości słoniowej stał wielki ośmiokątny stół inkrustowany wzorami księżyca i gwiazd. Pod każdą galerią były identyczne półkoliste wnęki. W każdej z nich stała wygodna kanapa, wysokie regały na książki i szafa na ubrania, a wszystko oświetlone było z góry lampami wpuszczonymi w otaczające ich złociste drewno. Po drugiej stronie w kamiennym kominku trzaskał niewielki ogień. Zaszokowany Max rozpoznał swój worek złożony równo przy garderobie wraz ze szkicownikami i ołówkami. Podobnie ułożona była reszta jego rzeczy.

– I co o tym myślisz? – wyszeptał stojący za nim David.

Max odwrócił się i potrząsnął Davida za ramiona.

– Myślę, że to niesamowite!

Wydając z siebie serię triumfalnych okrzyków, obaj chłopcy popędzili na galerię, a potem rozbiegli się w przeciwne strony i wskoczyli na swoje łóżka. Max wyciągnął się na miękkiej kołdrze z wyszytymi złotymi słońcami, a potem odgarnął zasłony. David szczyrzył zęby z przeciwległego łóżka, kopiąc granatową zasłonę wyszywaną w srebrne księżyce.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Hej! – W głosie Nigela był niepokój. – Max? David? Chłopcy, otwórzcie i zobaczmy, co tam macie. Chłopcy?

Popędzili do drzwi i otworzyli je. Nigel stał na progu

z chłopcem z Irlandii, Connorem.

– O, dzięki Bogu! Już się przez chwilę martwiłem, że gdzieś mi się zapodzialiście! Mogę zerknąć? Zawsze jestem ciekawy, jak wychodzą te konfiguracje. Jeszcze nigdy nie widziałem dwóch identycznych.

Po wejściu do pokoju Nigel zatrzymał się i obejrzał próg.

– Nie ma wymiocin. Gratuluję panom! Jestem w końcu w nowych mokasynach.

Minął ich i zatkało go z wrażenia.

– To jest cudowne! Znacznie bardziej inspirujące niż mój stary pokój! Błagałem o zmianę tamtego koszmaru. Wy też byście błagali, gdyby przypadła wam mongolska jurta.

Max i David delektowali się swoim triumfem, podczas gdy Nigel rozglądał się po kątach, co pewien czas mamrocząc: „No popatrz tylko” i „To ci fuksiarze!”.

Connor Lynch wszedł za Nigelem i patrzył oniemiały na sufit. Jego jasnoniebieskie oczy mrugały ze zdziwienia, a przed powrotem na korytarz dał wyraz swoim wrażeniom, pokazując Maxowi i Davidowi podniesiony kciuk. Chwilę później po schodach wszedł Nigel, kręcąc głową i patrząc na dwójkę chłopców spode łba.

– Przez następne sześć lat nie chcę od was słyszeć nawet jednej skargi! Och, moja żona zabiłaby za takie regały, wy dranie! Nigdy nie zrozumiem, jak działa Domostwo. – Uniósł ręce w geście udawanego obrzydzenia, po czym wyminął ich i wyszedł na korytarz,

gdzie inni krążyli teraz w grupkach, oglądając różne pokoje przy akompaniamencie krzyków i zatrzasniętych drzwi. Max i David widzieli średniowieczną sypialnię na szczycie wieży i japońską świątynię, aż w końcu doszli do zupełnie zwyczajnego pokoju na końcu korytarza.

Rozejrzeli się w nabrzmiałej od zakłopotania ciszy. Connor kręcił się po pokoju sam; jego współlokatorzy najwyraźniej poszli zwiedzać. Jedyne dźwięki wydawał mały ogień płonący w skromnym ceglany kominku. Pokój nie był dużo większy od pustego pomieszczenia, do którego wszedł Max przed konfiguracją. Wąskie drewniane prycze były poustawiane pod niskim sufitem z ciemnymi belkami. W pokoju stało oprócz tego jedno małe biurko, a przy kominku czerwony fotel na biegunach. W gołych ścianach były dwa małe okienka. Widać było przez nie leniwą, rozświetloną słońcem łąkę usianą polnymi kwiatami.

Nigel wsadził do środka głowę i przerwał ciszę.

– Przytulny mały zakątek, żeby powiesić kapelusz, co, panie Lynch?

– Tak, Nigel, nie ma to jak w domu. Nic spektakularnego, ale wystarczy.

Connor wskoczył na jedną z górnych pryczy i pomachał nogami, szczerząc do nich zadziornie zęby. Max od razu go polubił.

– No dalej, chłopaki – powiedział Nigel. – Pomóżcie mi zebrać resztę i wracajmy do hallu.

Egzaminator poszedł szybko korytarzem, podczas

gdy Max, David i Connor przyglądali się pokojowi, do którego schodziło się po drabinie i który wyglądał jak kwatery kapitana wspaniałego galeonu. Trzy duże iluminatory ukazywały zachód słońca w oddali, a o szkło rozbijały się granatowe fale. Czterej lokatorzy siedzieli roześmiani na wygodnych kojach wpuszczonych w głębokie nisze. Wszędzie leżały porozrzucone kufry żeglarzy, stare mapy i jaskrawożółte latarnie. Kiedy ryba o intensywnej barwie przeskoczyła przed jednym z iluminatorów, Connor powiedział:

– Hej, Nigel chce, żebyśmy wyszli. Chodźcie.

Chłopcy przytaknęli i po kolei wspięli się po mosiężnej drabinie.

– Tak na serio – powiedział Connor, kiedy ich mijali – to jeżeli któryś z was dostanie tam na dole choroby morskiej, to dajcie mi znać i się zamienimy. Hej, ty! – Wskazał palcem ostatniego chłopca, który wspinał się po drabinie. – Bardzo blado wyglądasz. Powinniśmy się chyba zamienić na pokoje, stary.

– Akurat! – krzyknął chłopiec i pobiegł za Nigelem.

Connor westchnął i ruszył za Maxem i Davidem. Do tej pory Nigelowi udało się zebrać przy schodach większość ich roku.

– Dobrze, w takim razie gratuluję wam zakończonej konfiguracji. Tak w ogóle to z was szczęściarze. Niektórzy koledzy z mojego roku trafili do lochu, zatęchłej piwniczki z winami i kurnika!

– Ale, Nigel, jak te pokoje się zmieniły? – zapytał

jeden chłopiec. – Czy to twoja sprawka?

Nigel pokręcił głową.

– Mój Boże, nie. To Stara Magia. Znacznie starsza i silniejsza niż którakolwiek ze sztuczek Nigela Bristowa. Ale więcej o Domostwie i Starej Magii po kolacji.

Zegar zaczął wybijać godzinę zaraz po tym, jak zeszli z Nigelem po schodach.

ZŁO STARE I NOWE

Chłopcy i dziewczęta spotkali się przy fontannie, gdzie dziecięce głosy przekrzykiwały się, omawiając konfiguracje pokoi. Maxowi trudno było się w nich połapać. Słyszał podekscytowane dziewczynki opowiadające o sali tronowej faraona ze ścianami pokrytymi hieroglifami i o przytulnych schroniskach w górach. Nigel stał w pobliżu z zakłopotaną miną, podczas gdy panna Awolowo osłaniała wysoką, pyzată, rudą dziewczynkę przed atakami drobnej, ciemnowłosej koleżanki, która dźgała ją w oskarżycielskim geście palcem, mamrocząc coś w swoim ojczystym języku. Ruda dziewczynka miała smutną minę.

– Co im się stało? – zapytał Max Nigela.

– Och, co roku to samo. Współlokatorzy obwiniają się o to, jakie pokoje przypadły im podczas konfiguracji. Mój włoski jest fatalny, ale wydaje mi się, że Lucia jest niezadowolona z przeciekającej szopy, którą będą dzielić. Jej zdaniem to wszystko wina Cynthii – mówi coś o Anglikach, którzy uwielbiają złą pogodę... – Nigel zmarszczył brwi i zerknął na Maxa. – Tak przy okazji, to ostatnie to nieprawda. My tylko radzimy sobie z kiepską pogodą, radzimy sobie z czystej konieczności!

Panna Awolowo przywróciła porządek stanowczym

komentarzem po włosku, po którym wściekła Lucia zamilkła. Nigel sobie poszedł, a panna Awolowo zwróciła się do grupy.

– W porządku. Teraz, kiedy konfiguracje są już zakończone (Luda, przestań!) przed kolacją wybierzemy się na krótką wycieczkę po terenach Rowan. Proszę za mną do sadu...

Obeszli budynek i przeszli na tyły Domostwa, mijając niskie krzewy obsypane kwiatami, i znaleźli się na dużym kamiennym patio. Tuż za patio, oddzielone pasem trawnika, stały długie rzędy jabłoni. Max siedł z Connorem i Davidem, podczas gdy panna Awolowo zebrała grupę przy najbliższym drzewie.

– Jabłka! – krzyknęła jedna z dziewczynek. – One są ze złota!

Max spojrzał w górę i zobaczył kilka małych jabłek, które wyglądały, jakby były wytopione ze złota. Jesse Chu przemknął się obok Maxa i stanął na palcach, żeby sięgnąć po jedno z nich.

– Nie dotykaj tego jabłka!

Jesse wzdrygnął się, jakby coś go użądliło. Panna Awolowo minęła kilku uczniów, podnosząc nad trawą rąbek sukni.

– Przepraszam, że cię przestraszyłam, Jesse, ale te drzewa są święte. Pozwólcie, że trochę wam opowiem o sadzie Rowan. Omar, czy mógłbyś przeczytać napis na tej tabliczce?

Ciemnoskóry, wyglądający na pilnego chłopiec w

okularach nachylił się i odczytał tekst z kamiennej tabliczki umieszczonej u stóp drzewa.

– *Fiat Lux*, rocznik 1653.

– Dziękuję. Czy ktoś wie, co to znaczy, albo dlaczego oglądamy to drzewo?

Wysoki blondyn, który według plakietki miał na imię Rolf i pochodził z Dusseldorfu, podniósł dłoń. Max pomyślał, że on musi mieć przynajmniej czternaście lat.

– *Fiat Lux* to po łacinie – powiedział Rolf z mocnym niemieckim akcentem. – I można to przetłumaczyć: „Niech stanie się światło”. Według broszurki w 1653 roku Rowan ukończył pierwszy rocznik absolwentów.

Panna Awolowo uśmiechnęła się; chłopiec wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Bardzo dobrze, Rolf. Jedno i drugie się zgadza. To święte drzewo – Drzewo Absolwentów reprezentujące pierwszy rocznik, który skończył Rowan. Wybrali *Fiat Lux* na motto swojego roku, gdyż przybyli tutaj w czasach wielkiej ciemności. W tym ogrodzie każdy rocznik ma swoje święte drzewo. Co roku Drzewo Absolwentów wyda jedno jabłko za każdego żyjącego ucznia. Kiedy uczeń umiera, jego jabłko zamienia się w złoto. W ten sposób czcimy ich pamięć i tych jabłek się nie dotyka. Pochodźcie między nimi chwilę.

Uczniowie rozeszli się po sadzie. Max spacerował między rzędami drzew, których złote jabłka połyskiwały jaskrawo w letnim słońcu. Spróbował wyobrazić sobie ludzi, których symbolizowały te jabłka, i to, jak potoczyło

się ich życie. Po kilku chwilach zauważył, że złoto lśniło na większości drzew, nawet na tych młodszych.

Panna Awolowo zawołała ich i przeszli przez ogród w stronę gęstego lasu jesionów, dębów, klonów i buków. Promienie słońca skrzyły się przez liście, a oni szli wijącą się między drzewami ścieżką, aż zatrzymali się przy długim, niskim budynku stojącym na małej polance. Okna były ciemne, ale z komina unosiły się obłoczki białego dymu.

– To jest Kuźnia – powiedziała panna Awolowo, wskazując na groźnie wyglądające, czarne żelazne drzwi. – Jako uczniowie nie będzie jeszcze używali urządzeń, ale w trakcie roku szkolnego może się zdarzyć, że ją odwiedzicie.

Connor bezgłośnie powtórzył: „Urządzeń?”, spoglądając pytająco na Maxa. Max wzruszył ramionami i uśmiechnął się, a Rolf podniósł rękę.

– A propos roku szkolnego. Kiedy dostaniemy plan lekcji? Moi rodzice bardzo chcieli, żebym chodził na zajęcia z wyższej matematyki.

Max zobaczył, że Lucia przewraca oczami.

– Plany lekcji będą rozdane jutro, Rolf – odpowiedziała panna Awolowo.

Dalej prowadziła ich po lesie, wskazując ważniejsze drzewa i unikając odpowiedzi na pytania o małe boczne dróżki, które odłączały się od głównej drogi i znikwały w gęstych zaroślach. Było ich kilka i zaciekały Maxa. David na tak długo przystanął przy jednej z nich, że Max

musiał się po niego cofnąć.

– Poczekaj chwilę – powiedział David, szperając po kieszeniach.

– No, chodź – namawiał go Max, patrząc, jak reszta wycieczki znika za zakrętem ścieżki.

David wyciągnął z kieszeni monetę. Wygrzebał trochę ziemi i zakopał monetę pod poskręcany korzeniem pochylonego wiązu. Wyraźnie usatysfakcjonowany otrzepał dłonie z ziemi i popędził z Maxem za resztą.

– Po co to zrobiłeś? – zapytał Max.

David zdawał się go nie słyszeć.

Kiedy znaleźli się za zakrętem, usłyszeli rzenie koni. Panna Awolowo i ich koledzy obchodzili kilka podłużnych budynków i ogrodzony wybieg, na którym hasało kilka nieosiodłanych koni. Za budynkami wznosił się wysoki, porośnięty mchem mur z ciężkimi wrotami. Mur ciągnął się tak daleko, jak sięgali wzrokiem. Krzaki i drzewa za nim były bardzo wysokie. Max chciał przejść przez wrota, ale panna Awolowo kazała im iść dalej, wołając ich przez ramię.

– To są stajnie Rowan. Za murem znajduje się Sanktuarium. Jutro je zwiedzicie. Teraz nie ma czasu na postoje. Proszę się nie ociągać!

Dzieci szły za nią szybkim krokiem. Zaczekała na ścieżce, która wychodziła z lasu, i prowadziła z powrotem do głównej części kampusu. Po wyjściu na słońce Max patrzył na Domostwo i sad daleko po prawej stronie za

przystrzyżonymi trawnikami. Grupka szła dalej wzdłuż skraju lasu i zebrała się na wysokim, skalistym brzegu oceanu.

– O rany! – powiedział Connor, który doszedł do krawędzi przed Maxem i popatrzył w dół.

Max spojrzał mu przez ramię i zobaczył duży statek z trzema masztami, który skrzypiał, kiwając się lekko na falach. Miał ponad trzydzieści metrów długości, wyglądał na bardzo stary i był przycumowany do długiego nabrzeża ciężkim łańcuchem. Nierówne kamienne schodki prowadziły z miejsca, gdzie stali, na wąską, skalistą plażę pod nimi. Max nadstawił uszu, żeby wyłować z wiatru głos panny Awolowo.

– To, dzieci, jest „Pustułka”. Więcej o niej usłyszycie dziś wieczorem.

Pomachała do wysokiego mężczyzny, który układał na plaży przynieszone przez wodę drewno, i poprowadziła uczniów ku dwóm imponującym budynkom stojącym z dala od wybrzeża. Były z szarego kamienia i ich okna wychodziły na południe, na trawniki między Domostwem a plażą. Uczniowie ruszyli w ich stronę, a obok nich podążały ich cienie wydłużające się w promieniach zachodzącego nad lasem słońca.

Z bliska budynki wydały się Maxowi przygnębiające. Wznosiły się wysoko nad nim, a w ich licznych ciemnych oknach nic się nie poruszało. Nad bardziej oddalonym budynkiem górowała wysoka wieża z zegarem, na której szczycie znajdowała się wieżyczka z obracającą się

miedzianą chorągiewką. Kiedy zegar wybił szóstą, wszystkie dzieci podskoczyły. Panna Awolowo odczekała, aż zegar przestanie bić.

– To są Maggie i Stary Tom, nasze główne budynki uczelniane. Tu będzie się odbywać większość waszych zajęć. Stary Tom to również nasz czasomierz. Jego bicie będzie wam często przypominać, gdzie powinniście być. W tej chwili mówi nam, że najwyższy czas wyruszyć do jadalni. To było popołudnie pełne wrażeń i na pewno jesteście głodni. Chodźcie za mną.

Max szedł i rozmawiał z Davidem i Connorem. Ich trójka udała się za resztą do Domostwa.

– To pierwszy raz, kiedy w ogóle wyjechałem z Dublina, nie mówiąc już o podróży do Stanów – powiedział Connor, stawiając długie kroki z rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni. – Wy dwaj pewnie mieszkaliście w rezydencjach, co?

David Menlo się zaśmiał.

– Pewnie. Moja rezydencja ma cztery koła. Mieszkam z mamą w domu na kółkach.

Connor wzruszył ramionami i zwrócił się do Maxa.

– A ty? Mieszkasz w rezydencji?

– Nie. Tata i ja mieszkamy w zwykłym domu... Nie jesteśmy bogaci – dodał obronnym tonem.

– Masz komputer? – zapytał Connor.

– No.

– A samochód?

– Mój tata ma.

– A pracujesz?

Max spojrzał na niego zdezorientowany.

– Nie.

– Gratulacje, Max, jesteś bogaty!

Connor pobiegł do przodu i dogonił grupkę dziewczynek. Za chwilę wszyscy chichotali. Max zaczerwienił się i odwrócił do Davida.

– Jak myślisz, o co mu chodziło z tym, że jestem niby bogaty?

David wzruszył ramionami.

– Nie wiem, pewnie o nic. Connor jest dziwny. Chciał się ze mną założyć, że namówi Lucię, żeby się z nim pocałowała jeszcze przed rozpoczęciem szkoły.

– Nie ma szans – wymamrotał Max, przyglądając się, jak Connor idzie obok Lucii i gorączkowo gestykułuje. Lucia wyglądała na znudzoną.

Kiedy Max i David przechodzili obok fontanny, panna Awolowo czekała w bramie Domostwa. Pokazała na zegarek.

– Bardzo proszę, żebyście postarali się być punktualni. Mamuśka i Bob bardzo się starali, żeby przygotować dla nas kolację, a wasi koledzy i koleżanki są głodni. Jeżeli się nie pośpieszymy, to Jesse może zwędzić z głodu jabłko z sadu!

Zaśmiała się i poprowadziła ich do pozostałych uczniów, do wielkiego korytarza nieopodal wejścia, wypełnionego połyskującymi portretami. Stamtąd zeszli po kamiennych schodkach po spirali w dół, aż znaleźli się

w dużej jadalni. Ze sklepionego sufitu pomieszczenia zwisały olbrzymie żyrandole, a pod spodem stały drewniane stoły i ławy. Zza wahadłowych drzwi na końcu sali dochodziło światło, hałas i wydobywała się para.

– A teraz, dzieci – powiedziała panna Awolowo, prowadząc ich ku wahadłowym drzwiom – chciałabym was ostrzec, że Mamuśka i Bob to nie są zwykli kucharze...

Max i David wymienili spojrzenia.

– Na pierwszy rzut oka mogą być trochę przerażający, ale obiecuję, że z czasem zaczniecie ich uwielbiać.

Kiedy się zbliżyli, Max usłyszał zza drzwi gorączkowy szept jakiejś kobiety.

– Cicho, Bob! Odłóż ten garnek! Ćśśś! Chyba już tu są! Ooo! Jakbym czuła ich smak!

– Sama bądź cicho, Mamuśka! – zadudnił głęboki głos z dziwnym akcentem. – Też ich słyszę. Pamiętaj, żeby się zachowywać!

Uczniowie zamarli na dźwięk mrożącego krew w żyłach chichotu, który dobiegł tuż zza drzwi. Chłopiec o figurze gruszki, który stał najbliżej, zajęczał ze strachu i odsunął się. Panna Awolowo przeszła obok niego.

– Mamuśka? Bob? Tu Ndidi. Moglibyście wyjść i przywitać się z nowym rokiem?

Chłopiec o figurze gruszki uciekł na tył grupy, kiedy kobieta zarechotała i wrzasnęła:

– O, już tu są, już tu są! Słoneczka już tu są!

Drzwi otworzyły się z impetem, uderzając pannę Awolowo. Dzieci zaczęły krzyczeć, kiedy dysząca kobieta o szarej cerze, niska i krępa jak piecyk z brzuchem piwosza, wyskoczyła z kuchni i mocno uścisnęła Jessego. Nogi się pod chłopcem ugięły; zemdlał jej w ramionach. Mamuśka zwróciła lśniąca twarz ku dzieciom, odsłaniając w koszmarnym uśmiechu dwa rzędy gładkich, krokodylich zębów.

– Och, Ndidi! Prześcignęłaś samą siebie. Są cudowne! Och, są takie cudowne i takie tłusciutkie!

Dysząca kobieta przycisnęła Jessego do boku i wyciągnęła rękę, żeby ścisnąć pulchne ramię Cynthii, jakby oglądała pomidor. Ruda Angielka schowała twarz w ramieniu Lucii, która na oczach przerażonego Maxa zaczęła zaciekle uderzać w dłoń kobiety.

Nagle w sali rozległ się donośny głos.

– Mamuśka! Wypuść tego biednego chłopca i przestań podszcypywać tę młodą damę!

Kobieta natychmiast schowała ręce za plecy i zaczęła przestępować z nogi na nogę. Jesse osunął się na podłogę.

– Kiedy ja tylko witałam się z dziećmi, pani Richter – wymamrotała kobieta.

Max odwrócił się i przed oczami mignęła mu niewidoczna mówczyni, ale kilku wyższych kolegów zasłaniało mu widok. Pani Richter mówiła jak ktoś ważny, jak osoba przyzwyczajona do wydawania poleceń. Chwilę później skojarzył nazwisko – to jej podpis widniał pod listami!

Uczniowie rozstąpili się, kiedy podeszła.

– Mamuśka, to nie było powitanie. To była zasadzka. Nie do przyjęcia u zresocjalizowanej wiedźmy. Nie będę tego tolerować. Proszę przeprosić dzieci i Ndidi.

Zakłopotana wiedźma wlepiła wzrok w podłogę.

– Trochę się podekscytowałam, pani Richter. Naprawdę to bym ich nie zjadła.

– Miejmy nadzieję, Mamuśko – odrzekła pani Richter. – Obiecałaś, że nie będzie więcej żadnych incydentów i trzymam cię za słowo. Nie będę cię drugi raz błagać, żebyś przeprosiła...

– No dobrze, przepraszam! Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam! – zawyła Mamuśka i popędziła z powrotem do kuchni, mijając pannę Awolowo, która powoli stanęła na nogi. Drzwi bujały się tam i z powrotem. Z kuchni dobiegł ten sam głęboki głos, który Max słyszał wcześniej.

– Mówiłem jej, żeby się zachowywała, pani dyrektor!

Pani Richter zbliżyła się powoli i teraz Max mógł się jej dobrze przyjrzeć. Była wysoka i miała ładną, choć surową, twarz, która przypominała Maxowi zdjęcie rodziny pionierów, które kiedyś widział. To była twarz silnej osoby, osoby przyzwyczajonej do pracy. Pani Richter miała siwe włosy, do których pasował kolorem narzucony na ramiona żakiet. Westchnęła i uśmiechnęła się do otaczających ją uczniów. Kiedy znowu się odezwała, jej głos był już łagodniejszy.

– Witajcie, dzieci. Nazywam się Richter. Witajcie w

Rowan. – Odwróciła się do panny Awolowo, która teraz stała przy drzwiach. – Ndidi, dziękuję, że przejęłaś moje obowiązki podczas mojej nieobecności.

Panna Awolowo przytaknęła z gracją. Pani Richter też do niej skinęła, po czym powiedziała rażno:

– Chodźmy poznać kucharzy Rowan.

Przeszła zdecydowanym krokiem przez wahadłowe drzwi. Panna Awolowo pomogła wstać zamroczonemu Jessemu i dała znak reszcie, żeby poszli za panią Richter.

W środku zobaczyli olbrzymią kuchnię, gdzie wielkie chmury pary unosiły się i syczały z miedzianych kotłów. Max poczuł apetyczny zapach. Przesuwając się do przodu, żeby zrobić miejsce dla kolegów, wpadł na Lucię, która zatrzymała się przed nim gwałtownie.

Max zobaczył dlaczego.

Chudy mężczyzna trzymetrowego wzrostu i z pożółkłą skórą zatopił wielki nóż rzeźnicki w grubej desce do krojenia i wygładził poplamiony fartuch.

Pierwszy rocznik wrzasnął i popędził do wyjścia. Głosy pani Richter i panny Awolowo rozbrzmiewały nad zgiełkiem.

– Dzieci! Wszystko w porządku! Wszystko w porządku! To jest Bob. To nasz szef kuchni!

Max, by nie zostać stratowanym w przejściu, zaparł się przy węgarku i wytrzymał napór Jessego, który chciał się przebić do jadalni. Lucia schowała się pod zlew przemysłowy, zasłoniła oczy i mamrotała coś po włosku. David z wrzaskiem przeleciał obok Boba i zniknął w

bocznej spiżarni. Zatrzasnął za sobą drzwi, wywołując coś, co brzmiało jak lawina spadających przedmiotów. Panna Awolowo i pani Richter zagoniły dzieci z powrotem, to słowami wsparcia, to stanowczym popchnięciem. Kiedy pani dyrektor w końcu odczepiła sobie od nogi Omara, zawołała do wielkiego mężczyzny, który teraz siedział na wzmocnionym stołku i czyścił monokl.

– Tak mi przykro, Bob. To było chyba do przewidzenia po tym, jak Mamuśka ich przestraszyła.

– To całkowicie zrozumiałe, pani dyrektor. Proszę się nie śpieszyć.

Ze swojego miejsca Bob sięgnął długą ręką do garnka i pomieszał bulgoczący sos o konsystencji śmietany. W końcu wszystkie dzieci zebrały się za panią Richter i panną Awolowo. Connor wyszeptał coś na ucho Lucii, która pociągnęła nosem i wyczołgała się do nich spod zlewu.

– Co to jest? – syknął Rolf. – Czy to jest groźne?

– Przede wszystkim, młody człowieku – odparła pani Richter – „to” ma imię, i nazywa się Bob. I trzeba wiedzieć, że Bob nie jest groźny. Bob to wytrawny dżentelmen i najlepszy kucharz, jakiego miało Rowan!

Bob przykręcił ogień pod rondlem i uśmiechnął się do pani Richter łagodnie.

– Bardzo mi pani schlebia, pani dyrektor – odezwał się, a od jego basowego głosu zadrżały szyby w szafkach. Spojrzał na dzieci i powoli powiedział: – Witajcie,

uczniowie. Mam na imię Bob. Miło mi was poznać. Witajcie w Rowan.

Wstał i ukłonił się, opuszczając wielką głowę pokrytą guzami i wybrzuszeniami. Miał cofniętą ze starości szczękę i nerwowo przygryzał dziąsłami wargi.

Max nie mógł znieść ciszy, która zapadła.

– Witaj, Bob – powiedział.

Bob skinął do Maxa w podzięcie. Pani Richter wykorzystwała tę chwilę, żeby mówić dalej.

– Dzieci, Bob jest ogrem. Tak, wiem, co część z was czytała o ograch, ale nasz Bob to zresocjalizowany ogr i jest z nami od prawie sześćdziesięciu lat. Sam nas wyszukał i przybył tu ze swojej ojczyzny na Syberii. Od tamtej pory się nami opiekuje.

Delikatnie pocałowała Boba w policzek. Bob uśmiechnął się i spojrzał na dzieci z wyczekiwaniem. Lucia podniosła trzęsącą się dłoń i zapytała niepewną angielszczyzną.

– A co Bob... a co Bob je?

Bob otworzył usta szeroko jak hipopotam, odsłaniając podobny do jamy otwór, w którym nie było widać żadnych zębów. Kiedy zamknął usta, zachichotał.

– Niepewni są, pani dyrektor. To chyba dobrze, prawda? – Potem zwrócił się do grupy: – Po tym, jak przestałem jeść... mięso... usunąłem sobie zęby obcęgami. Dziś Bob lubi jeść zupę pomidorową i grillowany ser.

Kiedy zamilkł, pani Richter podeszła do dużego kredensu i mocno zapukała w drzwiczki.

– Mamuśka, wyjdiesz do nas, czy będziesz się obrażać?

Max usłyszał z kredensu mrozący krew w żyłach wrzask, a po nim kilka gniewnych uderzeń.

– Idźcie sobie! Nigdy stąd nie wyjdę. Nienawidzicie mnie! Wiem, że mnie nienawidzicie!

Głos Mamuśki zamienił się w żalosne, drżące szlochanie. Pani Richter potupała stopą i uśmiechnęła się do uczniów przepraszająco. Kucnąwszy przy kredensie, odezwała się łagodnym głosem:

– Mamuśko, proszę, nie utrudniaj. Dzieci bardzo chcą się z tobą normalnie przywitać, prawda, dzieci? – Pani dyrektor zignorowała ich przerażone milczenie. – No chodź, Mamuśka. Wszyscy jesteśmy głodni, ale nie usiądziemy do stołu, dopóki się do nas nie przyłączysz. Kolacja pachnie wspaniale i możemy mieć szybko z głowy ceremonię niuchania.

Max skrzywił się, zastanawiając się, co pani Richter miała na myśli, mówiąc o „ceremonii niuchania”. Bob nadal czujnie mieszał sos, nie zwracając uwagi na rozwój wydarzeń. Rozległo się stłumione uderzenie, a potem usłyszeli płaczliwy głos Mamuśki.

– Nie chcę, żeby ktoś był przeze mnie głodny. Pani dyrektor, czy pani mnie nienawidzi?

– Oczywiście, że nie, Mamuśko – powiedziała uspokajającym tonem pani Richter.

– A słoneczka... to uważają, że jestem... ekscentryyyczna? – W jej głosie pojawiła się nadzieja,

gdy przeciągała ostatni wyraz. Pani Richter westchnęła zniecierpliwiona.

– Tak, Mamuśko, ich zdaniem jesteś ekscentryczna. A teraz bądź tak łaskawa i wyjdź.

Mamuśka wyjrzała z kredensu. Rozejrzała się niepewnie po kuchni. Na jej okrągłej twarzy były ślady łez; splątane czarne włosy leżały na niej jak kępki wodorostów. Po wierciła się, żeby uwolnić znacznych rozmiarów siedzenie, po czym wypadła na terakotową podłogę. Szybko się podniosła i kilkoma panicznymi ruchami ułożyła włosy. Potem zniecka zamarła i przyglądała się uczniom z przestraszoną, słodką miną.

– O, witam. Pani dyrektor, czy to jest nowy rok? To takie słoneczka!

– Mamuśko, proszę mi tu nie udawać, że ich wcześniej nie widziałaś.

Mamuśka skrzywiła się i spojrzała na panią Richter wilkiem. Pani dyrektor pokręciła głową i zwróciła się do uczniów.

– Dzieci – powiedziała. – Proszę wrócić do jadalni i ustawić się w dwóch rzędach. Mamuśka, chodź z nami. Bob, dopilnujesz, żeby zaraz po ceremonii podano kolację?

Bob przytaknął, a oni wyszli gęsiego przez wahadłowe drzwi. Max znalazł się między Cynthią i Rolfem nieopodal wejścia. Connor stanął naprzeciwko niego, a pani Richter wprowadziła Mamuśkę do jadalni.

– W porządku – powiedziała, przechadzając się

wzdłuż rzędów, podczas gdy Mamuśka czekała przy drzwiach. – Weźcie głęboki wdech i spróbujcie się nie ruszać. Kiedy przyjdzie wasza kolej, wyciągnijcie rękę, żeby Mamuśka mogła ją powąchać.

Stojąca niedaleko wysoka czarnoskóra dziewczynka podniosła dłoń. Max zamrugał; wyglądała, jakby była wnuczką panny Awolowo.

– Pani Richter, czy Mamuśka ma zamiar w najbliższym czasie usunąć sobie obcęgami zęby?

– Nie, kochanie. Sara, prawda? Ceremonia niuchania jest gwarancją, że takie środki nie będą konieczne. Mamuśka, proszę zaczynać.

Mamuśka przestępowała z nogi na nogę koło drzwi i podekscytowana klaskała w dłonie. Nagle rzuciła się i złapała rękę dziewczynki obok Connora. Dziewczynka zamknęła oczy i stała wyprężona jak struna. Trzymając ją ostrożnie za rękę, Mamuśka wspięła się na palce i poniuchwała łapczywie całą długość jej ręki, po czym odrzuciła ją na bok.

– Gotowe! – krzyknęła, przesuwając się do Connora.

– Witaj, Mamuśka – powiedział Connor. – Kolacja wspaniale pachnie.

Mamuśka wydała z siebie odgłos zadowolenia i wzięła jego dłoń, oglądając chłopca od stóp do głów.

– O, a z ciebie jaki przystojniak – powiedziała. – Przypominasz mi pewnego młodzieńca, którego zjadłam na przedmieściach Dover. To był taki miły chłopiec.

Connor zajęczał i odwrócił głowę, a Mamuśka

powiodła nosem wzdłuż jego ręki jak dzik szukający w ziemi trufli.

– Gotowe! – zawołała i poszła dalej.

Connor był zielony.

Max wychylił się do przodu i przyjrzał bezradnie rzędowi. On miał być jednym z ostatnich do obwąchania i napięcie było nie do zniesienia.

– Pani Richter! – krzyknął Jesse zrozpaczonym głosem. – Czy naprawdę musimy to robić?

Mamuśka przesunęła się w jego stronę z nie ludzką sprawnością. Pani Richter podniosła głos ponad urywane pokrzykiwania i mamrotliwe komentarze Mamuśki.

– Kiedy Mamuśka was poniucha, będzie wiedziała, że ma was nie zaczepiać. Tak naprawdę jest łagodna jak baranek.

Kiedy była o dwójkę uczniów od Maxa, chłopca ogarnęło przerażenie i zamknął oczy. Chwilę później poczuł na dłoni miękki, silny uścisk. Otworzył nieznacznie jedno oko i zerknął w dół.

Mamuśka szczypała go uważnie w rękę. Podniosła ją z zadziwiającą delikatnością i przesunęła po jej długości drżące nozdrza. Max jęknął i z powrotem zamknął oczy; instynkt podpowiadał mu, żeby uciec od tych ostrych, ociekających śliną zębów. Kiedy niuchanie dobiegło końca, zerknął w dół i zobaczył wijący się od nadgarstka do łokcia wilgotny ślad. Mamuśka nachyliła się i powiedziała konspiracyjnym szeptem.

– Byłbyś przepyszny z ziemniakami, słonko. Gotowe!

Max wytarł rękę o szorty. Usłyszał, jak pochwycona przez Mamuskę Cynthia odmawia słabym głosem zdrowaśkę.

– A! To ty jesteś tym pulpecikiem, co stał w drzwiach! Pachniesz jak wspaniała obwiązana pieczeń! Nie, nie dla Mamuśki, nie dla Mamuśki. Gotowe!

Po zakończeniu ceremonii niuchania Mamuśka stanęła przed drzwiami twarzą do uczniów. Wspięła się na palce, rozłożyła ręce jak dyrygent orkiestry i powoli, majestatycznie się pokłoniła.

– Wspaniale było was wszystkich poznać, słonka. Witajcie w Rowan! Podano do stołu.

Dzieci usiadły przy długich stołach, na których stawiano sterty pieczonych kurczaków, parujące misy warzyw i świeże, wonne bochny chleba. Pani Richter i panna Awolowo usiadły przy stole najbliższej kuchni, a ich twarze mieniły się w blasku świec.

Max nie pamiętał, kiedy jadł tak wyborny posiłek. Choć zwykle był niejadkiem, teraz wcinał stopy podawanego w gęstym sosie kurczaka, chrupiącą fasolkę i złociste ziemniaki. Potem nałożył sobie jeszcze dwa kawałki ciasta domowej roboty i wielką łychę lodów.

Na Maxa padł cień, a kiedy chłopiec podniósł wzrok, zobaczył nachylającego się Boba, który dolewał do dzbanka lemoniadę. Ogr posłał chłopcu bezzębny uśmiech.

– Nie dosłyszałem wcześniej twojego imienia,

chłopcze – powiedział.

– Nazywam się Max. Max McDaniels.

– Miło mi cię poznać, Max. Mam nadzieję, że będziesz nas odwiedzał w kuchni.

Bob wyciągnął pokrzywioną dłoń rozmiarów tacy. Max ostrożnie ją uścisnął. Pachniała mydłem. Bob zachichotał do panny Awolowo, która siedziała przy sąsiednim stole.

– Ten jest niezwykły, prawda, panno Awolowo?

Panna Awolowo przytaknęła z namysłem, a jej czarne oczy zaśniły.

– Tak myślimy, Bob. Tak właśnie uważamy.

Bob zebrał ze stołu kilka pustych półmisek i przemknął zręcznie przez wahadłowe drzwi.

* * *

Po kolacji uczniowie wzięli latarnie i ruszyli gęsiego przez kampus. Max spojrzął na zachód, gdzie Znikające pasma szkarłatu wtapiały się w rozgwieżdżone niebo.

Zeszli po schodkach na plażę, gdzie na falach kiwał się ciemny statek. Otoczone kłodami i pniakami jak małymi stołkami ognisko paliło się mocnym płomieniem. Pani Richter dała znak, żeby usiedli i sama zajęła miejsce tyłem do morza. Jej poważny głos rozbrzmiewał nad szumem fal i trzaskaniem płomieni.

– Dziś jest wieczór wspomnień, wieczór, kiedy dzielimy się z nowymi uczniami odrobiną historii Rowan i

ich własnej. Upłynęły wieki, od kiedy nasi przodkowie uciekli ze Starego Lądu i osiedlili się na tych brzegach. Przy płynęliśmy na tę właśnie plażę, a przywiodła nas tu „Pustułka”.

Pani Richter odwróciła się, żeby spojrzeć na zacumowany za nią obrosły skorupiakami, ogromny statek. Zaczęła spacerować między uczniami, a jej stopy chrzęściły miękko na piasku. Kiedy zatrzymała się i spojrzała na gwiazdy, Max powiódł oczami za jej wzrokiem.

– To może was zaskoczyć, ale nasz świat jest jeszcze bardzo młody, a ludzkość to coś stosunkowo nowego na tej planecie. W rzeczy samej, na długo przed nami byli tu inni. – Pani Richter nachyliła się i nabrała w dłonie piasku. – Najwięksi spośród nich przybyli tu, by pomagać w formowaniu tego świata, żeby przyglądać się rozwojowi jego piękna i możliwości...

Piasek w jej dłoniach zaczął bulgotać i topić się. Max patrzył oniemiały, jak powstaje z niego piękna, mała szklana ozdoba. Obserwował, jak unosi się nad ogniem niczym świetlisty klejnot, podczas gdy pani Richter kontynuowała przechadzkę i minęła go za plecami.

– Cieszyli się morzami i lasami, i stworzeniami, które je zamieszkiwały. W końcu stąd odeszli, pozostawiając opiekę nad naszą planetą innym. Ci opiekunowie byli pomniejszych istotami, a my ich nazywamy Zarządcami. Jednak dla ludzi byli oni niczym bogowie i boginie, wspaniałe duchy żywiołów, które czuwały nad światem,

podczas gdy my byliśmy jeszcze w kolebce. Niestety, czujność ich zawiodła.

Max i jego koleżanki i koledzy podskoczyli, kiedy kwitujące szkło upadło i roztrzaskało się w ognisku.

– Czujność ich zawiodła i przybyli też inni. Inne stworzenia z umierających światów, które nie były już ich w stanie wyżywić. Potajemnie zakradły się do najgłębszych zakamarków tego świata, żeby podgryzać jego korzenie. Sama ich obecność zdeprawowała niektórych Zarządców...

Wzrok pani Richter nabrał surowości. Jedna z kłód wyturlała się z ogniska, a iskry rozsypały się dokoła niczym świetliki.

– Zdeprawowani Zarządcy stracili zainteresowanie opieką nad światem i zaczęli dążyć ku władzy. Ludziom przedstawiono prosty wybór: podporządkować się albo zginąć. Na szczęście znaleźli się mężczyźni i kobiety, którzy odmówili współpracy i postanowili się przeciwstawić. Pozostali Zarządcy przekazali część swojej mocy tym, którzy wybrali walkę. Najpierw iskrę tę otrzymali najwięksi, którzy i tak prawie dorównywali Zarządcom. To ich obdarowano mądrością i Starą Magią, żeby mogli się przeciwstawić ciemności. A wy, moi drodzy, odziedziczyliście tę iskrę. Każde z was, które tu teraz siedzi!

Pani Richter zatrzymała się i patrzyła po kolei na twarze wokół ogniska. Kiedy w końcu zatrzymała wzrok na Maksie, zaczęła mówić dalej.

– Nie wiemy, jak ta iskra się w was znalazła. Nie potrafimy też przewidzieć, kto zostanie nią obdarowany. Jedyne, co wiemy, to że z czasem jej moc osłabła. Liczebność i siła naszych szeregów w dzisiejszych czasach to tylko echo przeszłości. Ale ta moc nie zniknęła zupełnie! W Rowan zbieramy te iskry i doglądamy ich, i tak się toczy nasza Wielka Walka. Rowan to ostatnia szkoła dla takich jak my, założona po tym, jak pozostali zostali zgładzeni. – Zamrugnęła, jakby pogrążona w myślach. Przykryła swoim zakietem ramiona jakiejś drżącej dziewczynki i z powrotem usiadła przy ognisku. – Solas była ostatnią i największą ze szkół, które upadły. Postanowiliśmy zbudować ją w Irlandii – dobry wybór, gdyż ziemie te tętnią Starą Magią, a otaczają je woda i mgła. W Irlandii nasi ludzie zawarli przymierze z Tuatha De Danann, dogorywającymi Zarządcami tamtego regionu. Nie zawsze można było na nich polegać, ale kiedy się ich obudziło ze snu pod wzgórzami, byli z nich potężni sojusznicy. To oni położyli podwaliny pod Solas.

Pani Richter uniosła ręce i płomienie zawirowały i podniosły się. W ogniu Max zobaczył wielki zamek o wielu wieżach i spadzistych dachach na skale wysoko nad wodą. Wyteńczył wzrok, żeby zobaczyć coś więcej, ale migoczące płomienie i dym zasłoniły wizję.

– Solas był pod każdym względem cudem! W murach tej uczelni szkolono największe umysły i Mistyków tamtych czasów, których istnienie utrzymywano w tajemnicy przed Wrogiem, aż stali się na tyle potężni,

żeby zająć należne im miejsce wśród pozostałych. To z Solas wyszli ci, którzy położyli kres Mrocznym Wiekom. Po ich zwycięstwie ludzkość zostawiono w spokoju. Przez całe wieki nie pojawiło się żadne wielkie zło i zaczęliśmy mieć nadzieję, że odnieśliśmy w końcu sukces! Uwierzyliśmy, że zdeprawowani Zarządcy i hordy ich potomków i pachołków opuścili ten świat i przenieśli się na inny. Byliśmy w błędzie.

Pani Richter znowu wstała i odsunęła się od ogniska. Wizja Solas zniknęła w płomieniach, które sięgały coraz wyżej, aż całą plażę zalało dziwne światło i cienie.

– Nadszedł Astaroth.

Max zamarł, kiedy usłyszał ten wyraz. Pani Millen też go powiedziała! Wykrzyczała go w trakcie pogoni za Maxem i wtedy zdrętwiała mu noga.

– Astaroth był bardziej cierpliwy i sprytniejszy od swoich poprzedników. Nie ujawnił się, tylko pozostał w ukryciu, manipulując ludźmi i narodami na wszystkich kontynentach jak figurami na szachownicy. W latach czterdziestych siedemnastego wieku nasz świat pogrążony był w chaosie. Dynastia Ming upadła, państwa w Europie wojowały ze sobą, w Anglii panowała wojna domowa. Wybitnych ludzi skazywano na więzienie i tortury za herezję... – Pani Richter zmarszczyła brwi i wpatrywała się przed siebie w fontannę płomieni. – Nasz największy mędrzec, Elias Bram, uznał, że te wydarzenia to coś więcej niż przejaw zwykłej niecności człowieka. Wyczuł, że za kłopotami świata stoi zła, niezwykle przebiegła

istota. Odkryto wtedy imię i postać Astarotha, a nasi ludzie zniweczyli wiele niecnych planów, które były bliskie realizacji. Rozwścieczony Astaroth skoncentrował wysiłki na znalezieniu siedziby tych, którzy stawiali mu czoło. Koniec końców, zostaliśmy zdradzeni. Astaroth dowiedział się o nas i o naszej szkole. Wielkie wrota zostały zburzone i poległo wiele dzielnych duszyczek. Jednak Wróg słono za to zapłacił. Solas zostało pokonane, ale wraz z nim pokonany był Astaroth. Nadszedł Bram i stoczył z nim bój, a dokoła rozsypywały się wieże i komnaty. Bram przegrał, ale nie na darmo – usunięto z tego świata wielkie zło.

Buzujący słup ognia zaczął przygasać, aż zostały z niego malutkie języczki płomieni wśród spalonych kłód.

– Ci z uczniów i wykładowców, którzy przeżyli, uciekli przed armiami Astarotha i zwrócili się o pomoc do Tuatha De Danann. Następnie garstka ta dotarła tu na pokładzie „Pustułki” i na tych wiejskich ziemiach wzniesiono Rowan. To Stara Magia, moje dzieci, kryje to miejsce i sprawia, że jest takie dziwne. – Pani Richter znowu usiadła i ujęła dłonie dwójki dzieci siedzących najbliżej, uśmiechając się do nich łagodnie. – A teraz wy tu jesteście. My jesteśmy tu tyle lat po tym, jak nasi sprzymierzeńcy zadbali o bezpieczeństwo tego zakątka i umożliwili nam przetrwanie. Jestem taka szczęśliwa, że z nami jesteście. Zostaliście wezwani do Rowan, nie żeby walczyć, tylko żeby się uczyć – żeby kultywować szlachetną iskrę, która w was drzemie. Jako dyrektor i

jako człowiek taki jak wy, mam nadzieję, że dołożycie wszelkich starań, żeby rozniecić w sobie tę iskrę. Wiele od tego zależy.

Max nie wiedział, jak długo siedzieli potem w milczeniu, skuleni wokół płomieni, które w końcu zniknęły i po których został tylko dogasający żar. Spróbował sobie wyobrazić, na czym będzie polegała jego rola w takiej wielkiej historii. Odwrócił się do Davida, ale jego kolega z pokoju był wpatrzony w gwiazdy, a jego mała twarz zdawała się poważna i zamyślona. Po jakimś czasie pani Richter przerwała ciszę.

– Jest już późno, a jutro czeka was dużo pracy. Zaprowadzę was z powrotem do Domostwa.

Dzieci wzięły swoje latarnie i poszły za nią do swojego nowego domu.

6

OSTATNI LYMRILL

Max obudził się z krzykiem, wyrwany ze snu przez chór wybijającego godzinę Starego Toma. Znowu śnił mu się wilczur, i chłopiec dopiero po chwili przypomniał sobie, gdzie jest. Położył się z powrotem i zaczął kontemplować obracające się powoli konstelacje, których złote kontury były nieco rozmyte odcieniem różu i złota dolnej krawędzi kopuły. Doliczył się siedmiu uderzeń zegara.

Ziewnął i przerzucił stopy przez krawędź łóżka. Potykając się, zszedł po schodach i znalazł swój żółty, puszysty ręcznik powieszony na haczyku obok szafki z lustrem. David był już na dole i mocno kaszłał.

– Cześć – powiedział David, odwracając się do niego plecami, żeby włożyć T-shirt.

– Hej. W tym pokoju nie mamy chyba szans na inny ranek!

David zaśmiał się i naciągnął szorty.

– Będiesz brał prysznic? – zapytał Max.

David odwrócił się szybko nerwowym ruchem.

– Nie, chyba nie – powiedział.

Max wyszedł z pokoju z ręcznikiem i przyborami toaletowymi i na bosaka poszedł korytarzem. Na dźwięk swojego imienia odwrócił się i zobaczył truchtającego za

nim Connora.

– Cześć, Max! Chyba mogliby nam powiedzieć, że Stary Tom będzie miał podkrecone dzwony.

Connor wyszczerzył zęby, popchnął drzwi z numerem 301 i oniemiał.

Łazienka była wielkim pomieszczeniem urządzonym szafkami z drzewa cedrowego, z drewnianych deszczułek i roślinami tropikalnymi. Przez delikatny szum marmurowej fontanny Max słyszał muzykę klasyczną. Wzdłuż jednej długiej ściany znajdował się rząd lśniących umywalek ze srebrnymi kranami w kształcie skaczących delfinów. Po drugiej stronie sali znajdowały się trzy zwieńczone łukami wejścia z mosiężnymi tabliczkami wskazującymi toalety, prysznic i gabinet odnowy.

Drzwi za nimi otworzyły się, a kiedy Max się odwrócił, zobaczył Rolfa, Jessego, Omara i kilku innych chłopców.

– O matko! – wykrzyknął Omar, a jego oczy rozszerzyły się za okularami. – Czy wyście to skonfigurowali?

– Ktoś musiał to zrobić – odparł skromnie Connor, oglądając sobie paznokcie. Przerzucił ręcznik przez ramię i poszedł do gabinetu odnowy.

Max przypomniał sobie, która jest godzina, i poszedł szybko pod prysznic. To, co zobaczył w kabinie, wprowadziło go w zdziwienie. Zamiast zwyczajnych kurków ze ściany wystawało sześć małych, srebrnych dźwigienek. Max pociągnął ostatnią z lewej strony i zaraz zaczął

podskakiwać, gdyż z głowicy prysznicza poleciała zimna woda. Wyłączył ją i spróbował z następną dźwigienką, a kiedy ją pociągnął, gorąca – zdecydowanie za gorąca – woda zagoniła go w kąt, skąd udało mu się kopnąć dźwigienkę dużym palcem u nogi. Krzywiąc się trochę, pociągnął trzecią dźwigienkę i odetchnął z ulgą, kiedy z prysznicza wyleciał mocny strumień ciepłej wody.

Kilka kabin dalej rozległ się przeraźliwy krzyk.

– Trzecia z lewej! – zawołał Max.

– Dzięki! – odpowiedział wdzięczny głos.

Po pociągnięciu za czwartą dźwigienkę Max odskoczył, kiedy z małego ukrytego kranika wyleciały bąbelki mydła, które szybko wypełniły kabinę, przelewając się nad drzwiami, zanim Max zdążył przykręcić strumień. Piąta dźwigienka wypuszczała dozę szmaragdowego szamponu, który chłopiec pochwycił w dłoń. Wajcha numer sześć prychnęła, po czym wyleciał z niej silny strumień ciepłej pianki do golenia. Max zaśmiał się i położył sobie odrobinę pianki na podbródku, po czym uformował z niej białą brodę. Wyrzwał z kabiny, żeby się sobie przyjrzeć, w tej samej chwili, kiedy Omar zrobił to samo. Obaj wybuchnęli śmiechem i zniknęli z powrotem w kabinach.

Chłopcy, których były w łazience tuziny, stali w kałużach wody, myli zęby i gawędzili, kiedy usłyszeli głośne teatralne kasznięcie. Max odwrócił się i zobaczył łysego, podobnego do kobolda mężczyznę w starym, niebieskim garniturze, który miał niecały metr wzrostu i

który przyglądał się im, pocierając podbródek. Wiało od niego mocno wodą po goleniu o zapachu piżma, i wyglądał na rozgniewanego.

– Dobrze się bawicie? Fajnie wam tak psuć kąpiel Jimmy'ego? – Niski mężczyzna podszedł bliżej. – No, co tam, panowie? Mamuśka odgryzła wam języki? Na tyle duzi, żeby się golić, ale nie na tyle, żeby się wytłumaczyć? – Spojrzał spode łba na Omara i Maxa, którzy kulili się przy ścianie. Za nimi z kilku kranów nadal leciała woda.

Connor wyszedł do przodu.

– Proszę pana, nie chcieliśmy...

– Cisza!

Max zerknął na Connora. Czuł takie samo przerażenie i dezorientację, jakie Connor miał wypisane na twarzy. Mężczyzna, z coraz bardziej purpurową twarzą, zrobił kolejny krok w stronę grupy.

Wtedy drzwi się otworzyły i do łazienki wetknął głowę Nigel.

– Pośpieszcie się, chłopcy. Pani Richter zaczyna już kurs przygotowawczy. O! Jimmy! Jak leci? Dawno się nie widzieliśmy.

Mały mężczyzna przewrócił oczami.

– Musiałeś się pojawić akurat teraz i popsuć mi zabawę? Miałem zamiar wrobić te kijanki w szorowanie łazienki przez najbliższy miesiąc!

Nigel zachichotał i wszedł do pomieszczenia. Wyciągnął z kieszeni srebrnego dolara, podszedł do

ostatniej umywalki, podniósł pokrywkę z grubego porcelanowego buddy i wrzucił monetę do środka.

– Przepraszam, Jimmy. Następnym razem będziesz się mógł nimi zająć.

– Nie ma sprawy. I tak muszę się zbierać, jeżeli mamy ich upiększyć przed porannymi zajęciami. Chcesz odrobinę moich specjałów, Nigel?

Nigel uśmiechnął się kurtuazyjnie.

– Nie, Jimmy. Dziękuję. Powiem pani dyrektor, że chłopcy... właśnie cię poznali. – Zrobił pauzę, a potem dodał: – Chłopcy, nie zapomnijcie później o prezencie dla Jimmy'ego. Pamiętajcie – liczą się przede wszystkim intencje!

– No dobra! To do zobaczenia później! – zawołał Jimmy. Zaczął się krzątać, wyjmować garściami na rozkładany stół różne buteleczki perfum i słoiczki. Potem zwrócił się do chłopców i zaklaskał.

– Dobrze, w takim razie który szczęściarz da się wypachnić Jimmy'emu? – zapytał. – Wszystkich was nie obsłużę, więc kto się pisze?

– Ech... chyba nie rozumiem – powiedział Rolf, wachając sobie pachę. – Właśnie braliśmy prysznic.

Jimmy spojrzał na Rolfa, jakby ten był głupi.

– To wasz pierwszy pełny dzień, zgadza się?

Chłopcy przytaknęli.

– A kilka naszych pań jest naprawdę urodziwych, nieprawdaż?

Chłopcy spojrzeli po sobie i przytaknęli.

– Innymi słowy, prysznic to dopiero początek! Żeby zwróciły na was uwagę, nie obejdzie się bez wizyty w salonie starego Jimmy'ego! Szybko! Wasza szóstka na krzesła.

Jimmy pstryknął palcami i sześć wiklinowych krzeseł przeleciało przez pomieszczenie i ustawiło się w rzędzie.

– Ech, wiedziałem, że akurat na nas wypadnie – zaczął Connor, kiedy Jimmy zaprosił Maxa na jedno z krzeseł. Ci, przed którymi nie wyrosły krzesła, szybko uciekli z łazienki.

Max wiercił się, kiedy Jimmy zabrał się do pracy i zaczął biegać wzdłuż rzędu i nakładać na włosy, policzki i szyje chłopców przeróżne żele i psikać na nich perfumami. Marszcząc czoło w skupieniu, wyciągnął grzebień i ostrożnie zrobił każdemu chłopcu przedziałek na samym środku głowy. Chłopcy przyglądali się sobie w lustrach, siedząc w podszytej przerażeniem ciszy, a Jimmy co jakiś czas klaskał z zadowolenia.

– No, chłopcy! Teraz to z was przystojniaki. Tak czy inaczej, dobry był z was materiał do obróbki, ale teraz to macie jeszcze ten specjalny akcent Jimmy'ego!

Jimmy zagwizdał wesoło i zaczął ustawiać swoje buteleczki, a szóstka chłopców wyszła gęsiego z ponurymi minami.

Max pobiegł do swojego pokoju i ubrał się szybko, po czym dołączył do reszty na korytarzu, kiedy Stary Tom znów zaczął wybijać godzinę. Popędzili w dół po schodach i zatrzymali się gwałtownie w małym teatrze.

Reszta kolegów i koleżanek już siedziała. Kilka dziewczynek zachichotało na widok staromodnych fryzur chłopców. Nawet oparta o pianino pani Richter miała rozbawioną minę, kiedy sięgała od niechcienia po chusteczkę.

– Panowie, zajmijcie miejsca. Jak już mówiłam waszym kolegom i koleżankom, dziś jest bardzo ważny dzień. Po raz pierwszy pójdziecie do Sanktuarium. Tam dostaniecie do pary dobrego przyjaciela na następne sześć lat. Być może nawet na dłużej.

Pani Richter zmarszczyła brwi i pomachała sobie przed twarzą chusteczką. Grupka dziewczynek zaczęła między sobą szeptać i chichotać. Ściskając się za nos, Cynthia i Lucia przesunęły się o kilka siedzeń w bok, a David odkaszlnął w dłoń i spojrzał na chłopców. Unikając wzroku reszty uczniów, Max poklepał polakierowaną masę na swojej głowie. Nie mógł uwierzyć, że włosy mogą być takie gładkie i sztywne.

Po chwili ciszy pani Richter wzięła głęboki oddech z nosem zasłoniętym chusteczką i kontynuowała:

– No więc, po dzisiejszej wizycie w Sanktuarium dostaniecie plan lekcji na cały semestr i spotkanie się z opiekunami klasowymi, którzy... święty Boże, to jest nie do zniesienia!

Dziewczynki zaniósły się śmiechem. Max zaczerwienił się i odwrócił do Connora, którego szyja była jaskrawoczerwona od drapania.

Pani Richter wstała od pianina.

– Chłopcy, wnioskuje, że to Jimmy tak was... urządził.

Przytaknęli. Ramiona Cynthii rytmicznie podskakiwały ze śmiechu. Lucia była purpurowa na twarzy. Pani Richter nakazała gestem, żeby się uciszyły.

– Jimmy jest z nami już jakiś czas i ma bardzo dobre intencje, ale smutna prawda jest taka, że jego zmysł węchu zaczyna szwankować. Albo powiem to inaczej: po prostu już go nie ma. Na przyszłość zalecałabym, żebyście dyplomatycznie zrezygnowali z jego usług pielęgnacyjnych. Będzie was bez wątpienia naciskał, ale musicie być wytrwali dla dobra nas wszystkich. Dobrze, przenieśmy się z tą rozmową na dwór.

Z chusteczkę przyciśniętą do nosa pani Richter wyprowadziła ich przez oszklone drzwi na patio w sadzie. Ich koleżanki i koledzy biegli przed nimi, chichocząc, a ofiary Jimmy'ego dreptały zażenowane z tyłu.

Pani Richter odetchnęła, złożyła chusteczkę i poczekała, aż uczniowie się zbiorą. Na niebie gromadziły się chmury, wzmagął się wiatr.

– Znacznie lepiej! Teraz, jak już mówiłam, Sanktuarium to bardzo niezwykle miejsce w Rowan. Najważniejsze w całym kampusie. Widzicie, dzieci, zmagamy się nie tylko z ludźmi takimi jak my, ale również z wieloma stworzeniami i duchami, które zamieszkują ten świat. Nie wszystkie mistyczne stworzenia stoją po stronie Wroga. Te, które sobie tego zażyczą, mogą znaleźć schronienie w Rowan. Zresztą

spotkaliście już niektóre z nich. Niestety, wiele z tych stworzeń jest bardzo młodych albo bezbronnych i wymaga waszej opieki. Dziś każdemu z was zostanie przydzielone do pary jedno z nich. Pani Richter spojrzała na uczniów surowym wzrokiem. – Spotyka was wielki zaszczyt. Wiele z tych stworzeń jest niezwykle rzadkich. Niektóre są ostatnimi przedstawicielami swojego gatunku. Proszę, żebyście potraktowali to odpowiedzialne zadanie bardzo poważnie. To podstawowy aspekt waszej edukacji. Nie ma większego wstydu niż konieczność oddania swojego podopiecznego.

Perspektywa sprawowania opieki nad mistycznym stworzeniem napełniła Maxa obawą. Nigdy wcześniej nie miał nawet psa czy choćby chomika. Jednak większość jego kolegów i koleżanek sprawiała wrażenie zachwyconych i uczniowie szeptali między sobą podekscytowani, kiedy pani Richter prowadziła ich przez las. Kiedy dotarli do wysokiego, porośniętego mchem muru niedaleko stajni, pani dyrektor zatrzymała się przy potężnych drewnianych wrotach opatrzonych ciężkim mosiężnym kółkiem.

– Dzieci, wiem, że jesteście zdenerwowane. W końcu tyle tu nowych rzeczy! Weźcie głęboki oddech i rozkoszujcie się tym doświadczeniem. Sanktuarium to ulubione miejsce wielu uczniów. Wielu z nich na całe życie przywiązuje się do swoich podopiecznych. Bądźcie sobą i zaufajcie instynktom waszego podopiecznego.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Za nimi Max

ujrzał wąską dróżkę wiodącą przez tak gęste niskie drzewa i krzaki, że bardziej niż ścieżkę przypominała ciemny tunel. Potykając się, Max przeszedł za resztą jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów, kiedy poczuł nagle na nosie kroplę deszczu. Wyszli na olbrzymią polanę, na której wysokie trawy pochylały się na wietrze.

Max spojrział jeszcze raz w głąb tunelu; po drugiej stronie wrót nie padało. Kilkoro uczniów już o tym dyskutowało.

Odwróciwszy i się z powrotem ku polanie, Max przyjrzał się odległej panoramie lasu i zaskakującemu widokowi pokrytych śniegiem wzgórz. Na polanie w nieregularnych odstępach znajdowały się kępy drzew i grupy skał. W oddali pasło się i porykiwało stado krów. Bezpośrednio przed dziećmi znajdował się długi, niski budynek, który stał nad stawem otoczonym pasmem plaży i królewskimi palmami.

Nagle coś wielkiego sfrunęło z nieba i pochwyciło w szpony jedną z pasących się w oddali krów. Skrzeczący ptak rozmiarów małego samolotu poszybował z miotającą się zdobyczą w kierunku odległych wzgórz.

– Dobrze, że Hector zaczął znowu jeść – wykrzyknęła z satysfakcją pani Richter. – Od tygodni niczego nie tknął!

Kilkoro dzieci wycofało się do liściastego tunelu, ale pani dyrektor wezwała je z powrotem.

– Nie bójcie się, że mieszkańcy naszego Sanktuarium wezmą was za swój posiłek – uspokoiła ich. – Żadne z tych stworzeń normalnie nie jada ludzi i wszystkie są

dobrze dokarmiane.

Rolf prychnął głośno, ściągając na siebie ostrzegawcze spojrzenie pani dyrektor.

– Hej – powiedział Connor, podchodząc kilka kroków i spoglądając na wschód. – Gdzie jest ocean?

Max z niepokojem zauważył, że Connor ma rację – zamiast oceanu był tylko pas piaszczystych wydm, które wznosiły się łagodnie przez wiele kilometrów, aż do czarnej ściany skalnej, która rozciągała się po sam horyzont. Pani Richter uśmiechnęła się.

– Jak zauważył Connor – powiedziała – nasze Sanktuarium to miejsce, które różni się od świata po drugiej stronie tunelu. Tak jak wiele rzeczy w Rowan, Sanktuarium znajduje się w swojej własnej przestrzeni: przestrzeni „pożyczonej” od innych miejsc na świecie. Dzięki temu nasi goście mogą znaleźć tu schronienie i różnorodność terenu imitującą ich środowisko naturalne. Jedyna droga do i z Sanktuarium wiedzie przez ten tunel. Pamiętajcie, Stara Magia może być groźna i nieprzewidywalna i dlatego tak ważne jest, żebyście nie zapuszczali się za daleko.

Max trącił łokciem Connora.

– Czy jest tu w ogóle coś, co nie może nas skrzywdzić, zabić albo pożreć? – wyszeptał.

Connor uśmiechnął się.

– Trzeba być ciągle czujnym, co nie?

– Myślisz, że można by się jakoś wykręcić od tego podopiecznego?

– Wątpię – odparł szybko Connor, kiedy pani Richter ich mijała.

– O – powiedziała pani dyrektor, zerkając na zegarek.
– Nolan jest chyba gotowy.

Z budynku nieopodal stawu zmierzał do nich wysoki i chudy opalony mężczyzna. Niósł coś, co mu się wierciło na rękach. Kiedy był pięćdziesiąt metrów od nich, zaśmiał się i postawił to coś na ziemi. Max uśmiechnął się, rozpoznając stworzenie. Głowa Lucy podskakiwała nad wysoką trawą – świnka szybko pokonała dystans i staranowała Maxa, chrumkając. Chłopiec wziął ją na ręce.

– Hej, Lucy! – wykrzyknął. – Miło cię widzieć!

Lucy wierciła mu się na rękach, wdrapując się na pierś chłopca, żeby obwąchać mu policzek. Max zaśmiał się i odwrócił do reszty.

– A, prawie bym zapomniała – powiedziała pani Richter. – Max już wcześniej spotkał Lucy! Dzieci, chodźcie przywitać się z Lucy. Była podopieczną Nigela Bristowa, kiedy on był uczniem, jakieś trzydzieści lat temu.

– To mi się bardziej podoba – wyszeptała Cynthia, drapiąc Lucy za uszami.

– Cześć, Lucy – zamruczał Omar, klepiąc świnkę po brzuchu.

– Grzeczna dziewczynka – zaświergotał Connor, potrząsając ją za nogę.

Lucy miotła się na wszystkie strony, usiłując przyjrzeć się wszystkim uczniom po kolei, kiedy ci się

przedstawiali. Tego było dla niej za wiele. Chrzękając z przejęcia, puściła gaz, po czym zrobiła obrażoną minę, kiedy roześmiane dzieci się odsunęły. Wcisnęła Maxowi głowę pod pachę.

– Ostrożnie, zraniliście jej uczucia! – powiedział mężczyzna z uśmiechem. Miał ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy z kurzymi łapkami w kącikach i delikatnie zaciągał. Nosił dzinsy, gruby skórzany fartuch i rękawice, w wielu miejscach podziurawione i podrapane. Max rozpoznał w nim mężczyznę, którego widział poprzedniego dnia na plaży, kiedy oprowadzała ich panna Awolowo. – Hej, uczniowie. Gotowi, żeby dostać przyjaciela na całe życie? – zapytał, głośno klaszcząc rękawicami. Wziął od Maxa Lucy, wyszeptał jej coś na ucho i postawił ją na ziemi. Świnka potruchtała z powrotem w stronę stawu.

– Dzieci – powiedziała pani Richter – to jest pan Nolan, Główny Nadzorca Terenów Rowan.

– Możecie mi mówić po prostu Nolan – powiedział, mrugając. Zerknął na Cynthię, która wyglądała na przerażoną od chwili pojawienia się drapieżnego ptaka. – Młoda damo, czy zostaniesz moją asystentką?

Dziewczynka przytaknęła powoli.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się do niej, podał jej rękę i ruszył w stronę budynku. – Chodźmy wszyscy do Chatki Rozgrzewania. Mamy tam wspaniałe stworzenia, które bardzo chcą was poznać!

Chatka Rozgrzewania była zbudowana z ciemnego,

niemalowanego drewna i była pokryta podniszczoną dachówką. Na zadaszonej werandzie od strony stawu stało kilka snopków siana. Zebrawszy wszystkie dzieci wokół ganku, Nolan poprosił, żeby się uciszyły. Wyciągnął mały srebrny dzwoneczek i zadzwonił nim trzy razy. Podłoga zaczęła skrzypieć, jakby w domku poruszało się coś dużego.

– Dzieci, chciałbym wam przedstawić Yayę. To ona opiekuje się wszystkimi zwierzętami w Sanktuarium. To Wielka Matrona Rowan i jest tu od samego założenia szkoły.

Dzieci odsunęły się, a w drzwiach pojawiła się głowa olbrzymiej kruczoczarnej lwicy zwieńczona złamanym rogiem z nakrapianej kości słoniowej. Większe od nosorożca stworzenie wyszło ociężale na werandę. Jego czarne futro delikatnie pobłyskiwało siwizną. Wielka lwica położyła się powoli na ganku, podwijając pod siebie czarne, lśniące łapy. Na oczach miała mętne bielmo, a jej boki podnosiły się i opadały w rytm ciężkich oddechów. Lucy potruchtała przez drzwi i ułożyła się pod wąsami na szerokiej piersi Yayi.

Max pomyślał, że prosiaczek wygląda jak przekąska.

– Ona jest piękna, panie Nolan – powiedziała stojąca z przodu dziewczynka. – A czym ona jest?

– Na pewno sama wolałaby odpowiedzieć.

Max stał zafascynowany i patrzył, jak stworzenie podnosi głowę. Jego głos brzmiał, jakby kilka kobiet mówiło jednocześnie.

– Dziękuję za dobre słowo. Jestem ki-rin. Pozdrawiam i witam w Rowan. – Oddychając ciężko, ponownie opuściła głowę, przykrywając Lucy.

– Yaya jest bardzo stara – powiedział pan Nolan. – Siedemset lat to bardzo dużo, nawet dla jej gatunku. Dbamy o to, żeby całymi dniami odpoczywała i zajmowała się rannymi stworzeniami. Jednak to przed nią, Wielką Matroną Rowan, będziecie odpowiadać, jeżeli dowie się ona, że zaniedbujecie swoje obowiązki.

Yaya przemówiła głosem miękkim jak mijająca mżawka.

– Nie strasz ich, Nolan. Jestem pewna, że podopieczni trafią w dobre ręce. Lucy już ich chwali.

Zamglone oczy spojrzały na Maxa.

– Yaya – powiedział Nolan – za twoim pozwoleniem, chcielibyśmy przedstawić uczniom podopiecznych.

– Oczywiście – odparła. – Z wyjątkiem Tweedy'ego wszyscy są bardzo podekscytowani.

Nolan poprowadził uczniów za budynek, gdzie porozstawiał ich w rzędach daleko od siebie. Pani Richter, Yaya i Lucy usiadły na dużym wełnianym kocu, który pani dyrektor rozłożyła na trawie. Niebo wyglądało groźnie i Max był bardzo zdenerwowany.

Parę minut później Nolan przyprowadził kilka dorosłych osób. Za nimi w dziwnej procesji szła zbieranina stworzeń. Były wszelkich kształtów i rozmiarów i przyglądały się uczniom z niepokojem.

Niektóre były znacznie większe od prowadzących ich ludzi, ale większość była mniejsza i trzymała się blisko nich, mamrocząc, mrużąc, trajkocząc w swoich językach. Każde z nich miało na szyi plakietkę z imieniem.

– Dobrze – powiedział Nolan. – To naprawdę nic takiego. Musicie tylko stać na swoich miejscach, a nasze uroczyska stworzenia was sobie obejrzą. Większość jest dość młoda, więc nie czujcie się obrażeni, jeżeli niektóre nie będą bardzo grzeczne. Jednym z waszych zadań będzie nauczenie ich dobrych manier. W takim razie – zaczynamy.

Max starał się oddychać miarowo, kiedy stworzenia kroczyły, pełzały i podskakiwały koło niego. Olbrzymi skrzydlaty byk z głową i twarzą młodego mężczyzny przystanął i zaczął mu się przyglądać. Patrzył na niego beznamiętnie, a chłopiec przeczytał na jego plakietce: ORION, SYRYJSKI SHEDU. Shedu nie ruszał się. Wpatrywał się tylko w Maxa, lekko marszcząc brwi. Max nie wiedział, co zrobić.

– Witaj, Orionie. Ja jestem Max.

Shedu przytaknął z kamienną twarzą, podniósł głowę i poszedł dalej w stronę Lucii. Max usłyszał dzwoniący dźwięk, spojrzawszy w dół, zobaczył małego, cętkowanego pieska obwąchującego mu kostki. Siedział na tylnych łapach i spoglądał na niego z dołu, a według swojej plakietki wabił się Moby i był ryczką z Somerset.

– Cześć, Moby.

Pies zamerdał ogonem i zaszczekał przejęty, co

zabrzmiało jak dźwięk waltorni. Max zatkał uszy, a piesek pobiegł dalej. Coś trąciło go w plecy i, odwróciwszy się, Max zobaczył dwa normandzkie fauny, które przyglądały mu się podejrzliwie. Oba miały nogi kozłów, przy czym jeden z nich miał twarz młodego chłopca, a drugi – dziewczynki. Wyglądali na bliźniaki: Kellen i Kyra. Mówili po francusku.

– *Il n'est pas pour moi.* – Kellen go powąchał.

– *Moi non plus, mon frere. Je prefere Connor* – odparła Kyra, zerkając na resztę szeregu.

Max poczuł się upokorzony, choć nie do końca wiedział dlaczego. Nagle lśniąca, czerwona, większa od tosterka żaba-byk wylądowała mu na bucie. Lepkie palce z poduszczykami złapały go za nogę, a gardziel żaby napęczniała jak balon. Max odnalazł wzrokiem jej plakietkę.

– Cześć, Garnkoryjku. Ja jestem Max.

Żaba mrugnęła kilka razy, po czym skoczyła Jessemu Chu na głowę. Jesse wrzasnął i prawie się przewrócił, usiłując pozbyć się ospałej żaby, która teraz uczepiła mu się kołnierza. Max zobaczył siedzącego nieopodal Davida, który trzymał na kolanach głowę srebrnej gazeli. David coś do niej wyszeptał i podniósł jej głowę, żeby mogła spojrzeć na Maxa.

– Max, to jest Maya. To ulu i wybrała mnie!

Max uśmiechnął się i pomachał, w duchu rozdrażniony, że jego jeszcze nikt nie wybrał. Nagle wyskoczył przed niego mały zajaczek. Stał na tylnych

łapach i spojrział na Maxa błyszczącymi, pomarańczowymi oczami.

– Witaj, Tweedy – powiedział wyraźnie i powoli chłopiec. – Ja mam na imię Max.

– Dlaczego mówisz do mnie jak do imbecyla? – zapytał zając, a wąsy zatrzęsły mu się z oburzenia. – Czy czytasz Dantego w oryginale?

Max złapał się za usta.

– Ee... nie.

– To wszystko jest jakimś absurdem! To ja powinienem się opiekować tobą, nie na odwrót. W ogóle się nie nadajesz!

Zając z gór podwinął ogonek i pokicał dalej, fukając po drodze na małe, brązowe stworzonko, które szybko zeszło mu z drogi.

Wzrok Maxa natknął się znowu na Oriona, kiedy shedu jeszcze raz do niego podszedł, stukając kopytami. Przechodząc obok chłopca, wyminął zręcznie oszałamiającego trójnożnego pawia, który głośno trelował.

Wiele dzieci siedziało na trawie obok swoich podopiecznych, którzy czasami byli uczeplieni czyjejś ręki albo nogi. Max poczuł ukłucie zazdrości, kiedy zauważył, że Orion wybrał Rolfa. Cynthia przeproszała wylewnie ryczącego chochlika o rozmiarach podnóżka. Chochlik nie dawał się pocieszyć. Cynthia zaczęła błagać Yayę o pomoc, kiedy Max wrzasnął i podskoczył.

Coś ostrego ukłuło go w stopę.

Przestraszony spojrział w dół i zobaczył dziwne stworzenie. Przypominało małą wydrę, ale jego futerko lśniło na czerwono-złoto. Groźnie wyglądające metaliczne kolce biegły wzdłuż jego szyi i grzbietu ku grubemu lisiemu ogonowi. Stworzenie miało zagięte, czarne pazury jak grizzly, i to jeden z nich przekłuł but Maxa. Chłopiec jęknął, a stworzenie zebrało się do skoku i rzuciło na niego z oszałamiającym impetem, przewracając go na trawę. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że to ciężkie zwierzę leży mu na piersi. Miało pysk kilka centymetrów od jego twarzy. Stworzenie musnęło mu nos, a jego ogon zaczął drżeć jak u grzechotnika. Max wstrzymał oddech, kiedy mordercze szpony zwierzęcia wysunęły się i ścisnęły, wzmacniając uchwyt.

– Widzę, że poznałeś Nicka, a ja jeszcze nie poznałem ciebie.

Uśmiechnięta twarz Nolana była do góry nogami.

– Dzień dobry, panie Nolan. Nazywam się Max McDaniels. Um... Panie Nolan?

– Wystarczy samo „Nolan” – powiedział mężczyzna.

– Jak leci, Max?

– W porządku – odparł chłopiec, usiłując ostrożnie zdjąć sobie wielką łapę z gardła. – Nolan, czym właściwie jest Nick? Nie zdążyłem przeczytać jego plakietki.

– Nick to lymrill z Czarnego Lasu i mamy szczęście, że do nas trafił. Myśleliśmy, że jego gatunek zupełnie wymarł, aż jeden z naszych agentów trafił na niego w Niemczech.

– Um... Nolan? Jego szpony chyba wbijają mi się w skórę.

– Och, on jest tylko podekscytowany, mały! – zaśmiał się Nolan, klepiąc się w kolano. – Widać to po tym, jak merda ogonem. Lymrille to fascynujące stworzenia. Nigdy nie myślałem, że będę miał okazję jakiegoś zobaczyć. Max, wydaje mi się, że Nick cię wybrał. Gratulacje!

Max spojrzał na Nicka, który spłaszczyl kolce i schował pazury. Zaskakująco duży ciężar zsunął się z piersi Maxa i lymrill usiadł na trawie. Chłopiec rozmasował sobie pierś. W jego T-shircie były dziury i kilka kropelek krwi. Spojrzał z wyrzutem na Nicka, który teraz uciął sobie drzemkę.

Usłyszeli, jak w oddali Stary Tom wybił dziesiątą. Yaya wydała głęboki pomruk, podniosła się i powiedziała:

– Kiedy wywołam wasze imię, proszę wyjść z podopiecznym... Sara Amankwe.

Max patrzył, jak ładna czarnoskóra dziewczynka, którą zauważył w kuchni, wychodzi w towarzystwie dziwnego trójnogiego pawia. Stali przez kilka minut przed Yaya i panią Richter, a potem wyglądało, jakby Sara wzięła pióro i coś podpisała, po czym wróciła na swoje miejsce.

Po kolei wywoływani uczniowie stawali przed Yaya, żeby złożyć podpis. Zanim Max usłyszał swoje imię, miał wrażenie, że zaśnie tak jak Nick.

– Max McDaniels.

Spróbował obudzić Nicka, ale zwierzę ani drgnęło. Kiedy ponownie wywołano jego imię, Max wsunął dłonie pod lymrilla i wziął go na ręce jak niemowlę. Kiedy go niósł, kątem oka zauważył, że Nick wcale nie śpi i jest bardzo zadowolony. Maxowi zaczęło chodzić po głowie przezwisko dla Nicka, kiedy stanął przed Yaya. Ki-rin była wyższa od pani Richter. Max nie sięgał jej nawet do grzbietu. Jej oczy spojrzały na niego z góry, jak wielkie wypełnione mlekiem spodki. Max mocniej przycisnął do siebie Nicka.

– Maksie McDaniels, Nick wybrał sobie ciebie na strażnika i opiekuna. Czy masz coś przeciwko temu wyborowi?

Kiedy odpowiadał, jego głos zabrzmiał bardzo słabo.

– Nie.

– Złożenie podpisu w Księdze Sanktuarium – mówiła dalej Yaya – jest równoznaczne ze zobowiązaniem się do sprawowania opieki nad Nickiem i troszczenia się o niego najlepiej jak potrafisz. Wiedz, że troskliwa opieka zostanie doceniona, zaś konsekwencją braku wytrwałości będą opuszczenie i hańba. Czy przyjmujesz tego podopiecznego?

Max spojrzał na Nicka. Czuł pod swoją dłonią mocne bicie serca lymrilla, kiedy małe, wyczekujące oczy zwierzaka przyglądały się jego twarzy.

– Czy przyjmujesz tego podopiecznego? – powtórzyła cierpliwie Yaya.

– Tak – powiedział Max. – Zaopiekuję się Nickiem.

Pani Richter podała mu do podpisu bardzo starą księgę. Kiedy Max spojrział na postrzępiony pergamin, zobaczył, że słowa jego przysięgi zostały już wykaligrafowane czarnym atramentem. Na samym dole była wolna linijka, obok pieczęci Rowan. Max podpisał się, przestraszony pojawieniem się pod spodem daty. Pani Richter uśmiechnęła się i pokazała, żeby dołączył do reszty.

Pozostałe przysięgi poszły gładko, tylko Omar miał kłopoty. Miał pecha, gdyż wybrał go Tweedy, zając z gór, który zaczął się awanturować, że nie będzie wchodził w żaden układ z nieletnim. Zając poczuł się usatysfakcjonowany, dopiero kiedy pozwolono mu umoczyć łapkę w atramencie i również złożyć podpis w księdze. Omar przez cały czas wyglądał na przerażonego i pieczołowicie pucował okulary.

Kiedy wszyscy uczniowie złożyli przysięgę, Nolan i jego asystenci wręczyli każdemu granatową książeczkę. Max przeczytał srebrny napis na okładce: Lymrill: znana historia, zwyczaje i opieka. Właśnie miał ją otworzyć, kiedy Nolan wysłał uczniów na resztę poranka na zwiedzanie Sanktuarium. Dzieci rozbiegły się ze swoimi podopiecznymi na wszystkie strony. Max zobaczył, jak Connor goni Kyrę, faunkę, która popędziła do sosnowego boru. David i Maya nie ruszyli się. Ona nadal leżała mu na kolanach, a jej oczy były jak cieniutkie szparki ze złota. Lucia zabrała Garnkoryjka w stronę stawu, gdzie

czerwona żaba-byk szybko wskoczyła do wody. Orion zezwolił Rolfowi wsiąść na siebie i pomknęli w kierunku wydm.

Nick zatrzepotał ogonem i pognał w stronę drzew w pobliżu wrót Sanktuarium. Kiedy biegł, jego pazury rozkopywały ziemię.

Kiedy Max dotarł do krzaków, lymrilla nie było. Chłopiec rozcierał sobie ręce, kiedy spadły pierwsze krople i znad wzgórz dobiegł grzmot. Max wszedł pod duże, pochylone drzewo niedaleko osłoniętego gałęziami tunelu. Przez dziesięć minut chodził tam i z powrotem, wypatrując w otaczających go krzakach przebłysków rudej albo złotej barwy, nasłuchując charakterystycznego odgłosu uderzania ogona Nicka. Rozpadało się na dobre i Max kopnął stojące obok drzewo.

– To nie do wiary, że od razu pierwszego dnia zgubiłem podopiecznego!

Przestraszył go dobiegający z bliska głos.

– Jeżeli szukasz lymrilla, to jest tuż nad tobą.

Max odskoczył i spojrzał do góry, gdzie zobaczył Nicka przycupniętego na sękatej gałęzi. Kiedy chłopiec go zauważył, ogon zwierzaka zaczął podrygiwać, a jego grzechotanie było ledwo słyszalne na lekkim wietrze.

Max odwrócił się, żeby zlokalizować głos.

– Kto to powiedział?

– Ja.

Z tunelu wyczłapała tłusta gęś, a za nią tuzin gąsiątek, z których każde gęgało zaciekawione. Kiedy ich mijały,

gęś odwróciła się i pochyliła dziób.

– Jestem Hanna. Chętnie bym pogawędziła, ale jest pora karmienia, a jak są głodne, to zamieniają się w małych terrorystów. I spróbuj nauczyć swojego lymrilla, żeby trochę uważał z tymi pazurami!

– W porządku. Dzięki!

Gęś uniosła na pożegnanie skrzydło z białymi piórami i zapędziła swoje gąsiątka w stronę stawu.

Na Maxa zaczęły spadać skrawki kory. Chłopiec spojrzał do góry i zobaczył, że Nick ostrzy sobie pazury i przygląda mu się. Lymrill zniecierpliwiony ziewnął, po czym skoczył na wyższą gałąź i dalej obrzucał korą swojego opiekuna.

– No dobrze, już idę! – westchnął Max, po czym chwycił konar i podciągnął się. Za chwilę był tuż obok Nicka, który pomachał z radości ogonem. – Cześć – wysapał Max i wyszukał dla siebie kącik u nasady grubej gałęzi.

Nick wszedł mu na kolana i zwinął się w kulkę, po czym zabrał się za skubanie końcówki ogona. Jego kolce ułożyły się w gładki metaliczny szpic. W ciągu paru sekund zasnął, a z jego szerokiego czarnego nosa z każdym powolnym, miarowym oddechem dochodziło gwizdanie. Max wyciągnął pazur zahaczony o nogawkę jego spodni i spojrzał na Sanktuarium. Siedzenie na drzewie przypomniało mu o forcie w ogródku w Chicago. Patrzył na krople deszczu bębniące w liście na końcu gałęzi i wyobrażał sobie, jak śmiałyby się jego matka,

gdyby mogła go zobaczyć.

Ponieważ Nick leżał bez ruchu, Max oparł się wygodniej i otworzył książeczkę:

Lymrill (znany również jako Królotwórca lub Głupota Rolanda)

Mistyczny ssak mieszkający na drzewach i występujący w Europie Środkowej i Zachodniej. Można go rozpoznać po niewielkich rozmiarach, ostrych pazurach, grubym futrze i metalicznych kolcach, posiadających cenne właściwości.

Lymrille praktycznie wyginęły w wyniku polowań urządzanych w celu zdobycia ich futra przez królów i rycerzy, którzy wierzyli, że ze skóry stworzenia da się wypreparować zbroję i broń o niespotykanej wytrzymałości. Według legendy lymrill musi oddać swe kolce dobrowolnie, w przeciwnym wypadku po śmierci zwierzęcia futro traci właściwości, z których słynie. Ostatni znany okaz schwytał na Półwyspie Iberyjskim sławny wojownik Roland, który, pożądając magicznych właściwości stworzenia, przypadkiem je zgładził, chcąc jak najszybciej zdobyć kolce.

Lymrille to stworzenia inteligentne i wykazują umiejętność porozumiewania się z...

Max przestał czytać, kiedy usłyszał dobiegające spod drzewa głosy. Zerknął w dół i zobaczył, że z polany nadchodzi pani Richter na spotkanie przy wejściu do

tunelu z panną Awolowo, Nigelem i dwójką innych dorosłych. Pani Richter miała podekscytowany głos.

– Wiadomo coś nowego o Leesie?

– Wiemy, że dotarł na lotnisko – wymamrotał Nigel, odgarniając mokre włosy z czoła. – Wygląda na to, że nigdy nie wylądował. Isabelle twierdzi, że nie wysiadł z samolotu na Logan.

– A pozostali?

– Wszystko wskazuje na to, że już po nich, pani dyrektor. – Max wyteńczył wzrok i dojrzał młodą kobietę w szarym płaszczu i okularach. – Zniknęli krótko po tym, jak otworzyli listy. We wszystkich przypadkach zgłoszono zaginięcie.

Ton pani Richter był ostry i zdecydowany.

– Ile dokładnie dzieci zagięło, Ndidi?

– Mickey Lees, który zdał testy dwa tygodnie temu, i siedemnastu kandydatów, którzy jeszcze do nich nie przystąpili – odparła panna Awolowo. – Ostatni kandydat zniknął trzy dni temu w Limie.

– A ile obrazów skradziono, Hazel?

– Pięćdziesiąt dwa – powiedziała kobieta w płaszczu.
– Ale kradzieże wydają się dość przypadkowe. Nie możemy jednoznacznie stwierdzić, czy to sprawa Wroga.

– Joseph, czy mamy jakieś powody podejrzewać, że zdradził nas ktoś z wewnątrz? Jak wypadła ostatnia ocena okresowa Isabelle?

– Hm... zawsze jest taka możliwość, zawsze jest taka możliwość – odpowiedział starszy mężczyzna w

bordowym swetrze. – Ale chyba nie, Gabrielle. Isabelle nigdy nie była naszą największą chlubą, ale wiesz tak samo jak ja, że można jej ufać.

– Nigel – powiedziała pani Richter, odwracając się gwałtownie.

– Tak, pani dyrektor?

– Myślisz, że McDaniels wszystko ci opowiedział? Wszystko o tamtej kobiecie w jego domu? I wszystko o Vardze?

– Tak, tak mi się wydaje.

– Hm. I tak będą musiała z nim porozmawiać. Ale wierzę, że ty i Ndidi macie co do niego rację. To samo się tyczy Davida Menlo. Co to znaczy – nie wiadomo. Jednak te zaginione dzieci to sprawa, która wymaga czegoś więcej niż dywagacji. Nie róbcie żadnych pochopnych założeń ani w kwestii dzieci, ani w kwestii obrazów! Jutro rano chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej.

Pani Richter odwróciła się i ruszyła w stronę Chatki Rozgrzewania, podczas gdy pozostali zniknęli w tunelu z krzewów. Max przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami, jak pani dyrektor idzie szybkim krokiem po polance.

– Nick, coś tu jest bardzo nie tak.

PEŁNY DOM

Po powrocie do Domostwa pierwszy rok podzielono na pięć grup. Grupę Maxa skierowano na górę do Biblioteki Bacona, gdzie przemoczone dzieci stłoczyły się przy kominku. Biblioteka znajdowała się na drugim piętrze i jej okna wychodziły na południe, na duże boisko lekkoatletyczne. Odwróciwszy się od okna, Max przyjrzał się rzędom książek, podzielonych na działy poświęcone filozofii, sztuce i literaturze. Były ich tysiące.

Podczas gdy większość jego kolegów i koleżanek przemokła do suchej nitki, ubranie Maxa było tylko wilgotne. Wraz z Nickiem zostali na drzewie, aż usłyszeli, że Stary Tom wybija godzinę. Uczniowie zostawili swoich nowych podopiecznych z Nolanem, po czym popędzili przez wrota, uciekając przed deszczem – zaczęło lać jak z cebra.

Drzwi do biblioteki otworzyły się i weszła młoda kobieta i starszy mężczyzna, których Max widział, jak rozmawiali z panią Richter. Mężczyzna miał cierpliwą twarz, grube okulary i przystrzyżoną siwą brodę. Kobieta była znacznie młodsza. Miała krótkie brązowe włosy i nosiła małe prostokątne okulary. Była ładna, ale miała bardzo poważną i uczoną minę. Zaczęła przeglądać stertę papierów.

– W porządku dzieci, zbierzcie się wokół mnie – powiedział mężczyzna, podnosząc wzrok.

Uczniowie niechętnie odeszli od ognia i usiedli bliżej. David miał ataki kaszlu i pocierał nos.

– Czy ty jesteś David? – zapytał mężczyzna.

Chłopiec przytaknął.

– Może lepiej zostań przy kominku – powiedział mężczyzna z przyjaznym uśmiechem, po czym zwrócił się do reszty grupy. – Witajcie. Nazywam się Joseph Vincenti, a to jest Hazel Boon. Wśród wykładowców ja jestem dyrektorem Instytutu Urządzeń, a panna Boon młodszym nauczycielem mistyki.

Max rzucił okiem na pannę Boon; jej nazwisko brzmiało znajomo. Nagle przypomniał sobie, jak Nigel wspominał, że to ona pobiła rekord w gaszeniu płomieni podczas testu kandydackiego. Siedziała cierpliwie z założonymi rękami.

– Jako wasi opiekunowie naukowci będziemy czuwać, żebyście robili planowe postępy. Będziemy sprawować nad wami opiekę naukową do końca trzeciego roku, kiedy wybierzeecie sobie specjalizację. Wtedy zostaną wam przydzieleni opiekunowie w ramach waszych specjalności. Panno Boon?

Panna Boon podniosła wzrok i Max z niepokojem zauważył, że miała tęczówki różnych kolorów – jedna była brązowa, druga jaskrawobłękitna. Przyjrzała się uczniom z posępną miną. Max wzdrygnął się, kiedy jej spojrzenie zatrzymało się na nim.

– Witam. Czuję się zaszczycona wyborem na waszego opiekuna. Jesteście moją pierwszą klasą. Egzaminatorzy byli wami zachwyceni i w związku z tym spodziewam się po was świetnych rezultatów. Jednak świetne rezultaty wymagają porządnej pracy, więc bez dalszych ceregieli, pozwólcie, że przedstawię wam wasze rozkłady zajęć.

Okrażając stół, panna Boon rozdała zafoliowane kartki. Max pokręcił z niedowierzaniem głową. W pomieszczeniu przez piętnaście minut panowała prawie zupełna cisza, kiedy uczniowie czytali swoje plany zajęć, mamrocząc pod nosem i wciągając z wrażenia powietrze. Pierwsza podniosła rękę Cynthia.

– Czy ja dobrze przeczytałam? Tu jest napisane, że mój dzień zaczyna się o wpół do siódmej rano i że mam dziesięć lekcji oprócz opieki nad podopiecznym.

– Zgadza się – odparła panna Boon, podchodząc do kominka, żeby rozniecić ogień. – Rowan ma napięty program zajęć, a niektóre zajęcia, jak wychowanie fizyczne, języki i mistyka, muszą się odbywać codziennie.

Max patrzył na stół, podczas gdy panna Boon i pan Vincenti odpowiadali bądź unikali odpowiedzi na pytania o stopnie, sale, nagrody klasowe i przybory szkolne. Dla Maxa jedynym promykiem nadziei była wzmianka, że w Rowan nie było godziny, o której wszyscy muszą iść spać, ale jego radość skończyła się, kiedy zrozumiał, że i tak cały wolny czas będzie poświęcał na naukę. Potem panna Boon ich wypuściła, dając im do kolacji czas na oglądanie

Domostwa i okolic.

Max poszedł sztywnym krokiem do swojego pokoju i rzucił plan zajęć na łóżko. Po zejściu na dół namoczył ręcznik przy swojej toalecie i oczyścił włosy z żelu i lakieru. Kopuła z nieboskłonem była ciemniejsza a konstelacje bardziej jaskrawe niż rano.

Na kolację była zupa i kanapki, gdyż Mamuśka i Bob byli zajęci przygotowaniami do zaplanowanej na następny wieczór uczy. W jadalni było ciemno, światło dochodziło tylko ze świec na jednym z żyrandoli, a za oknami słychać było grzmoty. Max zobaczył Nigela, który schodził szybkim krokiem po schodach w towarzystwie kilku osób, po czym wszyscy zniknęli w jednym z pokoi. Dziewczynki siedziały przy swoim stole, rzucając gniewne spojrzenia na Jessego, który głośno oznajmił, że to chłopcy zgarną nagrody klasowe. Max poczuł klepięcie i przestraszył się na widok stojącej za nim Mamuśki.

– Telefon do ciebie, słonko. W kuchni.

– O! Dziękuję, Mamuśko – powiedział Max, po czym wstał od stołu i poszedł za nią przez wahadłowe drzwi.

Bob stał pochylony nad olbrzymią tacą ciastek, zdobiąc delikatnymi wężykami lukru czekoladowe biszkopeciki. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Maxa, a krzywy uśmiech złagodził jego ostre rysy.

– Chyba ktoś do ciebie dzwoni – powiedział.

– Już o tym wie, ty tłumoku! Jak ci się wydaje, po co

tu przyszedł? – syknęła Mamuśka i podbiegła do telefonu na przeciwległej ścianie. Zaczęła mówić do słuchawki urywanymi zdaniami i aroganckim tonem.

– Tak, proszę szanownego pana, powiadomiliśmy pana McDanielsa, proszę pana. Jego przybycie nastąpi niebawem.

– Mamuśka... – pogroził jej Bob, odwracając się od biszkopcików.

Wiedźma zasłoniła słuchawkę dłonią i zaczęła podskakiwać, robiąc przy tym przerażające miny. Bob westchnął i odwrócił się, żeby zmieszać kolejną porcję lukru. Max sięgnął po słuchawkę, ale Mamuśka odskoczyła poza zasięg jego dłoni.

– Już jestem, proszę pana. Mam wrażenie, że słyszę, jak nadchodzi, proszę pana. Właśnie delektowałem się koktajlem na werandzie...

Max wyrwał jej słuchawkę. Głos jego taty zagrzmiął po drugiej stronie.

– ... w takim razie bardzo dziękuję.

– Tato!

– Cześć, Max! Myślałem, że jeszcze rozmawiam z recepcjonistką. Jest bardzo... profesjonalna.

– Tak, jest super – wymamrotał Max, a Mamuśka zaklaskała w dłonie i zachichotała. Przeleciała obok niego, wrzuciła sobie na plecy tuszę wołową i zniknęła w pomieszczeniu obok.

– Właśnie wróciłem z kolejnego wyjazdu do Kansas City – powiedział ojciec. – Z powrotem w domu, z

powrotem w domu, jak zwykła mawiać twoja mama. Jak się masz? Jak leci?

– Wszystko... w porządku. – Max stanął twarzą do ściany i przejechał palcem po rysie w murze.

– Co się dzieje, mały?

– Nic. Tylko... wygląda na to, że będzie naprawdę ciężko. I tęsknię za tobą.

Max mocno zacisnął oczy. Po drugiej stronie było przez dłuższą chwilę cicho.

– Ja też za tobą tęsknię.

Max poczuł nagle pragnienie powrotu do domu. Chciał leżeć na plecach w formie ze stopami opartymi o sufit i przez całe popołudnie szkicować.

– Tato, myślisz, że jest już za późno na powrót do domu?

– Nie – powiedział pan McDaniels. – Nie jest za późno, ale nie o to chodzi. Chodzi o zobowiązanie, które podjąłeś. Dokonałeś wyboru, trudnego wyboru, i jestem bardzo dumny z tego, że zachowałeś się jak mężczyzna. Pierwsze parę tygodni będzie ciężkie, ale wierzę, że sobie poradzisz. Jeżeli nie będziesz znosił tamtego miejsca, to w przyszłym roku możesz wrócić do szkoły tutaj.

Max kiwnął głową, a potem zdał sobie sprawę, że ojciec go nie widzi. Usłyszał za sobą nagłą szep, odwrócił się i zobaczył Lucię, która stała w drzwiach i go wołała.

– Max, musisz przyjść – powiedziała. – Rozdają nam książki i mundurki.

Potem zniknęła za wahadłowymi drzwiami.

– Tato, muszę iść. Rozdają książki i inne rzeczy.

– W porządku. Bądź dzielnym chłopcem i daj z siebie wszystko – dla mnie i dla mamy.

– Dobrze – powiedział szybko Max. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham, mały. Zadzwoń za parę dni.

Max odwiesił słuchawkę i obszedł długą wyspę kuchenną, kierując się do drzwi. Kiedy był przy wyjściu, poczuł olbrzymią łapę Boba na ramieniu. Ogr pokazał mu specjalnie przystrojone ciastko. Napis z lukru: WITAJ, MAX wykonany był pięknym, delikatnym charakterem pisma. Bob mrugnął, położył mu smakołyk na dłoni i lekko pchnął Maxa do wyjścia.

Następnego ranka chłopiec zatrzymał się przed salą 301, kiedy usłyszał dobiegający z łazienki śmiech.

– Stary, chyba robisz sobie ze mnie jaja! – powiedział głęboki głos z mocnym południowym akcentem.

W odpowiedzi głos Jimmy'ego zarechotał coś, czego nie dało się zrozumieć. Max powoli otworzył drzwi. Jimmy siedział na umywalce i machał nogami, rozmawiając ze starszym chłopcem w ręczniku i klapkach. Kiedy Max wszedł, odwrócili się.

– To jeden z nich! – ryknął Jimmy, po czym zeskoczył z umywalki i podszedł nierównym krokiem do Maxa, który wycofał się i oparł o drzwi. – To jeden z tych niewdzięcznych złodziejasków!

Jimmy z purpurową twarzą natarł na Maxa, ale

atletycznie zbudowany blondyn zatrzymał go, nachylając się, żeby położyć dłonie na ramionach Jimmy'ego. Max odetchnął z ulgą.

– Hej, Jimmy – zaciągnął blondyn. – Spokojnie. Spokojnie, stary.

Pierś Jimmy'ego falowała, kiedy malutki mężczyzna spiorunował wzrokiem Maxa i dźgnął go oskarżycielsko palcem.

– Ten kot kazał sobie usługiwać! Nalegał, żeby stary Jimmy go wypięknął dla pań! Powiedziałem mu, że jestem zajęty, a on błagał o ździebko moich dobrodziejstw! I czy ma chociaż na tyle uczciwości, żeby mi porządnie podziękować? Nigdy w życiu! Żaden z nich nie dał mi podarunku!

Blondyn odwrócił się; nadal trzymał mocno Jimmy'ego za ramiona.

– Czy to prawda? – zapytał Maxa.

Max zaczerwienił się.

– Nie wiedziałem! Prze-przepraszam!

Starszy chłopiec mrugnął do niego.

– No dobrze, Jimmy – powiedział. – Zostaw go mnie. Już ja się nim dla ciebie zajmę.

Jimmy nagle się wystraszył, spoglądając z niepokojem to na Maxa, to na starszego chłopca.

– Tylko obiecaj, że nie zrobisz mu krzywdy, Jason! – poprosił. – To w końcu tylko kijanka!

Jason zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Znasz moje metody, Jimmy.

– Nie waż się go tknąć! – ryknął Jimmy. – Jeżeli coś mu zrobisz, to będziesz miał do czynienia ze mną!

Jason wypuścił Jimmy'ego i podniósł ręce w obronnym geście.

– Już dobrze, dobrze. Puszczę go.

Jimmy prychnął, po czym minął go i wziął Maxa na stronę.

– Szósty rok – wyszeptał. – Wydaje im się, że to ich szkoła. Jak będzie ci zawracał głowę, to daj mi znać, dobra?

Max podniósł brwi i przytaknął, zerkając nad małym człowieczkiem na uśmiechniętego chłopca. Jimmy poklepał go po ramieniu, potem poszedł przynieść mop z drugiego końca łazienki. Jason wyciągnął rękę do Maxa.

– Cześć, stary, nazywam się Jason Barrett. Ty jesteś pewnie jednym z nowych uczniów.

– Tak – odparł Max, ściskając mu dłoń. – Nazywam się Max McDaniels.

– Fajnie cię poznać, Max. Witaj w Rowan.

Zerkając Maxowi przez ramię, Jason obniżył głos.

– Posłuchaj, Max – powiedział. – Jimmy robi dużo szumu, ale faktycznie trzeba dać mu jakiś prezent, jeżeli coś dla was zrobi. To nie musi być nic specjalnego. Właściwie wszystko się nadaje: kawałek gumy do żucia, pół bajgla, znaczek pocztowy, cokolwiek. On po prostu chce, żeby ktoś o nim pomyślał, rozumiesz?

Max spojrzał na Jimmy'ego niepewnie, a Jason mówił

dalej już mniej poważnym tonem.

– Na szczęście nie będziesz miał zbyt wielu okazji, żeby zawracać sobie głowę Jimmym. Widzisz, to tutaj to najbardziej odstawiona łazienka ze wszystkich łazienek chłopców w Rowan. Jest w pewnym sensie zarezerwowana dla piątego i szóstego roku. Młodszy uczniowie korzystają z tej w sali 101. – Jason poklepał Maxa po ramieniu i skierował go delikatnie w stronę drzwi. – Początki są ciężkie, Max. Za to będziecie mieli na co czekać!

Na zewnątrz stało z przejętymi minami kilku jego kolegów z roku.

– Słyszeliśmy krzyki Jimmy'ego – wyszeptał Omar. – Wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest. Ale chyba będziemy musieli korzystać z innej łazienki. Sala 101. Ta jest dla piątego i szóstego roku.

– To absurd – wymamrotał Jesse, ruszając do drzwi. – Ta łazienka jest na naszym piętrze.

Jesse wtargnął do środka. Pozostali siedzieli cicho, podskakując na dźwięk ryku Jimmy'ego z łazienki.

– Następny! Z drogi, Jason, ja się nim zajmę!

Jesse wybiegł z wrzaskiem na korytarz, zatrzasnął za sobą drzwi i oparł się o nie z całej siły. Zerknąwszy na pozostałych, popędził w stronę schodów.

– Max, mówiłeś, że to sala 101?

Sala 101 była małym, obskurnym pomieszczeniem z

tuzinem szarych kabin, toalet i umywalek. W zakurzonej wannie w świetle gołej żarówki zwisającej z zagrzybionego sufitu leżał martwy pająk. Wzdłuż ścian stały zardzewiałe szafki. Rolf odsłonił zasłonę prysznica, wsadził głowę do kabiny i szybko odwrócił się do pozostałych.

– Ja wchodzę drugi – oznajmił.

– Uwielbiałem tamtą łazienkę – powiedział Connor i pociągnął nosem, minął Rolfa i odkręcił kurek.

Kiedy chłopcy wyszli z łazienki, Domostwo tętniło życiem. Na korytarzach pobrzmiwały okrzyki powitań. Słysząc było nieustanny łoskot wnoszonego bagażu i trzaskanie drzwiami. Na korytarzu Maxa było pełno walizek i worków, a uczniowie drugiego roku kręcili się, witali kolegów i porównywali rozkłady zajęć. Jednak kiedy Max i inni pojawili się tam, rozmowy nagle ucichły.

– O, nie – wyszeptał Connor, kiedy odezwały się pierwsze krzyki.

– Kijanki! Kijanki!

Pierwszy rok czekała na drodze do swoich pokoi ścieżka zdrowia – uczniowie biegli między starszymi kolegami, którzy wrzeszczeli i rzucali w nich zwitkami taśmy do pakowania, a wszędzie latały drobne przedmioty.

Max dał nura do pokoju, a kawałki kartonu i zwiniętej taśmy wleciały za nim. David był na górze, siedział na podłodze oparty o łóżko.

– Przeróżające, co nie? – powiedział. – Poszedłem zrobić siku, a oni mnie tu zagonili. – Po czym dodał po zastanowieniu: – Zapomniałem, że dalej mi się chce.

– To jeszcze nic – wysapał Max. – Mnie dziś rano prawie zabił Jimmy, zanim ktoś z szóstego roku nie powiedział mi, że mamy korzystać z łazienki w sali 101.

– Dlaczego?

– Zrozumiesz, kiedy zobaczysz salę 101 – westchnął Max, padając na łóżko.

* * *

Po przejściu przez tętniący życiem kampus Max i David wyszli z tunelu do Sanktuarium w samą porę, żeby zobaczyć stado lśniących czarnych koni dudniących kopytami po łące. Na koniach jechała na oklep grupka starszych chłopców i dziewcząt, którzy śmiali się i krzyczeli do siebie, omijając galopem staw i kierując się w stronę wydm. Kilkoro uczniów siedziało pod palmami i rzucało żywe ryby parze olbrzymich fok, które przypełzły z wody na piaszczystą plażę.

– Chcesz mi pomóc nakarmić Mayę? – zapytał David.

– Nie powinno być tak źle, je tylko melony, orzechy i trawę.

– Nic z tego – powiedział Max. – Muszę nakarmić dziś wieczorem Nicka i nawet nie wiem, co je. Powiniennem poczytać tę książeczkę. Jak zrobię coś nie tak, to Yaya pewnie zje mnie.

Max wyciągnął z kieszeni broszurkę o lymrillu, pomachał Davidowi na do widzenia i ruszył w stronę stawu. Fok nie było, ale zobaczył Garnkoryjka i Lucię opalających się pod palmą. Pomachał i przeszedł na drugą stronę, po czym usiadł na nisko położonym trawiastym skrawku usianym małymi białymi kwiatami. Przez chwilę leżał tylko na plecach i patrzył na przemykające nad nim chmury. Ściągnął koszulę i buty i leżał na bosaka. Kiedy zamknął oczy, poczuł, że słońce ogrzewa mu twarz. Niedługo potem twardo spał i śnił dziwny sen, w którym jego ojciec prawnie uznał śmierć matki, żeby móc ożenić się z Mamušką, która zaraz potem zrobiła z niego opiekankę.

Wyrwało go ze snu jakieś uderzenie. Otworzył oczy i zobaczył, że leży ściśnięty między dwoma lśniącymi pofałdowanymi cielskami. Wrzasnął i skoczył wysoko w powietrze, a potem uciekł od dwóch sześciometrowych fok, które przypełzły, gdy spał, i ułożyły się z obu jego stron. Usłyszał chichot, a kiedy się obejrzał, zobaczył dziewczynkę robiącą zdjęcia. Opuściła aparat i odsłoniła najładniejszą buzię, jaką kiedykolwiek widział, z jasnoniebieskimi oczami i bladymi piegami na spieczonych policzkach, buzię okoloną długimi brązowymi włosami.

Max był przerażony.

– Mam cię! – dziewczynka zapiszczała z zachwytem. – Zastanawiałam się, kiedy się obudzisz! To na pewno trafi do gazetki. I pewnie też do albumu absolwentów.

– Okropne, Julie. Wstydź się – skarciła ją jedna z fok, przewracając się na bok. – Nas troje tak smacznie drzemać, teraz.

– Och, nie mogłam się powstrzymać – powiedziała dziewczynka ze wzruszeniem ramion. Max mrugał oczami w niemym osłupieniu. – Jak często trafia się na pierwszorocznika między dwoma selkie podczas porannej drzemki?

– Przeprosić powinnaś – syknęła druga foka i drgnęła oburzona.

– No dobrze... Przepraszam... ee... Jak masz na imię?
– Urwała i podniosła wyczekująco brwi.

– Max. Max McDaniels. Nie ma sprawy. Po prostu się przestraszyłem. – Odwrócił się i podniósł rękę do obu fok, które teraz do niego mrugały. – Przepraszam.

– Zrozumiałe – zamruczała selkie. – Spałeś. My cię straszymy. Ja jestem Helga, a to moja siostra, Frigga. Selkie ze Skandynawii. Wyglądało ci tak wygodnie, pomyślimy: przyłączymy się, opalimy sadło. – Uderzyła z głośnym płaskiem płetwami w brzuch.

– A ja nazywam się Julie Teller – przedstawiła się dziewczynka, odkładając aparat. – Jestem mistykiem pierwszego stopnia i głównym fotografem gazetki. Jestem na trzecim roku – dodała, widząc dezorientację na twarzy Maxa. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiedział tylko, że chce, żeby dalej mówiła.

– Czy zgadzasz się, żebym umieściła to w gazetce? – zapytała.

– No... pewnie. Chyba tak – powiedział Max, sięgając po koszulę, gdyż nagle poczuł się bardzo młody i cherlawy.

– Dzięki – odparła pogodnie. – Skąd jesteś?

– Z Chicago.

– O! Fajne miasto. Byłam tam parę lat temu na wycieczce z rodziną. Ja jestem z Melbourne.

Max gapił się na nią oniemiały.

– To w Australii – dodała.

Max przytaknął, czując się jak idiota. Przez chwilę tylko się sobie przyglądali.

– No cóż – zaświergotała Julie. – Mam już swoje poranne zdjęcie. Miło mi było cię poznać, Max. Do zobaczenia.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, Julie szybko ruszyła w stronę tunelu z krzaków, po drodze zatrzymując się, żeby pozdrowić gęś Hannę, która człapała ze swoimi gąsiątkami w stronę Maxa. Uwagę chłopca odwrócił odgłos uderzenia o ziemię.

– Idę zjeść. Miło było poznać, Max – wymruczała Frigga, odwróciła się i potelepała ku wodzie.

– Frigga! – krzyknęła Helga, pełznąc za siostrą. – My godzinę temu karmione. Musi przestać. Zrobi się wielka!

Obie foki zaczęły się przerzucać serią wściekłych foczych warknięć, po czym zniknęły bez śladu pod wodą. Max poczuł skubnięcie w łydkę, a kiedy się odwrócił, zobaczył stłoczone dokoła gąsiątka Hanny i ich mamę.

– Witam raz jeszcze – powiedziała Hanna

podenerwowanym tonem. – Po Sanktuarium chodzą słuchy, że masz chwilę na opiekę nad małymi. Czy to prawda?

– O! No cóż, chyba tak – powiedział Max. – Lymrille prowadzą nocny tryb życia i...

– Cudownie! Muszę sobie porządnie napuszyć pióra, a jedna z driad zaoferowała, że robi to za pół darmo. Mógłbyś ich przypilnować przez parę godzin?

Hanna odwróciła się i wskazała skrzydłem gąski, które gęgały i wpadały jedna na drugą.

– To są: Susie, Bobbie, Willie, Millie, Hank, Honk, Nina, Tina, Macy, Lillian, Mac i Mały Ray. Gąsiątka, macie się zachowywać przy Maksie. Zaraz wrócę, skarbie.

Musnąwszy w podzięce nogę chłopca skrzydłem, Hanna poczłapała do lasu. Max wiódł za nią bezradnie wzrokiem, podczas gdy gąsiątka wskakiwały mu na stopy i dziobały go w golenie ostrymi, małymi dziobami.

Spędził z gąskami dwie godziny. Położył się na trawie i pozwolił im na siebie wskakiwać i po sobie chodzić, jednocześnie bez skutku usiłując przeczytać broszurkę. Co pół godziny zabierał je do stawu, brodził obok nich i się z nimi bawił, podczas gdy gąsiątka robiły między trzcunami radosne małe kółka. Woda była ciepła, ale co kilka sekund Max czuł, jak z głębi dochodzi silny, chłodny prąd. Starsi uczniowie machali i śmiali się na widok chłopca zatrudnionego do opieki nad małymi. Gąsiątka wymagały ciągłej uwagi i Max z ulgą powitał powrót Hanny.

– Czuję się jak zupełnie nowa gęś! – oznajmiła, kiedy gąsiątka zaczęły się kręcić wokół mamy. – Hm. Wygląda na to, że ktoś tu pozyskał kilkoro nowych wielbicieli. Dziękuję ci, Max, jesteś kochany. Małe byłyby zachwycone, gdybyś nas co jakiś czas odwiedził. Mieszkamy w małym gnieździe przy sadzie, tuż za drzewem rocznika 1840. Wpadaj, kiedy chcesz.

– Pewnie – odrzekł Max, zabierając broszurkę. Pożegnał się i ruszył w stronę tunelu z krzaków. Jedna z małych gąsek (Maxowi wydawało się, że to może być Lillian) podreptała za nim i Hanna musiała zagonić ją z powrotem do reszty.

Tego wieczoru setki uczniów wlały się do wielkiej jadalni, która teraz mieniła się złotem od światła wielu długich cienkich świec zapalonych na żyrandolach. Max bawił się krawatem, kiedy wraz z resztą kolegów i koleżanek z roku został skierowany do przystrojonych polnymi kwiatami stołów, na których stały kryształowe kieliszki i sztuce z rączkami z rogu. Dorosłe fauny z kręconymi włosami grały na lirach, muzyka była dziwna i kojąca, a uczniów przybywało.

Siedzący między Cynthią i Ludą Max obserwował otaczające go twarze. Przy świetle świec i w regulaminowych mundurkach uczniowie wyglądali na znacznie starszych. Max zauważył po drugiej stronie sali siedzącego z resztą szóstego roku Jasona Barretta, który rozmawiał z dziewczyną po swojej prawej stronie. Pani

Richter i pozostali wykładowcy siedzieli w niebieskich togach przy głównym stole. Byli pogrążeni w cichej rozmowie, co jakiś czas witając skinieniem starszego ucznia albo spoglądając ciekawie na nowo przybyłych. Muzyka łagodnie dobiegła końca i pani Richter wstała, żeby rozpocząć przemowę głosem czystym i mocnym.

– Proszę wstać.

Max spojrzał na innych i wstał, niepewny, co będzie dalej. Głos pani Richter rozniósł się po sali.

– To jest Dom Nauki, a dziś mamy Dzień Powrotu, kiedy nauczyciel i uczeń odnawiają swoje więzy i ponownie podejmują wspólną wędrówkę.

Wykładowcy i uczniowie wzniesli kieliszki w niemym toaście. Pani Richter mówiła dalej.

– To jest Dom Nauki, a dziś jest Dzień Pamięci, kiedy zbieramy się, żeby uczcić naszą przeszłość, przyjmując zarówno jej radości, jak i smutki.

Ponownie wzniesiono kieliszki.

– To jest Dom Nauki, a dziś jest Dzień Odnowy, kiedy Rowan wita uczniów nowego roku, którzy wnoszą ze sobą do naszej szkoły życie i nadzieję.

Max podskoczył, kiedy cała sala zatrzęsła się od chóru głosów.

– Witamy ich z otwartymi ramionami. Pomożemy im w wędrówce.

Uczniowie i wykładowcy wzniesli kieliszki w stronę stołów pierwszego roku i szybko wypili zawartość. Lucia zrobiła tak samo, ale Max zmarszczył nos i wypił

ostrożnie tylko łyk wina.

Pani Richter usiadła. Jadalnia zadudniła od chóru żywiołowych rozmów, kiedy tuziny uczniów wylały się z kuchni z ciężkimi srebrnymi tacami.

Uczta była niesamowita. Wkrótce cały stół był zasłuchany w opowieść Cynthii o otrzymaniu listu z Rowan. Donośnym głosem, z towarzyszeniem dramatycznych gestów Cynthia odtworzyła scenę wizyty w oceanarium, gdzie ławica tropikalnych ryb zaczęła zakreślać hipnotyczne wzory. Po konkluzji, że to wszystko było „zdrowo pokręcone”, Cynthia oddała głos koleżankom i kolegom, którzy zaczęli się dzielić swoimi historiami. Max nie opowiedział swojej, zamiast tego delektując się pieczenią z bażanta, już napchany dzikim ryżem, miniaturowymi kotlecikami jagnięcymi, górami świeżych warzyw i małymi porcjami różnych słodczy i czekoladek. Co jakiś czas starsi uczniowie i wykładowcy podchodzili do ich stołu szybko się przywitać między daniami. Na koniec posiłku jadalnię wypełniła wielka wrzawa.

Max uśmiechnął się, kiedy grupka uczniów wyciągnęła z kuchni Mamuskę i Boba, od których zażądano, żeby przyjęli podziękowania za swoje wysiłki. Bob, w wykrochmalonej niebieskiej koszuli i czystym białym fartuchu, pośpiesznie otarł łzę i pomachał, a potem wymknął się przez wahadłowe drzwi. Mamuska kręciła się wte i wewte, klaskała i co chwilę teatralnie dygała, aż ci sami uczniowie dyplomatycznie, acz zdecydowanie,

odprowadzili ją z powrotem. Wywołało to ostatnią falę donośnego aplauzu, aż pani Richter zadzwoniła łyżeczką o kieliszek i ponownie wstała. Jej sylwetka w świetle świecy rzucała ogromny cień na ścianę. Na twarzy pani dyrektor pojawił się uśmiech.

– Uczniowie, witajcie w domu. Jako dyrektor, ogłaszam oficjalne rozpoczęcie roku szkolnego!

Studenci wznieśli hałaśliwy wiwat, któremu towarzyszyło entuzjastyczne uderzanie w stoły i tupanie wielu nóg. Max tupał razem z resztą, kiedy kilku uczniów drugiego roku podeszło i usiadło przy ich stole.

– Cześć – powiedział chłopiec o oliwkowej cerze i kruczoczarnych włosach. – Nazywam się Alex Muñoz.

– A ja jestem Anna Lundgren – powiedziała ładna dziewczynka z krótkimi blond włosami.

– Cześć wszystkim. Sasza Iwanowicz – przedstawił się kudłaty chłopiec z brązowymi włosami.

Kilku uczniów z pierwszego roku przywitało się z entuzjazmem, kończąc resztę słodyczy. Jesse wyraźnie źle się czuł, jęczał, trzymając się za brzuch i opierał się o Omara.

– Podekscytowani nocną wyprawą? – spytał szeptem Alex, nawijając sobie na palec łydę polnego kwiatu.

– Jaką wyprawą? – zapytała Cynthia, odsuwając swój talerz.

– Tą dzisiaj wieczorem – wyjaśniła Anna – na „Pustułkę”. Nikt wam nie mówił?

– Nie – powiedział Connor, nachylając się bliżej. – A

o co chodzi?

– To taka tradycja pierwszego roku, żeby się zintegrować – odparł Sasza. – Uczniowie pierwszego roku wykradają się i spędzają noc na „Pustułce”. Wyjście o północy, powrót o świcie.

– Czy to nie jest niezgodne z regulaminem? – zapytał Omar z wielkimi oczami.

– I tak, i nie – odparł Alex. – Według regulaminu na „Pustułkę” nie ma wstępu, ale ten zwyczaj panuje już od bardzo dawna. Jeżeli tylko zachowacie ostrożność i będziecie cicho, wykładowcy przymkną na to oko.

– Sama nie wiem – wymamrotała zdenerwowana Cynthia.

– Jak sobie chcecie – powiedziała Anna, wzruszając ramionami.

– W zeszłym roku było świetnie. Ale skoro wolicie być pierwszym rokiem, który tego nie zrobi...

– Tego nie powiedzieliśmy – rzucił Connor z błyskiem z oku. – No, dalej, zrobmy to. Będzie fajnie.

Uśmiech Connora był zaraźliwy i wkrótce pozostali też się uśmiechali. Spojrzeli po sobie i przytaknęli.

– No dobrze – wymamrotał Rolf. – Ja przyniosę coś na ząb.

– Ja mam radio – dodała Lucia.

– Niech każdy weźmie ze sobą śpiwór albo jakiś koc, poduszkę i jeżeli macie, to latarki – wyszeptał Connor. – Przekażcie pozostałym stołom. Spotykamy się o północy przy schodkach na plażę. Wychodźcie pojedynczo albo

dwójkami i nie dajcie się złapać! – Zwrócił się do Alexa i Anny i mówił dalej: – Da się tak po prostu wejść na pokład „Pustułki”? Nie jest na przykład zamknięta?

– Nie – odparł Alex. – Musicie tylko przedostać się po cichu na nabrzeże i wejść po wiszącej z boku drabince. To naprawdę wspaniałe statek, a dzisiaj jest dość ciepło. Macie szczęście; podczas naszej wyprawy w zeszłym roku padało.

– Ale i tak było świetnie! – zaświergotała Anna, uśmiechnęła się i wstała. – Miło mi było was poznać. Nie mogę się doczekać waszych opowieści jutro. – Ona i pozostali wrócili do stołu drugiego roku.

Max był podekscytowany perspektywą tajnej wyprawy. Przez kilka minut snuł plany z resztą grupy, kiedy zobaczył, że prosto do niego od stołu wykładowców idzie pan Vincenti.

– Nie chcę wam przeszkadzać – zaczął z uśmiechem starszy pan. – Max, mógłbym z tobą porozmawiać?

– Oczywiście – odparł Max, przestraszony, że ktoś podsłuchiwał ich plan.

Pan Vincenti wziął go na stronę i zaprowadził do pobliskiego słupa.

– Max, pani dyrektor chciałaby z tobą porozmawiać – powiedział – o pewnych wydarzeniach... wydarzeniach, które miały miejsce przed twoim przybyciem do Rowan.

– Aha – odparł Max. – Ale ja muszę iść do Sanktuarium. Mój podopieczny prowadzi nocny tryb życia.

– To jest ważniejsze – powiedział pan Vincenti. – Dopilnuję, żeby ktoś się zajął twoim podopiecznym. A teraz idź. Pani dyrektor na ciebie czeka.

* * *

Gabinet pani Richter znajdował się przy samym wejściu do szkoły, na początku korytarza obwieszonych połyskującymi portretami poprzednich dyrektorów. Drzwi były lekko uchylone, wpuszczając do korytarza promień ciepłego, żółtego światła. Kiedy Max pukał, serce mu łomotało.

– Proszę.

Chłopiec wszedł i zobaczył, jak pani Richter wiesza swoją niebieską togę. Nadal była w eleganckim kostiumie, choć zdjęła buty i stała w pończochach. Uśmiechnęła się do Maxa zmęczona i pokazała na fotel z wypolerowanego drewna po drugiej stronie olbrzymiego biurka. Max był zaskoczony skromnością gabinetu. Oprócz biurka stały w nim mała kanapa, stolik i kilka krzeseł. Oszklone drzwi prowadziły do ogródków obok sadu. W kącie był niewielki kominek, zimny i cichy.

Max usiadł, a pani Richter ułożyła w kryształowej wazie polne kwiaty z uczty. Usiadła na skórzanym fotelu i nachyliła się, żeby wyciągnąć dłoń, a kiedy spojrzała na Maxa jasnymi, srebrzystymi oczami, chłopiec spał się. Jej dłoń była ciepła, sucha i silna.

– Witaj, Max. Miło mi cię poznać i porozmawiać z

tobą na osobności.

– Mnie też miło panią poznać – odparł.

Pani Richter oparła łokcie o biurko, a w jej wzroku była śmiertelna powaga.

– Max, to niedopuszczalne, żeby Wróg wiedział, kim jesteś i gdzie cię można znaleźć. Reprezentujesz nowe pokolenie w Rowan i nie chcę nawet myśleć, jakie mogłyby być konsekwencje, gdyby Wróg był w stanie rozpoznawać i namierzać naszych kandydatów.

Max przytaknął, próbując nie zdradzić, że wie o siedemnastu kandydatach i uczniu, którzy już zaginęli.

– Chcę, żebyś opowiedział mi wszystko, co się stało, poczynając od dnia, kiedy miałeś swoją wizję. Wszystko, co pamiętasz. Nie pomijaj żadnego szczegółu, bez względu na to, jak bardzo nieistotny ci się wydaje.

Max opowiedział pani Richter wszystko, co wiedział. Szybko zadawała pytania, zmuszając go do przeszukiwania pamięci i wspomnienia szczegółów, które pominął. Kiedy skończył, pani dyrektor wzięła z biurka teczkę i otworzyła ją. Szybko przejrzała zawartość, po czym wybrała jedno zdjęcie i pokazała je Maxowi.

– Czy to ten mężczyzna cię śledzi? – zapytała.

Max przyjrzał się zdjęciu i wzdrygnął z przerażenia. Był to istotnie mężczyzna z pociągu i z muzeum, choć na zdjęciu był młodszy i mniej zabiedzony. Siedział na chodniku obok kawiarenki i trzymał gazetę, ale jego wzrok skierowany był w obiektyw. W zdrowym oku mężczyzny widać było mieszankę niepokoju i furii, gdyż

najwyraźniej właśnie zauważył fotografa, który, sądząc po zdjęciu, siedział w jadącym samochodzie. Max zamknął oczy i przytaknął. Pani Richter odłożyła zdjęcie.

– Przykro mi, że cię przestraszyłam, Max – powiedziała, a jej mina złagodniała – ale musiałam potwierdzić relację Nigela. To wszystko, co jest mi na razie potrzebne. Chciałabym, żebyś z nikim o tym nie rozmawiał, dopóki nie zgromadzimy dodatkowych informacji. Zgoda?

– Zgoda. Czy mogę już iść?

– Możesz, Max, ale chciałabym, żebyś o czymś pamiętał.

– Tak, pani Richter?

Wyraz twarzy pani dyrektor znowu zrobił się śmiertelnie poważny. Mówiła spiętym, nagłym tonem.

– Jeżeli jeszcze kiedyś zobaczysz tego mężczyznę, chcę żebyś rzucił się do ucieczki i wzywał pomocy tak głośno, jak potrafisz. Nie odpowiadaj na jego pytania ani z nim nie rozmawiaj. To może być bardzo niebezpieczne. Rozumiesz?

Max przytaknął bez słowa, a w środku struchlał. Pani Richter wstała z fotela i odprowadziła go do drzwi. Poradziła mu jeszcze, żeby zatrzymał się w kuchni i wziął sobie kakao. Ale kiedy tylko zamknęła za nim drzwi, Max pobiegł korytarzem prosto do swojego pokoju.

David spał jak zabity, kiedy Max i Connor zaczęli nim potrząsać. Zamrugał kilka razy, po czym odwrócił się

i zasłonił sobie głowę poduszką. Max syknął przez zęby:

– David! No dalej, David. Obudź się! Mamy iść na „Pustułkę”. Pamiętasz?

– Nie musisz szeptać, Max. Jesteś ciągle w swoim pokoju! – zaśmiał się Connor, po czym skoczył i wylądował na Davidzie, który wydał z siebie stłumiony jęk. – No dalej, Davie! Będzie fajowo. Damy i przygody na pełnym morzu, co nie?

– No już dobrze, dobrze. Złóż ze mnie – poprosił David spod poduszki.

Max zebrał kilka koców i latarkę i cała trójka przekradła się korytarzem. Kiedy doszli do hallu, prawie wpadli na Cynthię i Lucię, które szły na palcach w stronę drzwi. Connor pokazał, żeby szły przodem, i dziewczynki wymknęły się po cichu na dwór. Za chwilę Connor odwrócił się do Maxa i Davida, a w ciemności ciągle było widać jego uśmiech.

– Jesteście gotowi, chłopaki? – wyszeptał. – Trzymajcie się Domostwa i idźcie schylieni, aż wyjdziemy poza zasięg świateł. Tuż po wyjściu z budynku idźcie na czworakach, to będziecie rzucali mniejszy cień. Kiedy dotrzemy do trawnika, resztę drogi przebiegniemy.

Max przytaknął i wyminął Connora po drodze do drzwi. Wystawił głowę na dwór, po czym odwrócił się i pokazał, żeby szli za nim. Cała trójka obeszła Domostwo, schylając się pod oknami, i doczołgała do trawy. Maxowi ciężko się szło z kocami i latarką. Jeden za drugim wstali i pobiegli w ciemność.

Max pędził. W nocnym powietrzu czuć było chłód. Starego Toma i Maggie ominęli szerokim łukiem; w kilku oknach na górnych piętrach paliło się bladozielone światło.

Kiedy dotarli do schodków, zobaczyli wiele postaci poruszających się w świetle księżyca na tle oceanu. Było tam już kilkudziesięciu uczniów, a wszyscy szeptali między sobą podekscytowani i podliczali przyniesione wiktuały. Omar i Jesse przybiegli zziajani kilka minut później. Connor przyjrzał się grupie i zmarszczył czoło.

– A gdzie reszta?

– Wielu uczniów się nie wybiera – wyjaśniła jakaś dziewczynka. – Nie chcą pakować się w kłopoty.

Connor przewrócił oczami i jęknął, po czym ruszył w dół po schodkach. Max zabił komara i podniósł swój pakunek, śmiejąc się z Cynthią podczas schodzenia.

To była spokojna noc, łagodne fale odbijały się od „Pustułki”, która unosiła się na wodzie, czarna i wysoka. Connor włączył latarkę i podbiegł wzdłuż wybrzeża, a promień światła podskakiwał szaleńczo, kiedy reszta truchtała za chłopcem. Connor zatrzymał się gwałtownie i Max usłyszał, jak przeklina. Kiedy się z nim zrównali, Max zrozumiał dlaczego: z „Pustułki” rzeczywiście zwisał sztormtrap, ale statek był zacumowany pięć metrów od nabrzeża. Trzeba było do niego dopłynąć. Woda wyglądała jak zimny atrament. Connor kopnął drewniany palik.

– Mogli nas uprzedzić! – zapienił się.

– Dajmy sobie z tym spokój – wymamrotał Rolf, spoglądając na wykute w skale kamienne stopnie.

– Nie będę wchodziła w nocy do oceanu – powiedziała jedna z dziewczynek i zadrżała, zerkając z nabrzeża na wodę.

– Pewnie – powiedział jakiś chłopiec. – Jestem za tym, żebyśmy wracali.

Max stał bez słowa, przyglądając się statkowi, podczas gdy inni debatowali, co zrobić. Zauważył, że ruch fal stopniowo przybliżał „Pustułkę” w stronę brzegu.

Wycofał się w głąb nabrzeża. Przez kilka sekund przyglądał się ruchowi statku na wodzie. Kiedy dostrzegł, że łańcuch kotwicy się poluzowuje, ruszył sprintem ku krawędzi i skoczył wysoko w powietrze.

Przez chwilę myślał, że mocno się przeliczył.

Poszybował w kierunku wody, rozpaczliwie próbując uchwycić się drabinki. Jego palce zahaczyły o nią gwałtownie i uderzył o burtę statku. Kiedy jego stopy znalazły oparcie i zaczął się wspinać, z nabrzeża rozległy się wiwaty i okrzyki zaskoczenia. Przeturlawszy się przez burtę, zwałił się na pokład. Upadł na coś twardego i niewygodnego. Przyjrzał się, co to jest, i uśmiechnął się, po czym wstał i przyłożył do ust trąbkę z dłoni.

– Hej! – zawołał w stronę nabrzeża. – Na pokładzie jest trap. Nikt nie musi pływać!

Pozostali zaczęli trajkotać; znowu ogarnął ich entuzjizm. Stękając pod ciężarem trapu, Max przerzucił go przez burtę i powoli opuścił w stronę nabrzeża, gdzie

Sara i Rolf go złapali. Zamocowawszy koniec trapu we wgłębieniu w pokładzie, Max dał sygnał, że wszystko gotowe. Ruszyli gęsiego. Connor wszedł pierwszy, wnosząc rzeczy Maxa i swoje.

– Niezły masz wyskok, Max – uśmiechnął się, po czym rzucił rzeczy na pokład i rozejrzał się.

– Pewnie! Biorę Maxa do mojej drużyny koszykówki! – zapiał David, który grzebał w plecaku Rolfa w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, ku wyraźnej irytacji właściciela.

Uczniowie rozbiegli się i zaczęli oglądać wszystko na pokładzie i pod nim. Kilkoro na zmianę bawiło się sterem. Lucia i Cynthia wdrapały się na bocianie gniazdo i zaczęły obrzucać landrynkami pozostałych, którzy rozkładali koce i śpiwory. Connor poszedł do kabiny, skąd szybko wrócił z rozczarowaną miną.

– Na wszystkich drzwiach i włazach są zamki. Chyba musimy zostać na pokładzie.

– Nie mam nic przeciwko – zapiszczała dziewczynka z Danii. – Tam na dole jest pewnie strasznie!

– Założę się, że na dole jest fajnie – powiedział ze smutkiem w głosie Connor. Usiadł na kocu i włączył czyjeś radio, szybko przykręcając głośność, kiedy z odbiornika zawyło imponujące tremolo śpiewaczki operowej. Zaczął przeszukiwać fale radiowe.

Wkrótce wszyscy znaleźli dla siebie miejsca w tym prowizorycznym obozowisku. Statek kiwał się, a stłoczony w małej grupce Max śmiał się i grał w karty, i

pożerał smakołyki Rolfa, słuchając opowieści o rodzinnych miastach i rodzinach kolegów i koleżanek. Omar opowiadał Maxowi o swoim malutkim bracie, który został w Kairze, kiedy statek gwałtownie się zachybotał.

Karty rozsypały się po pokładzie. Maszty głośno zaskrzypiały, a dzieci przestały rozmawiać.

Przez chwilę było znowu cicho. Potem statek zadrżał unoszony wielką, rosnącą pod nim falą, rzucając na siebie nawzajem szukające oparcia dzieci.

Łup.

Łup, łup.

Coś głośno uderzało o burtę statku pod powierzchnią wody.

Dzieci zobaczyły, że łańcuch kotwicy się napina. Lucia zaczęła wrzeszczeć, kiedy trap wysunął się z uchwytu i wpadł z pluskiem do wody. Max wyjrzał za burtę i rozejrzał się rozpaczliwie po powierzchni wody, szukając wzrokiem tego, co burzyło fale. Zobaczył tylko wirującą, bezdenną czerń.

Nagle powietrze wypełniło przenikliwe wycie. Max przewrócił się na pokład, podczas gdy pozostali zakrywali uszy. „Pustułka” podskakiwała teraz na wodzie jak zabawka, podczas gdy spienione fale przelewały się przez burtę.

– Uciekajcie! – przekrzykiwał hałas Connor, ciągnąc Lucię za rękę. – Niech wszyscy uciekają!

Dzieci popędziły chwiejnie ku dziobowi, przewracając się, kiedy rzucało statkiem. Wycie wzmoгло

się; drewno kadłuba zaczęło drżeć i wibrować. Wiele dzieci wyskoczyło za burtę, spadając z wysokości pięciu metrów do wody i przedzierając się przez wzburzone fale do brzegu. Max zobaczył Davida podskakującego na spienionej wodzie, kiedy nagle poczuł, jak jakaś dłoń chwyta go za rękę. Przerazona Sara zawołała do niego:

– Nie umiem pływać!

Wycie było ogłuszające. Statek odrzuciło od nabrzeża, a jeden z łańcuchów napiął się tak mocno, jakby miał się zerwać.

Max złapał Sarę i pociągnął ją za sobą przez burtę. Wpadli do morza. Nałykawszy się słonej wody, Max chwycił koszulę dziewczynki i zaczął szaleńczo młócić wolną ręką, zmierzając do brzegu. Woda była zimna i wirowały w niej rozszalałe prądy; ławice wodorostów oplątywały mu nogi niczym lepkie paluchy. Max spodziewał się, że w każdej chwili coś potwornie silnego może mu się zacisnąć na kostce i pociągnąć go ku głębinie. Słona woda bryzgała mu w twarz. Nagle wielka czarna fala zalała mu głowę, wciągając ich pod powierzchnię. Sara krzyczała i miotła się szaleńczo w jego uścisku, a jej ostre łokcie uderzały go po głowie.

Kiedy uchwyt Maxa zaczął się rozluźniać, ich stopy natrafiły na szorstki piasek. Sara odepchnęła się od chłopca i wypęzła na brzeg. Wycie zaczęło cichnąć, a dzieci wspięły się po kamiennych schodkach i pędziły po trawniku.

W Domostwie paliły się światła. Tłum uczniów i

wykładowców zebrał się na podjeździe przy fontannie. Była wśród nich pani Richter, a w świetle jaskrawej latarni gniew na jej twarzy zamienił się w ulgę.

8

NOWE I DZIWNE

Tłumiąc ziewnięcie, Max począł korytarzem z resztą kolegów i koleżanek z klasy krótko przed szóstą w poniedziałek rano. Wielu z nich było wyczerpanych po tym, jak przez całą niedzielę czyścili stajnie w ramach kary nałożonej za wybryk na „Pustułce”. Praca zajęła im większość dnia i byli po niej zmęczeni i brudni. Pani Richter była oszczędna w słowach, wymamrotała tylko, że nigdy jeszcze nie widziała roku, któremu by tak zależało, żeby się unicestwić.

Kiedy pan Vincenti zapytał, dlaczego postanowili zrobić taką głupotę, Connor upierał się, że to był jego pomysł, nie odrywając wzroku od Alexa Muñoz, który przyglądał im się z topniejącego tłumy.

Pomimo ich pytań, nikt im nie wytłumaczył, co wzburzyło wody i tak straszliwie wyło. Żaden z uczniów nie wiedział, a wykładowcy nic nie powiedzieli.

Max był szczególnie zmęczony. Po całym dniu pracy karmienie i zabawa z Nickiem nie były łatwe. Zgodnie z instrukcją z broszurki, Max wymamrotał do poplamionej i opryskanej drewnianej komory w Chatce Rozgrzewania: „Pokarm dla Nicka – lymrilla z Czarnego Lasu”. Komora zadudniła i zatrzęsła się, jej pokrywa zaklekotała i coś zaczęło pod nią świecić. Choć dzięki lekturze broszurki

pokarm Nicka nie był dla niego zaskoczeniem, Maxowi mimo to po otwarciu pokrywy zebrało się na wymioty. W komorze była wysoka sterta skrzynek z wijącymi się gryzoniami i robakami, jak również mały stos cienkich metalowych prętów.

Ogon Nicka zatrzepotał dziko i zwierzak pędził tam i z powrotem po korytarzu, kiedy Max ładował skrzynki na taczkę. Na zewnątrz chłopiec odwrócił wzrok, kiedy Nick metodycznie pożerał zawartość każdej skrzyni. Najpierw grzebał zakrwawionym ryjkiem w wijących się stosach szkodników, potem wyciągał język, którym sprawnie oddzielał i podnosił metalowe pręty, po czym połykał je w całości. Po skrupulatnym umyciu się w stawie Nick zaczął ganiać Maxa po polance – wyprzedzał go, gwałtownie przyspieszając, po czym wyskakiwał na niego zza skały albo klepał go zadziornie łapką po kostkach, chcąc przewrócić chłopca na trawę, kiedy ten uciekał. Kiedy Nick zmęczył się zabawą i zwinął w kłębek, Max prawie zapłakał z wdzięczności. Wziął lymrilla na ręce i poszedł wzdłuż rzędu kabin w Chatce Rozgrzewania, aż znalazł drzwiczki Nicka. Po ułożeniu śpiącego zwierzątka na gałęzi rosnącego w przegrodzie małego drzewa Max powlókł się do łóżka.

– Jak się czujesz? – zapytał Omar, człapiąc obok niego, kiedy schodzili po schodach na pierwsze zajęcia. Omar był w grupie Maxa, X jednej z pięciu, na które podzielono pierwszy rok.

– Ledwo widzę na oczy – zajęczał Max. – Nick mnie przetrzymał do jedenastej.

– Czy Nick mówi? – zapytał Omar, przecierając zaspane oczy.

– Nie.

– Powinieneś być wdzięczny. Spróbuj zaopiekować się Tweedym. Zmusza mnie do uczenia się na pamięć dzieł jego ulubionych autorów...

Max zamruczał ze współczucia, po czym weszli do sali w podziemiach. Było to duże pomieszczenie, którego podłogę wyłożono matami z twardej gąbki. Na środku sali stał wysoki, silny i giętki mężczyzna z krótko ostrzyżonymi ciepłymi włosami i opadającymi powiekami. Był w luźnej koszuli i spodniach; stał na bosaka. Wypił łyk wody z butelki, przeglądając przyklejoną do podkładki kartkę, i nie zwracał uwagi na wchodzących.

– Zdejmijcie buty – wymamrotał z lekkim akcentem.

– Zaczynajcie biegać dokoła sali. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Raz dwa, raz dwa!

Max biegł z innymi i zerkał zaciekawiony na nauczyciela, kiedy zawzięcie robili kolejne okrążenia. Szybciej. – Głos mężczyzny był jak bicz.

Po kilku minutach Max sapał; zauważył, że Jess i Cynthia byli kilka okrążeń w tyle. Mężczyzna odruchowo wypił kolejny łyk, usiadł na podłodze i wymamrotał:

– Starczy. Teraz chodźcie tutaj. Usiądźcie na podłodze, twarzami do mnie. Rozciągnijcie ścięgna, w ten

sposób. – Rozłożył nogi i płynnie opuścił czoło do kolana, przytrzymując je tam. Kiedy Max i reszta rozsiedli się i próbowali go naśladować, nagle wstał i zaczął chodzić po sali. – Bez szarpania! – syknął, mijając Connora, który jęknął i zmusił się do kolejnego skłonu. – Jestem Monsieur Renard. Będę waszym nauczycielem ćwiczeń i gier. Będziecie mnie albo uwielbiać, albo nienawidzić. To mnie zresztą nie interesuje.

Max zrobił wielkie oczy. Zerknął na Connora, który niemądrze pozwolił sobie na przerwę, akurat kiedy przechodził koło niego M. Renard.

– Wielu z was jest grubych i leniwych – syknął nauczyciel, przyciskając palcem u nogi wystający brzuch Connora. – Małe kiełbaski, które rozerwały osłonki. To się dzisiaj skończy. Cynthia Gilley?

– Tutaj – wy dyszała Cynthia, która siedziała w kącie z czerwoną twarzą.

– Cynthia Gilley – odczytał z podkładki. – Tempo produkcji kwasu mlekowego: czterdzieści dziewięć. Tempo rozpraszania się kwasu mlekowego: trzydzieści cztery. Prędkość drgań: pięćdziesiąt jeden. Gęstość mięśni aktualna: trzydzieści sześć... Hm. Być może będziesz przypadkiem specjalnym. A ja nie lubię przypadków specjalnych.

Cynthia była bezradna.

– Rolf Luger – mówił dalej, jadąc palcem po liście. – Nieźle... całkiem nieźle. Zobaczymy, co z ciebie będzie.

Rolf nagle zrobił bardzo poważną minę i zaczął

pomrukiwać podczas rozciągania.

– Max McDaniels? – zapytał M. Renard, podnosząc brwi i szukając chłopca, który podniósł dłoń. Nauczyciel podszedł i obejrzał go od stóp do głów z niewzruszoną miną. – Twoje wyniki są nietypowe. Bardzo nietypowe. Zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie odnotowano dziewięćdziesięciu pięciu?

– Nigel coś o tym wspominał – powiedział Max, ignorując spojrzenia kolegów i koleżanek.

– Jesteś leniwy? – zapytał nauczyciel, spoglądając na niego z góry.

– Chyba nie.

– Zobaczymy – rzucił M. Renard, odwracając się na pięcie.

To była wycieńczająca godzina ćwiczeń i rozciągania. Cynthia się popłakała. M. Renard po prostu przeszedł nad nieruchomym ciałem Omara, kiedy ten zwinął się w kłębek podczas brzuszków. Kiedy M. Renard w końcu ogłosił koniec ćwiczeń, uczniowie popędzili, żeby wziąć prysznic i zjeść śniadanie przed pierwszym dniem zajęć na uczelni.

Ściskając posmarowany masłem tost, Max wbiegł po stromych schodkach Maggie tak szybko, jak pozwalały mu zmęczone nogi. W mundurku było mu gorąco i niewygodnie. Inni uczniowie poznikali szybko w korytarzach; drzwi zaczęły się zamykać.

Ta klasa była mniejsza i bardziej przytulna od sali gimnastycznej w piwnicy Domostwa, a jej ławki i krzesła

były ustawione amfiteatralnie, otaczając z góry stół wykładowcy i tablicę. Na wyłożonych panelami ścianach wisiały stare ryciny, gobeliny i kunsztowne obrazy przedstawiające panoramy, i sławne bitwy. W sali unosił się silny zapach tytoniu, a przez wychodzące na ocean okna wślizgiwał się powiew ciepłej morskiej bryzy. Pulchny staruszek siedział w niskim, popękany skórzany fotelu koło tablicy, pykał fajkę z pianki morskiej i kiwał głową, kiedy wchodzili. Kiedy usiedli, zamruczał barytonem:

– Znajomych twarzy nie widać. To dobrze. Chyba jestem we właściwym miejscu. Witajcie na zajęciach z nauk humanistycznych dla uczniów pierwszego roku. Nazywam się Byron Morrow. Będę waszym wykładowcą.

Lucia zakaszlała i podniosła rękę.

– Panie Morrow? Czy codziennie będzie pan palił fajkę?

– Tak, młoda damo – zamruczał, podnosząc brwi. – Czy to ci przeszkadza?

– Jestem uczulona na dym.

– To niech pan Bóg ma cię w swojej opiece na zajęciach z mistyki! – zawołał. Zachichotał i pomachał dłonią, po czym dym gwałtownie opadł ku podłodze, cienką smużką popłynął do okna i zniknął za nim. – Lepiej? – zamruczał pan Morrow.

Lucia przytaknęła, robiąc wielkie oczy.

Przez całe zajęcia pan Morrow oczarowywał Maxa oraz jego kolegów i koleżanki, wygłaszając dudniącym

barytonem streszczenie planu zajęć. Co jakiś czas człapał wokół stołu zdjęty nagłą pasją; kiedy indziej wyciągał się na fotelu i odpowiadał na pytania uczniów w przerwach między pyknięciami z fajki. Czekala ich nauka o historii, literaturze, pisaniu i mitach. Pan Morrow obiecał, że choć jest wymagający, to osoby, którym potrzebna będzie pomoc, zawsze mogą go znaleźć w małej, białej chatce za wydmami Sanktuarium.

* * *

Matematyka i nauki przyrodnicze były mniej zawiłe i bardziej znajome, choć męczące. Na matematyce pisali test, który miał określić ich poziom wiedzy. Max oddał go już po dziesięciu minutach. W wielu zadaniach były symbole, których nigdy wcześniej nie widział.

Na naukach przyrodniczych nie było lepiej, gdyż dostali do przeczytania długi rozdział z podręcznika i polecono im zaznajomić się przed następnymi zajęciami z ważniejszymi ekosystemami Ziemi.

Chcąc odsapnąć przed językami, Max oparł się o balustradę przed Maggie i patrzył na białe korony fal oceanu. W świetle dnia „Pustułka” wyglądała jak uroczy antyk – daleko jej było do miotanego na wszystkie strony potwora, z którego uciekli w niedzielę rano. Ktoś stuknął go w ramię. Odwrócił się i zobaczył Julie Teller, która szczyrzyła zęby i trzymała między palcami cienkie zdjęcie.

– Hej, ty – powiedziała z uśmiechem – chcesz zobaczyć swoją fotkę? Powinam dostać Pulitzera!

– O, cześć – powiedział Max, prężąc się, żeby dorównać jej wzrostem. – Pewnie.

Wręczyła mu czarno-białe zdjęcie o wymiarach 20 na 25 centymetrów, na którym Max bez koszulki wyskakiwał w powietrze, uciekając przed selkie. Na jego twarzy malowało się totalne przerażenie, a jego kończyny były rozrzucone na wszystkie strony świata. Na zdjęciu Helga odwracała się, żeby na niego spojrzeć, a Frigga nadal opalała się w błogiej nieświadomości.

– Boże – jęknął Max, oddając zdjęcie. – Jest gorzej, niż myślałem. Jesteś pewna, że chcesz je wykorzystać?

– Nie jest takie najgorsze – zachichotała nerwowo Julie, zerkając na nie jeszcze raz. – Jest urocze!

– Wcale nie jest urocze – wymamrotał Max, czerwieniąc się. – Do końca roku będę się musiał wstydzić...

– Daj spokój – odparła z uśmiechem. – Jak tam zajęcia?

– W porządku. Nie wiem, jak sobie poradzę z tym wszystkim, co mam zadane... Ale lubię pana Morrowa.

– Jest świetny – zachwyciła Się. – Część z nas chodzi go odwiedzać w jego domku. Chyba czasami jest trochę samotny.

Max przytaknął, łamiąc sobie głowę w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co mogłoby przedłużyć ich rozmowę.

– No nic – powiedziała Julie, podnosząc plecak. – Mam zajęcia z urzędzeń. Pierwsze, a słyszałam, że Vincenti jest ostry. Muszę lecieć!

Julie pomachała i pobiegła ścieżką do lasu, a jej lśniąca kasztanowe włosy rozwiewały się do przodu i do tyłu. Max przyglądał się jej, aż Connor wystawił głowę przez podwójne drzwi Maggie.

– Kto to był? Śliczna – powiedział, kiedy Max wszedł za nim do środka.

– Z trzeciego roku – odparł Max, zaniepokojony tonem Connora. – Poznałem ją w Sanktuarium... Zrobiła mi zdjęcie do gazetki.

– Myślisz, że się jej podobasz? – zapytał Connor, wyraźnie pod wrażeniem.

– Nie – zmieszał się Max. – Spodobała jej się okazja do zrobienia zdjęcia.

Reszta ich grupy na zajęciach z języków już siedziała, kiedy Max i Connor weszli do sali. Pomieszczenie wyglądało jak sala koncertowa w miniaturze – wypolerowane ściany i sufit były zaprojektowane pod kątem optymalnej akustyki. Na końcu sali stała bardzo duża kobieta z kręconymi czarnymi włosami, w letniej sukience o wesołych barwach i w nietypowym miedzianym naszyjniku. Kiedy Max i Connor zajęli miejsca, rozdała zadrukowane kartki i cienkie chromowane słuchawki, na których migotały jasnozielone światełka. Potem wróciła pod tablicę i napisała:

Witajcie na zajęciach z języków.

Nazywam się Celia Babel.

Odwróciła się i uśmiechnęła do nich promiennie, potem pokazała Connorowi, żeby się przedstawił, co ten uczynił, a po nim pozostali. Następnie pokazała im, żeby przeczytali wręczone im kartki. Zdziwiony tym, że kobieta nie powiedziała jeszcze ani słowa, Max przeczytał napisany w kilku językach akapit.

Proszę podnieść słuchawki. To urządzenie to tłumacz i jest już włączone. Na ekranie z napisem SŁYSZALNY proszę skorzystać ze strzałek i zmienić język na grecki. Na ekranie oznaczonym wyrazem NAPISY proszę wybrać swój język ojczysty i założyć słuchawki. Potem otrzymacie dalsze instrukcje.

Pani Babel odczekała cierpliwie, aż uczniowie wypełnili polecenia, i dopiero wtedy odezwała się pierwszy raz. Miała głos wysoki i nieco nosowy, a słowa były zupełnie obce – nieznane i wymawiane w dziwnym rytmie. Mimo to, ku kompletnemu przerażeniu Maxa, dotarło do niego, że je rozumie.

– Witam wszystkich uczniów – powiedziała nauczycielka. – Miło mi powitać was na moich zajęciach z języków. W tej chwili słuchacie języka greckiego. Języka, którego nie zna żadne z was. Jednocześnie w

ośrodku mózgu odpowiedzialnym za podświadomość te wyrazy i zwroty słyszycie przetłumaczone na wasz język ojczysty. Ilu z was ma problemy z rozumieniem angielskiego?

Max zobaczył unoszące się do góry kilkanaście dłoni. Pani Babel uśmiechnęła się do uczniów.

– Możecie zatrzymać te urządzenia i korzystać z nich podczas innych zajęć. Wasz angielski bardzo szybko się poprawi, kiedy wasz mózg zacznie budować skojarzenia z waszą ojczystą mową.

Wszyscy zaśmiali się, kiedy dziewczynka z Portugalii wzniosła okrzyk radości.

– Bez względu na to, jaki jest wasz język ojczysty – mówiła dalej pani Babel – dobrze jest mieć te urządzenia pod ręką, kiedy będziecie rozmawiać ze mną. Teraz wyłączcie je, a ja pokażę wam dlaczego.

Pani Babel zdjęła miedziany naszyjnik, a Max wyłączył urządzenie. Nagle załała go oszołamiająca kakofonia głosów. Pani Babel najwyraźniej coś mówiła – jej usta się poruszały – ale wydobywający się dźwięk był niezrozumiałą mieszanką wyrazów, wrzasków, pomruków i pisków. Wzruszyła bezradnie ramionami z uśmiechem i założyła naszyjnik, zachęcając ich, żeby ponownie skorzystali ze swoich aparatów.

– Wiele lat temu zostałam wysłana do oddziału w Ghanie. Jeden z naszych informatorów oskarżył mnie o manipulację i rzucił na mnie klątwę, która sprawia, że mówię wszystkimi językami jednocześnie. Pan Vincenti

w ramach projektu badawczego szóstego roku skonstruował dla mnie ten naszyjnik. Filtruje on wszystkie języki, którymi mówię, zostawiając tylko grecki. Nauczyciela języków trochę to ogranicza, ale jeśli spojrzeć się szerzej, przyjmuje się to tylko jako niewygodę.

Sara Amankwe podniosła rękę.

– Nie chcę być niegrzeczna – powiedziała – ale jeżeli to urządzenie może nam pomóc nauczyć się dowolnego języka, to po co nam te zajęcia?

– Ten aparat z pewnością pomoże wam rozumieć mowę i w końcu zacząć się nią posługiwać – odparła nauczycielka. – Zobaczycie w kampusie wielu starszych uczniów, którzy właśnie to robią. Nie nauczy on was jednak czytać ani pisać w tym języku, nie mówiąc już o poznaniu tradycji czy obyczajów danego regionu językowego. Zrozumienie słów i zrozumienie osoby to nie zawsze to samo. Na tych zajęciach będziemy kłaść nacisk na zanurzenie w obcej kulturze...

Reszta lekcji była poświęcona greckiemu alfabetowi. Kiedy pani Babel mówiła, na ścianach i na suficie pojawiały się podpisane zdjęcia greckiego krajobrazu, postaci z mitologii, przywódców i filozofów. Max bardzo się starał nadążyć, zapisując w zeszycie dziwne symbole tak szybko, jak potrafił.

Po językach grupa Maxa z pierwszego roku dorwała się do kanapek i owoców w jadalni i usiadła na dworze nieopodal swojego Drzewa Absolwentów. Minęła ich

człapiąca z dziećmi Hanna.

Max padł na trawę, czując rozchodzące się po nim fale wyczerpania. Słuchał rozmów innych, a słońce ogrzewało mu twarz. Ale wkrótce odezwał się znajomy głos.

– Hej! To kijanki!

Max otworzył oko, kiedy Alex, Sasza i Anna podeszli z innymi uczniami z drugiego roku.

– Hm – powiedział Alex, gwałtownie się zatrzymując i wachając powietrze. – Dlaczego od kijanek może jechać końskim łajnem?

– Nie wiem. Ale śmierdzi na kilometr! – odparł Sasza, machając sobie dłonią pod nosem.

Connor złapał się za nos i zerknął na starszych uczniów.

– Od nas śmierdzi, bo czyściliśmy stajnie. A dlaczego jedzie od ciebie, Muñoz? – zripostował.

Prawie wszyscy się zaśmiali, w tym niektórzy z drugiego roku. Alex tylko uśmiechnął się ponuro i kiwnął głową, po czym przysunął się bliżej Connora.

– Wiesz – powiedziała Sara, która wstała rozgniewana i oskarżycielsko dźgnęła Alexa palcem – to poprzedniej nocy wcale nie było śmieszne. Nie umiem pływać. Ktoś mógł uderzyć się w głowę i utonąć. To, co było w wodzie, mogło zrobić nam krzywdę!

Alex złapał się za głowę i odwrócił do pozostałych, przedrzeźniając Sarę. Anna się zaśmiała, ale część uczniów drugiego roku zaczęła się wiercić zakłopotana i

odwróciła wzrok.

– Nie zwracaj na nich uwagi, Sara – wymamrotał Jesse, składając tekturowe talerzyki i strzepując sobie okruszki z nóg. Nagle jego napój gazowany się przewrócił. Jesse skoczył na równe nogi, a na jego granatowych spodniach pojawiła się duża mokra plama.

Alex zaczął się pokładać ze śmiechu.

– Hej, spójrzcie tylko! Ktoś się zlał! – krzyknął.

Jesse się zaczerwienił.

– To ty przewróciłeś kubek.

– Pewnie. Zlałeś się w majty, a teraz próbujesz zwalić winę. Nieźle! – wykrzyknął sarkastycznie Alex, zwracając się do pozostałych.

Jesse ruszył zniecacka naprzód, żeby popchnąć Alexa. Ten zaśmiał się z niedowierzaniem i odsunął się w bok, zablokował wyprostowaną rękę Jessego i rzucił go mocno na ziemię.

Max usiadł wyprostowany. Usłyszał, jak kilka osób protestuje. Jesse leżał skulony na trawie, trzymając się za łokieć. Connor skoczył na nogi.

– Jesteś skończonym palantem, Muñoz! – zawołał i rzucił się na Alexa, żeby złapać go za koszulę. Alex znowu zrobił unik. Mocno uderzył Connora pięścią poniżej mostka. Chłopiec osunął się na jedno kolano i zwinął w kłębek.

– No dalej, Lynch – zaśmiał się Alex, podskakując na palcach. – Nie masz ciętej riposty? To posłuchajmy. Czy może zapomniałeś języka w gębie?

Anna zaczęła chichotać. Lucia chciała dotknąć ramienia Connora, ale ten odsunął jej dłoń i patrzył w trawę. Rolf wstał i podszedł do Alexa, który uśmiechał się rozluźniony.

– Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju? – zapytał Rolf. – Co ty właściwie chcesz udowodnić?

– Ja? Ja tylko witam kijanki w Rowan! Wy, kijanki, nic z tego nie rozumiecie. Choć i podaj grabę. – Alex uśmiechnął się złośliwie, zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę do Rolfa, który nagle się zaniepokoił.

Max wyszedł przed Rolfa i odepchnął dłoń Alexa na bok.

– Daj nam spokój – powiedział.

Przez chwilę Alex wyglądał, jakby był w szoku; zerknął na Saszę, który tylko zaśmiał się i pokręcił głową.

– Ty sobie żartujesz? – prychnął Alex.

Max nie zwracał uwagi na drwiny Alexa. Zamiast tego obserwował jego dłonie. Nauczył się, że szkolni dręczyciele zawsze mieli dużo do powiedzenia, zanim przechodzili do czynów, i podejrzewał, że Alex jest taki sam.

Max miał rację. Kiedy ręce chłopca uniosły się, żeby go popchnąć, Max wyprowadził mocny, celny cios, który trafił prosto w policzek Alexa. Uderzenie było tak szybkie i silne, że chłopak tylko zamrugał z zaskoczenia i odsunął się chwiejnym krokiem do tyłu.

– Rany! – zawołał Connor, siadając, podczas gdy reszta uczniów przybiegła zwabiona zamieszaniem.

Max usłyszał za sobą jakiś krzyk.

Zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, jeszcze zanim się odwrócił. Poczul w oku eksplozję bólu, kiedy Alex uderzył go mocno z boku. Obaj upadli na ziemię i zaczęli się kotłować przy akompaniamencie przekleństw, jęków i ciosów.

Właśnie kiedy Max zdobył przewagę, coś niezwykle silnego chwyciło go, postawiło na nogi i odsunęło na bok. Kilku uczniów z drugiego roku podbiegło, żeby przytrzymać Alexa. Kiedy ten krzyczał, żeby go puścić, Max odwrócił się i zobaczył, kto go złapał.

To był Bob.

Zapadnięta twarz olbrzymiego ogra była surowa i smutna. Postawiwszy Maxa na ziemi, wkroczył między walczących.

– Żadnych bójek – zagrzmiął, grożąc wielkim palcem. – To dopiero pierwszy dzień szkoły!

Alex przycisnął porwaną koszulę do zakrwawionych ust. Kiedy odsuwał Saszę, w jego wzroku była wściekłość.

– Sami sobie umiemy poradzić – syknął. – Wracaj do kuchni, prostaku!

– Alex! – ostrzegł go jeden z kolegów z drugiego roku. – Uważaj, co mówisz.

– Wszystko jedno – powiedział kipiący gniewem Alex, wpatrując się w Maxa z furią, po czym opanował się i na jego twarzy pojawił się krzywy, zakrwawiony uśmiech. – Nawet nie wiesz, jak tego pożałujesz.

Nadal się uśmiechając, Alex splunął, odwrócił się i poszedł do Domostwa, a Sasza i Anna poszli za nim. Max przyłożył dłoń do pulsującego z bólu oka. Bob westchnął i pokazał Maxowi, żeby poszedł za nim. Zaprowadził go do kuchni, gdzie owinął dużą, żółtą ścierką garść lodu.

– Wchodźcie, wchodźcie – powtarzał pan Watanabe, kiedy uczniowie przyszedli na pierwsze piętro Starego Toma na zajęcia strategii. Nauczyciel był szczupłym pięćdziesięcioletkiem z Japonii. Kiedy uczniowie zajmowali miejsca, przechadzał się między dużymi stołami. Kiedy doszedł do Maxa, zatrzymał się.

– Co ci się stało?

– Och, nic takiego – powiedział szybko Max. – Potknąłem się i upadłem.

Pan Watanabe zmarszczył zdziwiony brwi i poszedł dalej, zerkając na kostki u rąk Maxa i reszty uczniów.

– Witajcie na zajęciach pierwszego roku strategii i taktyki. – Ukłonił się uczniom. – Nazywam się Omi Watanabe i będę waszym nauczycielem. Czy ktoś mógłby zdefiniować dla mnie strategię? Zastanówmy się, co to znaczy myśleć „strategicznie”.

Max próbował skoncentrować się na odpowiedzi Sary, ale ciężko mu szło. Bolało go oko i ciągle jeszcze był zdenerwowany bójką. Pan Watanabe kilka razy wziął go do odpowiedzi, żeby upewnić się, że uważa. Jedyne co Max zapamiętał z zajęć, to że będą one podzielone na strategię i taktykę. Strategia kojarzyła mu się z

nudziarstwem – mnóstwo zasad i sucha teoria. Zadania z taktyki miały pochodzić z *Pierwszego tomu kompendium znanych Wrogów Rowan* i zapowiadały się znacznie ciekawiej.

Max nie mógł się doczekać końca zajęć i wiedział, że nie jest w tym odosobniony. Ich grupa miała potem mistykę i wszyscy chcieli się dowiedzieć, na czym to będzie polegać. Kiedy w końcu odezwał się zegar, uczniowie wybiegli z sali wśród chóru podekscytowanych rozmów.

– Mistyka będzie chyba moim ulubionym przedmiotem – oznajmiła Lucia. – Zgasiałam swój ogień w ciągu minuty. Egzaminator powiedział, że to świetny rezultat.

Max przytaknął pod wrażeniem wyniku Lucii, tymczasem David z plecakiem luźno przewieszonym przez ramię wyglądał przez okno na schodach. Zaczął kaszleć, kiedy wszyscy gramolili się na pierwsze piętro. Max położył mu dłoń na ramieniu.

– W porządku?

– Tak – wysapał David, wycierając nos chusteczką. – Dopiero teraz to wszystko do mnie dociera. Strasznie tego dużo, co nie?

– Nie mów – prychnął Max, przytłoczony ogromem pracy domowej. – Pewnie będziemy przez cały semestr patrzeć, jak Lucia gasi płomień. Zrobiła to dwa razy szybciej niż ja. A tobie ile to zajęło?

– Nie jestem pewien – powiedział David. – Nie

pamiętam.

– Co to znaczy, nie pamiętasz? Jak można zapomnieć coś takiego?

– Niekiedy mam problemy z pamięcią. Chyba mam w niej pełno dziur – powiedział David i ruszył na górę. Max poszedł za nim, kiedy usłyszał, że ktoś woła jego imię. Odwrócił się i zobaczył pędzącego po schodach Jasona Barretta.

– Hej, stary – zawołał. – Słyszałem o waszej... o kurczę! To ci dopiero limo.

Chłopiec z szóstego roku stanął jak wryty i zaczął oglądać oko Maxa.

– No, nie powinienem był odwracać się do niego plecami – powiedział Max, czując, jak pieką go uszy. – To była głupota.

Jason zbył komentarz Maxa machnięciem ręki.

– Wszystko jedno – powiedział. – Limo to odznaka honoru! Słyszałem, że spuściłeś Muñozowi łomot, na który sobie zasłużył. Wszyscy już o tym wiedzą!

Max struchlał; to samo przytrafiło mu się w poprzedniej szkole, kiedy kilku typków zaczęło mu dokuczać po zniknięciu matki. Max mocno ich sprął i o mały włos nie usunięto go ze szkoły. Przyjrzał się teraz białym bliznom na swych małych, twardych knykciach.

– Mógłbyś o tym nie rozpowiadać? – poprosił cicho.

– No co ty? – zapytał Jason, a jego uśmiech zniknął. – Naprawdę?

– No.

– Dobra. A nie chcesz, żebym porozmawiał z Muñozem? To nie w porządku, że zaczepia pierwszy rok. On ma już za sobą cały rok treningu, a wyście się tu dopiero pojawili.

– Nie. Nie ma sprawy – odparł Max. – Dam sobie radę.

Jason zrobił krok do tyłu i przyjrzał się Maxowi uważnie.

– Jesteś taki jak ja. – Znowu się uśmiechnął i ruszył dalej po schodach. – Przykładaj łód do oka!

Max pomachał mu na do widzenia. Wsadził głowę do sali i zaraz zapomniał o bójce i o Aleksie Muñozie.

Hazel Boon stała w środku czegoś, co wyglądało jak duży las. Rozmawiała z siwą kobietą w szarym szalu, podczas gdy koledzy Maxa kręcili się z wielkimi ze zdziwienia oczami wśród olbrzymich drzew i rozmawiali szeptem.

Kiedy Max przyjrzał się uważniej, zobaczył, że sala nie jest tak naprawdę lasem. Podłoga była z wypolerowanego do połysku szarozielonego drewna. Z wyjątkiem wejścia, w każdej z ośmiu ścian pomieszczenia był wykuty kamienny kominek. W podłodze posadzono w nieregularnych odstępach kilka dużych, prawdziwych drzew, których konary wznosiły się wysoko ku spadzistemu sufitowi podtrzymywanemu wieloma belkami. Ściany z takiego samego szarozielonego drewna jak podłoga były inkrustowane najróżniejszymi srebrnymi znakami i symbolami.

Panna Boon zauważyła stojącego w drzwiach Maxa i pokazała zniecierpliwiona, żeby wszedł do środka. Chłopiec przyłączył się do swoich koleżanek i kolegów, którzy zajęli miejsca na drewnianych krzesłach na olbrzymim perskim dywanie na środku sali.

– No dobrze, moi uczniowie – powiedziała panna Boon. – Zanim zaczniemy, chciałabym wam przedstawić bardzo niezwykłego gościa. To jest Annika Kraken, Kierownik Instytutu Mistyki.

Staruszka uśmiechnęła się do uczniów przyjaźnie i ukłoniła, a oni wymamrotali chórem powitanie.

– Panna Kraken uczy tylko piąty i szósty rok – mówiła dalej panna Boon. – Będzie nas jednak od czasu do czasu odwiedzać, a podczas jej wizyt macie się do niej zwracać z największym szacunkiem i uwagą.

– Dzieci, jesteście w dobrych rękach – powiedziała panna Kraken, pokazując na młodszą kobietę. – Panna Boon to jedna z najlepszych nauczycielek, które pojawiły się tu za moich czasów.

Panna Kraken pożegnała się i poszła powoli w stronę drzwi, po czym zamknęła je za sobą cicho. Panna Boon odchrząknęła i zaczęła przechadzać się po sali.

– Kiedy każde z was pomyślnie przeszło Standardową Serię Testów Kandydackich, wykazało zdolności mistyczne. Mistyka może przyjmować wiele różnych postaci, ale u jej podstaw leży umiejętność skupiania energii i manipulowania nią. Musicie zrozumieć, że mistyka to wysoce indywidualna zdolność.

Żadne z nas nie jest takie samo, jeżeli chodzi o naturalny talent i umiejętność czerpania z niego. Są mistycy, którzy potrafią czerpać z niezwykłych zasobów energii, ale wiele z niej tracą, kiedy próbują ją okiełznać i uformować. Z drugiej strony wielu ma zdecydowanie mniejszego „kopa”, ale potrafią oni za to wykorzystać nawet najmniejszą ilość energii. Zorientujecie się, że niektóre odmiany mistyki przychodzą wam w sposób naturalny, podczas gdy inne będą dla was niedostępne. Moim zadaniem jako waszej nauczycielki jest pomóc wam zrozumieć wasze naturalne zdolności i wykorzystać w jak największym stopniu indywidualne predyspozycje. Czy są jakieś pytania?

Lucia podniosła rękę.

– Skąd będziemy wiedzieć, jakiego mamy „kopa”? – zapytała.

Panna Boon podparła dłonią brodę i przytaknęła.

– Test kandydacki jest jednym ze sposobów pomiaru, ale moje badania wskazują, że nie jest on idealny. Niektóre osoby ze świetnym wynikiem testu okażą się beznadziejnymi mistykami.

Lucia wyglądała na zasmuconą.

Connor podniósł rękę.

– Czy będziemy używać różdżek i temu podobnych? – zapytał.

Panna Boon uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie, takie narzędzia nie są potrzebne i mogą być tak naprawdę niebezpieczne – wyjaśniła. – Co więcej, można

je wykonać tylko za pomocą Starej Magii, a te najpotężniejsze są bardzo, bardzo rzadkie. Pokusy, które ze sobą niosą, nie są dobre. Większość została unieszkodliwiona i zniszczona.

Nagłym ruchem nadgarstka panna Boon zapaliła pochodnię na przeciwległej ścianie. Dym z pochodni przemierzył szybko salę i zaczął oplatać jej dłonie, kiedy mówiła.

– Nie, Connor, narzędziami mistyka są dłonie i moc języka. To wszystko, czego będziecie potrzebować, żeby wezwać i kształtować otaczające was energie. W tym roku będziecie się uczyć podstawowych poleceń, żeby ich stosowanie weszło wam w krew.

– Widzisz to? – wyszeptał Connor, wpatrując się w ciemną, kołującą się kopię samego siebie, którą uformowała nauczycielka.

Max patrzył oniemiały, jak postać z dymu pomachała do uczniów na pożegnanie i weszła do najbliższego paleniska, po czym ulotniła się kominem. Panna Boon zgasła pochodnię niedbałym ruchem nadgarstka.

– W ramach wprowadzenia was na drogę mistyki – powiedziała, przyglądając się zafascynowanym uczniom – chciałabym, żebyście ustawili się w dwóch rzędach.

Max szybko zajął miejsce w szeregu.

– W porządku – powiedziała panna Boon, po czym klasnęła i wyszła na przód. – Każde z was już wcześniej gasiło ogień. To jeden z powodów, dla których tu jesteście. Dzisiaj zrobicie coś przeciwnego: rozpalicie

ogień w jednym z tych palenisk. To będzie stanowiło dowód, że każde z was, jako żywy przewodnik, potrafi zarówno pochłaniać, jak i wysyłać energię. W trakcie ćwiczeń tylko ja będę się odzywać. Jeżeli ktoś coś powie, zaśmieje się, albo w inny sposób zakłóci zajęcia, będzie musiał opuścić salę. Czy to jest jasne?

Przytaknęli. W sali zrobiło się cicho.

– Dobrze – mówiła dalej panna Boon. – Teraz chciałabym, żeby pierwsza osoba z każdego rzędu wyszła do przodu i stanęła twarzą do kominka.

Dwie dziewczynki wystąpiły.

– Stańcie w lekkim rozkroku i weźcie głęboki oddech. Spróbujcie się odprężyć. Chcę, żebyście przez chwilę wczuły się w bicie swojego serca, poczuły jego energię. Teraz chciałabym, żebyście poczuły energię w tej sali, drżące w powietrzu atomy i cząsteczki. Zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie, że kłody w palenisku zaczynają dymić; wyobraźcie sobie dym, który unosi się coraz szybciej, aż nagle drewno staje w płomieniach. Teraz, trzymając prawą rękę wzdłuż ciała, rozłóżcie palce z dłonią odwróconą na zewnątrz. Dobrze. Na mój sygnał macie podnieść rękę i mocno zacisnąć pięść. Rozumiecie?

Dziewczynki przytaknęły z mocno zamkniętymi oczami.

– Teraz – powiedziała panna Boon opanowanym głosem.

Obie dziewczynki podniosły dłonie i zacisnęły palce. Prawie od razu z obu palenisk zaczął unosić się dym.

– Nie dekoncentrujcie się – poleciła panna Boon. – Opuśćcie ręce i powtórzcie ruch.

Za drugim razem na jednym palenisku zamigotały jaskrawopurpurowe płomienie, po czym rozległo się kilka okrzyków, które panna Boon uciszyła spojrzeniem. Z drugiego paleniska uniosło się kilka wątych smużek dymu, ale nie było ognia.

– To wystarczy – powiedziała panna Boon. – Bardzo dobrze. Idźcie na koniec kolejki.

Po jej szybkim ruchu dłoni oba paleniska ostygły i pograżyły się ciemności. Jej następne polecenie było lakoniczne.

– Kolejna para.

Trzy długie próby nie wystarczyły Rolfowi i Sarze, żeby cokolwiek zapalić. Rolf wyglądał na wściekłego, ale kiedy następne pary próbowały, Max zobaczył, że zadanie to wcale nie było łatwe. Tylko dwojgu uczniom udało się rozniecić małe, trzaskające płomienie do chwili, kiedy przyszła kolej na Davida i Lucię.

David zamknął cierpliwie oczy, kiedy panna Boon dawała im wskazówki. Na jej sygnał zaczęli.

Błysnęło światło i nastąpiła eksplozja.

Maxa odrzuciło do tyłu i upadł na ziemię, osłaniając oczy przed zalewem zielono-złotego ognia, który buchnął z paleniska Davida. Na podłodze dopalały się wyrzucone z kominka kłody i rozżarzone węgle. Krawędź perskiego dywanu zaczęła dymić.

David był jedynym uczniem, który nadal stał; reszta

wrzeszczała i chowała się, podczas gdy z paleniska buchały ściany zielonych płomieni, które omiatały gzyms nad kominkiem i przypalały wyłożoną panelami ścianę. Głos panny Boon przebił się przez ryk ognia.

– Nie podnoście się.

Panna Boon zrobiła szybki krok naprzód i ostrym tonem wypowiedziała pod nosem polecenie, któremu towarzyszył zdecydowany gest dłoni.

Ogień nie zmniejszył się.

Oczy nauczycielki zwęziły się i powtórzyła rozkaz.

Max odetchnął, kiedy ogień zaczął przygasać. Zbierał się niechętnie w małe skupiska zielonych płomieni, po czym zupełnie wygasał. Surowa mina panny Boon złagodniała.

– Czy komuś coś się stało?

Zbierając się z podłogi, Max i pozostali wymamrotali: „Nie”. – Podłoga i ściany w okolicy kominka Davida były mocno osmalone i dymiły.

– Jeżeli nikomu nic się nie stało, to proszę wrócić do swoich rzędów.

David zakaszłał i otworzył oczy, po czym zerknął zaciekawiony za siebie, gdzie zbierali się uczniowie. Nie zwracając uwagi na spojrzenie Maxa, po prostu poszedł na koniec kolejki. Panna Boon wycofała się na swoje miejsce, jakby nie stało się nic niezwykłego. Szorstkim głosem powiedziała:

– Następni, McDaniels i Boudreaux.

Maxowi ciężko się było skoncentrować, kiedy panna

Boon tłumaczyła im poszczególne kroki. Choć chciał się skupić na swoim palenisku, ciągle wracał myślami do niepokojącego incydentu z Davidem. Po kilku minutach wyczerpany z wysiłku otworzył oczy. Jego palenisko mocno dymiło, ale nie migotał w nim żaden płomyk. Tak samo było w przypadku stojącej obok niego dziewczynki i wszystkich, którzy przyszli po nich.

Kiedy ostatnia para skończyła, panna Boon kazała im zająć miejsca. Pierwsza odezwała się Lucia.

– Panno Boon? – zapytała, wyjątkowo potulnie. – Co się stało? Co się stało, kiedy przyszła kolej Davida?

– Zgodnie z poleceniem rozпалиł ogień – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

– Tak, ale... dlaczego to wybuchło?

– Najwyraźniej David ma dużego „kopa”, panno Cavallo.

Po zajęciach Max zaczekał na schodach, podczas gdy David został w sali z panną Boon. Okna na korytarzu zadrżały, kiedy Stary Tom wybił czwartą, a Max zobaczył wchodzącą po schodach panią Richter. Kiedy pani dyrektor podeszła do drzwi sali od mistyki, odwróciła się do chłopca.

– Dlaczego nie jest pan na zajęciach z etykiety, panie McDaniels? – zapytała.

– Czekam na Davida Menlo. Powinien wyjść lada chwila.

– Nic z tego – odparła pani Richter, otwierając drzwi.

– Idź na zajęcia, Max. Powiedz panu Wesleyowi, że David się spóźni. Aha, i nie zapomnij o kompresach z lodu na oko.

Max wyjąkał:

– Do widzenia. – Prawie zapomniał, że ma napuchnięte i podbite oko. Wdrapał się po schodach do sali od etykiety. Zaraz po wejściu usłyszał, jak jakiś głos oznajmia:

– Nie, nie, zupełnie nie tak. Czy wszyscy to widzieli?

Max zatrzymał się i zobaczył wysokiego, opalonego mężczyznę w kremowym garniturze, z siwymi włosami i dołeczkiem na brodzie. Wokół mężczyzny stała reszta grupy Maxa, a niebieskie oczy nauczyciela przyglądały się uważnie przybyszowi.

– Czy ty jesteś David, czy Max? – zapytał pan Alistair Wesley, zniecierpliwiony wyciągając z kieszonki na piersi jedwabną kwadratową chusteczkę i polerując okulary.

– Ja jestem Max, proszę pana – powiedział. – David się spóźni. Pani Richter kazała to panu przekazać.

– Aha, rozumiem – odparł pan Wesley, kładąc szczególny nacisk na „aha” i składając z powrotem chusteczkę. – Jako że się spóźniłeś, a twoje wejście zawierało wszystko, czego nie należy robić, wykorzystamy cię jako przykład. Proszę wrócić na korytarz.

Max zawahał się, po czym wycofał za drzwi.

– A teraz proszę wrócić do sali.

Chłopiec zrobił kilka niepewnych kroków. Connor wyglądał, jakby miał zaraz pęknąć ze śmiechu.

– No i proszę! – wykrzyknął pan Wesley. – Zgarbione plecy, rozbiegany wzrok, szuranie stóp. Ani śladu zdecydowania, dobrego urodzenia czy manier.

Klasa zachichotała; Max nie mógł w to uwierzyć.

– Spróbujemy jeszcze raz – powiedział pan Wesley. – Tym razem, panie McDaniels, chciałbym, żeby stanął pan wyprostowany, podniósł brodę i wszedł zdecydowanym krokiem. Po wejściu chciałbym, żeby obdarzył pan Sarę serdecznym uśmiechem i zbliżył się do niej, żeby się przedstawić.

– Ale ja już znam Sarę – wymamrotał Max, cały czerwony.

– Wiem, że pan ją zna. Chciałbym, żeby udał pan, że tak nie jest. Saro, masz udać, że nie widzisz dość okazałego lima, które widnieje na twarzy pana McDanielsa.

Max ugryzł się w język i wycofał na korytarz. Zawołany, wyprężył się i wkroczył do sali. Zobaczył Sarę i spróbował się na niej skoncentrować, ale było to trudne z komentarzami pana Wesleya w tle.

– Dobrze! Nie! Nie! Łopatki do tyłu... właśnie, tak jest. Broda do góry! Za dużo zadęcia! Właśnie poznaje pan śliczną młodą damę, a nie wstrzymuje bąka!

Klasa wybuchła śmiechem, a Max przestał się wysilać.

– No dobrze, panie McDaniels, powiedzmy, że kiedyś

będą z pana ludzie – powiedział zmęczonym głosem pan Wesley, odwracając się od Maxa, żeby zwrócić się do pozostałych. – Wiem, że dzisiejsi młodzi lubią chodzić z nosem na kwintę i nurzać się w lękach egzystencjalnych, ale poudawajmy, że jesteśmy inni, zgoda?

Czy są jeszcze jacyś ochotnicy do scenki pod tytułem „Pierwszy scenariusz. Idealne wejście do sali pełnej gości”?

Dłoń Connora wystrzeliła w powietrze.

– W porządku, panie Lynch. Proszę spróbować.

Connor zniknął na korytarzu. Zawołany, wszedł do sali spacerowym krokiem, zatrzymał się, żeby oprzeć się o framugę, i podniósł brwi, przyglądając się zebranym z pewnym siebie uśmiechem. Następnie udał, że Sara wpadła mu w oko, po czym ruszył w jej stronę powolnym, majestatycznym krokiem. Sara zaczęła chichotać, Omar ukrył twarz w dłoniach. Zatrzymawszy się metr od dziewczynki, Connor nisko się uklonił i podniósł głowę, po czym błysnął dwoma rzędami lśniących zębów.

– Connor Lynch, do usług.

– Bravo! – ryknął pan Wesley, klaszcząc z niekłamanym entuzjazmem.

Wszyscy pozostali wydali z siebie jęk obrzydzenia.

Max nie mógł się doczekać, żeby urwać się z etykiety, która wyprzedziła matematykę w kategorii najmniej lubianych zajęć. Pierwszy wybiegł za drzwi i popędził po schodach w stronę boiska na lekcję gier,

kiedy Stary Tom wybił godzinę. Monsieur Renard już czekał, jak zwykle niecierpliwy, i skierował ich do oddzielnych pomieszczeń, gdzie mieli się przebrać. Kiedy wyszli z szatni, nauczyciel podbijał stopą piłkę. Pokazał, żeby do niego podeszli.

– Pierwszy dzień zajęć. Świnki są zmęczone, wiem. Zakończymy dzień tak, jak go zaczęliśmy: podskok, wyskok, doskok, tak? Wszyscy wiedzą, jak się gra w piłkę nożną? – Przyglądał się ich twarzom, kiedy przytaknęli.

Max zauważył, że Davida ciągle nie ma.

– Dobra gra na nogi. Poprawia szybkość, wytrzymałość i panowanie nad ciałem. Uczniowie w Rowan często grają w piłkę, ale zobaczycie, że tu warunki są nieco inne. W Rowan gramy w piłkę euklidesową.

– I czym się to różni? – zapytał Rolf.

– Zobaczysz, kiedy zagrasz – odparł M. Renard, pozwalając sobie na nieznaczny uśmiech. – Ty i Sara wybieracie drużyny. Raz dwa, raz dwa.

Sara wybrała Maxa jako pierwszego, mimo że chłopiec ostrzegł ją, że nigdy wcześniej nie grał w prawdziwej drużynie piłki nożnej. Po rozpoczęciu meczu Sara śmignęła z piłką obok Jessego, podając ją zwinnie do innej dziewczynki, która biegła obok. Rolf wpadł na nią i przejął piłkę, wyminął Maxa i wykonał długie podanie do Connora, który oddał mocny strzał na bramkę. Stojąca na bramce Cynthia odbiła piłkę pionowo i złapała ją, zanim ta dotknęła siatki.

– Niezła obrona – pochwalił ją Omar ze środka

boiska.

Nagle boisko zaczęło się wyginać i wyrzyszczać. Tworzyły się na nim małe pagórki i dołki, całe połacie trawiastej nawierzchni wznosiły się albo opadały na kilka metrów, tworząc doliny i płaskowyże. Dzieci zamarły i spojrzały na M. Renarda przestraszone.

– Wszystko w porządku – uspokoił je z linii bocznej.
– Grajcie dalej!

Mecz zakończył się bezbramkowym remisem. Drużyna Rolfa zdobyłaby gola, gdyby znacznych rozmiarów wzgórze, które wzniosło się niczym niespodziewany bąbel, nie odbiło piłki na bok tuż po tym, jak Rolf wymknął się dwóm obrońcom i oddał strzał. M. Renard zagwizdał i murawa szybko się wyrównała.

– Tu się nie da grać – poskarżył się Rolf, dryblując do linii bocznej. – Powinniśmy byli wygrać.

– Będziecie się zmagać, aż się dopasujecie i przyzwyczajecie – powiedział M. Renard ze wzruszeniem ramion. – Właśnie o to w tym chodzi. Graliście dzisiaj na najniższym stopniu trudności. Przyjdźcie popatrzeć, jak w weekend będą grali starsi uczniowie; wtedy inaczej spojrzycie na swoją rozgrywkę.

Po powrocie do szatni, przykładając sobie zimny okład do oka, Max załamał się na myśl o wszystkim, co jeszcze czekało go tego wieczoru. Musiał nakarmić Nicka, nauczyć się greckiego alfabetu, narysować mapę Europy i poćwiczyć wzniesienie małych płomieni w swoim palenisku. Oko pulsowało bólem. Wlokąc się w stronę

Domostwa, Max marzył tylko, żeby paść na łożko,
popatrzeć na konstelacje i zasnąć na cały tydzień.

ZŁOTE JABŁKO W SADZIE

W małej stercie na łóżku Maxa leżało dziesięć listów od ojca. Chłopiec przeczytał je już kilka razy. Był późny ranek w październikowy weekend i Max był już w Rowan od pięciu tygodni.

W domu dużo się działo. Pan McDaniels często podróżował służbowo, przekonany, że jego wysiłki skłonią pana Lukensa do powierzenia mu nowych klientów. Max szykował się, żeby odpisać, kiedy do pokoju wszedł David i zamknął za sobą cicho drzwi.

– Cześć – wymamrotał, padając w poprzek na łóżko i zrzucając buty.

– Jak było? – zapytał Max bez podnoszenia wzroku.

– Do kitu. Panna Kraken nakrzyczała na mnie, że za mało się koncentruję. Pani Richter przyszła i przyglądała się przez drugą połowę. Nigdy nic nie mówi, tylko patrzy. To irytujące.

Po pierwszym dniu Davida usunięto z ich zajęć mistyki i zaczął brać codziennie prywatne lekcje u panny Kraken. Zniszczenia po incydencie podczas zajęć zostały natychmiast naprawione.

– Cieszysz się z wycieczki do miasteczka? – zapytał Max, rozpoczynając pisanie listu. Tak naprawdę chciał się dowiedzieć czegoś więcej o prywatnych lekcjach mistyki

kolegi, ale chłopiec nigdy o nich nie opowiadał.

– Chyba tak – odparł David głosem stłumionym nałożoną na twarz poduszką.

Max zmarszczył brwi, pisząc list do ojca; w nowej szkole było tyle fascynujących rzeczy, a tak niewiele mógł opisać. Ze względów praktycznych jego listy ograniczały się do relacji ze zmagani akademickich i zapewniania ojca, że znalazł tu nowych przyjaciół. Max nie wspominał nic o ogrze wegetarianinie ani gadających gęsiach.

Pan Vincenti, panna Boon i pozostali opiekunowie czekali na uczniów pierwszego roku przy fontannie, kiedy Max i David wyszli przez główną bramę Domostwa. Większość uczniów zamiast w mundurkach przyszła w dżinsach. Kiedy ruszyli w stronę bramy kampusu i świata zewnętrznego, pan Vincenti powiedział:

– Ha! To bardzo ekscytujące. Pierwsza wycieczka do miasteczka i wspaniały jesienny dzień, żeby się nią cieszyć! Czy wszyscy wzięli ze sobą apetyt i pieniądze na wydatki?

– Tak! – wykrzyknęła grupa, a pan Vincenti zatkał sobie uszy i zachichotał.

– Dobrze. Więc teraz słuchajcie. Mamy rezerwację w „Zagajniku” o siódmej, a jedzenie tam jest wyśmienite, więc nie opychajcie się słodyczami! Zwracajcie uwagę, żeby przedstawiać się mieszkańcom i sklepikarzom. Doskonale zdają sobie sprawę z charakteru nauki w

Rowan – w rzeczy samej wielu z nich to niegdysiejsi uczniowie albo krewni wykładowców. Macie się dobrze zachowywać i sprawić, żeby pan Wesley był z was dumny, dobrze?

Uczniowie wzniesli okrzyk radości i Max pospieszył wraz z nimi przez trawniki i do lasu, który mienił się wspaniałymi barwami jesieni. Dochodzący znad oceanu wietrzyk był rześki, a Max cieszył się z niecodziennej kwoty w kieszeni – zachomikowanych przez ostatnie dwa miesiące oszczędności. Rozmawiał z Rolfem i Lucią, kiedy przemierzali malowniczy, kręty odcinek półtorakilometrowej drogi do bramy.

Kiedy wielkie wrota zatrzasnęły się za nimi, Max i Connor popędzili za pozostałymi, docierając po kilkuset metrach do długiego odcinka uroczych sklepów i punktów usługowych rozchodzących się promieniście od skweru. W okolicy można też było spotkać starszych uczniów, którzy kręcili się między pizzerią, kawiarnią i księgarnią.

– Dokąd? – zapytał Connor, podskakując i rozglądając się na wszystkie strony.

– Zaczekajmy na Davida – powiedział Max, wypatrując go na drodze. Wyglądało na to, że dostaje właśnie burę od panny Boon. W końcu David przytaknął i popędził do nich, a kiedy dobiegł, zaczął kaszleć, zirytowany.

– O co znowu poszło? – zapytał Connor.

– Nic takiego. Chce, żebym „uważał”. Czepia się, od kiedy panna Kraken zaczęła mnie uczyć mistyki. Chyba

jej to nie leży.

– Dlaczego miałoby ją to obchodzić? – zapytał Max.

– Jest naprawdę młoda – wyjaśnił David. – Ma dopiero jakieś dwadzieścia pięć lat. Chyba martwi się, że panna Kraken jej nie ufa.

– Kraken myśli, że wysadzisz nasze Booniątko w powietrze! – zaśmiał się Connor.

David zaczął iść w stronę cukierni, kaszląc mocno w rękaw kurtki. Zbliżając się, słyszeli chór podekscytowanych głosów. Kiedy Max podszedł jeszcze kilka kroków, zrozumiał dlaczego.

Na wystawie cukierni zobaczył wspaniały morski krajobraz ułożony wyłącznie ze słodyczy. Były tam zamki z piasku z białej czekolady, grube warstwy ukwiałów z lukrecji, ryby w jaskrawych barwach i morskie stworzenia zrobione z toffi, landrynek i miętówek.

– Wchodźcie! Wchodźcie! – zaprosił ich ze środka przyjazny głos.

Krępy mężczyzna z czarną brodą i zaróżowionymi policzkami metodycznie splatał pasma ciasta chlebowego. Przerwał, żeby się przywitać z uczniami przy ladzie, i wytarł dłonie o fartuch.

– Jesteście pewnie z pierwszego roku. Nazywam się Charlie Babel. Moja żona jest pewnie waszą nauczycielką języków.

Dziesięć minut później, kiedy cała trójka kupiła już słodycze – wzięli trójkątne kawałki toffi i garść czekoladowych dolarków – chłopcy zajrzeli przez okno

kawiarni i zobaczyli w środku grupkę starszych uczniów jedzących ciasto i pijących kawę. Jason Barrett siedział w kącie i flirtował z bardzo ładną dziewczyną z piątego roku. Max widział kiedyś, jak Jason całował się z nią za Starym Tomem. Jason zobaczył ich i machnięciem ręki zaprosił do środka.

Connor sprawnym ruchem ściągnął spodnie i wystawił tyłek.

– Macie buty do biegania? – wrzasnął, przycisnął obnażone siedzenie do szyby drugi raz, po czym pognał za Maxem i Davidem.

Przebiegli dwie przecznice, nim zatrzymali się gwałtownie. Dyszeli zziębnięci i pałaszowali słodycze. David wyglądał jak nowo narodzony; policzki mu się zaróżowiły i Max pomyślał, że to pierwszy raz, kiedy widzi Davida tak szczęśliwego.

Zerkając na witrynę sklepu za nimi, Max zauważył na wystawie mały zestaw farb. Przyszło mu do głowy, że już od dawna nie miał okazji rysować ani malować, jak to robił z matką. Przyjrzał się cenie. Były drogie, ale bardzo dobrej jakości; wyglądały na towar, którego mógłby używać prawdziwy artysta.

– Lepiej się gdzieś schowajmy – zaśmiał się David, zacierając dłonie i zerkając za siebie na ulicę.

– No – zgodził się Connor, rozglądając się. – Nie chcę, żeby wskazali mój tyłek na konfrontacji. Pewnie by im się nawet udało. Dwa razy mogli się dobrze przyjrzeć!

Connor i David znowu zaczęli chichotać, podczas gdy

Max postukał w zamyśleniu palcem w szybę, przyglądając się czystym, małym tubkom różnych kolorów.

– Zjrzę tam – powiedział. – Dogonię was.

Kiedy właścicielka sklepu pokazała mu farby, Max praktycznie od razu zaczął przeliczać pieniądze. W zestawie było więcej kolorów, niż kiedykolwiek używał, i nawet pudełko było ładne i miało kunsztowne mosiężne zawiasy. Przeliczył na ladzie banknoty i drobne, ale brakowało mu dwóch dolarów. Kobieta uśmiechnęła się i wzięła od niego pieniądze, po czym wsunęła zestaw do małej torby.

– Mogę darować dwa dolary młodzieńcowi, któremu tak bardzo zależy na tych farbach. Oby dobrze ci służyły. Może przyniesiesz mi coś, co namalujesz?

– Na pewno! – powiedział rozpromieniony Max, ściskając torbę.

Drzewa rzucały długie cienie, kiedy chłopiec szedł z torbami słodyczy i farb w stronę teatru. Kiedy minął pizzerię Luigiego, usłyszał za plecami wołający go głos. Od Luigiego wyszedł Alex, a za nim Sasza i Anna.

– Cześć, Max – zawołał przyjaznym tonem Alex. – Jak leci?

Max nie odpowiedział i tylko ich obserwował.

– Co się dzieje? – zapytał Alex, podchodząc do chłopca. – Czym się jeszcze martwisz, po tym jak poleciałeś się poskarżyć Jasonowi Barrettowi?

– Nic nie powiedziałem Jasonowi – odparł Max, patrząc na niego wilkiem, i przełożył torby z prawej do

lewej dłoni.

– Pewnie, że nie – zadrwił Alex. – Pamiętaj tylko, Max. Jason kończy w tym roku szkołę, a ja ci tego nie zapomnę.

Mijając go, Alex wyrwał mu torby i rzucił je na ziemię. Czekoladki i toffi wysypały się na chodnik, ale nie tym Max się przejął. Pudełko z farbami pękło i małe tubki rozsypały się po chodniku.

– Hej, chciałem zjeść te słodczy! – poskarżył się Sasza, ruszając truchtem za Alexem.

Max pochylił się, żeby zebrać rzeczy, kiedy podeszła do niego wolnym krokiem Anna, z fałszywym uśmiechem na twarzy.

– Wiesz, zabawne było to twoje zdjęcie w gazetce. Gdybyś usłyszał, jak wszyscy się śmiali. Myślałam, że Julie Teller przewróci się ze śmiechu!

Ładne rysy dziewczynki wykrzywił wredny uśmiech i Anna powoli przeszła po cukierkach i farbach, rozgniatając je podeszwami. Max załamał się, patrząc na plamy na chodniku. Anna uśmiechnęła się zadowolona i dołączyła do Alexa i Saszy, którzy zawyli ze śmiechu, i cała trójka ruszyła dalej.

Max patrzył, jak idą, i dygotał z furii. Z największym trudem opanował drapieżny instynkt, który się w nim odezwał. Nie mógł za nimi pobiec; pan Vincenti zagroził, że Maxa spotka surowa kara, jeżeli jeszcze raz wda się w bójkę.

Spróbował posprzątać bałagan, zbierając do

pękniętego pudełka zmiażdżone słodyczne i pogniecione tubki z farbami, po czym wyrzucił wszystko do pobliskiego kosza. Popędził do teatru, a kiedy przeszedł kilka przecznic, usłyszał wołanie z góry.

– Hej, Max! Tutaj!

Zatrzymał się nieopodal ławki przy wejściu do parku. Connor i David szczyrzyli do niego zęby z gałęzi poskręcane drzewa. Connor miał twarz ubrudzoną czekoladą.

– Tu jest mnóstwo wyrytych imion i inicjałów – powiedział podekscytowany David. – Chyba znalazłem wpis pana Morrowa. Przeczytam ci: „Byron kocha Elaine '46”.

– Nie potrafię sobie wyobrazić Byrona jako chłopca – powiedział Connor. – Mam przed oczami pomarszczonego dzieciaka z fajką, który obściskuje się na tym drzewie jakieś sto lat temu.

Max zaśmiał się, szczęśliwy, że znowu się dobrze bawi. Podbiegł, chwycił gałąź i podciągnął się, żeby do nich dołączyć.

– Ty, mogę spróbować tych czekoladowych dolarków, które kupiłeś? – zapytał David, wodząc palcem po liniach wyrytego limeryku.

– Wypadły mi na chodnik i się rozleciały – powiedział szybko Max. – Wyrzuciłem je.

– Trzeba było zatrzymać! – pożalił się Connor. – Moglibyśmy je wykorzystać do scenki na etykiecie! – Jego imitacja głosu pana Wesleya była perfekcyjna. –

„Scenariusz numer dwadzieścia. Ratowanie przydeptanych słodkości tego świata”.

– Są w śmietniku za rogiem, jeżeli masz na nie ochotę – westchnął Max. Connor przez chwilę to rozważał, po czym puścił sprawę w niepamięć.

Przez następne dwie godziny kręcili się po parku, wspięli się na pomnik z brązu przedstawiający mężczyznę na koniu i przyglądali się nazwiskom na granitowych nagrobkach na małym cmentarzu. Robiło się ciemno, kiedy w końcu pognali z powrotem po bruku, biegnąc zygzakiem pomiędzy staroświeckimi latarniami, i dołączyli do reszty pierwszego roku u stóp wysokiego wzgórza.

„Zagajnik” był rozległym, ładnie urządzonym budynkiem, którego parter mieścił kilka dużych sal jadalnych. Max poszedł korytarzem za panem Vincentim i gospodynią; na ścianach wisiały mapy dawnej Nowej Anglii i podniszczone akwaforty przedstawiające polowania na wieloryby. Grupę Maxa posadzono w oświetlonej świecami sali ze stołem zastawionym kukurydzą i niskimi snopkami pszenicy powiązanymi miedzianym drutem. Pan Vincenti posadził uczniów tak, że chłopcy i dziewczynki siedzieli na przemian. Max znalazł się między Sarą i panną Boon.

Pan Vincenti zajął miejsce u szczytu stołu i zadzwonił w kieliszek.

– Chciałbym zaproponować mały toast.

Uczniowie sięgnęli po swoje kieliszki z napojem

jabłkowym.

– Za pierwszy miesiąc i za zastrzyk świeżej krwi!

Rozległo się stukanie kieliszków i nawet panna Boon się uśmiechnęła, kiedy pan Vincenti zaczął wypytywać uczniów o przeżycia, które najbardziej zapadły im w pamięć.

– Mamy w tej grupie jakichś matematyków?

Wszyscy podali imię Davida, oprócz Jessego, który zaproponował siebie.

– Kto bryluje w naukach przyrodniczych?

Sara zaczerwieniła się, kiedy padło jej imię.

– Są wśród nas jacyś dyplomaci albo ambasadorzy?

Wszyscy krzyknęli: „Connor!”, a ten przyjął wyróżnienie z typową dla siebie brawurą, ocierając niewidzialne łzy.

Kiedy pan Vincenti dalej wymieniał przedmioty, kelnerzy przynosili parujące talerze i koszyki z jedzeniem. Na stole znalazły się ciepłe kwadraty grubego chleba kukurydzianego, gorące krabowe ciasteczka i talerze dorszy i okoni skropionych cytryną. Max omal nie udławił się kęsem batata, kiedy Lucia i Cynthia odegrały jedną z wielu prób Connora zaimponowania starszym uczennicom. Nawet pan Vincenti odłożył widelec i zaśmiał się, kiedy Lucia chodziła zamaszystym krokiem po sali z wciągniętym brzuchem i mówiła niskim głosem.

Po godzinie chóralny śmiech ustąpił miejsca rozmowom w parach; Max przyglądał się, jak ich gospodyni wchodzi do sali i nachyla się, żeby wyszeptać

coś na ucho panu Vincentiemu. Ten przeprosił siedzących przy stole, wstał i kontynuował z nią rozmowę na korytarzu.

Zaraz po wyjściu pana Vincentiego do Maxa zwróciła się panna Boon.

– Wiesz – powiedziała po cichu. – Podśluchałam, jak Nigel wspominał pani Richter, że gobelin, który odkryłeś, przedstawiał uprowadzenie stad z Cuailnge.

– No – powiedział odruchowo Max. Nie mógł oderwać wzroku od całkowicie nieruchomego cienia pana Vincentiego na korytarzu. Coś było nie tak.

– Max – powiedziała szorstko. – Mówi się „tak”. Czy pan Wesley nie tłumaczył wam, że „no” nie jest poprawnym zwrotem i że to niegrzecznie nie patrzeć na kogoś, kto do ciebie mówi?

Max przeniósł wzrok na jej twarz.

– Przepraszam – powiedział.

– Nic się nie stało – odparła łagodniejszym tonem. – Czy znalazłeś czas na przeczytanie o uprowadzeniu stad i jego bohaterze, Cuchulainie?

Max pokręcił głową.

– Nie, panno Boon, nie miałem czasu. – Sięgnął po kawałek kukurydzianego chleba.

– Posłuchaj mnie, Max – powiedziała panna Boon, kładąc lodowatą dłoń na ramieniu Maxa. Chłopiec spojrzał jej prosto w oczy, a jej młoda twarz wydała mu się poważna i dziwna przez te różnobarwne oczy. – Ta wizja była dopasowana do ciebie. To bardzo ważne, żebyś

zrozumiał jak najwięcej z jej historii i symboli. Cuchulain był wielkim bohaterem i herosem, ludzie zwali go psem Ulsteru ze względu na to, jak strzegł ich królestwa, ale po drodze musiał podejmować okropne decyzje. Dobrze byłoby, gdybyś się z nimi zapoznał, Max.

Chłopiec przyglądał się jej, a w głowie przemykały mu wizje powracającego snu z potwornym wilczurem. Uznał, że nie będzie o tym opowiadał panie Boon; jej spojrzenie i uścisk były dla niego zbyt intensywne.

Właśnie wtedy pan Vincenti wrócił do nich z korytarza. Jego głos przebił się przez zgiełk pozostałych rozmów.

– Nastąpiła zmiana planów. Chcę, żeby wszyscy odłożyli sztuce na talerze i poszli za mną. Szybko.

– Ale panie Vincenti – zaczął mówić Connor – musi pan podejść i zobaczyć, co Omar potrafi zrobić ze swoim...

– Natychmiast, panie Lynch! – zagrzmiął pan Vincenti i ruszył dokoła stołu, ściągając zdezorientowane dzieci z krzeseł. Panna Boon wstała zwinnie i bez słowa zaczęła odsuwać krzesła dzieci od stołu, a potem zaganiać uczniów na korytarz.

Gospodyni stała przy drzwiach z przestraszoną miną.

– Uważaj, Joseph. Uważaj, Hazel – wyszeptała, przyciemniając światła w domu. Reszta uczniów pierwszego roku wybiegła z pozostałych sal w towarzystwie swoich opiekunów. Na ulicy stał zaparkowany tuzin limuzyn z otwartymi drzwiami i

włączonymi silnikami, a gospodyni zamknęła za nimi drzwi na klucz.

Max wcisnął się do drugiej limuzyny. Pan Vincenti zatrzasnął tylne drzwi i samochód popędził w stronę wrót Rowan. Ulica była pusta; we wszystkich sklepach i punktach usługowych było ciemno. Kiedy mijali kościół, Maxowi wydawało się, że zobaczył parę mrocznych postaci, które przemknęły po trawniku i zniknęły za krzakami. Parę sekund później chłopca rzuciło na bok, kiedy limuzyna ostro skręciła i przejechała z piskiem opon przez bramę. Pojechali zygzakiem między drzewami i wzdłuż linii brzegu i zahamowali gwałtownie przy fontannie. Max zamarł, kiedy usłyszał znajome koszarne wycie dobiegające od strony „Pustułki”.

Pan Vincenti otworzył drzwi i popędzał wysiadające dzieci, podczas gdy Nolan przygalopował z za Domostwa na grzbiecie Yayi. Max zauważył, że teraz nie było w niej śladu starości ani choroby. Z nozdrzy ki-rin buchała para, a jej olbrzymia głowa przechylała się na boki, kiedy stworzenie obserwowało okolice oczami, których biel świeciła w ciemności. Max nigdy wcześniej nie widział pogodnego zwykle Nolana w tak ponurym nastroju. Nadzorca przekrzykiwał odległe zawodzenie.

– Joseph, zabierz dzieci do środka. Ty i Hazel macie zająć ustalone pozycje na obwodzie kampusu. To rozkaz pani dyrektor.

Domostwo wypełnił harmider okrzyków i zatrzaskiwanych drzwi. Max, David i Connor minęli

biegiem parę uczniów z szóstego roku, którzy pilnowali wejścia na ich korytarz. Starsi uczniowie kazali im zamknąć się na klucz w swoich pokojach i być cicho. Kiedy Max i David odwrócili się, żeby zamknąć drzwi, zobaczyli, że Connor stanął w przejściu.

– Idę z wami – syknął. – Moi koledzy z pokoju to pierdoły!

Connor wbiegł do środka i Max zatrzasnął drzwi, po czym upewnił się, że są porządnie zamknięte.

* * *

Minuty i godziny ślimaczyły się niemiłosiernie. Max nie mógł się skoncentrować i odłożył szkicownik; David i Connor grali na dole w karty. Kiedy Max usłyszał dobiegające z korytarza stłumione odgłosy, wstał z łóżka i poszedł zbadać sytuację. Connor i David owinięci w kołdry stali z przestraszonymi minami na schodach prowadzących na niższy poziom, podczas gdy Max nasłuchiwał przez drzwi. Usłyszawszy kroki i szepty na zewnątrz, odwrócił się do kolegów i położył palec na ustach. Wstrzymując oddech, ostrożnie przekręcił gałkę i wyjrzał na korytarz.

Mała grupka uczniów pierwszego i drugiego roku stała przy oknie na końcu korytarza. Max dał znak Davidowi i Connorowi i we trójkę przyłączyli się do grupki. Rolf odsunął się, żeby Max mógł wyjrzeć przez okno. Chłopiec nachylił się i przycisnął czoło do zimnej

szyby.

Światła latami podskakiwały w mroku parami – to wykładowcy przeczesywali sad, trawniki i ogrody. W oddali w lesie też było widać latarnie, prześwitujące spomiędzy drzew. Max zapytał szeptem stojącego obok chłopca z drugiego roku:

– Było coś widać?

Uczeń pokręcił głową i pokazał, żeby Max był cicho. Nagle ktoś z końca wyszeptał:

– Coś się dzieje!

Tłum przycisnął Maxa do szyby. Pod nimi latarnie podskakiwały szaleńczo, zbiegając się gwałtownie w jednym punkcie przy skraju sadu. W tym właśnie miejscu wzniósł się wielki słup ognia. Max i pozostali chłopcy krzyknęli.

Gwałtowna erupcja oświetliła jakąś potworną istotę w kształcie wilka. Skulone stworzenie zrobiło kilka niepewnych kroków na tylnych nogach, po czym spadło na cztery łapy i pognało po trawie w stronę lasu i drogi.

– Wracajcie do pokoi!

Max odwrócił się i zobaczył dwóch zdenerwowanych uczniów szóstego roku pędzących korytarzem. Chłopcy rozbiegli się do swoich pokoi przy dźwiękach szybkiego szurania i zatraskiwanych drzwi. Max i David zbiegli po schodach na niższy poziom sypialni. Connor wpadł chwilę później z wielkimi oczami i zamknął za sobą drzwi na zamek.

– Widzieliście to? Ja widziałem!

– Nie wychodzę z tego pokoju – wyszeptał David.

Trójka siedziała przez kilka minut w milczeniu. Max zadrżał, odtwarzając w pamięci przerażający kształt, który opadł na trawę i puścił się po niej galopem. Spojrzał na niebo za szybą kopuły i zobaczył, jak na nieboskłonie pojawia się migotliwy Skorpion.

– Jak myślicie, co to było? – zapytał cicho.

– Nie wiem – powiedział David, masując sobie skronie. – Nie chcę wiedzieć.

– Może to był wilkołak – zasugerował Connor. – Jak na filmach.

– To nie wyglądało jak żaden wilkołak, którego widziałem na filmie – powiedział drżącym głosem Max. – To było znacznie gorsze. I większe...

Maxa wyrwało ze snu głośne pukanie do drzwi. Mrugając oczami, rozejrzał się po pokoju. Connor spał na jednej z kanap. David leżał skulony obok kominka, widać było tylko bezkształtne wybrzuszenie kołdry. Ktoś zapukał jeszcze trzy razy, szybko i pewnie. Max skoczył na nogi, wbiegł po schodkach i zatrzymał się przy drzwiach.

– Kto tam? – zapytał powoli i ostrożnie.

– To Joseph Vincenti, Max. Niebezpieczeństwo minęło. Pani Richter chciałaby, żeby wszyscy zebrali się w sędzie. Jest chłodno, więc weźcie kurtki albo szlafroki.

Pan Vincenti poszedł dalej i pukał do kolejnych drzwi. Za chwilę Max obudził Connora i Davida. Trójka

zaspanych chłopców wyszła, szurając nogami, z resztą uczniów przez tylne drzwi do sadu, gdzie oczekujące na świt niebo miało barwę bladego błękitu.

Pani Richter stała niedaleko pierwszego rzędu drzew w otoczeniu wykładowców i tuzina innych dorosłych. Prowadzone ściszym tonem rozmowy natychmiast się urwały, kiedy głos pani Richter rozległ się w porannym powietrzu.

– Uczniowie, ponieśliśmy stratę. W sadzie zagościło kolejne złote jabłko. Niestety, zdecydowanie przedwcześnie.

Max patrzył, jak kilkoro starszych uczniów zaczęło między sobą szeptać i przyglądać się wykładowcom z zaniepokojonymi minami. Pani dyrektor pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Nasza strata nie miała miejsca na terenie uczelni. Straciliśmy jedną z egzaminatorek, pannę Isabelle May, którą wielu z was bez wątplenia spotkało podczas testów kandydackich.

Uczniowie oniemieli. Pani Richter mówiła dalej z poważną miną.

– Nie wiem jeszcze, co się stało pannie May. Ostatni raz nawiązaliśmy z nią łączność tydzień temu. Pomimo usilnych starań, nie udało się nam skontaktować z nią później. Przez cały czas uważnie obserwowaliśmy Drzewo Absolwentów jej rocznika. Pan Morrow dokonał nieszczęśliwego odkrycia zeszłej nocy przed kolacją. Jabłko panny May zamieniło się w złoto.

Kilkoro starszych uczniów przytuliło się do siebie.

Max zobaczył, że Lucia wyciera łzy; domyślił się, że to panna May ją egzaminowała.

Pani Richter podniosła dłonie, żeby uciszyć zgromadzonych.

– Krótco po tym, jak straciliśmy Isabelle, coś uruchomiło system alarmowy kampusu. Przepraszam was za podjęcie działań, które mogły was dezorientować albo przestraszyć, ale były to konieczne środki bezpieczeństwa. Pierwszy raz w historii Rowan na teren uczelni dostali się wysłannicy Wroga.

Uczniowie zaczęli wymieniać spojrzenia i szeptać.

– Już ich tu nie ma – uspokoiła ich pani Richter, a jej głos uciszył uczniów – i mogę was zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, żeby ustalić, co się właściwie stało i jakie kroki są niezbędne w celu zapewnienia wam bezpieczeństwa. Jednak do tego czasu żaden uczeń pod żadnym warunkiem nie może opuścić kampusu. Złamanie tego zarządzenia zostanie ukarane wydaleniem ze szkoły. Czy to jest jasne?

Max razem ze wszystkimi przytaknął i powiedział:

– Tak, pani dyrektor.

Kiedy rozcierał dłonie, zdał sobie sprawę, że zapomniał wziąć marynarkę, a powietrze wczesnym rankiem było wyjątkowo chłodne jak na tę porę roku.

Starsza dziewczynka podniosła rękę.

– Jak oni mogli się tu dostać? – zapytała drżącym głosem. – Rowan miało być przecież ukryte przed Wrogiem! Co to znaczy?

Spojrzenie pani Richter było surowe, a jej głos ostry.
– To znaczy, że nadeszły niebezpieczne czasy.

10

TRASA

W następnych tygodniach wszyscy uczniowie musieli chodzić parami, a wyjścia do miasteczka były zabronione. Wykładowcy i starsi uczniowie zgłaszali się na ochotnika na wieczorne patrole i do eskortowania młodszych kolegów. Szczególnie rzucali się w oczy dziwni dorośli, którzy przybyli do kampusu. Przemykali się lasem, pojawiali się znienacka na korytarzach i stali na straży na terenie całej uczelni. Uczniowie usłyszeli, że osobnicy ci przybyli, żeby ich chronić, ale że nie należy z nimi rozmawiać ani ich zaczepiać. Wśród nich był jeden wyjątkowo niepokojący mężczyzna z mocno poparzoną twarzą. Uczniowie zaczęli się zakładać, kto odważy się wejść mu w drogę, kiedy nocą spacerował cicho w swojej czarnej wełnianej czapce i dwurzędowej kurtce marynarskiej, machając latarnią z klapkami. Nazywał się Cooper i Max się go bał.

Po dwóch nerwowych tygodniach Max pracował ze swoją grupą w małym pokoju przy Bibliotece Bacona. Pomimo niedawnych wydarzeń wykładowcy postanowili nie zmieniać rozkładu zajęć w połowie semestru i Max przygotowywał się do kilku egzaminów. Wziął od Cynthii garść popcornu, potem pomarudził trochę, przyglądając się notatkom w zeszycie do matematyki; tylko połowa

jego odpowiedzi zgadzała się z kluczem.

Max ziewnął. Robiło się późno, a musiał jeszcze nakarmić Nicka. Kiedy zbierał swoje rzeczy i zapinał na suwak polar, David zerknął znad książki, którą czytał na kanapie.

– Idziesz do Sanktuarium? – zapytał.

– Tak – powiedział Max, przeciągając się. – Chcesz pójść ze mną?

– Nie. Idę do łóżka. Ale ty powinieneś pójść z kimś, żeby było bezpieczniej.

David wrócił do swojej książki. Nagle Sara podniosła wzrok.

– Ja z tobą pójdę, jeżeli chcesz. Poczekaj, tylko wezmę kurtkę – powiedziała, zamykając podręcznik.

Lucia uśmiechnęła się i rzuciła ziarnkiem popcornu w Cynthię, która zerknęła kątem oka znad książki. Max spojrzał na Connora, który zaledwie podniósł brwi.

– Eh... pewnie – odparł Max. – Dzięki.

Sara uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

– I co się tak patrzycie? – zapytał Max, przebiegając wzrokiem po twarzach kolegów.

– Daj spokój, Max – prychnął Connor. – Podobasz się jej.

– Nieprawda – zaprotestował Max.

– Prawda – zachichotała Cynthia. – Dlatego zawsze wybiera cię podczas gier i siada koło ciebie na wszystkich zajęciach. Uwierz mi, na pewno nie po to, żeby zrzywać od ciebie pracę domową.

Max spiorunował ją wzrokiem.

– Przepraszam – powiedziała Cynthia, znowu się zaśmiała i udała zainteresowanie lekturą.

Lucia prychnęła i odłożyła pióro. Jej angielski bardzo się poprawił, ale teraz mówiła tak szybko, że Max miał kłopoty z rozumieniem. Usłyszał coś o tym, że jest dzieciakiem, że Sara jest śliczna i bystra, ale to wyraz „ impreza ” zwrócił jego uwagę.

– Co powiedziałaś o imprezie?

Oczy Lucii zwięźły się.

– Powiedziałam, że Sara jest dla ciebie za dobra i że masz szczęście, że możesz pójść z nią na imprezę Halloween!

Max zerknął przerażony przez ramię na drzwi.

– O czym ty mówisz? – syknął. – Sara poprosi mnie, żebym poszedł z nią na Halloween?

– Nie bądź śmieszny – wtrąciła Cynthia. – Sara jest zdecydowanie zbyt staroświecka na coś takiego.

Max odetchnął.

– Po prostu da ci do zrozumienia, że chciałyby, żebyś to ty ją zaprosił – dodała Cynthia z zawadiackim błyskiem w oku.

– Ale – Max urwał w połowie zdania, kiedy Sara wróciła do pokoju w kurtce z kapturem.

– Jesteś gotowy? – zapytała, minęła Maxa i zaczęła na niego przy drzwiach. David zasłonił sobie twarz książką, a Connor zachichotał. Max poszedł za nią korytarzem, dokładnie wycierając dłonie o polar.

Teraz, kiedy minęło krótkie babie lato, dni były coraz chłodniejsze. Sara szła ścieżką obok Maxa, bawiąc się zestawem bransoletek z paciorków.

– Wiesz co – powiedziała – nigdy nie widziałam Nicka z bliska. Jaki on jest?

– W porządku – odparł szybko Max. – Chociaż źre jak smok i lubi na mnie napadać.

– Naprawdę? – zaśmiała się.

– I często się złości, kiedy się spóźniam – dodał Max.
– Poszarpał mi już kilka swetrów.

– Czy dzisiaj jesteś spóźniony? – zapytała Sara łobuzerskim tonem.

Max przytaknął zażenowany i pośpieszyli główną ścieżką przez las.

Wtedy z pobliskich krzaków wyszła mroczna postać i poświeciła im latarnią w twarz.

Max zrobił krok do tyłu. To był Cooper, ubrany cały na czarno i w naciągniętej nisko na czoło czapce. Chłopiec zamarł ze wzrokiem utkwionym w napiętych, lśniących bliznach, które szpeciły połowę twarzy mężczyzny.

Sara była wściekła.

– Jak pan śmie wyskakiwać tak na nas z ciemności? – zapytała ostrym tonem.

Cooper nie odpowiedział, tylko przyglądał się im beznamiętnie.

– No? – zapytała. – Czy będzie pan dżentelmenem i

przeprósi za to, że nas pan przestraszył?

– Saro – wyszeptał Max. – Nie rozzłość go!

Oszpeconą twarz Coopera powoli wykrzywiło coś na podobieństwo pogardliwego uśmiechu. Grzecznie ściągnął czapkę, odsłaniając głowę, która również była mocno poparzona. Zostało na niej tylko kilka kępek włosów koloru siana, jak postrzępione pędy bladej pszenicy. Cooper zamknął klapkę latarni i ruszył cicho przez krzaki w kierunku jednej z ocienionych bocznych ścieżek.

Max i Sara podjęli wędrówkę do Sanktuarium. Max nie odzywał się, aż zamknęli za sobą ciężkie wrota.

– Ten facet mnie naprawdę przeraża.

– Oczywiście, że tak – wypaliła Sara. – Wyskakiwać w nocy z ukrycia na uczniów! Powinnam porozmawiać o tym z panną Boon.

– Tak, ale jego twarz...

– To mu nie daje prawa do straszenia ludzi! Przykro mi, że jest poparzony, ale życie toczy się dalej.

Sara odzyskała panowanie nad sobą i ociągała się przed wyjściem na polanę. Ze swoją długą szyją i delikatnym profilem wyglądała na tle splątanych gałęzi jak księżniczka. Odwróciła się do niego, a jej oczy były tak ciemne i lśniące jak oczy sarny.

– Wiesz, Max, nigdy nie podziękowałam ci za wyciągnięcie mnie z wody tej nocy, kiedy byliśmy na „Pustulce”.

– O – powiedział Max – to nic takiego. Tak czy siak,

ty mnie właśnie uratowałaś przed potworem, więc jesteśmy kwita! – Zaśmiał się cienko, podczas gdy Sara poprawiała bransoletkę.

– No to dziękuję – powiedziała.

Nachyliła się i pocałowała go delikatnie w policzek. Maxowi, który po prostu stał, udało się zauważyć, że pachniała perfumowanym mydłem. Odsunawszy się, Sara uśmiechnęła się do niego, po czym wyszła na polanę. Max trzymał się trochę z tyłu, świadomy swoich czerwieniejących policzków i wdzięczny za otaczającą ich ciemność.

Nick wiercił się już w swojej przegrodzie i wgryzał w nasadę rosnącego w niej drzewka. Obecność Sary pomogła złagodzić jego gniew; perspektywa nowej osoby, którą można gonić, wystarczyła, żeby go udobruchać. Sara śmiała się, ścigając się z Nickiem, który przykucał nisko, machając ogonkiem na boki, po czym znienacka się za nią rzucał. Krzyczała, kiedy szybko ją doganiał, a jego futro połyskiwało na czerwono, kiedy śmigał po polance. W tym czasie Max wysprzątał przegrodę swego podopiecznego i załadował do taczki jego kolację.

Ustawwszy skrzynki przy stawie, Max zawołał Nicka, który zrezygnował z zasadzki na Sarę i wyskoczył z ciemności. Sara podbiegła truchtem za nim, trzymając się za bok i dysząc.

– Uwielbiam Nicka! – wykrzyknęła. – Jest uroczy!

– Hm. Zobaczymy, czy to również wyda ci się urocze – powiedział Max, otwierając skrzynię, w której

kotłowały się długie na trzydzieści centymetrów szczury. Szczury rozbiegły się na wszystkie strony, a Nick pogonił za nimi. Wymachiwał ogonem, a jego pazury były rozmazaną plamą, kiedy dościgał szczury i patroszył je machnięciem łap albo gwałtownym szarpnięciem pyska. Sara zajęczała, kiedy pół szczura wylądowało koło jej buta. Nick przydreptał i popchnął truchło zakrwawionym ryjkiem w jej stronę.

– Polubił cię! – wykrzyknął Max z miejsca, gdzie przykucał, rozdzielając metalowe pręty na małe sterty. – Na początku, kiedy go karmiłem, nic mi nie przynosił.

– Wspaniale – powiedziała Sara, powstrzymując odruch wymiotny.

Po spałaszowaniu szczurów Nick przyczłapał do Maxa i przez następne pół godziny dzielił swoją uwagę między miniaturowe sztabki i wijące się dżdżownice. Następnie wskoczył do stawu, strasząc czaple, które spały w trzcinach. Kiedy kilka minut później wynurzył się z wody, miał lśniące futerko i wyglądał na zmęczonego. Wspiąwszy się na taczkę, padł wśród sterty skrzynek z wyciągniętymi pazurami i zaczął chrapać, podczas gdy Max z trudem pchał taczkę pod górę.

Sara zajrzała do swojego podopiecznego, przepięknie upierzonego pawia, po czym podeszła do miejsca, gdzie Max przewiesił bezwładnego lymrilla przez niski konar w jego przegrodzie.

– Hej – powiedziała, chwytając Maxa za rękę. – Mam pewien pomysł!

Zaciągnęła go do komory wydającej jedzenie, odchrząknęła i powiedziała:

– Pokarm dla Maxa McDanielsa. Lubiący słodczy dwunastolatek.

Komora się zatrzęsała, a pod jej przytrzymywanym kłamrą dygoczącym wiekiem prześwitywało złote światło.

– Sara, nie chcę jeść niczego, co stamtąd wyjdzie!

– Cicho! – powiedziała Sara, obserwując z uśmiechem komorę. – Zobaczymy, co nam da!

Komora przestała dygotać i złote światło zgasło. Sara otworzyła zamek i podniosła wieko. Nagle z komory wyłoniły się trzy głowy trzech bardzo rozgniewanych chochlików w poplamionych fartuchach kucharzy. Chochliki pogroziły Sarze i Maxowi pięścią.

– Nie dla uczniów! Nie dla uczniów! – powtarzały, rzucając w nich garściami odpadków i zgniłych warzyw. Sara wybuchnęła śmiechem i wykrzykiwała przez ramię przeprosiny, kiedy popędzili korytarzem i wybiegli za drzwi.

Zamknęli bramę Sanktuarium i szli w stronę Domostwa. Max zauważył, że w trakcie wędrówki jej dłoń co jakiś czas muskała jego dłoń. Stary Tom wybił jedenastą, a melodia rozniosła się po kampusie, podczas gdy oni szli między jesiennymi liśćmi, które spadały po chybotliwych spiralach.

– Lubię tę porę roku – powiedziała nagle Sara, pochylając się, żeby obejrzeć złoty liść klonu. – Tam, skąd pochodzę, nie mamy nic tak przejmującego. To tak,

jakby ziemia kładła się do łóżka i szykowała do snu.

– Poczekaj na zimę – powiedział Max.

– Nie mogę się doczekać zimy! Nigdy nie widziałam śniegu.

– Naprawdę? – zapytał Max z niedowierzaniem. On był bardzo dobrze zaznajomiony z długimi, chłodnymi zimowymi miesiącami w Chicago.

– Nie, Max – zadrwiła Sara. – W Nigerii mamy mnóstwo śniegu.

Max nic nie powiedział i szedł dalej, rozkopując po drodze małe kopczyki liści. Kiedy mijali ostatni rząd Drzew Absolwentów, Sara zatrzymała się.

– Czy masz już kogoś, z kim pójdziesz na imprezę Halloween? – zapytała szybko.

Max też się zatrzymał. Rzucił tęskne spojrzenie na Domostwo.

– Tak naprawdę to nie – powiedział. – Znaczy się, chyba i tak wszyscy muszą tam być.

– No tak, chyba tak. Ale miło byłoby pójść z kimś, prawda? Słyszałam, że Rolf kogoś zaprasza... Lucię zaprosił jakiś chłopiec z drugiego roku.

– Chyba żartujesz – powiedział przerażony Max.

– Wcale nie – odrzekła Sara. – Panna Boon powiedziała, że większość uczniów z kimś idzie.

– Nawet z pierwszego roku?

– Nawet z pierwszego roku – zaśmiała się Sara, po czym wlepiła wzrok w swoje buty. – Słyszałam, że John Buckley szykuje się, żeby mnie zaprosić.

Max odetchnął z ulgą. John Buckley był uczniem drugiego roku, który, jak wieść niosła, był ich najlepszym graczem w piłkę euklidesową.

– To wspaniale, Saro – powiedział zadowolony Max.
– To miły chłopak.

– Tylko że mam nadzieję, że ktoś inny zaprosi mnie najpierw – powiedziała, poprawiając bransoletki i uciekając wzrokiem. W prześwitującym przez cienkie chmury świetle księżyca jej gładka, czarna skóra była prawie niebieska.

– No to mam nadzieję, że ten ktoś to zrobi – powiedział zakłopotany Max. – Eee... robi się późno i muszę iść spać. Dzięki za pomoc z Nickiem.

– Pewnie – powiedziała cicho. – Dobranoc.

Sara mocniej otuliła się wiatrówką i pobiegła do Domostwa, gdzie szybko i po cichu wbiegła po schodach prowadzących na piętro dziewcząt.

Nastał sobotni ranek, wietrzny i deszczowy. Max włożył wełniany sweter i zszedł po schodach do jadalni. Kilkoro jego kolegów i koleżanek już tam było, kończyło śniadanie i rozmawiało podekscytowanymi głosami o nadchodzącej wycieczce na Trasę. Położona pod Kuźnią Trasa była zwykle zarezerwowana dla starszych uczniów, ale pani Richter uznała, że okoliczności wymagają, by zaczęli na niej ćwiczyć wszyscy uczniowie. Maxowi nie udało się wyciągnąć żadnych informacji od starszych kolegów. Jason Barrett po prostu zaśmiał się i powiedział:

„Dorośli mężczyźni płaczą tam jak dzieci. Wiele się tam o sobie dowiesz”. Kiedy Bob usłyszał o decyzji pani Richter, zaczął nakładać na talerze pierwszaków więcej jedzenia, ignorując ich protesty, że mają już pełne brzuchy.

Jednak tego ranka Maxowi udało się postawić na swoim i wyszedł z kuchni z małą miseczką płatków. Usiadł w jadalni obok Lucii, która zrobiła dziwną minę.

– O co ci chodzi? – westchnął Max.

Lucia posłała mu głębokie spojrzenie, po czym znaczącym tonem podjęła przerwana rozmowę z Jessem. Ponieważ Max nie zaprosił Sary na tańce, wiele dziewczynek z pierwszego roku miało go bez słowa. Sama Sara była nadal przyjaźnie nastawiona, ale mniej rozmowna i otwarta niż przedtem.

Max przewrócił oczami, odłożył łyżkę i odepchnął się od stołu. Sara siedziała na drugim końcu, skubała kawałek tosta i rozmawiała z Cynthią. Kiedy do niej szedł, odłożyła na w pół zjedzony tost na talerz.

– Saro? – powiedział Max, kiedy się zatrzymał.

Spojrzała na niego z subtelnym uśmiechem na twarzy. Wszyscy siedzący przy stole przestali rozmawiać i przyglądali się dwójce w napięciu.

– Czy chciałabyś pójść ze mną na imprezę Halloween? – zapytał rzeczowo Max.

Wokół stołu rozległy się gwizdy i wiwaty. Sara nie straciła głowy i podniosła brodę.

– Dziękuję za zaproszenie, Max. Muszę to rozważyć.

– W porządku – wymamrotał i wrócił na swoje miejsce, struchlały na widok siedzącej kilka stołów dalej Julie Teller, która pokazała mu podniesiony kciuk i chichotała z koleżankami. Kiedy Connor zaczął odgrywać transmisję na żywo ze scenki pana Wesleya pod tytułem: „Scenariusz trzydziesty dziewiąty. Niezręczne zaproszenie na jesienną potańcówkę”, Max zaśmiał się z innymi, po czym trafił Connora prosto w czoło kawałkiem słodkiej bułki. Connor, z drwiącym uśmiechem, poszedł do kuchni, żeby zmyć z twarzy plamy masła i jagód.

– A więc – powiedział Max, zwracając się do Lucii – czy teraz mogę zostać skreślony z czarnej listy?

– Na pewno nie z mojej – prychnęła. – Jeżeli chcesz wiedzieć, to zachowałeś się jeszcze gorzej. Zapraszać dziewczynkę tylko po to, żeby coś udowodnić! I do tego jeszcze przy wszystkich! – Pokręciła głową i wstała od stołu.

Z kuchni dobiegły odgłosy zamieszania i Connor wybiegł przez wahadłowe drzwi.

– Nie ma mowy! – krzyknął przez ramię, po czym skoczył z powrotem na swoje miejsce.

Mamuśka popędziła przez drzwi, machając siatką na włosy.

– Ale to wbrew tradycji! – krzyknęła i wybuchła płaczem.

Cynthia wstała, żeby ją pocieszyć. Wiedźma wtuliła twarz w polar dziewczynki, machając wściekle rękami, żeby przegonić uczniów, którzy do niej wołali.

– Coś ty nabroił? – zapytała Cynthia Connora, piorunując go wzrokiem.

– Nic nie zrobiłem! – bronił się Connor. – Zapędziła mnie w kąt i oznajmiła, że jestem szczęściarzem, który został wybrany, żeby pójść z nią na tańce!

Max parsknął, rozsiewając płatki. Nawet Cynthia stłumiła chichot, kiedy Mamuśka kiwała na boki głową, a jej plecy trzęsły się gwałtownie od szlochu. Nagle wiedźma spojrzała na Cynthię, pocierając czerwone zapłakane oczy.

– Jestem paskudna, prawda? – wychrypiała. – Tobie zaufam, Cynthia. Sama nie jesteś piękna. Czy jestem naprawdę ohydna?

– Nie, oczywiście, że nie, Mamuśko – odparła Cynthia, ignorując obelgę i klepiąc wiedźmę w rękę. – Jesteś niezwykła!

– Niezwykle ohydna? – zachrypiała Mamuśka, po czym, przerażona, spojrzała na Cynthię wielkimi oczami.

– Nie – powiedział zgodnie cały stół.

– To dlaczego on nie chce mnie zaprosić? – zaskomlała, spoglądając tragicznym wzrokiem na Connora, który ukrył twarz w dłoniach.

– Na przykład dlatego – wymamrotał – że jesteś ode mnie starsza o jakieś sto lat.

– Connor! – krzyknęła Lucia.

– No co? – zapytał z niedowierzaniem. – Aha, a tak poza tym, to pożerająca ludzi wiedźma! Czy może wyleciało wam to z głowy?

Mamuśka zawyla i ponownie wcisnęła twarz w polar Cynthii. Dziewczynka próbowała ją pocieszyć, gładząc po włosach, ale nagle przerwała i zaczęła oglądać sobie paznokcie.

– Connor, powinieneś zaprosić Mamuśkę na tańce – powiedziała, a w jej głosie czaiła się groźba.

Bezradny Connor spojrział w panice na Maxa. Ten zrobił wielkie oczy i wzruszył ramionami.

– To minimum, które możesz dla niej zrobić, Connor – dodała Sara. – Ona dla nas codziennie gotuje.

– To tylko jeden wieczór – powiedziała Cynthia.

– I to jest tradycja – dodał przechodzący uczeń trzeciego roku z porozumiewawczym uśmiechem.

Mamuśka wyjrzała znad polara Cynthii i zerknęła na Connora, który teraz prawie leżał pod stołem. Zaczęła się wydierać i tupać nogami, a jej głos zamienił się w bolesny dla ucha pisk.

– Aha, czyli to los gorszy niż śmierć, zabrać Mamuśkę! Powinna iść sama! Albo jeszcze lepiej, w ogóle nie iść! Zostać w domu w kredensie i zachować swoje ohydztwo dla siebie!

– Dobrze już, pójdę z tobą – wymamrotał Connor, którego głos z ledwością dało się słyszeć wśród wrzasków Mamuśki. – Powiedziałem, że zabiorę cię na tańce!

Wrzaski natychmiast ustały. Mamuśka odwróciła się, prawie przewracając Cynthię.

– Skoro prosisz, to z przyjemnością – oznajmiła wspaniałomyślnie, dygając nisko. – Będę cię oczekiwać

przy kredensie o siódmej.

Mamuśka wróciła zawadiackim, dziewczęcym krokiem do kuchni.

– Tylko nie zapomnij o naszej randce, mój drogi – zawołała przez ramię. – Wiesz, mam świadków.

Connor jęknął, kiedy Mamuśka zniknęła z rechotem w kuchni. Wkrótce dało się słyszeć tłuczenie garnków i patelni, a ponad jazgotem wznosił się przenikliwy śpiew więdźmy.

– Dopiero co dostałam na urodziny nowy aparat – ucieszyła się Cynthia. – Na pewno narobię mnóstwo zdjęć!

– No – dodał Max, mierzwiąc Connorowi czuprynę. – Pan Wesley będzie dumny, że jego lekcje etykiety nie poszły w las. No dalej, panie Mamuśka, musimy się zbierać do Kuźni.

Z kilku sterczących z pochyłego dachu Kuźni kominów wydobywał się dym. Na dworze mżyło; deszcz zamieniał żółte liście w breję pod stopami. Panna Boon i pan Vincenti czekali na uczniów, którzy szli szybko ścieżką. Każdy z opiekunów trzymał stos gładkich granatowych segregatorów. Panna Boon sączyła kawę z kubka ze stali nierdzewnej i posłała Maxowi wymuszony uśmiech, kiedy chłopcu udało się dojrzeć wytłoczony na okładce srebrny napis: TRASA: INSTRUKTARZ.

– No dobrze – powiedział pod nosem pan Vincenti, przyglądając się grupie. – Dobrze, dobrze, wszyscy są.

Witajcie w moim przesmyku leśnym – naszej ukochanej Kuźni. Schrońmy się przed deszczem. Rozumie się samo przez się, że po wejściu do środka nie wolno wam niczego dotykać. Wasze karty magnetyczne i numery PIN znajdują się w segregatorach. No dobrze, zaczynamy...

Pan Vincenti otworzył drzwi, a panna Boon wprowadziła ich do małego korytarza z metalowymi drzwiczkami po lewej stronie i dużą windą na wprost. Przy drzwiach znajdowała się klawiatura.

– Więc – powiedział pan Vincenti, kiedy on i panna Boon rozdawali segregatory – te drzwi prowadzą do warsztatów. Nie macie powodu, żeby tam wchodzić, dopóki nie zaczniecie zajęć z urządzeń. Interesuje was winda. Zabierze was na główny poziom Trasy. Wsiadajcie.

Max wcisnął się do windy z innymi. Kabina była pięknie wyłożona panelami i zaskakująco obszerna.

– Trzymajcie się mocno – wymamrotał pan Vincenti, kiedy drzwi delikatnie się zamknęły.

Max chwycił się balustrady, kiedy winda zaczęła gwałtownie zjeżdżać w dół. Zamknął oczy, żeby opanować mdłości i skoncentrował się na szumie silnika i słabym zapachu oleju maszynowego. Kiedy się zatrzymali, był pewien, że muszą być dobre sto metrów pod ziemią.

Uczniowie jeden za drugim wychodzili do dużego ośmiokątnego pomieszczenia z wysokim sufitem i lśniącymi ścianami z czerwonego granitu. Na ścianie

naprzeciwko było wejście do następnej windy z herbem Rowan na mosiężnych drzwiach. Max podszedł, żeby przyjrzeć się pięknemu samurajskiemu hełmowi oświetlonemu jaskrawo w szklanej gablocie. Spojrzał na dużą lśniąca tabliczkę na górze.

– Hełm Tokugawy – przeczytał – wręczany za wyjątkowe przywództwo. – Nazwiska poprzednich zdobywców widniały poniżej i mieniły się łagodnym złotym blaskiem. Max odwrócił się, kiedy poczuł dłoń na ramieniu. Panna Boon uśmiechnęła się do niego.

– Chodź – powiedziała. – Pokażę ci mój ulubiony.

Minęli gablotę, w której była wyeksponowana olbrzymia poobijana rękawica i zatrzymali się przy kolejnej, w której umieszczono osmalony kamień.

– To Kamień Założycieli. Uratowali go z wielkim trudem uciekinierzy z Solas. To kawałek naszej ostatniej szkoły, odłamek jej kamienia węgielnego. Pozostałe nagrody są wręczane uczniom, którzy zabłysną jakąś konkretną umiejętnością, ale Kamień Założycieli otrzymuje uczeń, który uosabia ich wiele.

– Ooo! – powiedział Max, przyglądając się znacznie krótszej liście. Na widok ostatniego nazwiska zrobił wielkie oczy. Odwrócił się do panny Boon.

– Pani Richter była ostatnią osobą, która go wygrała?

– Tak. – Panna Boon skinęła głową z poważną miną.

– Pani Richter była wybitną uczennicą i agentką, zanim została dyrektorem.

Max i panna Boon podeszli do Davida, który stał z

boku i przyglądał się złotemu jabłku zawieszonemu w innej gablocie.

– Jabłko Brama. Przyznawane za poświęcenie – powiedział pod nosem David. – Elias Bram. To on poświęcił się w walce z Astarothem, żeby pozostali mogli uciec. Był ostatnim dominantem.

– Zgadza się, David – powiedziała cicho panna Boon.

– Panno Boon? – zapytał Max. – Kto to jest dominant?

Panna Boon spojrzała na niego, ale robiła wrażenie rozkojarzonej.

– Dominant to coś bardzo rzadkiego, Max – zwłaszcza w ostatnim tysiącleciu. Nasz dawno już nieżyjący Bram był ostatnim, co do którego mamy pewność. Dominanci mieli w sobie wielkie zasoby Starej Magii. Byli niezwykle potężni.

Max pomyślał o rozmowie z panną Awolowo tamtej nocy na kopule świątyni. Wspomniała, że w nim też może być Stara Magia. Otrząsnął się z tej myśli, podczas gdy panna Boon przeszła do kolejnej gabloty, w której znajdował się przepiękny afrykański pas pokryty warstwami muszelek porcelanek. Max i David odwrócili się, kiedy pan Vincenti zawołał wszystkich do siebie, na środek pomieszczenia.

– W porządku, teraz już wiecie, dlaczego nasi starsi uczniowie tak ciężko pracują. Chcą wygrać niektóre z tych nagród! Sam nigdy żadnej nie zdobyłem. Zdobycie jednej z nich to prawdziwe osiągnięcie, nieprawdaż,

panno Boon? Dzieci, nie dajcie się zwieść skromności panny Boon. Za czasów nauki w Rowan zdobyła dwie nagrody! Co wygrałaś, Hazel?

Panna Boon zaczerwieniła się.

– Pióro Macona. Dwa razy – odparła.

– No cóż, jako wasz opiekun mam egoistyczną nadzieję, że ta grupa też coś zdobędzie – powiedział pan Vincenti. – Ale nie przyprowadziliśmy was tutaj, żeby podziwiać eksponaty i nagrody. Jesteśmy tu, ponieważ pani dyrektor jest przekonana, że wasze bezpieczeństwo wymaga ćwiczeń na Trasie.

Uczniowie przestali się wiercić i szeptać.

– Trasa to narzędzie szkoleniowe – powiedział pan Vincenti. – Została zaprojektowana, żebyście mogli wykorzystać umiejętności, które zdobyliście w szkole i popracować nad nimi. – Pan Vincenti podszedł do drzwi drugiej windy. – Będziecie mieli dostęp tylko do tych poziomów i stopni trudności, które odpowiadają waszym umiejętnościom – wyjaśnił. – W miarę jak będziecie nabierać sprawności, zaczniecie brać udział w nowych scenariuszach i trudniejszych zadaniach.

Kiedy pan Vincenti naciskał guzik windy, dłoń Rolfa wystrzeliła w powietrze.

– A jakie są scenariusze?

– Scenariusze, z którymi będziecie mieli do czynienia, zależą od wielu czynników. Najważniejszym jest piętro, które wybieriecie w windzie. Numer piętra oznacza poziom trudności, a mamy ich w Rowan

dziewięć. Bardzo niewielu uczniów wychodzi poza poziom szósty. Kiedy będziecie już na właściwym piętrze, możecie zaprogramować dowolną liczbę aspektów scenariusza: otoczenie, cele, przeciwników, itd. Możliwościom nie ma końca.

– Fajowo – powiedział pod nosem Connor, trącając Maxa.

– Po zakończeniu każdego scenariusza Trasa oceni wasz wynik – mówił dalej pan Vincenti. – Wynik ten . jest obliczany na podstawie kilku czynników: przyjętej taktyki, osiągniętych celów, czasu itp. Rezultat umieszczany jest na skali od 0 do 100. Jeżeli uzyskacie wynik powyżej siedemdziesięciu punktów, analitycy umieszczą zapis waszych wyczynów w archiwum i będą was podawać za przykład podczas pokazów szkoleniowych...

Pan Vincenti urwał, kiedy drzwi windy gwałtownie się otworzyły. Z kabiny wyszło kilku spoconych uczniów. Ku przerażeniu Maxa za nimi wyszedł Cooper, ubrany cały na czarno i zdyszany.

– Aha – powiedział pan Vincenti. – Jak widzicie, na Trasie panuje tłok. Uczniowie, wykładowcy i absolwenci mogą z niej zawsze korzystać. Jak poszło, panie i panowie?

– Dostaliśmy baty – poskarżył się chłopiec z grupy uczniów z trzeciego roku. – Poziom trzeci jest straszny. Dorwali nas przed rozwiązaniem zagadki Majów. Nie mogliśmy nawet użyć mistyki!

– A, pan Cooper? Nie było tu pana od lat! Miło znowu pana widzieć.

Cooper kiwnął na powitanie głową i po cichu przeszedł do drugiej windy, która prowadziła na powierzchnię.

– Zjechał na ósmy poziom! – powiedział przejęty chłopiec z drugiego roku. – Zapytałem jedną z badaczek, a ona powiedziała, że dostał siedemdziesiąt pięć punktów!

– No cóż, czego się spodziewacie po jednym z naszych najlepszych agentów terenowych? – rozpromienił się pan Vincenti.

Max patrzył, jak Cooper wsiada do drugiej windy. Agent był wyższy od wszystkich tłoczących się z nim uczniów. Drzwi windy zamknęły się, a pan Vincenti odchrząknął.

– No to mieliście przedsmak tego, co was czeka – powiedział. – Ruszajmy na poziom pierwszy.

Pan Vincenti przytrzymał drzwi drugiej windy, kiedy uczniowie wchodzili.

Drzwi się zasunęły i winda ruszyła w dół, znacznie wolniej i spokojniej niż podczas pierwszego zjazdu. Sara stała blisko Maxa i uśmiechała się. Za chwilę drzwi się otworzyły i zobaczyli następne ośmiokątne pomieszczenie. Tutaj ściany były wyłożone jasnożółtym drewnem. W każdej ścianie znajdowały się oznaczone numerem zielone drzwi.

– W takim razie – powiedział pan Vincenti, wyskakując z windy – powiedzmy, że macie wolne pół

godziny i chcecie sobie trochę poćwiczyć. Kiedy dotrzecie już na właściwy poziom, macie w praktyce dwie możliwości: przećwiczyć dany scenariusz albo przyjrzeć się w sali monitoringu już zaliczonym i przeanalizować je. Zacznijmy od jakiegoś scenariusza. – Pan Vincenti zaprowadził ich do gładkiego srebrnego panelu kontrolnego zamontowanego w ścianie przy pierwszych drzwiach. – Dobrze – powiedział. – Żeby zapisać się na dany scenariusz, dotykacie ekranu tutaj. Zaczynamy. Teraz potwierdzicie swoją tożsamość badaniem źrenicy i wybierze parametry z paska narzędzi albo pozwolicie, żeby ustaliła je dla was Trasa. Szczegóły są w waszych segregatorach. – W oczach pana Vincentiego pojawił się łobuzerski błysk. – Czy znajdzie się jakaś odważna duszyczka, która wypróbuje scenariusz jako przykład, który będziemy mogli obejrzeć w sali monitoringu?

Sara zrobiła krok naprzód.

– Wspaniale – powiedział z uśmiechem pan Vincenti.
– Nie znoszę, kiedy muszę wyciągać uczniów na siłę. – Nauczyciel jeszcze raz dotknął ekranu i szybko wybrał parametry. – W porządku, Saro – powiedział. – W tym scenariuszu masz tylko jeden cel: w dowolny sposób dotknąć przeciwległej ściany. Jasne?

Sara przytaknęła i przełknęła nerwowo ślinę.

– Kiedy będziesz gotowa – powiedział pan Vincenti – po prostu przejdź przez drzwi.

Max i pozostali zaczęli dopingować Sarę, kiedy ta otworzyła drzwi i zniknęła w środku. Drzwi mocno się za

nią zamknęły.

– Odważna! – wyszeptała Cynthia. – Ja bym się tam nie dała zagonić karabinem!

– Ja też chciałem iść – zajęczał Jesse, którego natychmiast uciszyło kilku niedowiarków.

Max odczytał z jaskrawobiałego ekranu dane:

```
SARA AMANKWE: POZIOM PIERWSZY.  
SCENARIUSZ OAO2 CZAS OD ROZPOCZĘCIA:  
00:00:14:51
```

Kiedy licznik czasu pokazał dwie minuty, monitor zaczął migać. Chwilę później zdyszana Sara wyszła przez drzwi i oparła ręce na kolanach.

– To niesamowite! – zapiąła, kiedy reszta powitała ją wiwatami i pytaniami.

– A teraz – powiedział z uśmiechem pan Vincenti – możecie co jakiś czas przyjrzeć się, jak wam poszło i poprosić o komentarz. W tym celu należy skorzystać z sali monitoringu. Zobaczmy, co tam wyczyniała panna Amankwe...

Panna Boon otworzyła orzechowe drzwi, za którymi znajdowało się duże pomieszczenie z wieloma monitorami ustawionymi w przegrodach z ciemnego drewna. Kilku starszych uczniów, w tym Alex Muñoz, siedziało przy monitorach i przyglądało się uważnie ekranom. Alex zerknął na nich bez zainteresowania. Pan Vincenti przywitał się z kobietą w średnim wieku, po

czym usiadł przed dużym monitorem. Pokazał Sarze, żeby usiadła obok niego i uruchomił monitor dotknięciem ekranu.

– Zobaczmy, jak ci poszło – powiedział. – Wszyscy niech się zbiorą i postarają się przyjrzeć.

Max spojrzał nad ramieniem Omara i zobaczył kawałek ekranu. Widać było na nim przestraszoną Sarę na końcu dużego, prostokątnego pomieszczenia. Przeciwległa ściana migiała na zielono. Sara zaczęła przemierzać pomieszczenie, kiedy podłoga zamieniła się nagle w kilka pasów transmisyjnych odjeżdżających w różnym tempie od migającej ściany. Dziewczynkę z wielkim hukiem odrzuciło do tyłu na ścianę, przy której zaczynała. Za chwilę zebrała się w sobie i spróbowała ocenić, który pas porusza się najwolniej. Ruszyła biegiem po pasie przy ścianie. W trakcie jej zmagania do sali wleciały olbrzymie gumowe kule, które zaczęły odbijać się na wszystkie strony. Kiedy co jakiś czas Sarze udawało się zbliżyć do ściany, któraś z kul ją przewracała, a pas szybko przenosił ją na początek. Max był pod wrażeniem jej wytrwałości, choć do samego końca scenariusza nie udało jej się dotknąć ściany.

Sara uśmiechnęła się, a kilka dziewczynek zaczęło wznosić wiwaty i ją ścisnąć.

– Nie dziwię się, że dziewczynka zgłosiła się jako pierwsza – powiedziała Lucia, spoglądając na Jessego.

– Nie dziwię się, że dziewczynka nie dała sobie rady – odparował.

– Już dobrze – powiedział pan Vincenti. – Trasa jest narzędziem rozwoju osobistego. To nie są zawody. Jak na pierwsze podejście Sarze poszło bardzo dobrze. Tutaj możecie zobaczyć, że Trasa przyznała jej jedenaście punktów, co może wam się wydawać słabym wynikiem, ale jak na pierwszy raz to nieźle. Zalecenia wymienione pod spodem są dość ogólnikowe. Będą bardziej zrozumiałe, kiedy Trasa będzie miała więcej waszych danych do analizy.

Kilkoro dzieci zachichotało, czytając zalecenia: „unikaj kul, ruszaj się szybciej, popracuj nad koordynacją”. Obok każdego z zaleceń były wymienione dwa albo trzy ćwiczenia, które Sara powinna wykonywać, żeby poprawić niezbędne umiejętności.

– Przy złożonych scenariuszach komentarze do zadań mogą mieć nawet kilka stron – wyjaśnił pan Vincenti, podnosząc się. – Co kwartał będziecie dostawać książeczkę z analizą waszych wyników na Trasie wraz z komentarzem i opinią zespołu specjalistów. Jakieś pytania?

– Kiedy możemy zacząć ćwiczyć scenariusze? – zapytał Connor.

– Dzisiaj – powiedział pan Vincenti, chichocząc. – Jestem zwolennikiem rzucania uczniów na głęboką wodę. Tak czy siak, system nie pozwoli, żeby stała wam się krzywda.

Kiedy uczniowie wyszli z sali i zaczęli zbierać się przy windzie, do Maxa podszedł David.

– Niezłe, co? – powiedział. – Muszę iść nakarmić Mayę. Chcesz pójść ze mną?

Max pokręcił głową, przyglądając się jednemu ze srebrnych paneli kontrolnych.

– Nie – powiedział z uśmiechem. – Chyba jeszcze chwilę tu zostanę.

– Wiedziałem, że to powiesz – odparł David i uśmiechnął się, wchodząc do windy.

HALLOWEEN

Kiedy nadszedł weekend Halloween, w Rowan zaroilo się od absolwentów, którzy przybyli na imprezę. Zjechali się z całego świata – wiekowi starszycy na wózkach inwalidzkich, elegancko ubrani mężczyźni i kobiety oraz garstka studentów w bluzach z godłami swoich uniwersytetów. Max z zaskoczeniem zobaczył parę znajomych twarzy: kilku polityków, światowej sławy naukowiec, nawet pewna aktorka, którą uwielbiał pan McDaniels.

Max minął w wielkim hallu kilku absolwentów i wymknął się tylnymi schodami. Nazajutrz mieli mecz z drugim rokiem w piłkę euklidesową, który miała oglądać reszta szkoły i absolwenci. Pierwszy rok miał zebranie na jednym z podziemnych poziomów Domostwa, żeby wybrać drużynę.

Spotkanie zamieniło się w koszmar i Maxa rozboleła głowa. Pierwszy rok mógł mieć w swoim zespole dwudziestu graczy, ale każda z pięciu grup była zdania, że posiada dziesięciu godnych kandydatów. Kiedy rozgorzały kłótnie, Max i David usiedli z boku, pozostawiając negocjacje w imieniu ich grupy Rolfowi, Sarze i Connorowi. Rolf właśnie wyklócał się z innym chłopcem, kiedy David bez słowa wstał i poszedł na

środek sali.

– Przepraszam – zaczął.

Kłótnie trwały nadal i David zaczął kaszleć.

– Przepraszam! – powtórzył.

Max odetchnął z ulgą, kiedy Cynthia przyszła mu w sukurs.

– Zamknijcie się! – wrzasnęła, zatykając Connorowi usta dłonią, żeby przerwać potok niezrozumiałego dublińskiego slangu. – David ma coś do powiedzenia.

Wszystkie oczy zwróciły się na Davida, który oblał się rumieńcem.

– No więc – zaczął, a jego głos ledwie było słychać w wielkim pokoju – tak nigdy do niczego nie dojdziemy... Mamy dwadzieścia miejsc i pięć grup. Każda grupa powinna wybrać najlepszych czterech graczy i to będzie nasza drużyna.

– Ale to może nie być najlepsza drużyna – prychnął chłopiec z Brazylii.

– Możecie się sprzeczać do woli – powiedział David.

– A mecz jest jutro o dziewiątej i chciałbym mieć kogo dopingować.

David usiadł z powrotem obok Maxa, a debata toczyła się dalej.

– Przypomnij mi, żebym nigdy więcej tego nie robił – jęknął David.

Tej nocy Max nie mógł zasnąć. Chodził po pokoju podenerwowany nadchodzącym meczem z drugim

rokiem. Rolf, którego wybrano na kapitana ich drużyny, przy doborze graczy postanowił położyć nacisk na mocne strony pierwszego roku, a jedną z nich była gwałtownie poprawiająca się szybkość Maxa.

– Max, idź wcześniej spać – powiedział Rolf przy kolacji. – Liczę na twoje nogi. Być może będziesz na boisku przez większość meczu.

Max obiecał to Rolfowi i śpieszył się przy oporządzaniu Nicka, który był wyraźnie poirytowany. Jednak wcześniejsze położenie się nic nie dało, bo Max przez godzinę nie mógł zasnąć, aż w końcu wymknął się na dół po jeden z podręczników mistyki. Przez następne kilka godzin tworzył małe kule z ciemnoniebieskich płomieni i koncentrował się na tym, żeby ołówek turlał mu się tam i z powrotem po książce. Kiedy nadszedł świt, chłopiec zobaczył swoje odbicie w ciemnej szybie kopuły obserwacyjnej. Mała sfera niebieskich płomieni migotała mu jeszcze na dłoni, po czym rozplynęła się w powietrzu.

– Zmieniasz się – wyszeptał i padł na łóżko.

David był już ubrany w granatowy mundurek Rowan, kiedy obudził Maxa. Max skoczył na równe nogi, zrzucając podręcznik mistyki z kołdry na podłogę.

– Musisz być na boisku za dziesięć minut na rozgrzewkę! – powiedział David i pobiegł przynieść Maxowi jego nowe piłkarskie buty.

Max wyskoczył z łóżka i włożył granatowy pulower. Chwilę później pędził na boisko, mijając drużynę

drugiego roku, która ćwiczyła w białych strojach. Na drugim końcu boiska rozciągali się wszyscy zawodnicy z pierwszego roku, oprócz Rolfa, który stał z założonymi rękami. Max próbował zignorować purpurową twarz kapitana, koncentrując się na ćwiczeniach rozciągających, ze wzrokiem wbitym w parę strachów na wróble, które stanowiły całą widownię.

David przyniósł mu kawałek tosta.

– Proszę. Lepiej, żebyś się spóźnił teraz niż wieczorem... – dodał z uśmiechem.

Max zmrużył oczy i spojrzał na Davida, który zaczął chichotać i uciekł na trybuny. Jego kolega z pokoju lubił się z nim drażnić, od kiedy Sara w końcu przyjęła zaproszenie na tańce.

Był rześki jesienny dzień, a przyjemny wietrzyk rozrzucał złotymi falami leżące na ziemi liście. Uczniowie i absolwenci wypełniali trybuny; sadzili się z termosami i rozkładali na kolanach bawełniane narzuty. Po ćwiczeniach rozciągających Sara stuknęła Maxa w rękę, zachichotała i pokazała mu przez ramię Nolana prowadzącego z Sanktuarium podopiecznych zawodników. Olbrzymi shedu, Orion, człapał z przodu. Na grzbiecie miał białe prześcieradło, na którym namalowano slogany bojowe. Max zastanawiał się, jak Rolfowi udało się namówić dumnego shedu, żeby robił za tablicę reklamową.

Max westchnął, kiedy zobaczył, jak Nolan nagle podnosi Nicka, żeby uniemożliwić mu wbiegnięcie na

boisko. Lymrilla powierzono zdenerwowanej parze absolwentów, a Nolan tak rozmieścił podopiecznych, żeby mogli oglądać mecz z trawnika.

M. Renard wszedł szybkim krokiem na murawę i podniósł ręce, żeby uciszyć widzów. Max poczuł mdłości. Kilka tysięcy widzów zaczęło klaskać i rozmawiać, przeglądając broszurki z programem i dopasowując nazwiska do numerów i twarzy. Maxa wyrwał z odrętwienia grzmiący, magicznie wzmocniony głos M. Renarda.

– Panie i panowie, witamy na tegorocznym meczu Halloween między uczniami Rowan!

Tłum zaczął entuzjastycznie wiwatować. Max widział Nicka szarpiącego się tak mocno, że Nolan musiał go odebrać od pary absolwentów. Mężczyzna spojrzął na Lymrilla wilkiem i zdjął płaszcz z wielbłądziej wełny, żeby przyjrzeć się porozrywanym rękawom. Max skrzywił się i odwrócił do M. Renarda, który wyraźnie delectował się entuzjazmem tłumu, pokazując teatralnym gestem na pierwszy rok.

– Jeszcze dwa miesiące temu te oto małe globulki przybyły tutaj tłusciutkie i mięciutkie jak kuleczki masła!
– oznajmił nauczyciel gier.

Widzowie zachichotali, a Max i jego koledzy z drużyny oblali się rumieńcem.

– Nie ma się z czego śmiać! – zbeształ publiczność M. Renard. – Na widowni też widzę kilka kuleczek masła. Niektórym z was przydałyby się dodatkowe zajęcia z

wuefu – powiedział z kamienną twarzą, grożąc palcem w stronę kilku korpulentnych kobiet okrytych pledem w szkocką kratę.

Jedna z nich wstała, pogroziła mu pięścią i krzyknęła: „Nigdy więcej!” ku uciesze absolwentów.

Nauczyciel mówił dalej:

– Tak, przybyli tu dopiero dwa miesiące temu, ale, jak sami zobaczycie, zdążyli się nauczyć tego i owego. Proszę ich ciepło powitać w Rowan.

Max wyteńczył wzrok w porannym słońcu, usiłując dojrzeć więcej twarzy na trybunach, z których rozległy się przyjazne oklaski.

– A nasz drugi rok – powiedział M. Renard, potruchtawszy do drugiej drużyny. – Któżby mógł ich zapomnieć? „Średnie dzieci” Rowan. Trzymam w tym meczu ich stronę. Zawsze postrzegani jako dranie, złoczyńcy, łobuzy, kiedy stają w szranki z biednym, niewinnym pierwszym rokiem... To takie niesprawiedliwe, prawda?

Uczniowie drugiego roku zaśmiali się i pokręcili głowami.

– No cóż, może to i niesprawiedliwe, ale życie jest życiem, nieprawdaż? – M. Renard pociągnął nosem. – Życzę obu drużynom powodzenia. Niech mecz będzie zacięty, ale honorowy. I... ech... udanego Halloween!

Widzowie zaczęli wiwatować na dźwięk trąbek, na których zagrał kwartet satyrów stojących po drugiej stronie widowni. Max wziął głęboki oddech, wybiegł

truchtem na boisko i dołożył swoją dłoń do pozostałych, kiedy Rolf dopingował drużynę. Kapitan wspomniał coś o „dumie” i że „są tylko o rok starsi”, ale Max był przede wszystkim skupiony na opanowaniu nerwów. Zobaczył Alexa Muñoz, który wyszedł na murawę z drugim rokiem, gawędził z kolegami, przechylał się na boki i rozciągał. Alex spostrzegł patrzącego nań Maxa i pokręcił głową, jakby ze współczuciem.

Boisko zaczęło wierzgać zaraz po gwizdku M. Renarda. Max stracił równowagę, kiedy drugi rok przeleciał obok z piłką, podając ją szybko na skrzydło. Skrzydłowy przyjął podanie i zaczął rozgrywać, próbując znaleźć wyrwę w obronie. Alex Muñoz podbiegł z linii środkowej w samą porę, żeby odebrać mocne podanie i złożyć się do strzału na bramkę, zanim Rolf zdążył dobiec, by wybić piłkę.

Po rozpoczęciu meczu Max zapomniał o swoich lękach – gra pochłonęła go bez reszty. Grał na środku, ale Rolf poprosił go, żeby skoncentrował się na obronie, spodziewając się, że drugi rok będzie chciał szybko złamać ich morale.

Kapitan miał rację. Drugi rok zdobył dwie bramki jedna po drugiej ku wyraźnej frustracji Cynthii, która była świetnym bramkarzem, ale nie miała dotąd do czynienia z tak nagłymi, szybkimi strzałami. Jednak pierwszy rok zmobilizował się, kiedy jeden z ich napastników zdobył nieprawdopodobną bramkę dzięki przejściu przez boisko nagłej fali, która przewróciła bramkarza przeciwnej

drużyny. Widownia zaczęła dopingować, kiedy pierwszy rok znowu ruszył do natarcia, jednak Alex odebrał piłkę Sarze i wykonał długie podanie na pole karne, które skończyło się utratą bramki przez pierwszoroczników. Przed wznowieniem gry Alex podbiegł ze złośliwą miną, żeby wyszeptać coś do Sary. Max myślał, że dziewczynka straci panowanie nad sobą i się na niego rzuci, ale Rolf szybko wymienił ją na innego zawodnika.

Pomimo prowadzenia w miarę upływu pierwszej połowy w drużynie drugiego roku pojawiły się niesnaski. Max odniósł wrażenie, że zwycięstwo trzy do jednego było dla nich niewystarczające. Docinali sobie nawzajem i przeklinali za każdym razem, kiedy pierwszacom udało się przejąć piłkę albo choćby przez chwilę się przy niej utrzymać ku radości widzów. Max zauważył wyraźną zmianę, kiedy starł się z dwójką zawodników drużyny drugiego roku i dostał od chłopaka łokciem w bok, podczas gdy dziewczynka odbiegła z piłką, pokonując serię wybrzuszeń, które pojawiły się z prawej strony. Max rzucił się za nią w pogoń, kiedy usłyszał gwizdek M. Renarda i pierwsza połowa dobiegła końca.

– Nie możesz dawać się tak odpychać – wysapał Rolf, który podbiegł do Maxa, kiedy zbierali się z resztą przy swojej bramce. – Musisz być bardziej agresywny, albo cię zdejmę.

– To piłka nożna – warknął Max. – To nie jest sport kontaktowy!

– Może powiesz to im – odparował Rolf.

Po rozpoczęciu drugiej połowy Max był pewien, że M. Renard zmienił ustawienia boiska. Ruchy murawy stały się bardziej gwałtowne, a schematy mniej przewidywalne. Całe połączenie wznosiły się i opadały, tworząc poznaczone bruzdami grzbiety. Śledząc piłkę, która zakreśliła mu łuk nad głową, Max odwrócił się i nagle znalazł się przed dwumetrową ścianą. Kiedy się na nią podciągnął, zobaczył, że obrońca z drugiego roku dobiega do piłki przed nim. Piłka wróciła Maxowi nad głowę, gdzie przyjął ją na klatkę piersiową John Buckley, kapitan drugiego roku, który zgrabnie wyminął obrońcę i posłał piłkę obok Cynthii do bramki. Tłum zawył, a Johna otoczyli koledzy z drużyny.

Pięć minut później Max dryblował i szukał wzrokiem Sary pod bramką przeciwnika, kiedy z tyłu podciął go Alex. Zabrał mu piłkę i pognął w stronę Cynthii. Zamarkował strzał w prawo, po czym przerzucił ciężar ciała na drugą stronę i wysłał piłkę w przeciwny róg, nie dając Cynthii szans. Max przyglądał się bezradnie, jak piłka przelatuje obok niej; stracili bramkę z jego winy. Usłyszeli głos pana Renarda, który ogłosił wiwatującym widzom nowy wynik, a Alex uniósł w zwycięskim geście pięść i krzyknął coś do Cynthii.

Pomimo rozpaczliwych okrzyków Rolfa mających podnieść morale drużyny, Max poczuł, że pierwszaki zaczynają tracić ducha. Myśli te opuściły go jednak, kiedy zawodnik z drugiego roku znienacka wykonał długie podanie w stronę Johna. Max ruszył do akcji. Prześcignął

starszego chłopca i miał wybić piłkę do Rolfa, kiedy coś podcięło mu nogi i padł jak długi na murawę. Poczuł eksplozję bólu w kolanie. Zobaczył, jak roześmiany Alex biegnie za Johnem, który prowadzi piłkę w stronę Cynthii.

Max przyglądał im się przez chwilę.

Wtedy gotująca się w nim siła wezbrała i ożyła ze straszną mocą. Skoczywszy na równe nogi, Max zacisnął zęby i pognał za chłopcami.

Jego nogi pędziły coraz szybciej, a wiatr na jego twarzy był coraz silniejszy i bardziej gwałtowny, kiedy koszulki zawodników się przybliżały. Odległość zmniejszała się w zadziwiającym tempie; Max nigdy wcześniej nie biegł tak szybko. Krew tętniła mu w skroniach.

Alex był zaszokowany, kiedy Max odepchnął go łokciem i wyminął Johna, któremu odebrał piłkę i zmienił kierunek natarcia. Kibice skoczyli na równe nogi, a na trybunach widać było różnobarwną mieszaninę klaszczących dłoni i falujących czapek, ale doping i wiwaty dochodziły do niego z bardzo daleka. Max skoncentrował się na piłce i murawie przed sobą, zerkając na kolegów i koleżanki z drużyny, przeciwników i ich pozycje względem siebie na boisku.

Inni zawodnicy wydawali mu się teraz ospali; bez problemu prześcignął chłopca z drugiego roku, który źle obliczył kąt natarcia i został w tyle, kiedy Max go wyminął, skacząc niczym jeleni nad muldą, która przed nim wyrosła. Kilka sekund później zmienił kierunek tak

gwałtownie, że cofnięty obrońca przeciwnej drużyny upadł na ziemię, trzymając się za kostkę. Nogi Maxa były rozmazaną plamą, kiedy oddawał strzał, a piłka ominęła bramkarza i wbiła się w górne rejony siatki.

Zaraz po tym, jak piłka oderwała się od jego stopy, Max odwrócił się i popędził po boisku. Minał kolegów z drużyny, którzy chcieli mu pogratulować, kierując się prosto do Alexa, który patrzył na zbliżającego się Maxa wilkiem i z obrażoną miną. Max dźgnął Aleksa mocno palcem w pierś i wysapał:

– Bez końca, Alex. Zamierzam tak z tobą zagrywać bez końca.

Alex popchnął Maxa, ale przytrzymał go kapitan, kiedy M. Renard kilka razy gwałtownie zagwizdał. Max zignorował wiwaty widzów i drużyny i pobiegł z powrotem na swoją pozycję, żeby można było wznowić mecz.

Przez resztę rozgrywki był nie do zatrzymania.

Gnębił drugi rok na obu stronach boiska. Serce waliło mu jak szalone, kiedy wdrapywał się na pagórki, przeskakiwał spore wyrwy w murawie i zwinnie zmieniał kierunki z niesamowitą prędkością. Kolejnego gola zdobył praktycznie zaraz po pierwszym, zmuszając drugi rok, żeby skierował do pilnowania go kilku zawodników. To pozwoliło chłopcu wykonać kilka wspaniałych podań do Sary i drugiego napastnika, i oboje bez problemu pokonali samotnego bramkarza i zdobyli łatwe bramki.

Pod koniec meczu był remis 5:5, kiedy Max wpadł na

przerażonego zawodnika z drugiego roku i odebrał mu piłkę. Zignorował ogień w płucach i zmienił kierunek natarcia, wymijając piłkarza, który zaatakował go z lewej. Poprowadził piłkę na pole karne, po czym przerzucił ją nad głową Alexa na znajdujące się jakieś trzy metry nad nim wypiętrzenie. W głowie zabrzmiał mu odległy ryk kibiców, kiedy minął Alexa i płynnym ruchem wskoczył na górkę.

Jego drużyna po prostu przestała grać i przyglądała się.

Przeskoczywszy na drugą stronę pagórka, Max prześcignął pobliskiego obrońcę i popędził z piłką wzdłuż linii bocznej boiska. Udało mu się oddać strzał tuż przed tym, jak podciął go John Buckley. Przewracając się na murawę, Max patrzył, jak piłka śmiga obok bramkarza do siatki.

John dyszał ciężko na trawie obok niego.

– Jesteś nie do pokonania, Max! Mój Boże – wysapał, kaszląc, kiedy przewracał się na plecy.

Max pomógł mu wstać w chwili, kiedy M. Renard długo zagwizdał. Mecz dobiegł końca. Maxa otoczyli koledzy i koleżanki z drużyny, Rolf przewrócił go na ziemię, a reszta się na nich rzuciła. M. Renard podbiegł, żeby uratować Maxa, wyciągnął go ze ścisku i przyjrzał mu się z uśmiechem.

– To było... coś – szepnął z szybkim skinieniem. – Panie i panowie – zwrócił się do publiczności. – Chyba możemy się zgodzić, że to był zaskakujący mecz. Po raz

pierwszy w historii Rowan pierwszy rok zwyciężył. Kto by pomyślał, że te małe potwory mogą rozegrać taki mecz, co? Tytuł Najlepszego Zawodnika otrzymuje Max McDaniels!

Max ciągle jeszcze dyszał, kiedy tłum zgotował mu owację na stojąco. Sara i Cynthia mocno go wyściskały, podczas gdy reszta klepała go po plecach i mierzwiła mu włosy.

Kiedy Max szedł w stronę widowni, wpadł na niego Nick i prawie go przewrócił. Biorąc lymrilla na ręce, chłopiec skrzywił się, nakazując podopiecznemu, żeby schował pazury. Nick wypełnił polecenie, a ogon podrygiwał mu jak marakasy.

Julie Teller uśmiechała się z trybun, gdzie stała z aparatem.

– To było niesamowite, Max! Naprawdę niesamowite – zachwycała się. – I zrobiłam mnóstwo zdjęć! Wracaj szybko, żebyś zdążył na mecz absolwentów!

Max przytaknął i pomachał jej, po czym ruszył do Domostwa, żeby wziąć prysznic. Nachylił się, wypuścił Nicka na trawę i pobiegł za nim.

Tuż przed rozpoczęciem meczu absolwentów Max wrócił na widownię w szkolnym mundurku i wytrząsając wodę z włosów. Wziął ze sobą gruby koc, żeby nie przejmować się podczas meczu pazurami Nicka. Usiadł z Rolfem i Connorem w drugim rzędzie, kiedy na trybunach zaczęło się skandowanie: „Coop, Coop, Coop”. Max

wyciągnął szyję i zobaczył siedzącego nad nimi na trybunach Coopera w czapce, opatulonego w dwurzędową kurtkę marynarską. Kilku szykujących się do meczu absolwentów i widzów chciało go zachęcić do przyłączenia się do gry. Cooper uśmiechnął się kurtuazyjnie i pokręcił głową.

– Słyszałem, że to niesamowity zawodnik – powiedział Rolf, wgrzając się w hot doga. – Na trzecim roku był w drużynie uczelnianej Rowan. Zdobył dwa gole w meczu z absolwentami.

– Kiedyś powiedziałem mu „dzień dobry” koło Maggie – mruzczał pod nosem Connor. – A on tylko na mnie spojrzał, jakbym był stuknięty.

– Kolegowanie się nie należy do jego obowiązków – wyjaśnił Rolf. – Tak naprawdę słyszałem, że jest taki twardy, że nie przydzielono go nawet do żadnego z oddziałów terenowych. Po prostu jedzie tam, gdzie jest potrzebny.

– Co to jest oddział terenowy? – zapytał Max, czując, że jest niedoinformowany.

– Mamy je wszędzie – wyjaśnił Rolf – w większości ważnych miast świata. Wypatrują Wroga...

– To on! – odezwał się donośny głos z lewej strony.

Max spojrzał w dół i zobaczył na skraju trybun Hannę, która pomagała gąsiątkom wdrapać się do jego rzędu.

– Max! Jak się masz, kochanie? – zapięła gęś. – Po miasteczku krążą wieści, że jesteś gwiazdą! Gwiazdą! No

cóż, gąski uparły się, że muszą się z tobą spotkać. Masz coś przeciwko, żeby się do ciebie przysiadły? Och, jesteś taki kochany.

Gąsiątka skakały mu między stopami, dziobiąc wszystko w zasięgu wzroku, aż Max ostrożnie przemieścił Nicka i łagodnie usadził gąski w szeregu wzdłuż ciepłego grzbietu lymrilla. Tymczasem Hanna poczłapała do ogrodzenia, gdzie M. Renard miał dać sygnał do rozpoczęcia meczu.

– Hej, Renard! – wydarła się gęś. – Nie będzie w tym roku żadnych machlojek? Co? Czy znowu dostałeś w łapę od absolwentów?

Max i reszta zachichotali, a M. Renard posłał Hannie lodowate spojrzenie i odchrząknął. Przez całe jego wystąpienie podczas pauz słychać było drwiny i obelgi Hanny. Widzowie ją dopingowali, a M. Renard jak najszybciej odbębnił ceremonię otwarcia.

Sam mecz był niesamowity. Drużyna uczelniana Rowan dzielnie walczyła, zwłaszcza Jason Barrett. Jednak drużyny absolwentów po prostu nie dało się zatrzymać – górowali nad uczniami pod względem szybkości, wytrzymałości i zręczności.

Ponieważ wynik nie podlegał kwestii, Max przede wszystkim liczył na spektakularne akcje i nie był zawiedziony. Dwóch absolwentów zrobiło krzeselko z dłoni i przerzuciło biegnącego kolegę ponad dziewięciometrowym wzniesieniem, które pojawiło się nagle na środku boiska. Podczas innej akcji jeden z

absolwentów zdobył bramkę po tym, jak piłka przemierzyła całe boisko, od gracza do gracza, ani razu nie dotykając murawy.

– Jak oni to robią? – wyszeptał pełen podziwu Max, kiedy jeden z absolwentów bez wahania przeskoczył szeroką na dwanaście metrów przepaść.

– Wzmocnienie ciała – wyjaśniła rzeczowo stojąca po jego lewej stronie Julie Teller. Zrobiła zdjęcie Maxa z Nickiem i gąskami i uśmiechnęła się, kiedy wyjrzała zza aparatu.

– Co? – zapytał Max.

Connor zerknął na nią i prawie zakrztusił się hotdogiem, szybko usuwając się, żeby zrobić miejsce.

– Wzmocnienie ciała – powtórzyła. – Korzystanie z energii mistycznej, żeby wzmocnić wydolność organizmu.

– Usiadła obok Maxa i pozwoliła, żeby jedna z małych gąsek się na nią wdrapała. – Zacznieś się tego uczyć na trzecim roku. To dość trudne. Choć ty wyraźnie masz ku temu naturalne skłonności.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytał.

Zaśmiała się i ścisnęła go za rękę. Zakręciło mu się w głowie.

– Bo, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie, jest całkiem jasne, że podczas meczu wzmocniałeś ciało! – wyjaśniła Julie. – Większość uczniów nie potrafi prześcignąć sprinterów olimpijskich. Powinieneś porozmawiać o tym z panną Boon.

Reszta meczu upłynęła im na rozmowie. Julie

opowiedziała Maxowi zabawną historię o tym, jak jej młodszy brat uczył się pływać na desce surfingowej w Melbourne, a Max podzielił się z nią wspomnieniami z Chicago i o swoim ojcu. Kiedy zapytała go o mamę, Max zamruczał tylko: „Nie mam mamy” i odwrócił się w stronę boiska, na którym M. Renard odgwizdał koniec meczu. Absolwenci wygrali 11:3, choć Max podejrzewał, że wygrana mogłaby być jeszcze bardziej druzgocąca. Obie drużyny uściśniły sobie dłonie, a widzowie zaczęli zbierać swoje rzeczy i opuszczać trybuny.

Max pomachał do Sary i reszty zbliżających się dziewczynek z jego grupy. Sara pomachała do niego odruchowo; jej uwaga skupiona była na Julie.

– Cześć wszystkim – powiedziała. – Teraz chwilę odpoczniemy i będziemy się szykować na wieczór. Max, czekaj na mnie o siódmej przy schodach na piętro dziewczynek.

– Jasne – odparł Max, pozwalając, żeby dwie gąski skubały mu paznokcie.

– Świetnie. To do zobaczenia – powiedziała Sara. Zerknęła przelotnie na Julie, po czym poszła z innymi.

– Hm – powiedziała Julie. – Chyba jej się nie podoba, że z tobą siedzę.

– Tak? Sara jest bardzo miła – powiedział szybko Max.

– Nie twierdzę, że nie jest – odparła Julie, podnosząc gąskę z kolan i oddając ją Maxowi. – Do zobaczenia wieczorem.

Julie poszła w stronę Domostwa, a Hanna na zakończenie dyskusji z M. Renardem rozeźlona trzepnęła siatkę skrzydłem.

– I nawzajem! – zaskrzeczała, kiedy nauczyciel odszedł, mamrocząc coś pod nosem. Gąsiątka zeskokczyły z kolan Maxa i poczłapały na koniec rzędu do swojej mamy.

* * *

Sara faktycznie jest ładna, pomyślał Max, kiedy ubrana w mundurek dziewczynka schodziła z koleżankami po schodach, chichocząc i szepcząc. Przystroiła swój mundurek kolorowymi ozdobami z domu; miedziana bransoleta na nadgarstku, naszyjnik z muszelek porcelanek i mała barwna broszka w kształcie lwa w klapie.

– Cześć, Max – powiedziała z uśmiechem, kiedy była na ostatnim schodku.

– Cześć, Sara. Ee... wyglądasz naprawdę ładnie – powiedział cicho Max, pewien, że pan Wesley byłby załamany jego zachowaniem.

– Ty też – odparła.

– Bardzo mi się podoba ta broszka – powiedział, postępując zgodnie z surowym przykazaniem ojca, żeby pochwalić jakiś konkretny szczegół ubioru dziewczynki, z którą szedł na randkę.

Max zaczerwienił się, kiedy Sara mu podziękowała i

wzięła go pod rękę, nagle świadomy obecności w hallu wielu dorosłych, którzy ich zauważyli i uśmiechali się na ich widok.

Na zewnątrz teren wokół Domostwa zupełnie się zmienił. Wzniesiono dwa wielkie namioty: białe płótno spływało elegancko z wysokich, solidnych masztów. W jednym z namiotów stały niezliczone rzędy przykrytych tac. Max pożądliwie spojrział na zestaw wykonanych z białej i czarnej czekolady nagrobków naturalnej wielkości, które musiały pochodzić z ciastkarni pana Babela. Beczki i olbrzymie wiklinowe kosze były wypchane chlebem, jabłkami, snopkami pszenicy i wysokimi łodygami kukurydzy. Kampus zdobiły setki latami z dyni poustawiane w sterty bądź zawieszane do oświetlania ścieżek i ogrodów. Na trawniku kilku starszych uczniów i absolwentów odgrywało niepokojące wizje duchów i goblinów, bezgłowych jeźdźców i wyjących kobiet widm, galopując i wyłaniając się z mroku, po czym zostawały po nich tylko wątle smużki dymu.

Na parkiecie pod drugim namiotem absolwenci tańczyli do muzyki granej przez orkiestrę, w której byli zarówno uczniowie, jak i podopieczni. Szczególnie delikatny faun grał na lutni, podczas gdy niski zielonoskóry mężczyzna nadymał policzki do niewiarygodnych rozmiarów, grając na dudach. Garnkoryjek w małej czapce z dyni też tam był i siedział zaspany na haftowanej poduszce, ignorując rozpaczliwe

blągania Lucii, żeby zaśpiewał.

– Dlaczego Lucia to robi? – zapytał Max. – To przecież żaba.

Sara zaśmiała się.

– W broszurce Lucii była informacja, że ten gatunek jest znany ze zdolności wokalnych – wyjaśniła – a jego pieśni mogą wzniecić namiętą miłość...

Max odchrząknął i szybko zerknął na Connora, który zajadał nogę indyka i chichotał za każdym razem, kiedy uczeń zagrał fałszywą nutę albo absolwent chciał wypróbować wyjątkowo ambitny krok taneczny. Max i Sara podeszli do niego.

– Cześć, Connor – powiedział Max. – Gdzie jest... Mamuśka?

Connor wzruszył ramionami.

– Zapukałem do jej kredensu, a ona zaczęła wrzeszczeć, że nie jest gotowa. Najwyraźniej miała kłopoty z włożeniem pasa elastycznego.

Max i Connor zaśmiali się. Sara zmarszczyła brwi.

Podszedł David, który, co ciekawe, nie miał na sobie krawata, z którym się zmagał, kiedy Max wychodził spotkać się z Sarą. Uczniowie pogawędzili i pomachali do Boba, który przyczłapał w olbrzymim smokingu, z nielicznymi włosami starannie zaczesanymi do tyłu.

Pani Richter przybyła w obramowanym celtyckimi wzorami przepięknym szalu o ciepłych barwach.

– Nie pozwólcie, żeby pan Wesley zobaczył, jak stoicie z boku – powiedziała z uśmiechem. – Będziecie

musieli tygodniami ćwiczyć scenki poznawania się na przyjęciach! – Zerknęła na Maxa, po czym zwróciła się do wszystkich. – Chciałabym pogratulować pierwszemu rokowi dzisiejszego zwycięstwa. Mogłam być tylko na pierwszej połowie, ale słyszałam, że końcówka była pasjonująca. Absolwenci bez przerwy o tym rozmawiają! – Wyprostowana, przez chwilę się namyślała. – O! A skoro już tu stoicie, czy któreś z was mogłoby podskoczyć do kuchni po odrobinę chleba kukurydzianego? Szybko znika, a wiem, że Mamuśka piekła ostatnią porcję.

Pani Richter ruszyła dalej i skonfiskowała butelkę szampana niezadowolonym uczniom czwartego roku.

– Connor, może pójdziesz? – powiedziała Sara. – Mamuśka może już będzie gotowa.

– O, nie! – zaprotestował Connor. – Powiedziała, że sama mnie znajdzie! Nie chcę jej oglądać w pasie elastycznym!

– Jesteś niemożliwy – zganiła go Sara, odwracając się od niego, żeby przyrzeć się faunowi, który zaczynał grać na lutni wyjątkowo kunsztowny utwór.

– Ja pójdę – zaproponował David.

– Widzisz? – powiedział do Sary znaczącym tonem Connor. – David pójdzie. Dzięki, Davie, oszczędziłeś mi koszmarne widoku!

David uśmiechnął się, kiedy Connor klepnął go teatralnie w ramię, po czym nagle zakaszłał i ruszył przez tłum. Pozostali poszli pooglądać zastawiony stół. Ich uwagę przyciągnął nagły blask. To na klifie nad plażą

rozpalono wielkie ognisko; sterta kłód wznosiła się na dziesięć metrów, a płomienie buzowały na nocnym niebie. Imprezowicze wzniesli toast i zaczęli stukać się kieliszkami, a orkiestra zagrała żwawą melodię.

Dwadzieścia minut później Max delektował się jagnięciną i rozmawiał z Sarą o porannym meczu, kiedy nagle urwał.

– Gdzie jest David? – zapytał.

Odwrócił się do Omara, który wzruszył ramionami, skubiąc ze znudzoną miną małą marchewkę, podczas gdy zaproszona przez niego Cynthia chodziła krok w krok za Nolanem.

– Zaraz wrócę – powiedział do Sary Max. – Zobaczę, gdzie on się podział.

Sara kiwnęła głową i nic nie odpowiedziała, a orkiestra zaczęła grać następny utwór.

Hall przy wejściu był pusty. Max poszedł do jadalni. Ominął kolumnę i stanął jak wryty.

David leżał nieprzytomny na podłodze obok porozrzucanych tac. Kwadratowe kromki chleba kukurydzianego otaczały go jak żółte gąbki. Miał zadrapany policzek, z którego sączyła się krew. Jeden z olbrzymich dębowych stołów był przewrócony; ustawione na nim naczynia i szkło rozbiły się na tysiąc drobnych kawałków.

Max podniósł wzrok i zamarł.

Zobaczył Mamuszkę. Była mocno przywiązana do

kamiennej kolumny, jakieś trzy metry nad ziemią, wijącymi się zwojami zielono-złotego ognia. Głowa zwisała jej bezwładnie na bok. Jeden z jej szerokich małych butów do tańca spadł i leżał u podstawy kolumny.

Max odwrócił się i pobiegł na górę, po dwa schodki na raz, i wypadł przez frontowe drzwi, po czym prawie przewrócił panią Richter, która pozowała do zdjęcia z absolwentami.

– Pani Richter! – wydyszał. – Pani Richter, proszę szybko pójść za mną!

– Co się stało? – zapytała, odwracając się do Maxa tuż przed błyskiem flesza.

– W jadalni. Szybko! – wysapał chłopiec i pognął z powrotem.

Pani dyrektor momentalnie rozeznała się w sytuacji. Max ukląkł przy Davidzie, który oddychał powoli, a z jego nosa wydobywało się znajome zabawne gwizdanie.

– Odsuń się od niego – rozkazała pani Richter opanowanym, choć surowym tonem. Max skoczył na nogi i cofnął się pod ścianę.

Idąc szybko do nieprzytomnego chłopca, pani Richter podniosła lewą dłoń i zielono-złote więzy trzymające Mamuškę zamieniły się w wygasające ogniki. Mamuška osunęła się na podłogę, gdzie zwinęła się bezwładna obok swojego buta.

Pani Richter nachyliła się nad Davidem, wzięła w dłonie jego głowę i zaczęła coś szeptać łagodnym głosem. David jęknął cicho i poruszył się. Pani Richter znowu coś

wyszeptała i chłopiec otworzył oczy i zamrugał.

– Mamuśka na mnie napadła! – wyszeptał, robiąc wielkie oczy. – Chciałem się tylko przed nią obronić. Nie zabiłem jej, prawda?

Pani Richter pokręciła głową i położyła palec na ustach.

Kolejnym machnięciem dłoni pani Richter postawiła stół na miejsce i zebrała potłuczone talerze i porozrzucane bułki kukurydziane w równą stertę przy drzwiach do kuchni. Krzesło przesunęło się w jej stronę po podłodze.

Na prośbę pani dyrektor Max pomógł jej podnieść Davida z podłogi i posadzić go. Chłopiec mrugał zdezorientowany, zerkając na Mamuśkę, która nadal była nieprzytomna.

Pani Richter uklękła obok wiedźmy i podniosła jej brodę. Mamuśka wierzgnęła nogą i ocknęła się z wrzaskiem. Zobaczyła Davida i znowu krzyknęła, stanęła na nogi i szlochała zza kolumny.

– To coś jest niebezpieczne! – krzyknęła.

– Doprawdy? – zapytała pani Richter. – On mówi, że to ty go zaatakowałaś, i mam powody mu wierzyć.

Zapadła długa cisza. W końcu usłyszeli głos Mamuśki, ponury i zdesperowany.

– Myślałam, że to taka gra z Mamuśką, że wysłałaś do mnie smacznego chłopca na Halloween. Myślałam, że to imprezowa przekąska!

– Jak mogłaś coś takiego pomyśleć?! – ucięła pani Richter. – Nie masz prawa nikogo tu zjeść, Mamuśka.

Mówiłam ci to już tysiąc razy.

– Ale nie tego! – krzyknęła Mamuśka. – Mamuśka może zjeść tego!

Max nagle przypomniał sobie dzień, kiedy uczniowie pierwszego roku poznali Mamuśkę. David uciekł na widok Boba i zniknął w spiżarni. Max nie widział, by stamtąd wychodził.

– Pani Richter! David chyba nie przeszedł przez ceremonię niuchania. On się wtedy chyba schował!

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła pani Richter. – David, czy to prawda?

David tylko siedział i sennie mrugał.

– Mamuśka, masz tu natychmiast podejść i poniuchać tego chłopca – poleciła pani dyrektor.

Mamuśka wyjrzała zza kolumny, po czym wyszła. Zatrzymała się metr od Davida. Drżącymi rękami podniosła sobie jego dłoń do nozdrzy, mając na oku pociągającego nosem chłopca. W końcu wyskrzeczwała: „Gotowe” i ponuro szurając nogami, poszła do kuchni. Max usłyszał trzaśnięcie drzwi jej kredensu.

– Być może nie będziemy mogli jej zatrzymać – wymamrotała do siebie pani Richter, marszcząc czoło. Nagle odwróciła się do Maxa i położyła mu na policzku ciepłą dłoń.

– Dobrze zrobiłeś, przychodząc z tym do mnie, Max – powiedziała. – Davidowi nic się nie stało. Zabiorę go do pokoju; ty wracaj na zabawę. Powiedz innym, że źle się poczuł.

Max przytaknął i wrócił po schodach.

Zabawa się rozkręciła, ludzie tańczyli i śpiewali, podczas gdy księżyc w ostatniej kwadrze świecił wysoko nad nimi. Max zastał Sarę i Omara, jak rozmawiali nieopodal namiotu z tańcami. Sara spojrzała na niego z ciekawioną.

– Gdzie jest David? – zapytała. – Gdzie byłeś tak długo?

– David się rozchorował – wyjaśnił Max. – Poszedł do łóżka.

Omar zerknął na minę Sary i przesunął się w bok, kiedy podszedł Connor.

– Czy ktoś widział Mamuskę? – zapytał. – Boję się, co zrobi, kiedy pomyśli, że ją wystawiłem!

– Mamuska nie przyjdzie – westchnął Max. – Słyszałem, że siedzi w kredensie. Nie przyjdzie.

– Serio? – zapytał uradowany Connor.

– Tak – potwierdził Max dobitnie, dając Connorowi do zrozumienia, żeby nie poruszał już tego tematu.

– Świetnie! Może teraz uda mi się poprosić do tańca jakąś ślicznotkę z drugiego roku – powiedział Connor, rozglądając się po okolicy.

– Wy, chłopcy, jesteście niemożliwi – syknęła Sara i szybko odeszła. Max posłał Connorowi bezradne spojrzenie i pobiegł za nią.

– Sara! – zawołał. – Zaczekaj. Co się stało?

– Powiem ci, co się stało! – Odwróciła się z błyskiem w oku. – Stoję tu od pół godziny jak idiotka na mojej

pierwszej imprezie. Jeżeli nie chciałeś mnie zabierać, to trzeba mnie było nie zapraszać!

– Co? – zdziwił się Max. – Zajmowałem się tylko Davidem. Źle się poczuł.

– Daj spokój – powiedziała Sara. – Wiem, że zaprosiłeś mnie tylko za namową innych dziewczynek. Wiem, że wolałbyś tu być z Julie Teller. – Wyszczrzyła złośliwie zęby i odrzuciła włosy, przedrzeźniając maniery Julie.

– Sara...

– Daj mi spokój! Powinna być z Johnem Buckleyem. On potrafi się zachować!

Max poczerwieniał.

– To trzeba było tak zrobić! – uciał.

Uciekł od niej, okrążył Domostwo i skierował się w stronę sadu i ścieżek prowadzących do Sanktuarium. Uznał, że może wcześniej nakarmić Nicka. Rozsupłał krawat i miał ochotę kopnąć latarnię z dyni.

Światło i śmiechy z przyjęcia były coraz słabsze. Odwrócił się, żeby zobaczyć, czy Sara za nim idzie. Nikogo nie było, tylko setki uśmiechniętych latarni. Szedł, rozgniatając stopami liście. Nagle zatrzymał się – zobaczył dziwne światło dobiegające z bocznej ścieżki, gdzie David zakopał pierwszego dnia monetę. Światło przygasło i zaczęło migotać, po czym znowu rozbłysło bielą.

Max usłyszał odległy śmiech, jakby daleko stąd śpiewały dzieci. Odwrócił głowę w stronę Domostwa. Te

dźwięki nie dobiegały z przyjęcia.

Odsunawszy niską gałąź, Max wszedł na boczną ścieżkę. Ruszył w kierunku światła, które teraz pomknęło głębiej w las.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – syknął w pobliżu jakiś głos.

Max stłumił krzyk, kiedy z cienia wyszła postać mężczyzny, którego martwe białe oko połyskiwało jaskrawo w promieniach księżyca.

Na pierwszy rzut oka mężczyzna mógł być cieniem, zmieniającym się i wtapiającym w tło. Jednak jego twarz widać było wyraźnie i sprawiała ona wrażenie jeszcze bardziej wymęczonej, niż kiedy Max widział go ostatni raz na lotnisku. Mężczyzna wyglądał, jakby od kilku dni nie spał; miał zarośniętą twarz i ponurą, niepokojącą minę. Wyprostował się i zrobił krok naprzód, ściągając z ramienia mały plecak.

– Witaj, Max – wyszeptał z tym samym dziwnym akcentem, który Max usłyszał w muzeum. – Mam coś dla ciebie.

Chłopiec odwrócił się i zaczął uciekać ścieżką w stronę Domostwa, ale coś uniosło go z ziemi, zanim zdołał zrobić trzy kroki. Dłoń zacisnęła mu się na ustach, a mężczyzna wyszeptał mu na ucho.

– Cicho! Nie jestem Wrogiem! Chcę ci pomóc. Wysłuchasz mnie? Wysłuchasz mnie i nie będziesz krzyczał?

Max przytaknął i przestał się szarpać. Jak tylko

znalazł się na ziemi i poczuł, że uścisk zelżał, uderzył mężczyzną z całej siły łokciem w brzuch i zaczął szaleńczo się miotać, próbując się wyswobodzić. Mężczyzna był zdyszany, ale jego uścisk z powrotem zrobił się jak z żelaza. Napastnik znowu podniósł Maxa i przytrzymał go, a jego uchwyt był tak niewiarygodnie silny, że jakikolwiek opór był niemożliwy.

– Wiem, że się boisz – syknął mężczyzna. – Ale gdybym naprawdę chciał cię skrzywdzić, to już by było po wszystkim. Zgodzisz się ze mną?

Max przytaknął w stronę znajdującego się tuż przy nim białego oka i opuścił bezwładnie ręce. Mężczyzna zamilkł, po czym postawił chłopca na ziemi.

– Prawdziwy z ciebie wojownik – mruknął. – Ale to chyba już wiedzieliśmy.

Max nic nie powiedział, tylko przyglądał się mężczyźnie nieufnie. Dobiegające z lasu światło i śmiech zniknęły.

– Co tam było? – zapytał Max, pokazując na las.

– Nie wiem – odparł bez ogródek mężczyzna, pokazując chłopcu, żeby mówił ciszej. – Ale wiem, że Rowan to dziwne miejsce i że naiwni uczniowie nie powinni chodzić za tajemniczym śmiechem w Halloween.

Max zadrżał, zerknął w stronę lasu, w którym było teraz ciemno i cicho.

– Skąd pan w ogóle wie o Rowan? – zapytał podejrzliwie. – Jak pan się znalazł w kampusie?

– Na oba pytania jest jedna odpowiedź. Byłem

tutejszym uczniem. Jak większość ciekawskich dzieciaków, poznałem część sekretów tego miejsca.

Max zerknął w stronę Domostwa.

– Nie zrobię ci krzywdy – syknął zniecierpliwiony mężczyzna.

– Nie – powiedział Max. – Wiem. Tylko... Ostrzegano mnie przed panem. Nikt mi nie powiedział, że pan się tu uczył.

– Nie jestem tu mile widziany – powiedział mężczyzna, ucinając dyskusję, i wyciągnął coś z plecaka. – Ale chciałbym ci to oddać.

Wręczył Maxowi czarny szkicownik, który chłopiec zostawił w Instytucie Sztuki. Max przebiegł palcami po okładce, po czym otworzył ją i zobaczył szkic, nad którym pracował, kiedy mężczyzna wszedł do galerii. Chłopiec włożył sobie szkicownik pod ramię.

– Dlaczego mnie pan wtedy śledził? – zapytał.

Mężczyzna rozejrzał się szybko i znowu pokazał Maxowi, żeby był cicho.

– Jestem połowicznym jasnowidzem – wyjaśnił, pokazując od niechcienia na białe oko, które tak niepokoilo Maxa. – Wiedziałem, że muszę pojechać do Chicago i wsiąść do tego pociągu, ale nie wiedziałem dlaczego. I wtedy cię zobaczyłem.

Max przypomniał sobie tę okropną chwilę, kiedy oko mężczyzny go zauważyło.

– Max, roztaczasz wokół siebie potężną aurę. Śledziłem cię, gdyż wyraźnie jesteś jednym z naszych

młodych, a młodzi znikają.

Max odwrócił głowę na dźwięk dochodzących z przyjęcia wiwatów.

– Tobie i twojemu ojcu groziło tamtego dnia większe niebezpieczeństwo, niż ci się wydaje. Wróg jest aktywny w muzeach. Szukają szczególnych obrazów i szczególnych dzieci, a tamtego dnia mogli znaleźć jedno i drugie.

Max był oszołomiony.

– Czy był pan u mnie w domu? – wyjąkał. – Czy to pan był na piętrze?

Tajemniczy mężczyzna pokręcił głową.

– Kiedy przybyłem, zobaczyłem Wroga uciekającego uliczkami. Myślałem, że cię porwano, i rzuciłem się w pogoń – wyjaśnił mężczyzna. – Ale zgubiłem go. Kiedy wróciłem, twój dom był już pod obserwacją. Przepraszam, że nie udało, mi się pojawić wcześniej. Rzadko mam możliwość skorzystania z najkrótszej drogi.

– A co z lotniskiem? – syknął niecierpliwie Max, w którym zaczęła wzbierać dziwna mieszanina emocji.

– Wróg czekał na ciebie za tamtymi drzwiami. Wiedziałem, że jeżeli mnie zobaczysz, znajdziesz inną drogę.

– Czyli co chce pan powiedzieć? Że mnie pan wtedy uratował? – wyszeptał Max.

Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął, a jego surowa twarz na chwilę złagodniała i pojawiła się na niej przyjazna mina.

– Ty też może kiedyś mnie uratujesz. – Nagle mężczyzna zmarszczył brwi i nisko przykucnął. – Muszę iść – syknął. – Nadchodzą.

Wycofał się po cichu w cień; jego postać pokryły barwy ochronne i widać było tylko twarz.

– Czy jeszcze pana zobaczę? – wyszeptał Max. – Jak się pan nazywa?

Mężczyzna kiwnął głową i uśmiechnął się ponuro.

– Mów mi Ronin.

Twarz zniknęła.

Za chwilę Max krzyknął z przerażenia, kiedy obok niego pojawił się Cooper. Agent trzymał długi, paskudny nóż z szarego metalu. Max zaczął coś mówić, ale Cooper podniósł szybko dłoń, żeby go uciszyć. Nie odrywał wzroku od lasu. Przez chwilę czekali w ciszy, a potem Cooper schował nóż z powrotem do rękawa. Był dużo wyższy od Maxa. Jego głos był niski i spokojny, ze śladem akcentu cockney.

– Przed chwilą rozmawiałeś. Z kim?

– Z nikim – wyjąkał Max. Wcześniej nie był nawet pewien, czy Cooper umie mówić.

Odpowiedź Coopera była natychmiastowa i beznamiętna:

– Kłamiesz.

– Słucham? Pokłóciłem się z kimś i przyszedłem tutaj, żeby trochę ochłonać.

Cooper przez chwilę patrzył na Maxa. Powoli wyciągnął nóż z rękawa i zszedł ze ścieżki tam, gdzie

przed chwilą był Ronin.

– Wracaj. – Agent wydał polecenie łagodnym, spokojnym głosem, po czym zniknął.

TAJNE WIĘZIENIA

Max napiął na chwilę mięśnie nóg i rozejrzał się po sali. Jaskrawozielone koło pojawiło się na podłodze dwa metry od niego. Skoczył i wylądował na nim, uważając, żeby stopy nie wyszły poza jego granice. Ciężka piłka wielkości melona śmignęła w stronę jego głowy; zauważył ją kątem oka i w samą porę zrobił unik. Mniejsze zielone kółko pojawiło się po jego prawej stronie; Max skoczył w bok i wylądował na palcach, odbijając kolejną piłkę uderzeniem dłoni. Od razu pojawiło się przed nim nowe kółko; to było ruchome i mniejsze od frisbee. Max skoczył do przodu, wylądował lekko wewnątrz koła na jednej nodze i zwinnie odwrócił się, żeby odbić kopnięciem małą twardą piłkę, która poleciała na niego z tyłu.

Kiedy skończył scenariusz, otarł pot z czoła i poszedł do drzwi. Na zewnątrz stał pan Vincenti, przyglądając się ekranowi.

– Hm – powiedział zamyślony, głaszcząc swoją siwą brodę. – Widzę, że za ostatnie sześć scenariuszy dostałeś ponad czterdzieści punktów.

Max uśmiechnął się i chwycił ręcznik, który wcześniej powiesił na gałce.

– Widzę również, że unikasz scenariuszy

strategicznych – wymamrotał pan Vincenti, przewijając kilka ekranów obrazujących dane. – To będzie się musiało zmienić.

– Nie są takie ciekawe – wysapał Max.

– Nie są takie ciekawe, czy nie jesteś w nich taki dobry? – zapytał pan Vincenti, podnosząc brwi i kasując zawartość ekranu. – Chodź ze mną, Max. Chciałbym zamienić z tobą parę słów.

Kilkoro starszych uczniów pomachało im na pożegnanie i życzyło wesołych świąt. Max i pan Vincenti poszli leśną ścieżką w stronę Domostwa, prowadząc przyjemną pogawędkę. Zimne powietrze szczypało Maxa w nos. Kiedy znaleźli się na polanie, jego uwagę zwrócił zupełnie inny wygląd Rowan zimą: Stary Tom i Maggie pod warstwą śniegu, ciemny las bez liści, wzburzony ocean zimny i szary. Max zerknął na stalowoszare niebo, które zdawało się zapowiadać nowe opady śniegu, i na małe, białe świąteczne światełka migoczące między krzewami i oknami Domostwa.

– Jak poszły egzaminy końcowe? – zapytał pan Vincenti, kiedy wchodzili po zewnętrznych schodach.

– Chyba w porządku – odparł Max, machając na pożegnanie do wyjeżdżających uczniów. Oprócz Davida wszyscy przyjaciele Maxa już pojechali. – Mistyka i matematyka były trudne. Strategia poszła mi nieźle, choć chyba zawałęm część z logiki...

– A etykieta? – zapytał pan Vincenti, prowadząc chłopca do małego pokoju obok głównego hallu.

– Kto wie? To jest dla mnie po prostu głupie.

– Nie jest głupie – powiedział pan Vincenti, kręcąc głową, i gestem wskazał Maxowi, żeby usiadł. – Wiem, że pan Wesley czasami przesadza, ale umiejętność zachowania się w każdej sytuacji jest niezwykle użyteczna. Będzie ci potrzebna, jeżeli kiedykolwiek postanowisz zostać agentem, a jestem pewien, że pewnego dnia będzie im zależało, żebyś nim zostałeś. Tak czy inaczej, poprosiłem wszystkich nauczycieli, żeby mnie poinformowali, gdyby któremuś z moich podopiecznych groziło oblanie przedmiotu. Na razie jesteś bezpieczny.

Pan Vincenti rozsiadł się w głębokim fotelu i zaczął bębnić palcami w kolano. W jego zachowaniu były powaga i wahanie. Max słuchał tykania małego zegara na kominku, aż w końcu jego opiekun się odezwał.

– Max, nie wiem, jak to powiedzieć...

Max poczuł lodowaty spokój. Zerknął na swoje mokre buty. Rozmowa, podczas której poinformowano go o zniknięciu matki, zaczęła się w ten sam sposób.

– O co chodzi? – wymamrotał. – Proszę po prostu powiedzieć, co się stało. Już wiem, że nic dobrego.

– Chyba nie powinieneś jechać na ferie do domu – powiedział pan Vincenti i westchnął. – Naszym zdaniem powinieneś zostać w Rowan.

Przez kilka sekund Max się nie odzywał, tylko patrzył na pana Vincentiego.

– Dlaczego? – zapytał w końcu, usiłując nie stracić

panowania nad sobą.

– Wiesz dlaczego – odparł pan Vincenti. – Naszym zdaniem to może być niebezpieczne. To dla twojego własnego dobra.

– A co z innymi? – warknął Max, wstając. – Oni mogą pojechać do domu!

– Oni to nie ty – powiedział spokojnie pan Vincenti. – Ich nie obrał sobie za cel Wróg. Wróg nie wie, gdzie mieszkają...

– Czy to pan podjął tę decyzję? – zapytał głuchym głosem Max.

– Nie, Max. To postanowienie pani dyrektor...

Max rzucił panu Vincentiemu gniewne spojrzenie i wybiegł z pokoju. W hallu popatrzył zirytowany na sterty bagaży przy drzwiach, po czym pognał korytarzem w stronę gabinetu pani Richter. Cały czerwony, wpadł do pomieszczenia.

– Jakim prawem mnie tu zatrzymujecie?! – wrzasnął.

Pani Richter siedziała przy biurku i patrzyła na niego z dłońmi splecionymi pod brodą.

– Mów ciszej i usiądź – powiedziała łagodnie.

Max stał przez chwilę w drzwiach, oddychał ciężko i patrzył na parę unoszącą się z filiżanki herbaty na biurku pani Richter. Na dworze znowu padał śnieg.

– Nie może mnie tu pani zatrzymać – powiedział w końcu Max, któremu udało się pozbyć furii z głosu.

Twarz pani Richter była zmęczona i ponura.

– Max, proszę, usiądź – powiedziała kobieta. –

Chciałabym to z tobą omówić.

– Dlaczego w takim razie wysłała pani pana Vincentiego? – zapytał Max, a w jego głosie znów pojawił się gniew.

– Bo miałam bardzo ważne spotkanie, którego nie mogłam przełożyć. Usiądź, proszę.

Max zerknął na śnieg topniejący na kremowym dywanie. Na śniegu za oszklonymi drzwiami prowadzącymi do sadu widział płytkie ślady stóp.

– Dlaczego nie mogli wejść frontowymi drzwiami? – zapytał. – Po co te tajemnice? – Prawie dał się ponieść pokusie zdradzenia, że wie wszystko o zaginionych kandydatach, że wcale nie była tak sprytna, za jaką chciała uchodzić.

– Rozumiem twój gniew – powiedziała zmęczonym głosem. – Jeżeli chcesz nadal stać i na mnie krzyczeć, to proszę bardzo. Ale możesz też usiąść i wysłuchać odpowiedzi na swoje pytania.

Max usłyszał za sobą kroki; pan Vincenti wszedł do pokoju z rękami w kieszeniach.

– Przykro mi, Gabrielle – powiedział.

– Nic się nie stało, Joseph – wszystko rozumiem. Usiądź, proszę, i być może wspólnie przekonamy Maxa, żeby nas wysłuchał.

Max spojrzał na nich wilkiem – siedzieli tacy spokojni i opanowani. Wziął głęboki oddech i usiadł na skraju krzesła.

– Muszę pojechać i odwiedzić tatę – powiedział. – On

mnie potrzebuje.

– Chciałabym, żebyś mógł pojechać do domu – wyjaśniła pani Richter łagodnym głosem. – To prawda, Max. Serce mi się kraje, kiedy muszę trzymać dziecko z dala od rodziców. Podczas ferii lub w innej sytuacji. Żałuję, że nie mogliśmy powiedzieć ci o tym wcześniej, ale tak naprawdę rozważaliśmy różne rozwiązania, które umożliwiłyby wam spotkanie. Z przykrością muszę powiedzieć, że nie możemy zastosować żadnego z nich.

– Nic mi się nie stanie – powiedział Max. – Możecie wysłać agenta, żeby obserwował mój dom...

Pani Richter pokręciła głową.

– Będę z tobą szczerą, Max, żebyś zrozumiał sytuację i żebyśmy mogli zamknąć tę sprawę – powiedziała. Miała ponurą minę i z jej głosu zniknęła łagodność. – Bardzo dokładnie przeanalizowaliśmy i omówiliśmy tę sytuację. Groziłoby ci niebezpieczeństwo. Wróg by cię dopadł. I to nie tylko „pani Millen” i ten, kto był tamtego dnia w twoim domu. Zapewnienie ci bezpieczeństwa wymagałoby niezwykłych nakładów, na co w tej chwili po prostu nie mogę sobie pozwolić. Naraziłbyś na niebezpieczeństwo siebie, swojego ojca i potencjalnie wielu innych ludzi. Ta decyzja jest nieprzyjemna, ale musiałam ją podjąć.

Max słuchał uważnie, ważąc każde słowo, zanim się odezwał.

– Mojemu ojcu groziłoby niebezpieczeństwo? – zapytał.

– Tak, Max. Obawiam się, że tak – odparła pani Richter ze smutkiem.

Max zwiesił głowę; kiedy się odezwał, jego głos był cichy i chłopiec mówił przez łzy.

– Czyli jestem więźniem – powiedział. – Nie mogę nawet pojechać do domu!

– Max – powiedział pan Vincenti, klepiąc go po ramieniu. – Nie będzie aż tak źle! Nie jesteś jedynym uczniem, który zostaje tu na święta, i wszyscy świętujemy wspólnie Wigilię w Sanktuarium.

Max zignorował pana Vincentiego i wpatrywał się w dyplom nad głową pani Richter. Kiedy się odezwał, jego głos był równy i spokojny.

– Jakie kłamstwo mam przekazać ojcu?

Pani Richter westchnęła i położyła dłonie na blacie biurka.

– Że oblałeś egzamin końcowy z matematyki i musisz jeszcze raz przerobić kilka rozdziałów, żeby uniknąć powtarzania zajęć latem – odparła.

Max zagryzł policzek i przytaknął. Kiedy wstawał, szykując się do wyjścia, miał ochotę połamać poręczkę cienkiego krzesła. Zatrzymał się w drzwiach.

– Ale i tak będę tu musiał zostać na lato, prawda? – zapytał, patrząc w długi korytarz wiodący do hallu.

– Mam nadzieję, że to będzie twój wybór, Max. Nie mój.

Kiedy Max przyszedł zadzwonić, Mamuśka i Bob

byli w kuchni i szatkowali warzywa na zupę. Mamuśka nuciła pod nosem wesołą melodię podczas pracy, ale ponura mina Boba sugerowała, że ogr wie, dlaczego Max tu jest. Bob wytarł dłonie o fartuch, szepnął coś do Mamuśki i wyprowadził ją po cichu z kuchni.

Ojciec Maxa podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

– Jesteś teraz zajęty, tato? Przepraszam, że zawracam ci głowę w pracy.

– Nie, nie nie – cieszę się, że dzwonicz! Pewnie cię pieką uszy, bo właśnie rozmawiałem o tobie z panem Lukensem. Na wieść, że przyjeżdżasz do domu z Rowan, prawie upuścił kubek z kawą!

– Żartujesz – powiedział Max, osuwając się po ścianie na podłogę, gdzie oparł się o wielki wór ziemniaków.

– Nie – powiedział ojciec radośnie. – Był pod wielkim wrażeniem. Powiedział, że Rowan jest wyjątkowo elitarną szkołą i że ma siostrzenicę, która mogłaby być zainteresowana. Czy to nie wspaniałe?

– Super.

– Aha, i jeszcze jedno – powiedział jego ojciec, zniżając głos. – Chciałby z tobą o tym porozmawiać na przyjęciu wigilijnym. Na tę imprezę zapraszają same szychy!

Max zaczął uderzać głową o twardą ścianę; miał nadzieję, że połączenie się zerwie.

– Tato, mam złe wieści...

– Co się stało? – zapytał ojciec, a entuzjazm w jego

głosie osłabł.

– Wszystko w porządku?

– Nie – powiedział Max, zwieszając głowę między kolana. – Nie zdałem końcowego egzaminu z matematyki. Oblałem matmę.

W słuchawce rozległ się wybuch śmiechu podszytego ulgą.

– Rany Julek! O mało co nie dostałem przez ciebie zawału! To wszystko? Max, ja oblałem algebrę dwa razy, zanim zacząłem cokolwiek rozumieć...

– Nie, tato, nie rozumiesz. Muszę tu zostać na przerwę świąteczną. Inaczej obleję zajęcia i będę musiał je powtarzać latem.

Po drugiej stronie zapadła cisza; Max szykował się na reakcję ojca.

– Co? – krzyknął Scott McDaniels. – Mówisz, że nie wracasz do domu na święta?

– Tak. Tak mi przykro...

– Podaj do telefonu kogoś z tej szkoły.

Max wzdrygnął się na słowa, które wylatywały ze słuchawki w tempie strzałów z karabinu. Odruchowo rozejrzał się, żeby zobaczyć, czy w okolicy są jacyś dorośli. Na chwilę wstrzymał oddech, powtarzając sobie w kółko, że robi to, aby ochronić ojca.

– Nikogo tu akurat nie ma, tato – powiedział cicho. – Mogę poprosić, żeby ktoś do ciebie oddzwonił.

– W życiu nie słyszałem o czymś takim! Jaką ta szkoła ma czelność? Trzymać dziecko z dala od rodziny,

bo nie poradziło sobie z kilkoma zagadkami!

Kiedy ojciec Maxa odezwał się po długiej pauzie, jego głos był już bardzo spokojny.

– Max, chciałbym, żebyś się spakował. Odbiorę cię z lotniska, tak jak się umawialiśmy.

– Nie, tato... – poprosił chłopiec.

– Zaparkuję i będę na ciebie czekał w...

– Tato, nie wracam do domu! – uciał Max, w którym zawrzała frustracja i wyrzuty sumienia.

– Nie chcesz przyjechać do domu? Max, jestem twoim ojcem... Nie obchodzi mnie, czy oblałeś wszystkie ich żalosne zajęcia! Chcę spędzić święta z synem! Lukensowie zaprosili nas na przyjęcie świąteczne...

– No tak, praca zawsze najważniejsza! – uciał Max.

– O czym ty mówisz? – zapytał ojciec urażonym głosem. – Wywiesiłem już pończochy na prezenty i...

– Wywiesiłeś pończochę dla mamy? – przerwał mu Max.

– Co?

– Czy znowu wywiesiłeś pończochę dla mamy?

– Tak! Wywiesiłem pończochę dla twojej mamy – uciał ojciec obronnym tonem. – Co to ma wspólnego z...

– Ona nie żyje, tato! – wykrzyczał Max. – Przestań wywieszać dla niej pończochę! Przestań wkładać szminki i czekoladki i biżuterię do tej głupiej pończochy! Mama NIE ŻYJE!

Max usłyszał, jak jego własne słowa odbijają się echem po ogromnej kuchni. Zamknął oczy i skulił się

zdjęty wstydem. Przygotował się na potok gorzkich słów, ale głos jego ojca brzmiał zaskakująco spokojnie.

– Jesteś moim synem i bardzo cię kocham. Spakuj wszystkie swoje rzeczy. Będę tam po ciebie jutro w południe. Powiedz nauczycielowi czy temu, kto cię tam trzyma, że jeżeli będą robić kłopoty, to dzwonię na policję.

Max usłyszał trzaśnięcie odkładanej słuchawki i połączenie zostało przerwane. Z pustką w głowie i w sercu Max powoli podniósł się i odwiesił słuchawkę.

– Uff! To dopiero była scysja! – wykrzyknęła Mamuśka z błyskiem ekscytacji w oku. Wiedźma wyjrzała zza rogu, gdzie kończyła obgryzać nieobraną marchewkę. – Myślałam, że ja i moja siostra się kłócimy, ale w porównaniu z wami to pestka.

Max nie odpowiedział, tylko poszedł w jej stronę jak zombie. Kiedy się zbliżył, jej krzywy uśmiech rozmył mu się w oczach. Max pochylił się do Mamuśki i mocno ją przytulił, nie zwracając uwagi na jej garbate plecy i przepoconą bluzkę i włosy pachnące pomyjami. Wiedźma zeszywniała, kiedy Max zadrżał i przycisnął policzek do jej ramienia. Za chwilę chłopiec poczuł, jak jej krótkie, grube ręce go obejmują.

– Cśśś... wszystko będzie dobrze, słonko – powiedziała Mamuśka.

Max podniósł głowę i spojrzał w szkliste, czerwone, też załzawione oczy, które do niego mrugały.

– Nie straciłeś ojca, słonko – wychrypiała. – I

znalazłeś Mamuškę! – Wiedźma zaczęła szczypać Maxa w rękę i rozglądać się z przejęciem po kuchni. – Musimy cię nakarmić, oto co musimy zrobić! Ot i cała sztuczka. Pełny brzusek przegoni ślimaczenie i smutki! Trzy szynki i główka kapusty, i telefon do Mamuški z samego rana!

Wiedźma uściśnęła dłoń chłopca i popędziła do szafki na mięso, gdzie nuciła zadowolona pod nosem, wyrzucając przez drzwi szynki.

Kiedy Max wyszedł z kuchni, w jadalni czekał na niego pan Vincenti.

– Mój tata powiedział, że przyjeżdża po mnie jutro rano – oznajmił Max, przechodząc obok starszego mężczyzny, i ruszył po schodach. – Powiedział, że jeżeli będziecie mu przeszkadzać, to wezwie policję. Pan i pani Richter możecie sobie nad tym pogłówkować... Ja idę do pokoju i chcę, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

* * *

David wpatrywał się w gwiazdy za szkłem i pisał coś w zeszycie, kiedy Max przyszedł i padł na łóżko.

– Co cię gryzie? – zapytał David. Obszedł galerię, klucząc między leżącymi na podłodze książkami i modelami astronomicznymi, i usiadł na małym dywaniku obok łóżka Maxa.

– Wszystko. Pani Richter nie chce mnie puścić do domu na ferie.

– Dlaczego? – zapytał David. – Czy tata na ciebie nie czeka?

Max zawahał się. Obiecał Nigelowi i pani Richter, że nie powie nikomu o swoim spotkaniu z panią Millen. Jednak stanął mu przed oczami obraz ojca przy kominku z trzema pustymi pończochami na prezenty. Chłopiec usiadł na łóżku, a w oczach miał iskierki gniewu.

W ciągu następnej godziny opowiedział Davidowi wszystko.

Cuda i okropności wypływały z niego jak woda z zepsutego kranu; opowiedział o gobelinie i Roninie, i pani Millen, i rozmowie, którą podsłuchał o zaginionych kandydatach i skradzionych obrazach. Kiedy opowiadał, David się nie odzywał; po prostu objął kolana i słuchał uważnie, dopóki Max nie skończył.

– No cóż, teraz sprawa się trochę wyjaśnia – powiedział w końcu. – Dzieją się naprawdę ważne rzeczy. Albo będą się działy. Od jakiegoś czasu to jest tam zapisane. – Pokazał na migoczące nad nimi małe konstelacje. – Przykro mi, że nie jedziesz do domu, ale będę miał przynajmniej towarzystwo przez ferie.

Max popatrzył na niego.

– A ty dlaczego nie jedziesz do domu?

Uśmiech zniknął z twarzy Davida i chłopiec zszedł po schodach, żeby przynieść kilkanaście listów. Na kopertach Max rozpoznał charakter pisma Davida. Na każdej był stempel: Zwrot do NADAWCY.

Głos Davida był spokojny i opanowany.

- Moja mama wyjechała.
- Dokąd wyjechała? – zapytał Max.
- Nie wiem. Nie zostawiła nowego adresu.

Max usiadł, a David zaczął kaszleć.

– Wiedziałem, że tak się skończy – podjął po chwili, kiedy kaszel ustał. – Wiedziałem, że pojedzie, jak tylko będzie miała pewność, że znajdę nowy dom. Byliśmy tylko we dwoje, a ona nie mogła się mną opiekować... Nie czuła się najlepiej.

David z powrotem owinął listy gumką recepturką i Max patrzył przez chwilę na kupkę kopert. Jego własne oburzenie i poczucie niesprawiedliwości zaczęły się zmniejszać.

– David, tak mi przykro.

– W porządku – powiedział chłopiec. – Pani Richter kazała mi traktować Rowan jak swój dom, ale nie musiała tego robić. I bez tego tak bym uważał. Przykro mi, że nie będziesz mógł spędzić świąt z tatą, ale pani Richter ma chyba rację – obaj będziecie bezpieczniejsi, jeżeli zostaniesz tu, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. – Znowu spojrzał na szklaną kopułę. – Są pewne sprawy, których ja też nie rozumiem.

– Na przykład? – zapytał Max, zdejmując nogi z łóżka.

– Wszystko, co mi opowiedziałeś, zgadza się z tym, co widzę. Ale czy pani Richter nie wspomniała, że Astaroth został pokonany?

– No – odparł niepewnie Max. Wstał i spojrzał do

góry na kopułę. Zobaczył księżyc, białe kropki i piękne konstelacje. Ale David potrafił czytać je niczym książkę. Bardzo ważną książkę.

– Jego symbol jest wszędzie – powiedział cicho David. – Astarotha może pokonano, ale nie zniszczono.

Pan McDaniels nie przyjechał następnego dnia do Rowan; policja nie przyjechała, żeby zawieźć Maxa do domu. Zamiast tego chłopiec odbył z ojcem rozmowę przez telefon, podczas której jego radosny rodzic wyraził swoje wsparcie dla chłopca i szczery żal, że Max musi zostać w Rowan na ferie. Max dowiedział się, że jego prezenty zostały wysłane paczką priorytetową i że pan McDaniels będzie o nim przez cały czas myślał.

Później tego ranka Max wpadł w jadalni na pana Vincentiego; jego opiekun kończył jeść bułkę i przeglądał gazetę. Na pierwszej stronie Max zobaczył artykuł o kolejnej kradzieży obrazu.

– Rozmawiałeś z ojcem? – zapytał pan Vincenti.

– Tak – powiedział Max, nadal zastanawiając się nad przebiegiem rozmowy. – Wszystko gra. Co zrobiliście?

Pan Vincenti złożył gazetę i westchnął.

– Musieliśmy trochę wpłynąć na jego pamięć i uczucia. – Na widok miny Maxa szybko dodał: – Nie jego uczucia względem ciebie, tylko jego zdanie w kwestii twojego pobytu w Rowan podczas świąt. Były bardzo silne. Bardzo cię kocha.

Po tej dziwnej rozmowie chłopiec miał mieszane

uczucia. Z jednej strony ulżyło mu, że ojciec nie będzie pamiętał okropnych rzeczy, które powiedział Max; z drugiej był zaniepokojony, że pozornie tak banalna interwencja mogła zmienić wspomnienia i nastawienie ojca. Spróbował pozbyć się tego uczucia, przesuwając dłonią po poręczy owiniętej jemiolą i ostrokrzewem.

David był w hallu na górze i wiązał szalik.

– Idę nakarmić Mayę – powiedział. – Chcesz pójść ze mną?

Za chwilę obaj przedzierali się przez śnieg na drodze do Sanktuarium. Przez całą noc padało i wszystko było pokryte połyskującą białą warstwą.

W Chatce Rozgrzewania było zimą wyjątkowo przytulnie. Słońce wpadało przez umieszczone wysoko w ścianach okna, a budynek pachniał świeżym sianem i drewnem. Nick mocno spał, ale Maya była na nogach. Niczym srebrna gazela zwinnie zataczała kręgi po swojej przegrodzie, podczas gdy jej opiekun zamawiał dla niej w komorze małe pudełko z pokarmem. Kiedy David otworzył drzwiczki, Maya go wyminęła i podeszła prosto do Maxa. Wyciągnęła szyję, oparła mu o udo swoją gładką, srebrzystą głowę i spojrzała na niego oczami jak złote migdały. To podniosło Maxa na duchu. Zmęczenie i smutek zniknęły i wypełnił go spokój i zadowolenie z życia.

– Czym jest właściwie Maya? – zapytał, delikatnie głaszcząc jej uszy.

– Ulu – wyjaśnił David, prowadząc Maxa i Mayę do

drzwi. – Jej gatunek przynosi spokój i wyrozumiałość. Ale ona może być ostatnim żyjącym okazem. W dziewiętnastym wieku prawie wszystkie ulu wyginęły, bo ich futro i rogi są piękne, a ich krew według legendy zawiera sekret wszystkich języków. Pożądali ich kolekcjonerzy oraz badacze i naukowcy.

Max nie mógł w to uwierzyć. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek mógł chcieć zabić albo skrzywdzić coś tak przyjaznego i pełnego wdzięku. Maya zadrżała, kiedy wyszła nieufnie na śnieg, po czym wsadziła głowę do pudełka pełnego owoców i trawy.

Kiedy skończyła jeść, David i Max zabrali ją na długi spacer po Sanktuarium, wybierając ścieżki, którymi Max nigdy wcześniej nie szedł. Weszli w las i wspięli się wysoko, wsłuchując się w kapanie wody i dziwne głosy wielu ptaków. Nagle ze wzgórza zaczęła się zsuwać duża zaspą.

Max podniósł wzrok i wstrzymał oddech.

Przed nimi, na urwistym klifie nad ścieżką, leżała Yaya. Futerko na czarnym pysku lwicy było pozlepiane krwią, a z jej ciała unosiła się para. Pod nią, na udeptanym poletku różowego śniegu widać było racicę wielkiego zwierzęcia. Yaya popatrzyła na nich, niuchając rześkie powietrze. Max zobaczył w jej olbrzymich perłowych oczach swoje odbicie, kiedy odezwała się dziwnym głosem, jakby mówiło kilka kobiet na raz.

– Pozdrowienia świąteczne dla ciebie, Mayu. Pozdrowienia dla was, dzieci.

Skinęła na powitanie złamanym rogiem na głowie.

– Witaj, Yaya – powiedział David. – Liczyłem na to, że cię znajdziemy.

Max zerknął na kolegę; David nic mu o tym nie wspominał.

– Doprawdy, dziecko? Pozwól, że zejdem. – Wielka ki-rin podniosła się i oczyściła pysk w śniegu, po czym ruszyła w dół zbocza. Max stał bez słowa. Spotkanie Yayi w lesie było zupełnie innym doświadczeniem niż przechodzenie koło niej, kiedy chrapała pod kocami w Chatce Rozgrzewania.

– Yaya, czy Astaroth został zniszczony? – zapytał David.

Yaya zrobiła krok naprzód; jej podbródek z wąsami zatrzymał się tuż nad głową Maxa.

– Dlaczego pytasz o to Yaye? – odezwały się głosy lwicy.

– Bo jesteś Wielką Matroną Rowan. Tylko ty pamiętasz światło, które przeciwstawiło się ciemności po nadejściu Astarotha.

Wyrazy wypływały z ust Davida z zaśpiewem, od którego Max zaczął się robić senny. Stał bez słowa i głaskał srebrzysty kark Mayi.

Yaya przysiadła i opuściła wielkie cielsko na ścieżkę.

– Czy wiesz, że jesteś taki sam jak on? – zapytała po długiej ciszy. – Słowa i duch mojego mistrza odbijają się echem w twoim młodym głosie.

– Kto był twoim mistrzem? – zapytał David. – Nie

wiedziałem, że Wielka Matrona może mieć mistrza.

– Mój mistrz był światłem, które powstało przeciwko Astarothowi. Byłam z nim, kiedy pokonał Wroga. Elias Bram był moim mistrzem. Próbowałam mu pomóc, ale Wróg był zbyt silny. Mój róg złamał się o bok Demona i odrzuciło mnie bardzo daleko, zanim zburzyli wielki zamek, a teren pod nim został zrujnowany.

– Ale czy Astaroth został zniszczony? – ponowił pytanie David.

– To wykracza poza moje pojęcie, jak można zniszczyć coś tak wiekowego i pełnego zła – powiedziała cicho Yaya. – To Stara Magia. Jest uwikłana w serce i korzenie tego świata. Słyszałam, że znaleziono ciało Demona, ale nie wiem, co z tego wynikło. Kiedy jej mistrz upadł, Yaya popłynęła na zachód z innymi i zostawiła za sobą te mroczne dni...

Z krętej ścieżki za nimi dobiegł dźwięk dzwonek i śmiechy. Yaya odwróciła się, poczłapała ścieżką i zniknęła im z oczu. David odprowadził Mayę na bok, kiedy z za zakrętu wyjechały jaskrawoczerwone sanie ciągnięte przez dwa wielkie kasztany. Lejce trzymał Nolan, który śmiał się z panem Morrowem, panną Boon i dwoma uczniami szóstego roku.

– Hej, wy dwaj – zapiał Nolan. – Rozmawialiście z Yaya?

– Skąd pan wie? – zapytał David.

Panna Boon nachyliła się do przodu, przyglądając im się uważnie, podczas gdy Nolan wskazał na bezwładną

racie i czerwony śnieg na występie nad nimi.

– Opiekuję się Yaya od bez mała trzydziestu pięciu lat – powiedział. – Na kilometr rozpoznałbym jej robotę.

Pan Morrow zaciągnął się fajką i zakopał głębiej w zakamarki wełnianego pledu. Zapach tytoniu był ciepły i miły pośród sosnowych igieł i promieni słońca.

– Trochę nam tu za ciasno, żeby zabrać dwóch młodych pierwszaków i ulu, ale weźcie to, dobrze?

Max podszedł i odebrał od nauczyciela nauk humanistycznych metalowy termos. Odkręciwszy zatyczkę, poczuł zapach gorącej czekolady.

– Dziękuję, panie Morrow – powiedział, wypijając szybko łyk.

– Nie ma za co, McDaniels – zamruczał i mrugnął. – Wesółych świąt, moi chłopcy. Śpiewy i prezenty dziś wieczorem w hallu na parterze. Równy o ósmej!

– Przyjdziemy – powiedział Max, a sanie pojechały dalej.

Kiedy już zniknęły, David pokręcił głową w stronę Maxa i kaszlnął.

– Nie przyjdziemy – poprawił kolegę. – Dziś wieczorem będziemy się próbowali dowiedzieć, co się stało z Astarothem.

* * *

Max usłyszał skrzypce i śpiew z wielkiego hallu, jeszcze zanim otworzył ciężkie wrota Domostwa i wszedł

do środka. Nick był nakarmiony, a David czekał. Max przemykał się starymi schodami dla służby, kiedy barytony Boba i pana Morrowa wybijały się z chóru pozostałych wykładowców i uczniów.

*Słońce wschodzi,
Jeleń bieży,
Organów melodia radosna,
A chór śpiewa jak należy.*

Max spotkał się z Davidem w Bibliotece Bacona, gdzie światło było zgaszone, a chłopiec pracował przy świecach, przeglądając stertę gazet i wydruków komputerowych.

– Weź tę listę – wyszeptał, zanim Max usiadł.

Max zerknął na kartkę z notatnika. Było na niej kilkanaście tytułów książek.

– Potrzebujemy ich wszystkich?

David przytaknął, podał Maxowi drugą świecę i wrócił do robienia notatek swoim wąskim, pochyłym pismem. Ponad godzinę później Max stęknął, kładąc na stole ostatnie ciężkie książki. David ciągle coś zaciekle notował, jakby nieświadomy obecności Maxa. Jego świeca prawie się dopaliła.

Max usiadł, żeby chwilę odsapnąć, i przyjrzał się niektórym z leżących przed nim grzbietów: *Wielkie dzieła dziewiętnastego wieku, Sztuka baroku, Tajne techniki wielkich mistrzów, Dada i surrealizm, Geniusz*

Rembrandta, Ukryte symbole Beminiego, Renesans sztuki i człowieka, Holenderscy mistrzowie siedemnastego wieku, Dylematy postmodernizmu...

– David – syknął Max, zdeprimowany grubymi książkami i nieznanymi nazwiskami. – Co będziemy z tym wszystkim robili?

W świetle świec David wydawał się znacznie starszy; na chwilę przestał pisać i spojrzał na kolegę.

– Astaroth nie został zniszczony – powiedział. – Jestem tego pewien. Wróg go szuka i to ma coś wspólnego ze skradzionymi obrazami. Wydaje mi się, że niektóre obrazy zawierają tajne wskazówki, które mogą prowadzić do Astarotha. Ale najpierw będą mi potrzebne jeszcze dwie książki.

Max podniósł się, czekając, że David poda tytuły, ale chłopiec pokręcił głową i powiedział:

– Nie ma ich tutaj. Są zamknięte w Archiwum Prometejskim – tajnym pokoju pod Maggie i Starym Tomem. Mogę je zdobyć, ale będę musiał pójść sam. Zanieś te książki do naszego pokoju i tam się spotkamy.

Max zignorował tajemniczą uwagę Davida i patrzył, jak chłopiec otwiera plecak i wkłada do niego książki. Tak jak w przypadku torby z cielecej skóry Nigela, książki wpadły do środka bez najmniejszego odgłosu i plecak nawet się nie wybrzuszył.

– Skąd to wytrzasnąłeś? – zapytał Max.

– Sam zrobiłem – rzucił David. – To ja idę. Spotkamy się w pokoju.

David zdmuchnął ostatnią świeczkę i wyszedł, kiedy z hallu dwa piętra niżej, gdzie wszyscy się zebrali, doszły wiwaty i okrzyki. Max zapakował pozostałe książki do torby i już miał wracać do pokoju, kiedy ciekawość zwyciężyła. Chciał wiedzieć, dlaczego David postanowił iść do archiwum sam.

Max pospieszył długim korytarzem i przycisnął twarz do szyby, przez którą widać było obszar między Domostwem a Starym Tomem. I rzeczywiście, z lewej strony i daleko w dole zobaczył człapiącego w śniegu jak pingwin Davida, usiłującego trzymać się długich cieni rzucanych przez oświetlony jaskrawym światłem księżyca budynek.

Wtedy Max zauważył kątem oka jakiś ruch i wstrzymał oddech.

Nie tylko on obserwował Davida.

Ciemna postać skradała się od skraju lasu graniczącego z główną bramą. Zatrzymała się i zdawała przyglądać Davidowi, który się i przebiegł od skrywającego go cienia Domostwa do przykrytych śniegiem krzaków rosnących po obu stronach drogi do Starego Toma. Max jęknął; David wybrał fatalną trasę, która uniemożliwiała skorzystanie z osłony krzaków.

Ciemna postać ruszyła truchtem, po czym nagle przyspieszyła i zamieniła się w rozmazaną plamę na świeżym śniegu. Zdjęty paniką Max uderzył w szybę.

– Biegnij, David – wyszeptał. – Biegnij, biegnij, biegnij!

David istotnie pobiegł. Odwrócił głowę w samą porę, żeby dostrzec zbliżającą się do niego, oddaloną o kilkaset metrów postać. Max nie mógł na to patrzeć; David był taki powolny!

Nagle pojawił się krótki błysk bladego światła i David zniknął.

Mroczna postać zatrzymała się gwałtownie trzy metry od miejsca, gdzie przed chwilą był chłopiec. Przykucnęła i zbadała ziemię, obracając się na wszystkie strony, po czym zamarła.

– Cooper – wyszeptał Max na widok bladej twarzy agenta, który patrzył na niego z trawnika. Agent przeszedł kilka kroków w stronę Domostwa, nie odrywając wzroku od Maxa, który zamarł w oknie na drugim piętrze.

– McDaniels? – odezwał się ostry głos za jego plecami.

Max krzyknął i upuścił plecak Davida. Rzucając się, żeby go podnieść, odwrócił się i zobaczył patrzącą na niego pannę Boon.

– Dobry wieczór, panno Boon – wychrypiał.

– Dobry wieczór – powiedziała nauczycielka, zerkając na plecak Davida. – Co ty tu robisz w ciemności?

– Wyminęła Maxa i wyjrzała przez okno. Max też wyjrzał. Cooper zniknął.

– Właśnie wyszedłem z biblioteki.

– Hm – powiedziała, odwracając się od okna, żeby jeszcze raz zerknąć na plecak. – No nic, mam jeszcze robotę, a ty lepiej idź do łóżka. Dobranoc.

Panna Boon zniknęła w korytarzu prowadzącym do Biblioteki Bacona. Max popędził do swojego pokoju, gdzie znalazł Davida zapracowanego przy stole, sapiącego i pocierającego klatkę piersiową. W pokoju było wiele zapalonych świec.

– Wpadłem na pannę Boon – wysapał Max. – Szła do biblioteki.

David spojrzął znad rozłożonych przed nim dwóch dużych książek; był zaniepokojony. Nic nie powiedział, ale pokazał, żeby Max położył plecak na krześle.

– Co to za książki? – zapytał Max, zerkając na olbrzymie tomy. Miały przynajmniej metr wysokości i były wypełnione wieloma stronami cienkiego, zbutwiałego papieru. W książkach tych było coś dziwnego. Otaczała je aura niepokoju i Max chciał się znaleźć jak najdalej od nich.

– Księgi czarów – powiedział cicho David. – Mogą być niebezpieczne. Jedna jest o Starej Magii, druga dotyczy zaklęć wiążących i więzień. To nie są oryginały – zostały skopiowane w średniowieczu.

Max zrobił krok do tyłu.

– Potrafisz to przeczytać? – zapytał, przyglądając się dziwnym literom i symbolom.

David przytaknął.

– To po sumeryjsku – powiedział rzeczowo, wyciągając z plecaka książki o historii sztuki. – Możesz iść spać, Max. Dam sobie radę.

Max leżał w łóżku i długo nie mógł zasnąć, a z dołu

dobiegało skrobanie pióra Dawida i jego cichy głos. Przyglądał się Andromedzie, wypatrując konstelacji gwiazd i usiłując policzyć, ile minie czasu, zanim jej zarys ożyje obrysowany migotliwymi złotymi liniami.

Kiedy się obudził, wyjrzał z galerii i zobaczył Davida leżącego na stole w morzu papierów, wśród migoczących dopalających się świec. Zszedł szybko na dół i obudził kolegę. David ziewnął i zerknął w dół na małą plamę śliny, która zabrudziła jedną ze stron księgi czarów.

– Ojej... – wymamrotał zaspany.

– David – powiedział Max, pstrykając palcami pod nosem chłopca. – Nic ci nie jest?

David kilka razy zamrugał. Nagle złapał Maxa za rękę; uścisk jego małej dłoni był silny.

– Max! Skradzione obrazy nie są wskazówkami, jak odnaleźć Astarotha. To one są Astarothem. Przynajmniej jeden z nich!

Twarz Davida drżała z ekscytacji i lęku po dokonanym odkryciu.

– Astaroth jest uwięziony w obrazie!

BUJDY I SZTUCZKI

Ogr szedł z przodu, niosąc w półmroku latarnię i zatrzymując się co jakiś czas, żeby poczekać na Maxa, Davida i Connora, którzy podbiegali, żeby dotrzymać mu kroku. Padał śnieg, a niebo robiło się ciemnoszare.

Wrota do Sanktuarium były otwarte. Kilkoro uczniów z podopiecznymi tłoczyło się przy werandzie Chatki Rozgrzewania, gdzie w dużym, oczyszczonym ze śniegu kole buzowało ognisko. Trzymający skrzypce Nolan siedział na postawionej na werandzie skrzyni w otoczeniu uczniów sączących napoje z kubków i termosów. Max zobaczył wydobywające się z drzwi do Chatki kłęby pary i dojrzał w cieniu połyskujące na biało oczy Yayi.

– Bob! – wykrzyknął Nolan. – Nie widzimy cię tu zbyt często. Cóż to za okazja?

– Dzień dobry – powiedział ogr i skinął głową. – Bob zabiera młodych na wydmy do pana Morrowa. Dom daleko, a młodzi nie znają drogi.

– Aha – powiedział Nolan. – No cóż, Byron z pewnością się ucieszy. Mam nadzieję, że zdrowieje. Choruje już od kilku tygodni! Przekażcie mu życzenia powrotu do zdrowia i wpadnijcie na gorącą czekoladę w powrotnej drodze. Koncert życzeń jeszcze chyba trochę potrwa.

Bob przytaknął i obszedł ognisko, zostawiając Chatkę Rozgrzewania za sobą. Max przeszedł między siedzącymi uczniami, machając do skulonych przy sobie Cynthii i Lucii. Na kolanach Lucii leżał owinięty włochatym kocem Gamkoryjek, który zamrugał wyłupiastymi oczami, a jego czerwona skóra zmarszczyła się, kiedy cały zadygotał.

Ku zdziwieniu Maxa Julie Teller odwróciła się i uśmiechnęła do niego promiennie, a blask płomieni tańczył w jej ładnych niebieskich oczach i na bladych piegach.

– Cześć – powiedziała z uśmiechem. – Nie widziałam cię od świąt, a teraz mamy już luty!

– Chciałem się w tym semestrze więcej pouczyć – powiedział Max, bawiąc się suwakiem przy płaszczu. Był wdzięczny, że nie było tu Sary. Po Halloween Sara przez dwa tygodnie się do niego nie odzywała i choć znowu zaczęli się przyjaźnić, dąsała się za każdym razem, kiedy widziała, jak Max rozmawia z Julie.

– Powiedz mi, jeśli będziesz potrzebował pomocy – powiedziała Julie. – Wszystko oprócz języków. Jestem z nich beznadziejna!

Max tylko się zaczerwienił i bez słowa kiwnął głową, ignorując zirytowaną minę Connora. Kilkoro uczniów zaczęło klaskać w rytm szybkiej, radosnej melodii i Julie odwróciła się, żeby spojrzeć na Nolana, którego palce i smyczek tańczyły na strunach skrzypiec. Connor i Max pospieszyli za Bobem i Davidem, kiedy Tweedy zaczął poprawiać nieudane próby Omara klaskania do rytmu.

– Hej, zaczekajcie! – zawołał jakiś głos za ich plecami.

Max odwrócił się i zobaczył Cynthię, która stąpała ostrożnie po śniegu. Kiedy ich dogoniła, kończyła naciągać zębami rękawice z jednym palcem.

– Ja też chcę się spotkać z panem Morrowem – powiedziała. – Miałam zamiar pójść wcześniej, ale wiecie, jak to jest.

Podbiegli, żeby dogonić latarnię Boba, która podrygiwała z przodu. Kiedy dotarli do skraju wydm, Bob i David na nich czekali. Płaszcz ogra chronił Davida przed kłującymi igiełkami śniegu niesionymi przez wiatr. Max, mimo że przyłożył sobie dłonie do uszu, z trudem słyszał Boba przez wycie wichru, kiedy znowu ruszyli.

– Trzymajcie się blisko mnie, moi mali – ostrzegł ogr.

To, co z oddali wyglądało jak małe zmarszczki, było w istocie wielkimi wydmami. Max i reszta sapali, wdrapując się z jednej strony i ześlizgując z drugiej. Trzydzieści minut dłużyło się jak wiele godzin. Nawet Bob musiał się zatrzymywać i od czasu do czasu złapać oddech.

– Dlaczego Morrow mieszka tak daleko? – jęknął Connor, osłaniając twarz przed kolejnym podmuchem. – Nic dziwnego, że w taką pogodę nie przychodzi na zajęcia!

– On tędy nie chodzi – powiedział David. – Chyba ma inną drogę. Tajną. W kampusie jest ich pełno. Można je zauważyć, jeżeli umie się szukać.

Connor zagwizdał przez zęby i chciał wyciągnąć z Davida jakieś szczegóły, ale niczego się nie dowiedział. Max zerknął na kolegę z pokoju i przypomniał sobie noc, kiedy David zniknął, żeby przynieść księgi czarów, i z ledwością uciekł Cooperowi. David nigdy nie wspominał tego incydentu, a Max nie naciskał, zawstydzony, że go szpiegował.

Kiedy dotarli do szczytu kolejnej wydmy, Bob nagle podniósł dłoń i nakazał, żeby się nie ruszali. Było słychać głośnie węszenie.

Ku swojemu przerażeniu Max zobaczył kilka par świecących, zielonych oczu przyglądających mu się z dołu.

– Bob... – syknął Max, kiedy Cynthia przytuliła się do niego i zaczęli się wycofywać.

– Cicho! – polecił ogr, odwracając się z latarnią i przypatrując oczom w dole.

Przerażone dzieci przez chwilę tuliły się do siebie bez słowa, a Bob stał nieruchomy jak skała, ze wzrokiem utkwionym w podnóże wydmy. Nagle rozległo się niskie wycie, które wzniosło się ponad szum wiatru.

Cokolwiek to było, zniknęło.

– Ruszajmy – zamruczał Bob. – Już niedaleko.

– Bob – powiedział Connor, dygocząc i lgnąc do boku ogra. – Co to było?

– Bob nie wie – wymamrotał. – Wielu dzikich podopiecznych żyje poza polaną.

– Co to znaczy „dzikich podopiecznych”? – zapytał

David, którego głos prawie zgiął pośród wycia wiatru.

Bob nisko się nachylił, żeby odpowiedzieć.

– Podopieczni, których właściciele odeszli. Podopieczni, którzy żyją sami. Niektórzy z nich mogli zapomnieć, że kiedyś troszczyli się o nich ludzie.

– Czy oni są niebezpieczni? – zapytała Cynthia, dygocząc i rozglądając się.

Bob wzruszył ramionami.

– Są dzicy – powiedział, trzymając ciężki termos niczym broń i prowadząc ich ku następnej wydmie.

Max poczuł przyjemny zapach dymu z komina, jeszcze zanim wdrapał się na ostatnią wydnię i zobaczył domek. Był położony na skraju ciemnego lasu jodłowego, jego ściany wzniesiono ze spojonych zaprawą kamieni i wzmocniono skrzyżowanymi belkami. Otaczał go niski płot. Jaskrawe żółte światło prześwitywało między zasłonami w oknach. Chcąc jak najszybciej zostawić za sobą dzikich podopiecznych i śnieżną zamieć, Max i reszta pobiegli z wydmy w stronę chatki.

– Stać! – gromki głos Boba zwielokrotniło echo i wszyscy zatrzymali się niezgrabnie. – Zaczekać na Boba! – wysapał ogr, schodząc bokiem po wydmie i szukając przy świetle latarni najłatwiejszego zejścia. – Małe dzieci pędzą ku domowi i ciepłu. Małe dzieci głupiutkie. Myślą, że są bezpieczne i nie widzą niebezpieczeństwa.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał Connor, rozcierając ręce i rzucając tęskne spojrzenie na ciepłą chatkę.

Wyrazista twarz Boba lekko się zmarszczyła.

– Zanim Bob został kucharzem, Bob był ogrem...

Ogr zapukał do czerwonych drzwi chatki; gruba połać śniegu ześlizgnęła się z dachu i spadła do ogródka. Dzieci przytuliły się do siebie, by się ogrzać i odwrócone plecami do Boba obserwowały las i wydmy. Bob zapukał jeszcze raz.

– Panie Morrow? – zapytał łagodnie Bob. – To Bob i kilku uczniów.

Z chatki nie dobiegł żaden odgłos.

– Przynieśliśmy panu zupę – zamruczał rozmarzonym głosem ogr. – Zuuuupę!

Spojrzał na dzieci i wzruszył ramionami, po czym schylił się, żeby postawić termos przy drzwiach. Cynthia pokręciła głową, precyzyjnie się obok Boba, przekręciła gałkę i wetknęła głowę do środka.

– Cynthia! – wysapał Bob. – Może być w łazience albo... nieodziany!

– Cicho! – odparła Cynthia władcym tonem. – Jest chory i potrzebuje opieki. Nie drałowałam taki szmat drogi przez śnieżycę, żeby zostawić mu na ganku zamrznięty termos z zupą! Chodźcie.

Max, David, Connor i Bob weszli za Cynthią do ciepłego, niskiego pokoju. Bobowi strzeliło w krzyżu, kiedy nachylił się, żeby nie uderzyć głową o belkę stropową. Wszędzie były książki: wielkie sterty oprawionych w skórę tomów upchnięte na półkach, poustawiane w chwiejne stosy albo porozrzucane w

pozornym bezładzie na podłodze.

W małym kominku palił się słaby ogień, a gdzieś tam, pośród wijących się kałuż wosku, migotały świece. Pan Morrow spał jak kamień zakopany pod kocami w popękany skórzany fotel. Nie wyglądał dobrze; miał suche usta, a pod oczami purpurowe obwódki. Siwe włosy przylepiły mu się do lśniącego czoła.

Max odwrócił się, żeby ogrzać dłonie przy kominku, kiedy nagle w pokoju zagrzmiał znajomy głos.

– Jestem zdecydowanie za gruby na tak wątych żałobników.

Max i pozostałe dzieci podskoczyli, ale na twarzy Boba pojawił się szeroki uśmiech ulgi.

– A! – wykrzyknął ogr. – Obudził się pan. Dobrze, dobrze, przynieśliśmy panu zupę!

Pan Morrow spojrzał na nich przenikliwym wzrokiem i mocniej przykrył się kocem.

– To bardzo miło z waszej strony. Łatwiej mi będzie brać lekarstwo.

– O! – powiedział Connor, nachylając się, żeby obejrzeć stojący na stole kubek jasnozielonego płynu. – Czy to jakiś magiczny eliksir?

– Tak, mój chłopcze – odrzekł pan Morrow przyciszonym, zagadkowym tonem, w którym pobrzmiwał nabożny lęk. – Ten oto eliksir sprawia, że zażywający go śmiałek zazna wielu dobrodziejstw tak dziwnych, jak cudownych. Oto właśnie... syrop na kaszel!

Cynthia, Max i David wybuchnęli śmiechem, a Connor odstawił kubek z rozczarowaną miną. Pan Morrow też zachichotał, ale szybko zmógł go atak męczącego kaszlu.

– Jak się pan czuje, panie Morrow? – zapytała Cynthia. Przyniosła miseczkę zupy z termosu, a nauczyciel odsunął na bok stertę zużytych i zgniecionych chusteczek, by znaleźć fajkę. Wzruszył odruchowo ramionami w odpowiedzi na pytanie Cynthii, zapalił fajkę i mocno się zaciągnął.

– A więc, Bob – zapytał pan Morrow, nie odwracając głowy – jak udało ci się przekonać tę czwórkę młodych łobuziaków, żeby odwiedzili to stare, chore ptaszysko?

– Bob tego nie zrobił, panie nauczycielu. To oni pozwolili Bobowi ze sobą przyjść.

Pan Morrow mruknął zdziwiony, a Max podszedł, żeby obejrzeć wiszącą na ścianie oprawioną fotografię. Zdjęcie przedstawiało młodszego pana Morrowa w kapeluszu z rondem przed wieżą Eiffla, z elegancką młodą kobietą. Max przypomniał sobie nagle wyryty na drzewie w miasteczku napis: „Byron kocha Elaine '46”.

– A, panie McDaniels. Czyżby podziwiał pan moją piękną damę? – zapytał pan Morrow.

– Tak, proszę pana.

– To moja żona, Elaine. Dopadł ją rak.

– Przykro mi – powiedział niezręcznie Max.

Pan Morrow pokręcił zniecierpliwiony głową i odchrząknął.

– Nie ma potrzeby. Nadszedł jej czas. Mało kto ma tyle szczęścia, żeby znaleźć bratnią duszę. Jestem wdzięczny za lata, które mogliśmy przeżyć razem.

Do zdjęcia podeszła Cynthia.

– Panie Morrow! – powiedziała. – Ależ był z pana przystojniak! I do tego w garniturze!

– Bardzo przystojny – zgodził się Bob, pochylając się nad plecami dzieci, żeby przyjrzeć się zdjęciu.

– Och, przestańcie już! – zachichotał pan Morrow. – Przez was ten tłusty staruch robi się jeszcze niepotrzebnie próżny. To zdjęcie powinno być w muzeum! – Spojrzał w ogień, ale Max widział, że jest zadowolony.

– Kto to? – zapytał David, podnosząc postawione na stercie książek zdjęcie w oprawce. Pożółkła fotografia przedstawiała młodego mężczyznę w wojskowym mundurze.

– To mój syn, Arthur – powiedział cicho pan Morrow. – Zaraz po tym, jak wstąpił do piechoty morskiej. Też go straciłem. Dokładnie rzecz biorąc, cały pluton.

Zirytowana Cynthia pokazała Davidowi, żeby odłożył zdjęcie.

– Nic się nie stało, Cynthia – powiedział pan Morrow z wyrozumiałym uśmiechem. – Miło mi, że wy, dzieci, interesujecie się moją rodziną. – Pokazał Davidowi, żeby podał mu zdjęcie. – Politycy wybrali wojnę i on też ją wybrał – powiedział, przyglądając się zdjęciu. – Nie

mogłem tego zrozumieć. To naprawdę dziwne. Całe życie spędziłem, studiując wojnę. Królestwa, które rozkwitają i upadają, niszczone ogniem i mieczem. To wszystko wydaje się takie chwalebne, dopóki nie zabierze kogoś ukochanego. Życie jest zbyt cenne, żeby marnotrawić je, wykonując rozkazy wydawane poprzez absurdalny łańcuch dowodzenia.

Odstawił zdjęcie i wrócił do posiłku, rozlewając trochę zupy na szlafrok. David był przygnębiony. Bob wykonał uspokajający gest dłonią i posprzątał zużyte chusteczki, które leżały w małych kupkach wokół fotela. Pan Morrow znowu podniósł wzrok.

– No to słucham. Jeżeli muszę już znosić najście gości, to przynajmniej niech podzielą się ze mną nowinami! Co się dzieje w kampusie? Jak Hazel radzi sobie z moimi grupami? Czy odnaleźli już wykradzione dzieci? Zaginieni kandydaci to poważna sprawa...

– Nauczycielu – ostrzegł Bob, upuszczając porcelanową filiżankę, którą właśnie zmywał. – Oni nie mogą się...

– Nie mogą się dowiedzieć?! – wykrzyknął pan Morrow. – Chcesz powiedzieć, że pomimo obietnic, Gabrielle ciągle jeszcze nie powiedziała im o niebezpieczeństwie? To oburzające! To... to skandaliczne!

– O czym pan mówi? – zapytała cicho Cynthia. – Jakie „wykradzione dzieci”?

– Powinniśmy już iść – powiedział Bob, sięgając po płaszcz i dając znak reszcie. – Niedługo znowu pana

odwiedzimy.

– Nie, Bob – przerwała mu Cynthia. – Chcę to usłyszeć.

– Musicie to usłyszeć – warknął pan Morrow, podnosząc się na fotelu z zaciętą miną. Ogr westchnął i wyjrzał przez okno. – Macie prawo i obowiązek poznać niebezpieczeństwa, które na was czyhają. Czy któreś z was wie cokolwiek na ten temat?

Max i David zerknęli na siebie. Na zewnątrz chatki szalał wiatr; przez szpary wpadał przeciąg, od którego migotały świece. Ignorując Davida, który pokręcił nieznacznie głową, Max powiedział:

– Ja wiem.

– Co wiesz, mój chłopcze? – mruknął pan Morrow, koncentrując całą uwagę na Maksie.

– Wiem, że Wróg porwał kilkoro dzieci, kandydatów z całego świata – powiedział Max, uważnie dobierając słowa. – Wiem, że chłopiec, który nazywa się Mickey Lees, miał być na naszym roku. Ostatni raz widziano go z panną May, która... która zginęła.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Pan Morrow miał zmęczoną i smutną minę.

– I skąd to wiesz, Max? – zapytał.

– Podśluchałem, jak pani Richter rozmawiała o tym w Sanktuarium. I ponieważ Wróg mnie też próbował porwać.

Cynthię i Connora zatkało z wrażenia, David miał zirytowaną minę i wpatrywał się w ogień. Pan Morrow

wyciągnął się na fotelu i władczym ruchem dźgnął Maxa palcem.

– Masz mi wszystko opowiedzieć, McDaniels.

Przez następne dziesięć minut chłopiec zdawał relację ze swojego spotkania z panią Millen. Pan Morrow pykał zamyślony fajkę, uciszając innych, kiedy chcieli zadawać pytania. Max zerknął na Boba, ale ogr zdawał się zatopiony we własnych myślach. Kiedy Max skończył, pan Morrow posłał mu szczere spojrzenie.

– Masz szczęście, że żyjesz. Twoja „pani Millen” była prawie na pewno wielokiem.

Żołądek Maxa skurczył się w lodowatą bryłę.

– Co to jest wielok? – zapytał.

– Stworzenie posiadające zdolność zmiany kształtu – wyjaśnił pan Morrow. – Bardzo podstępne. Trudne do wykrycia i, według naszych agentów w terenie, trzymające się w większych grupach. Jego prawdziwa postać jest przerażająca.

– Czy wielok wygląda jak wilkołak? – zapytał stojący przy kominku Connor. Miał wymizerowaną, przestraszoną twarz.

Pan Morrow posłał mu dziwne, przenikliwe spojrzenie.

– Tak, panie Lynch, dla pana mógłby wyglądać jak wilkołak – powiedział chropowatym, niskim głosem. – Jednak proszę wziąć pod uwagę, że wielok to nie jest wilkołak. Wielok jest większy i ma bardziej zniekształconą i paskudną twarz – trochę wilka, trochę

szakala, trochę człowieka, z zezującymi oczami i wykrzywionym pyskiem. Jednak w ludzkiej postaci może być wyjątkowo wiarygodny. Dzieci, nigdy nie rozmawiajcie z wielokiem! Ich podstępny są sprytne, a głosy pełne zaklęć mających was omamić.

– Skąd możemy wiedzieć, że z czymś takim rozmawiamy? – wyszeptała Cynthia, która zadrżała i przysunęła się bliżej do ognia.

– Są najróżniejsze sztuczki, żeby zdemaskować wieloka, ale ja wierzę w intuicję. Jeżeli spotka się pani z wielokiem, panno Gilley, poczuje pani dreszcz na plecach albo coś dziwnego w brzuchu. Ponieważ wielok ma w zwyczaju atakować, kiedy przeciwnik się tego nie spodziewa, będzie chciał najpierw zdobyć wasze zaufanie. Dzięki temu możecie mieć szansę zidentyfikować go, zanim... zanim was dopadnie.

Nagle w pokoju rozległ się krzyk.

– Teraz pamiętam! – zawołał David. – Już widziałem wieloki!

– Wszyscy widzieliśmy, David – uspokoił go Connor – przez okna na korytarzu w zeszłym semestrze. To musiał być wielok...

– Nie – odparł David, kręcąc głową. – Kiedy byłem w Kolorado, zanim przyjechałem do Rowan. Wracalem do domu przez las, kiedy zobaczyłem, że ktoś stoi przy ścieżce i mnie obserwuje. Coś w wyglądzie tego mężczyzny mnie przestraszyło i ruszyłem szybciej. Zaczął za mną iść, a ja pobiegłem co sił w nogach. Zaczął się

śmiać; drwił z tego, że wolno biegać. – David zaczął kaszleć i upłynęło kilka chwil, zanim mógł mówić dalej. – Kiedy się odwróciłem, pędził za mną na czworakach. Zmieniał postać, doganiał mnie i przez cały czas się śmiał.

Max nigdy wcześniej nie widział Davida w takim stanie. Jego głos był słaby i cichy. Chłopiec wyglądał, jakby to było dla niego straszne przeżycie.

– Potknąłem się – ciągnął. – Zobaczyłem, jak następny pędzi na mnie przez las... Chyba zacząłem krzyczeć i zemdlałem. Kiedy się ocknąłem, już ich nie było. Nie było też drzew dokoła... Wszystko było spalone. Wiem, że to brzmi jak majaki, ale to się chyba naprawdę wydarzyło.

– Ja ci wierzę – mruknął pan Morrow, klepiąc Davida po ramieniu. Nauczyciel zatrzęsł się rżącym śmiechem. – Tylko sobie wyobraźcie szok tych biednych wieloków, kiedy się zorientowały, że się tak wyrażę, że porwały się z motyką na słońce! Myślały, że pobawią się z biednym, bezbronnym chłopcem, tymczasem trafiły na niego! – Śmiech Marrowa przeszedł w atak męczącego kaszlu.

– O czym pan mówi? – zezłościła się Cynthia. – Przecież David mógł zginąć!

– Nie, panno Gilley – powiedział pan Morrow, pocierając dłonią siwy zarost. – Nie sądzę, żeby dwa wieloki mogły zgładzić naszego pana Menlo. A poza tym, nie wierzę, żeby Wrogowi chodziło o zabijanie naszych niczego niepodejrzewających młodych. Obawiam się, że ich cele są mroczniejsze.

– To znaczy jakie? Do czego Wrogowi mogliby być potrzebni kandydaci? – zapytał Connor.

Max i David znów na siebie spojrzeli. Choć David rozszyfrował motywy kradzieży obrazów, przyczyna porwań kandydatów nadal była dla niego tajemnicą.

– Nasi kandydaci to soki żywotne Rowan – zamruczał pan Morrow. – Jeżeli Wróg dopadnie młodych, ucierpi na tym nasza przyszłość. Śmierć naszych kandydatów to byłby dla nas straszny cios, ale jeszcze gorsze byłoby, gdyby dali się przeciągnąć na stronę Wroga. Nasze szeregi uległyby osłabieniu, a ich urosłyby w siłę. Kluczowe pytanie brzmi: jak? Jak udaje im się docierać do naszych kandydatów przed nami? Na to pytanie nie mam odpowiedzi, ale obawiam się najgorszego...

– To znaczy? – zapytała słabym głosem Cynthia.

– Zdrada! – zagrzemiał pan Morrow, uderzając pięścią w dłoń. – Kolaboracja! Sprzeniewierzenie się człowieczeństwu jednego z nas! Niektórzy natrząsają się z takiego pomysłu, ale nie potrafią wyjaśnić, jak znikają nasi kandydaci. I nie umieją wytłumaczyć infiltracji, jakiej dokonał Wróg zeszłej jesieni.

– Ale dlaczego pani Richter trzyma to wszystko w tajemnicy? – zapytał Max.

Pan Morrow przez chwilę się nie odzywał; jego wilgotne oczy przebiegały po twarzach. Spochmurniał i szczeka mu zadrzała.

– Bo Richter to zwykła biurokratka! Dzieci, nadciąga

wojna! Wróg się zbliża. Tylko głupiec nie uznałby tego wysypu wieloków za zwiad mający przetestować naszą siłę i wolę. Właśnie tak. – Słowa padały szybko. Pan Morrow wpił się palcami w fotel. – Nadchodzi wojna, a nasza pani dyrektor trzyma się kurczowo procedur i regulek jak wszyscy parszywi biurokraci przed nią... A to wszystko ze strachu, mówię wam! Paraliżuje ją możliwość pomyłki. Boi się, że ktoś podda w wątpliwość jej kompetencje i spróbuje ją zastąpić...

– Wystarczy!

Chatka zatrzęsała się od głosu Boba. Okna zadrżały. Max nigdy nie widział, żeby rozgniewany Bob podniósł głos. Było to przerażające.

Jednak pan Morrow nie dał się zastraszyć. Wyglądał, jakby był zdolny do przemocy. Jednak stopniowo niema furia staruszka przeszła w gniew, a potem została po niej tylko zmęczona, pokonana mina. Kiwnął głową do Boba i mocno odkaszlnął w róg koca. Pomachał do dzieci przepraszająco ręką.

– Masz rację, masz rację. Przynosicie mi zupę, a ja was straszę! To przez tę okropną grypę wygaduję takie rzeczy. Zaczynam zrzedzić, co nie, Bob?

Bob nic nie powiedział. Włożył płaszcz i uchylił drzwi. Podmuch wiatru rozrzucił papiery ze stojącej blisko drzwi półki. Bob przyglądał się, jak powoli opadają po spirali na podłogę.

– Musimy już iść. Dzieci, chodźcie z Bobem.

– Tak, tak – zgodził się pan Morrow. – To bardzo

miłe z waszej strony, że się mną opiekujecie. Aha! Zanim pójdziecie, mam dla was krótką lekcję. – Pan Morrow odłożył fajkę i nachylił się do przodu. – Nie mogę was straszyć opowieściami o wielokach i nie dać wam na nich jakiejś broni, prawda? Wieloki nie znoszą jaskrawego światła. Na chwilę tracą od niego zmysły. To prosta sztuczka, ale wiem, że uczą was jej później. A powinniście móc ją wykonać z energią, którą już posiadacie. Nie trzeba sięgać do innych źródeł ani jej zbierać. – Pan Morrow zwinął dłoń w pięść, po czym rozłożył palce i syknął: – Solas.

Pokój wypełnił błysk jaskrawego światła, niczym z wielkiej żarówki. Małe kształty zaczęły pływać Maxowi przed oczami. Chwilę później pokój znowu ogarnął półmrok rozpraszany tylko blaskiem świec i ogniska.

– Niech każde z was spróbuje. To naprawdę proste.

Connor zrobił krok naprzód z dłonią zwiniętą w pięść.

– Solas!

Pokój zamigotał jasnym, złotym światłem.

Pan Morrow przytaknął i odwrócił się do Cynthii, która spojrzała z powątpiewaniem na swoją dłoń.

– Solas!

Pokój rozświetlił się na chwilę ciepłym światłem. Connor i Cynthia wyglądali na zachwyconych swoją nową umiejętnością.

– I pan, panie McDaniels – wymamrotał pan Morrow, wycierając nos.

Gdy tylko Max wymówił to słowo, pokój rozbłysnął jaskrawym blaskiem, który równie szybko zgasł.

– I wreszcie pan Menlo.

David pokręcił głową i zrobił krok w stronę drzwi.

– Potrafię to zrobić – powiedział rzeczowo David. – Mam nadzieję, że pan wyzdrowieje, panie Morrow. Niedługo znowu pana odwiedzę.

Pan Morrow przytaknął i uśmiechnął się smutno.

– Mam nadzieję, panie Menlo – powiedział cicho. – I bardzo wam wszystkim dziękuję za odwiedzenie chorego biedaka! Wybaczcie mi, jeżeli mnie poniosło.

Dzieci pomachały mu na pożegnanie. Pan Morrow, który teraz wydawał się bardzo mały i chory, pomachał do nich. Sięgnął po leżący obok album ze zdjęciami.

Na dworze Bob dotarł wielkimi susami na szczyt pierwszej wydmy. Pokazał dzieciom, żeby szybko poszły za nim, po czym zniknął po drugiej stronie. Max chciał wysforować się na prowadzenie, ale zwolnił, kiedy usłyszał, jak Connor męczy Davida.

– Ale proszę cię, David. Każdy z nas to zrobił.

– Kiedy ja wiem, że to umiem – wymamrotał David, zapinając kurtkę i naciągając zębami rękawiczki.

– Ja też wiem, że umiesz – powiedział ze śmiechem Connor – ale chcę to zobaczyć na własne oczy, panie czarodziej!

– Ja też! – dodała Cynthia.

– No – powiedział Max, czując ukłucie zazdrości. W

końcu pan Morrow powiedział, że Max miał szczęście, że udało mu się przeżyć spotkanie z panią Millen, podczas gdy David nie miał się czego bać ze strony wieloków, które goniły go w lesie. – To nie w porządku, żebyś się zawsze tylko przyglądał.

Kiedy David to usłyszał, przestał naciągać rękawiczkę. Uśmiech zniknął z twarzy Maxa. David przez kilka sekund patrzył na niego beznamiętnie, potem szybko przytaknął i zacisnął dłoń.

– Solas – wyszeptał.

Max krzyknął i upadł do tyłu na śnieg, kiedy całe niebo rozbłysło, rozświetlając okolicę w promieniu wielu kilometrów, jakby jednocześnie pojawiło się sto błyskawic. Od niespodziewanego błysku Maxa zapiekły oczy. Connor i Cynthia stali zgięci w pół i osłaniali sobie twarze, a Bob szukał na oślep upuszczonej latarni. Kiedy Max odzyskał ostrość widzenia, zobaczył Davida, który stał nad nim i wyciągał do niego dłoń.

– Nie proś mnie o to więcej – szepnął i pomógł Maxowi wstać.

Max przytaknął z policzkami czerwonymi ze wstydu. Wchodząc na wydnię, David ostrożnie włożył latarnię w szukającą jej po omacku dłoń Boba. Ogr jęknął, skoczył na nogi i przyłożył dłoń do powykrzywianego czoła.

– Boba zwolnią...

Wracali w milczeniu, które co jakiś czas przerywał mamroczący coś po rosyjsku zezłoszczony Bob. Max

poczuł się lepiej, kiedy usłyszał radosne dźwięki skrzypiec Nolana, które odwróciły jego uwagę od dzikich podopiecznych, czyhających wieloków i zaginionych dzieci.

Bob odwrócił się do nich.

– Bob idzie przodem. Niedługo kolacja. Nie mówcie nic o świetle – ostrzegł, grożąc im palcem, zatrzymawszy na chwilę wzrok na rumianej twarzy Connora. – Jak powiecie, Bob będzie miał sztuczną szczękę. I wtedy was znajdzie! – Oblicze ogra wykrzywił paskudny, zapadnięty uśmiech. Bob przysunął sobie do twarzy latarnię, która oświetliła jego rysy upiornym blaskiem. Connor zakwilił i zrobił krok do tyłu. Bob zachichotał zadowolony, uśmiechnął się i ruszył naprzód, sadząc dwumetrowe susy.

– On żartuje, prawda? – zapytał Connor, śmiejąc się niepewnie.

– Oczywiście – powiedziała Cynthia, kichając w rękaw.

Kiedy Max i pozostali zbliżali się do Chatki Rozgrzewania, zobaczyli, że ognisko nadal świeci jaskrawo, a kilkunastu uczniów wyleguje się na stogach siana. Nolan wkładał właśnie skrzypce do futerału. Julie była zajęta kadrowaniem Lucii, która zasnęła z Garnkoryjkiem w ramionach. Inni uczniowie zaczęli się budzić, wstawali i przytupywali nogami, żeby odzyskać czucie w palcach u stóp.

– Hej! – wykrzyknął Nolan. – Przegapiliście

muzykowanie, ale zdążyliście na kolację. To się nazywa wycucie chwili!

– Przystań, Nolan – Cynthia się zaczerwieniła. – Ta muzyka była cudowna!

Max i Connor wymienili spojrzenia. Nawet David się uśmiechnął.

– Dziękuję, Cynthia – powiedział Nolan. – Czy widzieliście to światło?

Max zamknął oczy i jednocześnie z Connorem powiedział: „Nie”, podczas gdy Cynthia i David jednocześnie wykrzyknęli: „Tak!”.

Nolan zmarszczył brwi.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – mówił dalej.
– Rozświetliło całe Sanktuarium...

– Och, Nolan – przerwała mu Cynthia. – Moglibyśmy posłuchać jeszcze jednej piosenki? Choćby krótkiej? Stary Tom jeszcze nie bił na kolację.

Nolan zawahał się.

– Proooooszę! – błagała Cynthia, ciągnąc go za rękę. Connor przewrócił oczami i głośno odkaszlnął.

– No dobrze – powiedział Nolan z zadowoloną miną.
– W takim razie krótka piosenka. *Daisy Bell*, żebyśmy mogli sobie pomyśleć o nadchodzącej wiosnie.

Kiedy Nolan zaczął grać, Max z grzeczności się zatrzymał, choć chciał jak najszybciej dotrzeć do Domostwa na kolację. Jego żołądek, pęcherz i fakt, że w obecności Julie kręciło mu się w głowie, sprawiały, że tęsknie spoglądał w stronę leśnego tunelu.

Nagle zaczął śpiewać niewiarygodnie magnetyczny głos, głęboki i potężny.

*Daisy,
Daj mi nadzieję,
O twą odpowiedź proszę
Na twoim punkcie szaleję
Z miłości wszystko zniosę.
Nie będzie to ślub jak z bajki
Nie mam nawet na fajki
Ale do twarzy ci będzie
Na motorze w pełnym pędzie
Kiedy pomkniesz ze mną szosą.*

Max stał jak wryty, kiedy opływały go słowa piosenki. Garnkoryjek siedział teraz sam na stogu siana. Jego krwistoczerwona gardziel była nadęta jak balon, a głowa kiwała się w rytm muzyki. Garnkoryjek śpiewał.

Nolan zrobił dziwną minę i zaczął grać szybciej. Powtórzył melodię, a głos Gamkoryjka ponownie wypełnił przełęcz. Cynthia zaczęła podskakiwać i klaskać jak opętana.

– Och, Nolan – zachwycała się – to cudowne! Nolan, jesteś taki zdolny! Mówię serio. I do tego taki męski!

Po ciele Maxa rozeszła się fala ciepła. Patrzył, jak David z ironicznym uśmiechem podniósł ze stojącego obok krzesła aparat Julie.

Nagle dało się słyszeć chrapliwy warkot. Frigga i Helga, skandynawskie selkie, pełzły do nich ze stawu; po każdym skurczu ich ciał trzęsła się ziemia, a z grubej warstwy sadła unosiła się para. Selkie zatrzymały się z poślizgiem i zaczęły się nawzajem przepychać, zmagając się o miejsce obok przystojnego chłopca z czwartego roku, który obejmował teraz namiętnie rudą koleżankę.

Tweedy popędził jak strzała ze swojego stogu i zaczął zakreślać po śniegu szaleńcze zygzaki, goniąc za cętkowanym zającem, który wcześniej przeżuwał źdźbło siana. Okulary Tweedy'ego spadły na ziemię; Connor zdeptał je, sunąc chwiejnym krokiem, żeby położyć głowę na kolanach Lucii. Ta ostatnia już się obudziła i trzepotała do niego grubymi rzęsami.

Piosenka zaczęła się jeszcze raz. Nolan skrzywił się, kiedy jego palce przebiegały odruchowo po strunach. Cynthia zaczęła klaskać i śpiewać z entuzjazmem znacznie przewyższającym jej talent muzyczny. Frigga warknęła wściekle, przyglądając się rozanielonym nastolatkom z czwartego roku.

– Co ona ma takiego, czego nie ma Frigga?
– Sadła nie ma zimowego, ot co! – warknęła Helga.
– Cicho! – ryknęła Frigga, gwałtownie uderzając siostrę głową.

Maxowi zaczęło mocniej bić serce, trzepotało mu się w piersi jak ćma. Julie wstała i przyglądała mu się ze zdziwioną miną. Kiedy śpiew Garnkoryjka przeszedł w opętańcze wycie, Max podszedł do Julie i wziął ją za rękę.

Ona odpowiedziała lekkim ściśnięciem dłoni; jej nosek był różowy, a oddech pachniał miętą. Max odchrząknął.

– Julie...

Nagle pocałowała go, rzuciła mu się na szyję i prawie go przewróciła. Jej nos na jego policzku był zimny, a Max zrobił się nieważki...

Uderzenia Starego Toma były chłodne i klarowne w zimowym powietrzu. Przerażony Max otworzył oczy; Julie cofnęła się parę kroków, a jej twarz była purpurowa. Gamkoryjek przestał nagle śpiewać i zeskoczył ze snopka. Pan Nolan rzucił skrzypce i smyczek na śnieg, jakby go oparzyły, i zaczął potrząsać zdrętwiałymi dłońmi. Zakłopotany Connor przeproszał Ludę wylewnie, a ona wrzeszczała na niego po włosku. Chłopiec z czwartego roku stał ze zdezorientowaną, przestraszoną miną, podczas gdy Frigga tłumaczyła z werwą:

– To i tak by między nami nie wyszło. Ty człowiek, Frigga selkie.

– I ani mru mru! – warknął Tweedy do Omara, który nie mógł opanować chichotu, usiłując złożyć z kawałków połamane okulary zająca. Tweedy odwrócił się do Nolana, pokazując łapą na Garnkoryjka. – Domagam się usunięcia tego stworzenia z Sanktuarium! To oburzające! Moc tego płaza jest niegodziwa i nieodpowiedzialna! To... to hańba!

Nolan pokręcił głową i podniósł skrzypce ze śniegu, po czym wyczyścił je rękawem. Cynthia podała mu smyczek ze wzrokiem wlepionym w ziemię.

– Bez przesady, Tweedy – uspokoił go Nolan. – Przyznaję, że nie byłem świadomy, że piosenki Garnkoryjka są takie... poruszające... ale to nie jego wina. Tak czy inaczej, jego śpiew tylko usuwa zahamowania; nie skłania was do robienia niczego, czego i tak nie chcieliście zrobić.

Max zerknął na Julie, która unikając jego spojrzenia, zbierała swoje rzeczy.

Tweedy doskoczył do Nolana, a jego wąsiki podrygiwały z niedowierzania i furii.

– Człowieku, jesteś szaleńcem czy może skończonym idiotą? Czyżbyś sugerował, że chciałem się przystawiać do niedomytej, niewykształconej flądry z jakiejś pipidowy? Że to jakieś moje skryte pragnienie?

– No cóż – zażartował Nolan, który machając od niechcienia dłonią, próbował powoli zgasić ognisko – już nie jest takie skryte, prawda, Tweedy? Ale na pewno porozmawiam z panią dyrektor o środkach ostrożności, które należy podjąć w kwestii Garnkoryjka.

Kilkoro uczniów zachichotało, podczas gdy Tweedy stanął na tylnych łapach, nastroszył się i, co mu się nie zdarzało, zaniemówił. W końcu pokicał za Nolanem, który szedł teraz z kilkoma uczniami do tunelu z Sanktuarium. Omar pobiegł za nimi, co jakiś czas parszcząc śmiechem. Lucia zabrała Garnkoryjka z powrotem do Chatki, trzaskając Connorowi drzwiami przed nosem. Max zadrżał na widok tego, co się dzieje, po czym popędził za Julie, która szybkim krokiem szła z

koleżanką.

– Julie, Julie, zaczekaj – wysapał, podbiegając i zrównując się z dziewczynką. – Tak sobie pomyślałem, mogłabyś mi pomóc z pracą domową na strategię...

– Przepraszam – wymamrotała Julia, unikając jego wzroku. – Mam egzamin praktyczny z urządzeń. Muszę pędzić.

Max patrzył, jak obie dziewczynki znikają w tunelu. Westchnął i też poszedł w tamtą stronę, kiedy usłyszał za plecami wrzask Cynthii:

– Odczep się, Connor!

David przyglądał się, jak Connor w zabawny, choć okrutny sposób przedrzeźnia zachwyty Cynthii grą na skrzypcach Nolana. Podskakiwał i klaskał opętańczo, po czym zniechęca złączył dłonie w geście podziwu.

Cynthia była wściekła i wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

– Na twoim miejscu nic bym nie mówiła, Connor! Ty też zrobiłeś z siebie idiotę!

– Akurat – zbył ją Connor. – Chłopaki, pozwolimy Cynthii tak po prostu się z tego wykręcić?

David bez słowa wyciągnął z kieszeni cyfrowy aparat Julii. Przejrzał kilka zdjęć, po czym wybrał jedno i podetknął Connorowi aparat pod nos.

Pogardliwy uśmiezek Connora zniknął. Chłopiec przełknął ślinę i zamrugnął.

– No dobrze – przyznał. – Jesteśmy chyba spóźnieni na kolację, a ja padam z głodu.

Skrzypiąc butami po śniegu, Connor ruszył w stronę tunelu. David schował aparat do kieszeni i poszedł za nim, gwizdząc melodię *Daisy Bell*. Piszcząc z zachwytu, Cynthia wyminęła Maxa.

– Davidzie Menlo! Pokaż mi to zdjęcie!

Podłogę w hallu pokrywały kałuże roztopionego śniegu i porozrzucane buty. Od strony schodów do jadalni dobiegały śmiechy i zapach klopsików. Kiedy czwórka dzieci rzuciła buty w kąt, pani Richter pojawiła się w korytarzu prowadzącym z jej gabinetu. Przyglądała się bałaganowi ze zmarszczonym czołem. Nagle lodowate kałuże wyparowały z posadzki, a buty ustawiły się w parach przy ścianie. Potem uwaga pani dyrektor szybko przeniosła się na uczniów.

– Wasza czwórka pójdzie za mną. Teraz.

Wędrówka do jej gabinetu była krótka. Max szedł w skarpetach, ze wzrokiem utkwionym w podłódze, ignorując Connora, który chciał mu coś powiedzieć. Pani dyrektor otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka.

Max podniósł wzrok. Chciał krzyknąć, ale jego usta tylko otworzyły się i zamknęły, jakby był wyciągniętą z wody złotą rybką.

W gabinecie stał Cooper. Trzymał na uwięzi wieloka.

OKO W OKO Z WIELOKAMI

Przewyższający wzrostem Coopera wielok posłał każdemu z dzieci mroczne, dzikie spojrzenie. Jego pysk był wilgotny, poruszał grubym językiem, a ciężar ciała przenosił z nogi na nogę. Max, Connor i Cynthia stłoczyli się w drzwiach, a David, zobaczywszy wieloka, zemdłał – osunął się na kolana i przewrócił, jakby od niechcenia. Pani Richter westchnęła i schyliła się, żeby podnieść chłopca. Posadziła go na swoim krześle, pogłaskała mu włosy i uniosła brodę.

– Cooper – powiedziała – zabierz to coś z dala od dzieci.

Cooper przytaknął i delikatnie pociągnął za postronek przymocowany do szyi wieloka. W reakcji stworzenie pokazało powykrzywiane żółte zęby, po czym poszło powoli za mężczyzną do obitej na żółto ławki obok oszklonych drzwi. Max zauważył na policzku Coopera cztery ciemne smugi zaschniętej krwi.

– Dlaczego on nie atakuje? – wyszeptała Cynthia.

– Bo Cooper schwytał go w pasywne pęta; nauczycie się je tworzyć na szóstym roku. Bardzo skuteczne na wieloki, choć ciężko im je założyć. Łagodzą ich agresję i zmuszają do posłuszeństwa. To dlatego Wróg nigdy do końca nie polega na wielokach, pomimo korzyści

płynących z ich stosowania.

– Gdzie Cooper go schwytał? – wyszeptał Connor, puszczając ramię Maxa.

– Węszył niedaleko drogi do miasteczka, przebrany za akwizytora – odparła pani dyrektor. – Myślimy, że to on mógł przedostać się do kampusu kilka miesięcy temu. , David ocknął się i usiadł, a Max spostrzegł, że uwaga wieloka przeniosła się z niego na Davida. Pani Richter przeszła od biurka na środek pokoju.

– Choć zdobycz Coopera też się z tym wiąże, to nie jest jedyny powód, dla którego was wezwałam – mówiła dalej. – Jak rozumiem, cała wasza czwórka ma mętlik w głowach po tym, co przeszliście. Straszne opowieści o wielokach, zaginieni kandydaci i niekompetentna pani dyrektor, która naraża was wszystkich na niebezpieczeństwo.

Max nie odezwał się; nie chciał, żeby pan Morrow miał kłopoty. Co więcej, rozpraszał go okropny wielok, który przyglądał mu się z żółtej ławki. Pani dyrektor, jakby wyczuwając jego niepokój, podniosła dłoń i zwróciła się do wieloka rozkazującym tonem.

– Przyjmij swą złudną postać i nie odzywaj się.

Oczy stwora załśniły na czarno, kiedy Cooper naciągał koc na jego nieruchomą postać. Wielok spojrzał na Maxa, a jego krzywy wilczy pysk uśmiechnął się w niepokojąco ludzki sposób. Chłopiec zadrżał, kiedy stwór zaczął dygotać, zmniejszać się i wykrzywiać; jego rysy stopiły się i wyłonił się z nich łysiejący mężczyzna w

średnim wieku z załzawionymi oczami, który siedział teraz nagi pod kocem.

– Odrażające, fałszywe stworzenia – powiedziała pod nosem pani dyrektor. – Teraz możemy się skupić na sprawach bieżących. Pan Morrow to wspaniały człowiek, ale jest bardzo chory. Powiedział o pewnych sprawach, czego zapewne teraz żałuje, przynajmniej powinien. I zresztą nie tylko on. Jestem trochę zawiedziona, że niektórzy z was rozmawiają o sprawach, których poruszania wyraźnie wam zakazano.

Max skulił się pod spojrzeniem pani Richter. Jej mina była poważna, ale nie rozgniewana.

– Teraz, kiedy już poznaliście niektóre fakty, chciałabym coś wyjaśnić. Pierwsze i podstawowe pytanie brzmi: „Czy zaginęły dzieci?”. Dokładnie rzecz biorąc, kandydaci. Odpowiedź, jak Max najwyraźniej podsłuchał, brzmi „tak”. Podejrzewamy, że do tej pory czterdzieścioro dwoje dzieci zostało zlokalizowanych i porwanych przez Wroga niedługo po tym, jak do nich dotarliśmy. Mickey Lees to szczególny przypadek, to jedyne dziecko przechwycone przez Wroga po zdaniu testów. Jednak pomimo tego, co usłyszeliście – ciągnęła pani Richter, podchodząc do wielkiej zabytkowej mapy świata – nie siedzimy beczynn timer.

Pani dyrektor położyła dłoń na skanerze i zabytkowa mapa wsunęła się bezgłośnie w ścianę obok. Pojawiła się cyfrowa mapa świata, na której rozsiane były różnokolorowe kody numeryczne. Max zauważył, że

większość była skupiona w Nowej Anglii, północnej Afryce i Europie Wschodniej.

– Każda z tych liczb reprezentuje inną misję z udziałem naszych wysłanników. Jako dyrektor Rowan jestem wtajemniczona we wszystkie te projekty. Obecnie w toku jest trzysta dwanaście misji nieujawnionych, w różnym stadium zaawansowania. Czterdzieści dwie z tych misji dotyczą zaginionych kandydatów – jedna na każde dziecko. Sprowadziliśmy nieaktywnych agentów klasy mistrzowskiej, zwołaliśmy zebranie Rady Jasnowidzów i rozpoczęliśmy serię operacji Ciemna Materia... to znaczy ściśle tajnych, związanych z obecną sytuacją. Pan Morrow, który reprezentuje tylko jeden głos spośród wielu, jest poirytowany, gdyż nie ma dostępu do wszystkich informacji. Niepełne dane prowadzą do niepełnych wniosków. Jestem gotowa znosić niezadowolenie malkontentów, gdyż muszę dbać o poufność pewnych informacji i inicjatyw. Taka jest ponura konieczność tych czasów.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do gabinetu drobnymi kroczkami weszła Mamuśka z kunsztowną srebrną zastawą do kawy. Wiedźma wzdrygnęła się na widok Davida i ominęła go szerokim łukiem, unikając jego wzroku.

– Znowu siedzimy do późna, pani dyrektor? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Tak, Mamuśko – powiedziała z uśmiechem pani Richter. – Dziękuję, że mi to przyniosłaś.

– Cała przyjemność po mojej stronie, słonko – kokietowała Mamuśka. – Przepraszam za spóźnienie, ale Bob zostawił mnie w kuchni samą. Dałam sobie radę, jak zwykle – westchnęła – ale być może powinniśmy go zwolnić...

– Dobrze, Mamuśko – powiedziała cierpliwie pani Richter. – Porozmawiam z Bobem. A jak będziesz teraz wychodzić, zamknij za sobą drzwi.

Mamuśka ukłoniła się, a potem nagle zamarła i zaczęła wachać powietrze ze zdziwioną miną. Spojrzała na wieloka na ławce i popatrzyła na panią Richter przerażona. Zasłaniając sobie dłońmi usta, wyszeptała tak, żeby usłyszeli to wszyscy w pokoju:

– Pani dyrektor – syknęła. – W kącie jest W-I-E-L-O-K!

Wskazała głową wieloka, po czym posłała pani dyrektor znaczące spojrzenie.

– Tak, Mamuśko, jesteśmy świadomi obecności wieloka – odparła pani dyrektor, nalewając sobie filiżankę kawy.

– Czy chce pani, żebym go zjadła? To żaden kłopot! – zaproponowała Mamuśka z nutą nadziei w głosie.

– To miło z twojej strony, ale dziękuję – przynajmniej na razie. A teraz, jeżeli mogę cię prosić, Mamuśko...

Podrzucając z oburzeniem rzadką grzywkę, Mamuśka odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do wyjścia. Zatrzymała się w drzwiach, jeszcze raz odwróciła i

wyszczерzyła się do wieloka, odsłaniając rzędy gładkich, krokodylich zębów. Znienacka zachichotała, trzasnęła drzwiami i już jej nie było.

Wielok miał nietęgą minę.

– Pani Richter – zapytała Cynthia – czy naprawdę chce pani dać wieloka Mamuśce na pożarcie?

– Bynajmniej – odparła pani dyrektor, kręcąc głową.
– Mamuśka za bardzo utyla, a wieloki są olbrzymie. A teraz wróćmy do naszych spraw.

Sącząc kawę, pani Richter podeszła do elektronicznej mapy. Szybkim dotknięciem ekranu przybliżyła satelitarny obraz dużego miasta.

– Z radością mogę donieść, że poczyniliśmy postępy. Dziewięć różnych misji niezależnie od siebie dotarło do Istambułu w Turcji. Od dawna podejrzewaliśmy istnienie głęboko pod Pałacem Topkapi sieci komnat, które zostały wydrążone dawno temu przez Wroga. Wielu naszych agentów jest zdania, że mogą tam być kandydaci. Inne zespoły podejrzewają pewne miejsce na Węgrzech.

– To dlaczego po prostu tam nie wejdą i ich nie uwolnią? – zapytał Connor.

– Chciałabym, żeby to było taki proste – odparła pani dyrektor. – Czy któreś z was widzi, dlaczego to nie jest najlepsze posunięcie?

– No cóż – zaczęła Cynthia – jeżeli to jest pałac, to kręci się tam pewnie mnóstwo ludzi. Turystów i innych. Mogłaby im się stać krzywda i trudno by jakoś wytłumaczyć obecność tylu agentów i wieloków.

Pani dyrektor uśmiechnęła się i przytaknęła, patrząc po twarzach i czekając na kolejne odpowiedzi.

– Powiedziała pani, że podziemne komnaty są tajne, albo przynajmniej mają być – dodał nagle Max. – Jeżeli tak jest, to powinno się wysłać kogoś na przeszpiegi. Nawet jeżeli nie ma tam kandydatów, Wróg może wykorzystywać to miejsce do innych ważnych celów. Gdyby tak było, to nie chciałbym, żeby wiedzieli, że ich wykryto. Poczekałbym na właściwą chwilę.

Pani Richter podniosła brwi i zwróciła się do Maxa.

– Muszę poinformować pana Watanabe, że nie docenił cię na strategii – powiedziała. – Jakies inne sugestie?

– To może być pułapka – wymamrotał David, który zerknął na mapę, po czym spojrzał pani Richter w oczy.

– Zgadza się – odparła pani Richter, przyglądając się przez chwilę twarzy Davida. – Gratuluję wszystkim pomysłów.

Max zarumienił się z dumy; pani Richter słynęła z tego, że trudno było zasłużyć na jej pochwałę. Spojrzała na zegarek i zmarszczyła czoło.

– Chciałabym porozmawiać na osobności z Davidem i Maxem. Cynthia, ty i Connor możecie już iść. Mam nadzieję, że nasza pogawędka uświadomiła wam, że podjęliśmy wiele działań, żeby rozwiązać ten problem. I żebyście nie myśleli, że tylko wy jesteście w posiadaniu tych wielkich tajemnic, wszystko to zostanie ogłoszone reszcie uczniów. Teraz radziłabym popędzić do kuchni i

zobaczyć, czy zostało jeszcze coś do jedzenia.

Connor zerknął z zaciekawiony na Maxa i Davida, po czym wraz z Cynthią poszedł do wyjścia.

– Cooper, ty też możesz już iść – powiedziała pani dyrektor. – Przypilnuj, żeby ktoś opatrzył ci to zadrapanie. Nie potrzeba nam żadnych powikłań.

Cooper przytaknął i otworzył drzwi na werandę, która wychodziła na sad. Zamknąwszy za sobą cicho drzwi, Cooper poprowadził wieloka w noc. Pani Richter znowu zwróciła się do Maxa i Davida.

– Poprosiłam, żebyście zostali, bo chciałabym się dowiedzieć, dlaczego z naszych bibliotek zniknęło kilkadziesiąt książek o historii sztuki i para zakazanych ksiąg czarów.

David zrobił wielkie oczy i zerknął na Maxa, ale ten tylko zwiesił głowę, pewien, że czeka ich niechybne wydalenie ze szkoły.

– Cooper był pod wrażeniem twojego zniknięcia – powiedziała pani dyrektor z uśmiechem. – W Rowan już od pewnego czasu krążyły plotki o tylnym wejściu do archiwum.

– Przepraszam, pani Richter – powiedział David. – Byłem ciekawy. Dziś wieczorem zwrócę książki.

Pani Richter pokręciła głową.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił, David – powiedziała. – O ile mi wiadomo, jesteś jedyną osobą w kampusie, która może bezpiecznie korzystać z ksiąg czarów. W związku z tym nie chcę wymyślać dla ciebie

kary, interesuje mnie tylko, czego się dowiedziałeś. Czy mógłbyś podzielić się z nami swoimi spostrzeżeniami?

David wstał.

– Astaroth nigdy nie został zniszczony – powiedział nagle. – To wyczytałem z gwiazd w pokoju.

Max był zadziwiony zmianą w zachowaniu swojego kolegi. W spuszczonego wzroku Davida zaśniły iskierki energii i pojawiła się w nim intensywność typowa dla osoby, która nieustannie zbiera i analizuje informacje. Pani Richter nie odezwała się, tylko dała Davidowi znak, żeby mówił dalej.

– Wiedziałem, że Astaroth żyje – ciągnął chłopiec. – Wszystko wskazywało na to, że został w jakiś sposób uwięziony. Najpierw myślałem, że obrazy mogą zawierać wskazówkę na temat miejsca jego uwięzienia... ale księgi czarów powiedziały mi co innego.

Pani Richter wypła łyk kawy i słuchała uważnie.

– Ponieważ Astaroth był tak potężny, byłem ciekawy, jak można go było uwięzić – wyjaśnił David, chodząc po pokoju. – Wyobrażałem sobie jakąś górę albo coś olbrzymiego. Odpowiedź brzmiała wprost przeciwnie. Splecione ze sobą zaklęcia Starej Magii uwięziły go w czymś małym i cennym, w obrazie.

– Dlaczego w obrazie? – zapytała pani dyrektor.

David pokiwał głową.

– Też zadałem sobie to pytanie. To nie był przypadek. Obrazy to idealne więzienie dla czegoś takiego; tajne symbole i strażników można umieścić w materiale,

wizerunku, kompozycji, wszędzie...

– Czy wiesz, w którym obrazie jest ukryty Astaroth?
– zapytała dobitnie pani Richter.

– Nie – odparł David, kręcąc głową.

– Na pewno? – Pani dyrektor pochyliła się i uniosła brwi.

David spróbował spojrzeć jej w oczy, ale odwrócił wzrok i zaczął kaszleć. Max był zaskoczony, że jego kolega, zwykle tak potulny, nie jest bardziej skłonny do współpracy.

– Nie wiem, czy powinienem mówić – odparł cicho David, kiedy atak kaszlu się skończył. – No bo jest pani w końcu dyrektorem... Dlaczego właściwie pani tego nie wie? Może nikt nie powinien tego wiedzieć? Może chcieli, żeby Astaroth zniknął w więzieniu, którego istnienia nikt nie podejrzewa, którego nie można znaleźć ani się do niego włamać?

– Zgoda – przyznała pani Richter. – Tak naprawdę nasi wykładowcy już od dawna podejrzewali, że Astaroth jest uwięziony w obrazie, ale nie wydaje mi się, żeby którykolwiek dyrektor znał szczegóły. Jednak w świetle tego, co mi powiedziałaś, te czasy odeszły właśnie w przeszłość. Musimy się dowiedzieć, w którym obrazie jest Astaroth i czy Wróg już go zdobył.

David odchrząknął.

– Nie wiem dokładnie, w którym obrazie, ale mam pewne przeczucie... – powiedział.

Pani Richter zerknęła na drzwi na werandę i

machnięciem dłoni zaciągnęła zasłony. David znowu zaczął chodzić wokół krzesła.

– Przede wszystkim obraz ten ukończono mniej więcej w tym czasie, kiedy Astaroth został pokonany. Wtedy był słaby, a my mieliśmy za sprzymierzeńców Tuatha De Danann. Posiadali oni Starą Magię niezbędną do zaklęć wiążących. Wiem, że Wróg zabiera też współczesne obrazy, ale to tylko przykrywka mająca utrudnić zorientowanie się, kto i po co kradnie dzieła sztuki.

– Jesteś pewien? – zapytała pani Richter.

– Tak. Astaroth jest zbyt potężny, żeby dał się zatrzymać w czymś przejściowym albo żeby przechodzić między miejscami, w których jest uwięziony. To byłoby zbyt ryzykowne.

Pani Richter przytaknęła, mieszając kawę i uważnie przyglądając się Davidowi, który mówił dalej.

– Wydaje mi się też, że to obraz sławnego malarza. Wróg może myśleć, że więzienie Astarotha będzie ukryte. Sławne obrazy można bez problemu zobaczyć, ale nie zmieniają często właścicieli i są bardzo dobrze strzeżone.

– Jacyś konkretni malarze? – zapytała pani Richter.

– Rembrandt i Vermeer – odparł David.

– Dlaczego akurat oni?

David wzruszył ramionami.

– Ramy czasowe pasują i inni mieli dostęp do ich obrazów, kiedy powstawały – wyjaśnił David. – Nie wydaje mi się, żeby któryś z malarzy wiedział, do czego

posłużyło jego dzieło. Ktoś z naszych – ich uczeń albo ktoś, kto miał dostęp – mógł odegrać kluczową rolę. W dokumentach w archiwum nie znalazłem niczego, co mogłoby wskazywać, że Rembrandt albo Vermeer byli jednymi z nas. Osobiście myślę, że to obraz Rembrandta, ale to może być dowolny z tych czterech.

David wstał, wziął pióro z biurka pani dyrektor i napisał coś na leżącej na stosie obok kartce. Pani Richter wzięła kartkę i przebiegła po niej wzrokiem.

– Na szczęście żaden z nich nie został skradziony – dodał David.

Kiedy pani dyrektor podniosła kartkę, Max chciał odczytać tytuły pod światło, ale było zbyt ciemno, żeby mógł coś zobaczyć. Pani Richter spojrzała na niego, jakby właśnie uświadomiła sobie, że jeszcze tu jest.

– Dziękuję, David – powiedziała, kładąc kartkę na biurku zapisaną stroną do dołu. Pokazała chłopcu, żeby z powrotem usiadł. Otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej teczkę, którą Max już kiedyś widział. Serce zaczęło mu szybciej bić.

– A teraz w kwestii pana McDanielsa – powiedziała, wyjmując z teczki lśniące zdjęcie i odwracając je w jego stronę. Max zamrugął na widok wściekłego spojrzenia Ronina. – Czy możesz wytłumaczyć, dlaczego nadal nie podzieliłeś się z nami informacją, że odbyłeś z tym mężczyzną rozmowę w kampusie?

Ronin nie odezwał się do Maxa od Halloween. Chłopiec założył, że upłynęło wystarczająco dużo czasu,

żeby uznać, że Cooper zignorował swoje podejrzenia albo o nich nie doniósł.

– Przepraszam – powiedział cicho Max. – Myślałem...

Przerwała mu spokojnym, opanowanym głosem.

– Postanowiłeś zachować to w tajemnicy pomimo moich ostrzeżeń, że mężczyzna ten jest niebezpieczny. Postanowiłeś zachować to dla siebie, mimo że parę tygodni temu do kampusu przedostały się wieloki.

– Czy on jest wielokiem? – zapytał przerażony Max.

Pani Richter wstała i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i przyglądała się płatkom śniegu unoszącym się niczym ćmy w świetle lamp.

– Nie, Max, to nie wielok. Jednak twoje pierwsze wrażenie było trafne – on jest niebezpieczny. Przykro mi to mówić, ale to absolwent Rowan. Wyjątkowo zdolny człowiek i bardzo zagubiony. Kilka lat temu został usunięty z naszej społeczności. Nazywa się Peter Varga.

– Ale on chciał mnie uratować w Chicago i na lotnisku – powiedział zdezorientowany Max. – I rzeczywiście mnie uratował. Dlaczego został usunięty? Co takiego zrobił?

Odpowiedź pani dyrektor była krótka i zamykała temat:

– Zaczął się zadawać z niewłaściwymi ludźmi. – Sylwetka pani Richter odcinała się na tle wirującego śniegu i matowej szyby. – Idź i zjedz coś na kolację, Max. Masz więcej nie rozmawiać z panem Vargą i nic nikomu

nie mówić o odkryciu Davida. Podkreślałam, że to nie są zwykłe prośby wobec ucznia; to są rozkazy wydane przez dyrektora Rowan. Czy muszę ci wyjaśniać różnicę?

– Nie, pani dyrektor – powiedział Max, czując, że się czerwieni.

– To dobrze – powiedziała pani Richter łagodniejszym głosem.

– Zjedz coś i idź spać. David, chciałabym, żebyś jeszcze chwilę został. Dobranoc, Max.

Max wyszedł z gabinetu najszybciej, jak potrafił, ominął kilkoro uczniów i popędził do jadalni, gdzie Bob odłożył dla niego posiłek.

Następne tygodnie były dla dzieci w Rowan pełne wrażeń. Opiekunowie przekazali swoim uczniom najświeższe informacje. Wieści o zaginionych kandydatach były szokiem, podobnie jak rozdanie uczniom zegarków bezpieczeństwa. Zegarki te były cienkie i srebrne i miały cyfrowy wyświetlacz, który należało mocno nacisnąć, kiedy było się w niebezpieczeństwie. Choć w następstwie tych wydarzeń uczniowie poczuli dreszczyk emocji, prawdziwym wstrząsem i źródłem plotek było przyprowadzenie pewnego wieczoru przez Coopera do jadalni zgarbionego, powłóczącego nogami wieloka.

– Kręci się ich coraz więcej – oznajmił Cooper przerażonym uczniom. – Tego złapaliśmy, kiedy węszył przy bramie, więc pani dyrektor uznała, że najlepiej

będzie, jeżeli zobaczycie go teraz, w niewoli. Niektórzy z was mogą myśleć, że dowiedzieli się o wielokach wszystkiego z książek. Byłem tego samego zdania, dopóki nie spotkałem jednego z nich w Oslo...

Następnie Cooper dał bardzo praktyczny i szczegółowy wykład, jak rozpoznać wieloka i sobie z nim poradzić. Zdaniem agenta wieloki nie grały fair. Ich zadaniem było pochwycić ucznia znienacka, najpierw wzbudziwszy jego zaufanie. Kluczową sprawą było jak najszybsze rozpoznanie – prawdopodobieństwo ataku wieloka było mniejsze, jeżeli wiedział on, że został zdemaskowany. W ludzkiej postaci wielokom często łzawiły oczy, a ich mowa była niejasna i pokrętna.

– Wieloki mają się za bystre stworzenia – prychnął Cooper. – Podczas rozmowy wielok będzie używał złowieszczych słów i brutalnych metafor, będzie się bawił ze swoją zdobyczą. Musicie odwrócić role. Zadajcie mu zagadkę. Wieloki uwielbiają zagadki. To prawie na pewno odwróci jego uwagę, bo będzie próbował ją rozwiązać. Idealne są paradoksy: powiedzcie, że staracie się o pracę, która wymaga doświadczenia, ale nie zdobędziecie doświadczenia bez pracy. Takie coś doprowadza je do szału. Jest jak zacięta płyta w ich głowach. Próbując zdemaskować wieloka, nie polegajcie wyłącznie na intuicji – ostrzegł Cooper. – Wiem, że istnieje taka pokusa, ale może to być groźne. Niektóre osoby potrafią wykryć wieloka w ułamku sekundy; coś w tych stworzeniach wywołuje reakcje pamięci genetycznej tych

osób i wyczuwają one obecność drapieżnika. Niektórzy jednak nie mają takiego szczęścia. Bądźcie czujni i pamiętajcie, żeby zwracać uwagę na oczy i mowę. Oprócz tego pamiętajcie, że wieloki prawie zawsze działają w parach, więc po zauważeniu wieloka uważajcie na drugiego. Zawsze! Ten, którego widzicie, być może tylko odwraca waszą uwagę. Jeżeli ich zęby albo pazury przebiją wam skórę, macie siedemdziesiąt dwie godziny, żeby zdobyć odtrutkę albo grozi wam zakażenie.

Jason Barrett z bardzo poważną miną zapytał Coopera, jak najlepiej walczyć z wielokiem.

– To zależy od was i waszych predyspozycji – wyjaśnił agent. – Myślę, że dobrze się z nimi walczy nożem, choć to zbyt niebezpieczne dla uczniów. Trudno je podpalić, ale nie radzą sobie z jaskrawym światłem i przenikliwym zimnem. Są szybkie, ale nie na tyle, żeby was dogonić, jeżeli potraficie wzmacniać ciało. Jest wiele sposobów radzenia sobie z wielokami. Musicie się zorientować, który wam odpowiada.

– Ale jak mamy się zorientować? – zapytał zaniepokojony chłopiec z trzeciego roku.

– Na Trasie – syknął Cooper. – Zgodnie z moim zaleceniem wieloki zaczną się pojawiać losowo w waszych scenariuszach treningowych. I to od zaraz.

NIEOCZEKIWANI GOŚCIE

Po wieczornym pokazie Coopera liczba użytkowników Trasy gwałtownie zmaląła. Max niechętnie chodził na treningi, choć nie natknął się jeszcze na żadnego wieloka. Na każdym kroku napotykał za to drwiny innych uczniów, kiedy po kampusie rozeszły się opowieści o śpiewach Garnkoryjka.

Julie starała się go teraz za wszelką cenę unikać. Kiedy na siebie wpadali, mamrotała: „Cześć”, i szybko odchodziła, zwykle w otoczeniu ochronnej gromady koleżanek. Walentynkowa kolacja i tańce odbyły się bez Maxa. Jedynym pocieszeniem było to, że Mamuśka podobno przez cały wieczór prześladowała Connora, upierając się, że jest jej winien randkę za Halloween.

Max przestał jednak myśleć o Julie, kiedy biegł z Rolfem i Sarą zabłoconą ścieżką do Kuźni. Była połowa marca i wiał rześki, wilgotny wiatr, podczas gdy szkoła otrząsała się z resztek zimy. Na gałęziach pojawiły się małe pąki, z gleby wyglądały źdźbła trawy, a niebo roiło się od nadciągających od oceanu konwojów różowawych chmur. Trójka dzieci przyspieszyła kroku, kiedy Stary Tom wybił piątą.

Ich grupa podejmowała się w zespołach trudniejszych scenariuszy, a ta trójka miała zamiar skończyć jeden z

nich przed kolacją. Troje innych pierwszaków ustanowiło właśnie rekord, trzydzieści jeden punktów, w scenariuszu poziomym trzeciego, w którym trzeba było znaleźć i schwytać złotą łąnię. Dla utrudnienia w scenariuszu byli również wrogowie: grupa złośliwych przeszkoduchów, które atakowały gromadą i przyczepiały się do nóg ofiary, aż ta się przewracała, po czym pętały ją korzeniami drzew.

Sara wstukała kod i weszli do budynku. Chwilę później Max poczuł znajomy niepokój przed rozpoczęciem scenariusza, a drzwi windy rozsunęły się, ukazując granitowe ściany pokoju z nagrodami Trasy. Sara zaczęła trajkotać jak karabin maszynowy.

– Nie zapominajcie: komunikacja to podstawa – powiedziała. – Naszym celem jest wykorzystać błyski słońca i przepłoszyć łąnię na główną polankę, gdzie będziemy mogli ją złapać. Rolf, będziesz czatował na polanie, żebyśmy kogoś tam mieli; oprócz tego jesteś najlepszy z hipnozy. Max, czy potrafisz wzmocnić ciało na zawołanie?

– Nie – odparł chłopiec. – Ale idzie mi coraz lepiej. Chodzę na lekcje do panny Boon.

– Mógłbyś spróbować w tym scenariuszu? To chyba najlepsza metoda, żeby ją schwytać.

Max przytaknął, ale czuł się nieswojo. Niekiedy bał się, że jego ciało nie poradzi sobie z energią wytwarzaną podczas wzmacniania. Inni też się tego obawiali. Panna Boon często trzymała się podczas ich lekcji z daleka,

wydając Maxowi polecenia z drugiego końca sali.

Kiedy czekali na windę, Max podszedł do zawieszanej w jednej z gablot ciężkiej rękawicy z drucianej siatki. Rękawica była olbrzymia, wykonana na dłoń dwa razy większą od dłoni Maxa. Metalowe kółka były powyginane i pozgniatane. To była Rękawica Beowulfa, a obok niej wypisano nazwiska uczniów, którzy wykazali się szczególną odwagą. Max przebiegł wzrokiem listę, zastanawiając się, jakich czynów dokonali uczniowie, żeby zasłużyć na tę nagrodę. Wyciągając szyję, prawie przewrócił się z wrażenia. Na górze było wypisane zamaszystym krojem: „Peter Varga”.

Max zamrugał. Według pani Richter to było prawdziwe imię i nazwisko Ronina.

Sara syknęła:

– Max, chodź! Jest winda!

Na trzecim poziomie ściany były wyłożone szylkretem, a zawijasy tworzyły złudzenie głębi kontrastujące z płaskimi srebrnymi drzwiami. Sara podeszła do trzecich drzwi i wystukała na klawiaturze kod.

– Wszyscy gotowi? – zapytała, przytupując z emocji. Przekręciła gałkę i weszli do innego świata.

Max natychmiast zwrócił uwagę na nowe zapachy; polerowane drewno i metal zostały zastąpione przez mech, ziemię i sosny. Wzrok chłopca szybko przyzwyczał się do światła. Max rozejrzał się po ciemniejszym niebie i ocenił wielkość łąki z wysoką

trawą, którą okalały leśne zarośla. Przez prześwity pomiędzy położonymi na zachód drzewami wpadało pomarańczowe światło ostatnich promieni słońca. Jego wzrok wychwycił jakiś ruch; jelenie skubały trawę na łące, nie było tam jednak widać tego błysku złota, który sygnalizowałby obecność ich celu.

– Rolf, zajmij pozycję przy tych krzakach na środku – poleciła pilnym tonem Sara. – Nie wychylaj się i wybierz drogę z wiatrem od jeleni. Max i ja rozdzielimy się i okrążymy las z obu stron. Pamiętajcie, co mówił pan Watanabe: powoli i spokojnie. Mamy największe szanse za pierwszym podejściem, więc nie zmarnujcie okazji!

Max przytaknął i przemknął się do lasu, trzymając się tropu i omijając gałązki i gałęzie. Poruszał się szybko; słońce zachodziło, a jego światło przydawało się, żeby zauważyć złote futro ich celu. Powietrze było rześkie, ale czoło Maxa pokryło się potem, kiedy chłopiec obserwował las, wypatrując lśniących oczu przeszkoduchów. Co jakiś czas zatrzymywał się, żeby nasłuchiwać, słyszał jednak tylko bicie swojego serca i brzęczenie komarów.

Nagle nad lasem po drugiej stronie polany wybuchła niczym fajerwerk fontanna czerwonych iskier – Sara była w tarapatkach! Max wyskoczył z lasu i pognał przez polanę. Jelenie rozpierzchły się. Rolf podniósł się ze swojej kryjówki.

– Schowaj się! – syknął Max, kiedy go mijał pędem, a jego ciało zaczynało wzmacniać. Chwilę później dotarł

na drugą stronę, przeskoczył nad niskimi krzakami i wpadł do ciemnego lasu.

Trzy paskudne żółtawozielone stworzenia z mchem zamiast włosów i żółtymi kocimi oczami uczepliły się nóg Sary jak uparte szkraby, a czwarty złapał ją za rękę. Przeszkoduchy. Max z niepokojem zauważył, że kolejna piątka schwyciła korzeń drzewa i ciągnęła go jak wąż strażacki, żeby ją spętać.

– Solas! – krzyknął, zwijając dłoń w pięść, i las rozświetlił jaskrawy błysk. Przeszkoduchy wrzasnęły i zasłoniły oczy, co pozwoliło Sarze odrzucić jednego na bok i zabrać się za zdejmowanie innych z nóg.

Max odskoczył, kiedy zawodzący przeszkoduch natarł na niego. Chłopiec złapał go za małą rękę i cisnął nim w niosących korzeń. Stworzenia przewróciły się na bok, puszczając korzeń, który natychmiast znowu stał się sztywny.

Sara wytworzyła wokół siebie niski pierścień czerwonych płomieni. Krążyło wokół niego kilka spoglądających na nią wilkiem przeszkoduchów, które przeklinały piskliwymi, trajkoczącymi głosikami. Jeden z nich spróbował z okrzykiem przeskoczyć nad płomieniami, co skończyło się tym, że zapalił sobie przepaskę na biodrach. Upadł na ziemię, a kilku innych rzuciło się, żeby stłumić płomienie.

Kątem oka Max dostrzegł złoty błysk. Przyglądając się zająci, z ciekawie przekrzywioną delikatną główką, stała złota łania.

– Sara! Na ścieżce! – syknął. – To ona!

Sara szybko odwróciła głowę, tuż po tym jak wzniosła płomień, żeby przypiec przeszkoducha, który podchodził ją od tyłu.

– Łap ją, Max! – wysapała. – Ja sobie poradzę. Biegnij!

Jakby wyczuwając, co się święci, łania machnęła ogonkiem i pognała dróżką. Max wykonał drapieżny skok i popędził za nią, a jego stopy rozrzucały kawałki kory i ziemi. Przyspieszył i nie zwracał uwagi na gałęzie, które smagały go po twarzy, ale złota łania zawsze w ostatniej chwili odskakiwała i dalej mknęła ścieżką.

„Tak nigdy jej nie złapię – pomyślał Max. – To musi być założenie scenariusza. Sama szybkość nie wystarczy. Łania trzyma się ścieżki, czyli ja muszę z niej zboczyć!”.

Skręcił w lewo i wybiegł sprintem na łąkę, wybierając najlepszy kąt, żeby przemierzyć polanę i podejść łanię. Biegł szybko, pochylony, wykorzystując warunki terenu, żeby się schować. Potem zwolnił, przeczołgał się przez zarośla i znalazł się z powrotem w lesie. Uśmiechnął się na dźwięk dobiegającego ze ścieżki miękkiego, głuchego odgłosu stąpania. Rozejrzał się, szukając kryjówki, po czym skoczył trzy metry wzwyż na zwisający nad ścieżką gruby konar. Chwilę później siedział przycupnięty nad dróżką jak przyczajony wielki kot.

Zbliżające się kroki zwolniły; coś poruszało się teraz bardzo ostrożnie. Max oddychał bezgłośnie i otarł pot z

oczu. Wyteńczył wzrok i zobaczył wyłaniający się z cienia kształt, który poruszał się powoli i był zdecydowanie zbyt duży, by mogła to być łania. Max zirytował się, przekonany, że to Rolf opuścił swoje stanowisko. Jednak irytacja przeszła w paskudny lęk, kiedy postać zbliżyła się i stanęła na leśnym poszyciu pod chłopcem.

To uszy wywołały pierwszą falę przerażenia.

Wielok miał uszy wilka, tylko dłuższe, i strzygł nimi czujnie, kiedy nagle zmienił chód i stanął na tylnych łapach. Zrobił szybko krok w prawo i przykucnął, żeby zbadać czeluść pogrążonych w mroku zarośli. Potem zamarł. Niuchał w powietrzu, po czym odwrócił wielką głowę w stronę Maxa. Chłopiec wstrzymał dech, walcząc ze sobą, żeby nie krzyknąć, kiedy wielok oderwał się od zarośli i zaczął podchodzić do drzewa Maxa.

Był olbrzymi – ponad dwa i pół metra twardych mięśni, zmierzwionego futra i ścięgien. Podszedł jeszcze bliżej. Czubek jego szaroczarnej głowy był o metr od Maxa, kiedy stwór zatrzymał się przy pniu drzewa. Miał pochyloną głowę; jego sapanie było chrapliwe i szybkie. Nagle odezwał się głosem kobiety, a jego ton był spokojny, choć była w nim zadziorna nuta.

– Masz go, skarbie?

– Tak, skarbie – wyszeptał ktoś za plecami Maxa. Chłopiec odwrócił głowę i zobaczył pożądliwą minę i obnażone kły drugiego wieloka kilkanaście centymetrów od swojej twarzy.

Max wrzasnął i puścił gałąź. Zaczął na oślep młócić

rękami i kopać, szykując się na szarpiące pazury i rozrywające ciało zęby.

Nic się nie stało. Max jęknął, otworzył oczy i zobaczył, że leży na gładkiej, białej podłodze przestronnej sali treningowej. Rolf i Sara przyglądali mu się przestraszeni i zatroskani.

– Co się stało? – zapytał Rolf. – Czy coś się popsuło?

– Nie wiem – wyszeptała Sara. – Max, złapałeś łanię?

Max pokręcił głową; jego pierś unosiła się gwałtownie i był zlany potem. Wziął długi, nierówny oddech.

– W tym scenariuszu były wieloki... – powiedział.

Zanim Max zdążył dokończyć zdanie, drzwi do sali otworzyły się. Stał w nich Nigel Bristow, zdyszany i podekscytowany.

– Mamy nieoczekiwanych gości, Max – oznajmił rzeczowo. – Twój ojciec stoi przy bramie z niejakim panem Lukensem. Zbieraj rzeczy i chodź szybko.

Kiedy jechali windą na górę, Nigel posłał Maxowi szczere spojrzenie.

– Max, wiedziałeś, że ojciec zamierza cię odwiedzić? – zapytał.

– Nie – wyszeptał chłopiec, jednocześnie podekscytowany i przerażony wiadomością. Widząc minę Nigela, szybko dodał: – Przysięgam, że nie wiedziałem, Nigel! Wspominał w ostatnim liście, że ma dla mnie niespodziankę na urodziny, ale myślałem, że chodzi tylko o prezent.

Klin jest ten pan Lukens?

To szef mojego ojca – odparł Max. – Jest właścicielem agencji, w której pracuje tata. Boże, Nigel, co my teraz zrobimy? Znam mojego ojca, będzie chciał zobaczyć mój pokój, spotkać kolegów... wszystko!

Nigel położył mu w uspokajającym geście dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, chłopcze. To prawda, że nas zaskoczył, ale to nie jest bynajmniej pierwszy nieoczekiwany gość, który do nas przyjechał. Potrafimy stwarzać pozory – wyjaśnił Nigel, wyprowadzając Maxa szybkim krokiem z Kuźni. – Przy bramie twój ojciec i pan Lukens dostali specjalne plakietki gości, które przefiltrują ich sposób patrzenia. Zamiast znanego ci Rowan zobaczą tylko elitarną prywatną szkołkę. Zaufaj mi, te plakietki są cudowne.

– Skoro tak twierdzisz – odparł Max. Nagle to do niego dotarło: tata przyjechał! Ojciec, którego nie widział od ponad sześciu miesięcy, był tutaj i Max go za chwilę zobaczy.

Na twarzy Nigela pojawił się przebiegły uśmiech. Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie i podrapał po brodzie, jakby zastanawiając się nad trudnym pytaniem.

– Tak przy okazji, ile twoim zdaniem dostałbyś punktów za tamten scenariusz?

Max przewrócił oczami i zaczął biec truchtem, wołając przez ramię:

– Nie wiem... sześć, może siedem...

– Hm. A ile dostałyby wieloki? – zapytał Nigel, chichocząc. – Osiemdziesiąt? Może nawet dziewięćdziesiąt? Zawsze uważaj na drugiego wieloka! Zawsze!

– Wiem, wiem – zamruczał Max. – Teraz już nigdy nie zapomnę. To do zobaczenia! – Wysforował się przed Nigela, zmierzając ku Domostwu, którego okna świeciły jasno i radośnie.

Kiedy otworzył drzwi, zobaczył w hallu olbrzymią sylwetkę swojego ojca, w oliwkowym trenczu. Pan McDaniels gestykulował zawzięcie, tłumacząc coś panu Lukensowi, elegancko ubranemu w ciepły płaszcz i filcowy kapelusz. Na szyjach obu mężczyzn wisały białe plakietki na cienkich sznurkach. Na podłodze stało duże, ładnie opakowane pudło. Kiedy Max wszedł do środka, pan McDaniels urwał w połowie zdania.

– Oto i on! – wykrzyknął, a jego niebieskie oczy zaśniły. – To mój syn! Niespodzianka!

– Tato! – wykrzyknął Max, gwałtownie podniesiony piętnaście centymetrów nad podłogę.

– Ech, robisz się za duży i za ciężki, żeby stary ojciec cię podnosił! Bob, czy mi się zdaje, czy Max urósł od sierpnia piętnaście centymetrów?

– Przynajmniej trzydzieści – powiedział pan Lukens, uchylając na powitanie kapelusza. – Miło cię widzieć, Max. Wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Twój ojciec był tak miły, że pozwolił mi ze sobą przyjechać po naszym spotkaniu z klientem w

Bostonie. Szukanie tego miejsca było ciekawym doświadczeniem. Przysięgłbym, że nie ma go na mapie, dopiero twój tata je w końcu wyśledził! Chyba się starzeję! – zachichotał i wyciągnął z płaszcza cienkie czarne pudełko.

– Dzień dobry, panie Lukens – powiedział Max, podchodząc, żeby uścisnąć jego dłoń i przyjąć podarunek. – Miło mi pana widzieć. Dziękuję za prezent.

– O, to nic takiego – powiedział pan Lukens i machnął dłonią. – Mam nadzieję, że ci się spodoba. Jest nieco osobisty, więc może powinienes go rozpakować, kiedy będziesz sam.

Max przytaknął i wsunął pudełeczko do kieszeni.

– Tak naprawdę podziękowania należą się panu Lukensowi bo to on pozwolił mi zabrać się z nim. – Pan McDaniels rozpływał się z zachwytu. – Parę tygodni temu powiedział, że pojedę z nim na spotkanie. To był jego pomysł! Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby się nie wygadać, że wpadnę cię odwiedzić na urodziny!

Nigel bezszelestnie pojawił się w hallu i pomachał.

– Tato – powiedział Max, ciągnąc ojca za łokieć – to jest pan Bristow. Jest...

– Z działu rekrutacji – przerwał mu Nigel, wymieniając z panem McDanielsem przyjazny uścisk dłoni. – Miałem przyjemność spotkać pana na lotnisku.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział pan McDaniels, ściskając dłoń Nigela. – Jak mógłbym zapomnieć. Nigel, to jest Bob Lukens, sycha z mojej

agencji. Tak naprawdę, jeżeli zajmujesz się rekrutacją, to jesteś pewnie osobą, z którą chce porozmawiać pan Lukens. Jego siostrzenica jest zainteresowana...

– Scott – przerwał pan Lukens – może nie zwracajmy na razie głowy panu Bristowowi. Wygląda na to, że właśnie podają kolację. Może Max by nas oprowadził, a my pomęczymy jeszcze pana Bristowa przed wyjazdem...

– Mam pomysł – powiedział Nigel. – Proszę przyjąć zaproszenie na kolację, na której uczymy urodziny Maxa. Tam z przyjemnością odpowiem na wszelkie pytania. Max, może pokazałbyś tacie swój pokój, a ja w tym czasie szybko oprowadzę pana Lukensa po szkole? Spotkamy się tutaj za dwadzieścia minut.

– Doskonale – powiedział pan McDaniels, obejmując syna.

Max podniósł pudło z prezentem i ruszył po schodach, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że Nigel prowadzi pana Lukensa do świetlicy. Pan Lukens uśmiechnął się kurtuazyjnie, patrząc, jak Max i jego ojciec wchodzą po schodach.

– To jak? – zaczął pan McDaniels, którego twarz lśniła z wysiłku. – Zdziwiłeś się na mój widok? Myślisz, że mógłbym przegapić twoje dołączenie do szeregów okropnych nastolatków?

– Naprawdę się cieszę, że przyjechałeś – powiedział Max, któremu ulżyło na widok pustego korytarza na drugim piętrze. – Tęskniłem za tobą! – Zerknął z nadzieją

na plakietkę ojca i otworzył drzwi. – A to – powiedział, krzywiąc się – jest...

Ojciec wszedł do pokoju i stał przez chwilę bez słowa. Max zamarł. Światło lampki do czytania Davida odbijało się w szklanej kopule, gdzie na nocnym niebie zniknęła Andromeda. David siedział skulony na łóżku z księgą czarów rozłożoną na kolanach i przyglądał się uważnie dużej reprodukcji obrazu Vermeera. Odezwał się, nie patrząc na drzwi.

– Cześć. Jak poszedł scenariusz?

Max zamknął oczy i przełknął ślinę.

– Ee... dobrze – powiedział. – Tato, to jest mój kolega z pokoju, David Menlo...

Głowa Davida natychmiast się odwróciła i chłopiec patrzył oniemiały na pana McDanielsa, który minął Maxa, zaśmiał się i wyciągnął dłoń. David zaczął mocno kaszleć, jednocześnie chowając księgę czarów pod poduszkę, patrząc przerażonym wzrokiem to na Maxa, to na jego ojca.

– Miło mi pana poznać, panie McDaniels – pisnął.

– David, mów mi Scott. Pan McDaniels to mój ojciec – powiedział przyjaznym tonem, rozglądając się po pokoju. – No cóż, nie macie za wiele miejsca, ale chyba jest wam tu dość przytulnie!

Nucąc pod nosem, pan McDaniels zszedł po schodach, żeby obejrzeć oprawione zdjęcie ich rodziny sprzed zniknięcia Bryn McDaniels. David trącił Maxa w ramię.

– Co jest grane? – syknął chłopiec. – Czy twój tata wie o Rowan?

– Wszystko w porządku – wyszeptał Max. – Nosi plakietkę gościa, która maskuje dziwne rzeczy. Dlaczego nie jesteś na kolacji?

David wzruszył ramionami.

– Zczytałem się. Nie byłem głodny.

– Czy ja słyszę, że nic nie jadłeś? – zapytał pan McDaniels, którego głowa pojawiła się u szczytu schodów. Max i David przestraszyli się.

– No... tak – powiedział David. – Ale mogę coś zjeść później. Zwykle w kuchni coś zawsze zostaje.

– Bzdura! Idziesz z nami świętować urodziny Maxa.

– Dziękuję – wymamrotał David – ale chyba sobie daruję.

– Bzdura, mówię! – krzyknął pan McDaniels.

– Zgódź się, David. Zaciągnie cię siłą, jeżeli będzie trzeba – powiedział Max, zamykając dyskusję.

– To prawda! – potwierdził pan McDaniels, całując syna w czubek głowy. – O, jak dobrze zobaczyć mojego solenizanta! Rozpakuj prezent i chodźmy. Mój bak jest prawie pusty.

– Skoro nalegasz. – Max uśmiechnął się i przesunął wielkie pudło po podłodze.

Kiedy zrywał garściami ozdobny papier, pan McDaniels chichotał podekscytowany i mrugał do Davida.

– O rany! To... po prostu wspaniałe! – powiedział

Max, usiłując wykrzesać z siebie entuzjazm na widok opakowania. – Dzięki, tato!

– Co to jest? – zapytał David, nachylając się.

– To SznycloMaster 2000! – zapiał pan McDaniels. – Będziecie mogli grillować swoje ulubione mięsa i warzywa w szkole! – Ojciec Maxa napęczniał z dumy.

– O, to wygląda całkiem nieźle – dodał David. Max zamknął oczy i czekał.

– „Nieźle”? – krzyknął pan McDaniels. – Czy Wielki Mur Chiński jest „niezły”? A Wielki Kanion? Nie lekceważcie sobie SznycloMastera 2000! David, a co byś powiedział, gdybym ci zdradził, że za pomocą tego oto urządzenia można przyrządzić wszystko, co jest potrzebne w lecie sportowcowi? Wszystko: od steków i kurczaka z różną po delikatny filet z łososia! Dzięki opatentowanej powierzchni ŁatwoMyj, mycie jest nie tylko łatwe, ale i przyjemne!

David zrobił wielkie oczy. Zerknął z niedowierzaniem na Maxa, który wzruszył tylko ramionami.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział pan McDaniels z porozumiewawczym mrugnięciem. Wyciągnął z kieszeni kopertę i wręczył ją Maxowi.

Chłopiec otworzył kopertę i przeczytał znajdujący się w niej certyfikat.

– Tu jest napisane, że dwa razy w miesiącu będę otrzymywał dostawę różnych mięs... Jeszcze raz dzięki, tato.

– To wspaniały prezent, panie McDaniels – powiedział David, dziwnie przesłaniając twarz dłonią. – Cudowny.

McDanielsowie zostawili Davida, żeby się przebrał, i wrócili do hallu, ale pan Lukens i Nigel jeszcze nie wrócili. Z tylnych schodów obok wielkiej jadalni dobiegały odgłosy kolacji.

– Chodźmy tam zajrzeć, Max – powiedział pan McDaniels, skręcając w stronę schodów. – Chętnie poznam twoich kolegów!

– Może lepiej nie. Za chwilę przyjdzie David i pan Lukens.

– Daj spokój – skarcił go pan McDaniels i ruszył schodami w dół.

Zrozpaczony Max jeszcze raz się rozejrzał, szukając Nigela, po czym podreptał za ojcem. Na dole schodów zamarł na dźwięk jego głosu:

– Panna Aloha! Co u pani słychać?

Max pognął za róg i zobaczył, jak stojący przy głównym stole pan McDaniels ściska dłoń bardzo zaskoczonyj panny Awolowo. Jego szeroka twarz promieniała, kiedy oglądał wielką salę pełną uczniów, którzy przerwali jedzenie, żeby przyjrzeć się nieoczekiwanemu intruzowi.

– Witam wszystkich! – ryknął pan McDaniels, machając przyjaźnie ręką. – Jestem Scott McDaniels, tata Maxa McDanielsa!

W sali zrobiło się cicho; kilku uczniów niezręcznie

pomachało. Max zobaczył, że Alex Muñoz zwija się ze śmiechu przy jednym ze stołów. Kiedy spostrzegł, że Max na niego patrzy, nadał policzki, żeby zadrwić z tuszy pana McDanielsa. Anna i Sasza byli czerwoni i trzęśli się ze śmiechu.

Niezrażony ciszą pan McDaniels kiwał się w przód i w tył.

– Przyjechałem z Chicago – wyjaśnił typowym dla siebie pogodnym tonem. – Nadchodzą urodziny Maxa. Trzyście lat!

Max poczuł, jak wzrok setek uczniów przenosi się z pana McDanielsa na niego. Z piekącymi uszami przytaknął i pociągnął ojca za rękaw. Nagle ze schodów zszedł Nigel w towarzystwie pana Lukensa i Davida.

– Tak myślałem, że mogliście się już tu przenieść – powiedział Nigel, zerkając na zegarek. – Powiedziałem w „Zagajniku”, że postaramy się dotrzeć tam na siódmą, więc lepiej się zbierajmy.

Kiedy Nigel kończył zdanie, jadalnię rozświetlił błysk flesza. Pan Lukens uśmiechnął się i schował mały aparat z powrotem do kieszeni.

– Wspaniałe ujęcie – wyjaśnił na widok zmarszczonych brwi Nigela. – Moja siostrzenica będzie zachwycona, mogąc zobaczyć, jak wygląda tu dzień powszedni...

– Z chęcią wyślę panu nasze materiały reklamowe, panie Lukens – odparł szorstko Nigel. – Proszę już więcej nie robić zdjęć uczniów; to wymaga zgody ich rodziców.

– Oczywiście – powiedział pan Lukens. – Proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny.

– Przeprosiny przyjęte – odparł Nigel, biorąc pana Lukensa pod ramię i kierując go delikatnie w stronę schodów.

W hallu czekała czwórka nieznajomych. Kiedy Max wszedł na górę, usłyszał głos pani Richter zwracającej się do nowo przybyłych z korytarza prowadzącego do jej gabinetu. Skinęli do Nigela i, mijając pana Lukensa, zniknęli w korytarzu.

– No, no – zażartował pan Lukens, jakby mówił sam do siebie. – Na końcu korytarza musi być jakaś szycha...

Kiedy Nigel przytrzymał drzwi przed Maxem i Davidem, hall rozświetlił kolejny błysk flesza.

– Panie Lukens – warknął Nigel. – Chyba ustaliliśmy, że nie wolno tu robić zdjęć.

Pan Lukens podniósł ręce w obronnym geście.

– Myślałem, że zakaz odnosi się tylko do zdjęć uczniów. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, żebym sfotografował tę wspaniałą posiadłość?

Nigel nie odpowiedział, ale Max zobaczył, że na czole pulsuje mu żyła. Pan Lukens minął go szybkim krokiem i zszedł po schodach w stronę fontanny.

Kolację zdominowały dwie rozmowy: na jednym końcu stołu pan McDaniels zabawiał Maxa i Davida, a na drugim rozmawiali Nigel i pan Lukens. Pan McDaniels opisywał zasłuchanemu Davidowi liczne zalety

Chrupiących Wafelków do Zupy Braci Bedford, kiedy pan Lukens zawołał:

– Scott, pan Bristow właśnie mnie zapytał, jak odnieść sukces w branży reklamowej. Jakie jest twoje zdanie?

– To proste – zachichotał pan McDaniels. Wytarł sobie usta i mówił dalej: – Trzeba kochać klientów i ich produkty! Inaczej to tylko praca, a dopóki to tylko praca, to o sukcesie nie ma mowy.

– I za to wypijmy – powiedział Nigel, podnosząc szklankę. – Za robienie tego, co się kocha. Jak to było? „Jeżeli kochasz to, co robisz, nie przepracujesz w życiu jednego dnia”? Czy chce pan coś dodać, panie Lukens?

Pan Lukens przez chwilę nic nie mówił, po czym posłał Nigelowi złośliwy uśmiech. Max pomyślał, że wygląda jak mały chłopiec, przyłapany na czymś banalnym.

– Scott bardzo trafnie to ujął – powiedział. – Może tylko trochę zbyt idealistycznie. Moim zdaniem skuteczna reklama wymaga zaszokowania odbiorcy, zastawienia na niego zasadzki i... uderzenia w najbardziej czułe miejsce. – Pan Lukens rozpromienił się i wzruszył ramionami. – W większości przypadków ma się tylko jedną jedyną okazję, więc lepiej jej nie zmarnować – dodał, po czym zerknął na zegarek. – Boże, jest już tak późno? Scott, mówię to z żalem, ale musimy się zbierać, żeby zdążyć na samolot.

Pan McDaniels spojrział na zegarek i zmarszczył czoło, przy okazji obejmując Maxa ramieniem.

– Chyba tak – powiedział cicho, nabijając na widelec ostatniego ziemniaka.

Nigel poprosił pana Lukensa, żeby wysadził ich przy bramie, tłumacząc, że dzięki temu zaoszczędzą cenne minuty na podróż na lotnisko. Wszyscy wysiedli z samochodu i się pożegnali. Po tym, jak Nigel zebrał plakietki gości, pan McDaniels długo i mocno ścisnął syna i wyszeptał, że już niedługo Max wróci do domu.

Chłopiec przyglądał się, jak tylne światła samochodu zmniejszają się do rozmiaru małych czerwonych punkcików i w końcu znikają. David czekał cierpliwie przy bramie, kiedy Nigel położył Maxowi dłoń na ramieniu.

– Wszystkiego najlepszego, Max – powiedział Nigel.
– Cieszę się, że mogłeś zobaczyć się z ojcem, choćby przez parę godzin. Teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałbym, żebyś opowiedział mi wszystko, co wiesz, na temat niepoprawnego pana Lukensa.

– Wiem niewiele – powiedział Max, z ciężkim sercem. – Wydaje się miły. Przywiózł mi prezent.

Uśmiech Nigela zniknął.

– Jaki prezent, jeżeli można się dowiedzieć? – zapytał egzaminator.

– Jeszcze nie wiem – odparł Max, wyciągając z kieszeni płaskie pudełeczko. – Kazał mi otworzyć, kiedy będę sam.

– Max – powiedział Nigel. – To zdecydowanie

dziwna prośba. Czy masz coś przeciwko, żebym to zobaczył?

Max pokręcił głową. Nigel wyjął pudełko z jego dłoni i rozwiązał srebrną kokardkę. Chwilę później Max zobaczył błysk złota, kiedy Nigel otworzył wieczko z czarnego aksamitu. W środku był wysadzany klejnotami sztylet z zieloną rączką. Nigel przyglądał mu się przez chwilę, po czym zrobił wielkie oczy, kiedy go rozpoznał. Krew odeszła mu z twarzy.

– Dobry Boże – wymamrotał, sięgając do kieszeni.

– Co się dzieje? – zapytał Max, kiedy Nigel wyciągnął płaski telefon i zaczął w panice wstukiwać numer. Nigel podniósł palec na znak, żeby Max był cicho.

– Gabrielle? Nigel. Przerwać misję. Dobry Boże! Przerwać, przerwać, przerwać! Wszystko wyjaśnię. Muszę pędzić!

– Nigel! – krzyknął Max, czując, jak z paniki kręci mu się w głowie. – Co się dzieje?

Nigel nie zwrócił na niego uwagi i nacisnął inny guzik w telefonie.

– Tu Nigel Bristow, starszy egzaminator. Poproszę o zatrzymanie w trybie awaryjnym dwóch osób w czarnym sedanie z wypożyczalni jadącym na lotnisko Logan. Pierwsze cztery znaki na tablicy rejestracyjnej to DL42... Sprawa najwyższej wagi! Proszę zatrzymać obu mężczyzn. Należy zachować ostrożność i nie wyrządzić im krzywdy!

– Nigel! – wrzasnął Max, próbując wyrwać telefon z

dłoni mężczyzny.

Nigel mocno przygarnął Maxa.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, ciągnąc chłopca w stronę stojącego z przerażoną miną Davida. – Ale musimy natychmiast wejść do środka.

Ściskając sztylet, Nigel poprowadził ich w stronę Domostwa, a kiedy biegli, spod ich stóp pryskał na boki mokry żwir.

NOWY MIESZKANIEC

Max chodził szybkim krokiem tam i z powrotem koło fontanny, ignorując prośby panny Awolowo, żeby usiadł. Przez ostatnie dwie godziny David siedział bez słowa, przebierając palcami we mgle, której strzępy unosiły się nad fontanną niczym małe zjawy. Stado wron odleciało z ciemnego lasu nieopodal bramy tuż przed tym, jak Max zobaczył światła wjeżdżającego na polanę samochodu. Limuzyna jechała powoli drogą wzdłuż brzegu oceanu. Max nie odrywał wzroku od zbliżającego się samochodu, nawet kiedy dostrzegł Nigela schodzącego po schodach Domostwa.

– Max, proszę cię, posłuchaj mnie – powiedział egzaminator. – W samochodzie jest twój ojciec, ale...

Max rzucił się po podjeździe, dotarł do samochodu w połowie drogi, kiedy ten skręcał i jechał w stronę chłopca. Uderzył dłonią w czarne okna, ale samochód zwolnił dopiero, kiedy zatrzymał się przy fontannie. Nigel z bezradną miną wszedł między chłopca i samochód.

– Max, proszę, pozwól im wykonywać swoją pracę – powiedział.

Tylne drzwi limuzyny otworzyły się i wyszedł z niej nieznamy mężczyzna i kobieta, a za nimi Cooper. Max zerknął przez otwarte drzwi i zobaczył leżącego

bezwładnie ojca. Chłopiec nie mógł opanować drżenia dłoni.

– Ty! – wrzasnął na Coopera, usiłując wyminąć Nigela i dopaść agenta. – Co mu zrobiłeś?

Cooper zignorował chłopca i pokazał swoim kolegom, żeby wynieśli pana McDanielsa z samochodu. Max poczuł dłonie Nigela na ramionach.

– Max – poprosił Nigel. – Wszystko będzie dobrze...

Max odepchnął Nigela i rzucił się na Coopera.

Nieznajomy mężczyzna próbował schwycić Maxa. Chłopiec zrobił unik, kiedy mężczyzna wyciągnął ręce, po czym mocno uderzył go pięścią w żebra. Cooper obszedł szybko samochód, podczas gdy kobieta próbowała złapać Maxa za nadgarstki. Był dla niej za szybki, uciekł jej i wskoczył na dach limuzyny. Cooper spokojnie wycofywał się do fontanny, a na jego opanowanej twarzy nie było lęku. Max miał zamiar zaraz to zmienić.

Skoczył.

Cooper stał bez ruchu, kiedy Max leciał. Nagle agent zniknął za ścianą wody, gdyż fontanna wytworzyła wokół niego kopułę ochronną. Max krzyknął, kiedy wylądował na jej wierzchołku. Zaczął zaciekle drapać w niewiarygodnie twardą, skrzącą się powierzchnię, żeby dostać się do mrocznej, falującej postaci za nią. Woda zaczęła syczeć i parować, po czym ustąpiła pod naporem chłopca. Max zrobił szczelinę i wcisnął przez nią głowę i rękę.

Cooper przyłożył chłopcu do gardła nóż w pochwie.

– Kiepska decyzja – wyszeptał.

Nagle Cooper zazgrzytał zębami i nóż wypadł mu z dłoni. Osunął się z jękiem na kolana, zwijając się na ziemi jak zgniatana przez niewidzialne dłonie puszka z aluminium. Max został łagodnie opuszczony na ziemię przez niewidzialną moc, a bariera rozproszyła się i woda spłynęła z powrotem do fontanny, moczając mu buty.

Max zobaczył stojącego przy krawędzi fontanny Davida, który ze śmiertelnie poważną miną koncentrował się na nieruchomym ciele Coopera. Na schodach przy wejściu do Domostwa zebrał się tłum, a panna Awolowo robiła, co mogła, żeby zagonić wszystkich z powrotem do środka.

Max podbiegł do ojca.

Nigel i kobieta trzymali pana McDanielsa. Mężczyzna, którego Max uderzył, siedział oparty o limuzynę, trzymał się za bok i oddychał nierówno.

– Twojemu ojcu nic się nie stało, Max – stęknął Nigel, uginając się pod ciężarem pana McDanielsa. – Jest nieprzytomny, ale nic mu nie jest. Pomóż nam zanieść go do pokoju dla gości.

Ignorując spojrzenia i szepty, Max pomógł wnieść ojca do środka.

Następnego dnia Scott McDaniels spał w łóżku z kolumienkami w jednej z olbrzymich flanelowych koszul Boba, która leżała na jego okazałych rozmiarów ciele jak koszula nocna. Max położył ojcu na czole świeżo

namoczoną szmatkę.

– Lepiej się czujesz, tato?

Ojciec uśmiechnął się i ścisnął dłoń Maxa.

– Troszkę – powiedział. – Daj mi jeszcze chwilę.

Max usiadł przy małym biurku i wyglądał przez okna z białymi zasłonami na leżący na dole sad. Ścieżką szło kilku roześmianych uczniów czwartego roku.

– Chcesz, żebym zamknął okno? – zapytał Max.

– Nie – odparł ojciec. – Wiaterek jest przyjemny.

Max klepał się w kolano i patrzył, jak wielka pierś ojca unosi się w rytm miarowych, ciężkich oddechów. Odwrócił się i przyjrzał dywanikom splecionym z trawy i meblom z ciemnego drewna i wikliny oraz gładkim zielonym poduszkom. Max wstał i poszedł obejrzeć łazienkę z chłodnymi kamiennymi płytkami i srebrnymi kranami. W pewnej chwili z pokoju dobiegł głos ojca.

– Słucham? – zapytał Max, wystawiając głowę zza drzwi. Pan McDaniels siedział; mokra szmatka spadła na podłogę.

– Muzeum – wymamrotał. – Instytut Sztuki... w urodziny mamy. Nie okłamałeś mnie wtedy, prawda?

– Nie – powiedział Max, siadając na łóżku obok taty i podnosząc szmatkę. – To był chyba dzień, kiedy to wszystko się zaczęło. To wtedy znalazłem tę salę i zobaczyłem go.

– To znaczy?

– Gobelin. To była moja wizja. Dzięki niej zauważono mnie w Rowan.

– Nie miałem pojęcia – jęknął pan McDaniels, kręcąc głową i rozglądając się po pokoju. – Nie miałem pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje, a co dopiero, że mój syn jest tego częścią...

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i Max poszedł je otworzyć.

Do pokoju wpadła Mamuśka z tacą z tostami i herbatą.

– Przyleciałam, jak tylko mi pozwolili – wysapała. – Och, wy biedactwa! Mamuśka się zajmie tym miłym, dużym panem.

Postawiła tacę na łóżku, zachichotała i zaczęła płasać podekscytowana przy panu McDanielsie, który stał oniemiały przy ścianie. Max szybko wcisnął się między ojca i wiedźmę. Mamuśka zaczęła klepać chłopca po dłoni i nucić pod nosem zadowolona, jednocześnie nie spuszczając Scotta McDanielsa z krokodylego oka.

– Mamuśka – powiedział stanowczo Max. – Chciałbym, żebyś poznała mojego tatę, Scotta McDanielsa.

– Och, jak cudownie! – wykrzyknęła wiedźma, wykorzystując powitanie jako pretekst, żeby przecisnąć się obok Maxa.

– I – mówił dalej chłopiec, blokując jej drogę – jako że to nasz gość, a nie posiłek, chciałbym, żebyś go poniuchała. Teraz.

Max zignorował jęk ojca i skoncentrował się na Mamuśce, która wzdrygnęła się z udawanego szoku i

zakłopotania. Zerknęła w panice na pana McDanielsa, a potem na Maxa, po czym zaśmiała się pobłaźliwie.

– Pana syn Max to taki żartowniś – powiedziała, grożąc chłopcu palcem. – Zapomina, że Mamuśka jest zresocjalizowaną wiedźmą. Z całą pewnością jakiś prymitywny rytuał niuchania jest niepotrzebny i nieodpowiedni, nieprawdaż?

– Jest potrzebny, Mamuśka, i zrobisz to teraz albo zawołam nauczyciela.

Mamuśka wyśmiała żądanie Maxa, udając, że jest jej wszystko jedno.

– Czy chciałby pan wybrać się na wycieczkę do kuchni? – zapytała słodkim głosem. – Dziś na kolację szykujemy prawdziwą ucztę.

– Mamuśka! – warknął Max. – Masz go natychmiast poniuchać albo idę po Davida.

Mamuśka wrzasnęła i łypnęła na Maxa.

– Nie zrobisz tego.

– Zrobię – powiedział chłopiec. – Będzie tu za chwilę.

– Och, te nasze głupiutkie zabawy. – Mamuśka przewróciła do pana McDanielsa przymkniętymi oczami. – Gdyby pana syn ze mną nie chodził, to nigdy bym się na to nie zgodziła...

– Mamuśka!

– Dobrze! – ryknęła, mijając Maxa, żeby schwycić wielką dłonią nadgarstek pana McDanielsa.

Ojciec Maxa wydał jęk przerażenia i prawie wdrapał

się na ścianę, przy której stał.

– Za bardzo się wierci! – warknęła wiedźma przez ramię. – Nie mogę pracować w takich warunkach!

– Wszystko w porządku, tato – uspokoił ojca Max. – Za chwilę będzie po wszystkim.

Scott McDaniels zamknął oczy, przestał się rzucać i pozwolił tłustemu, groźnie wyglądającemu stworzeniu szczytać się po całej długości ręki, którą zaraz potem obwęchały rozedrgane nozdrza.

– Gotowe! – zawyła Mamuśka, odrzucając jego rękę na bok. – I wielka szkoda! – Wiedźma obejrzała sobie pana McDanielsa od stóp do głów, pokręciła smutno głową, po czym wyszła i trzasnęła za sobą drzwiami.

– Mój Boże – wymamrotał pan McDaniels, po którego czole spływały duże krople potu.

– Najgorsze masz już za sobą – obiecał Max. – Teraz, kiedy cię poniuchała, nic ci nie grozi.

Pan McDaniels nie odpowiedział, tylko spojrzał na olbrzymią flanelową koszulę, którą miał na sobie i której rękawy były obcięte w połowie, żeby na niego pasowała.

– A to czyja koszula? – zapytał powoli.

– Boba. To drugi kucharz... Jego też powinieneś poznać.

– Muszę się położyć – wymamrotał pan McDaniels, uniósł kołdrę i wśliznął się pod nią. – Spotkam się z Bobem później.

Znowu rozległo się ciche pukanie. Zirytowany Max podszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem.

– Mamuśka... – zaczął.

W drzwiach stał Cooper.

– Pani dyrektor chce z tobą porozmawiać – powiedział cicho.

Max przyjrzał się bliznom mężczyzny i kępkom włosów koloru jasny blond na jego głowie, widocznym po zdjęciu przez Coopera czapki. Zerknął na ojca, który leżał nieruchomo ze szmatką na oczach.

– Chyba nie powinienem zostawiać go samego... – powiedział Max.

Cooper przytaknął ze zrozumieniem.

– Ja go popilnuję – zaproponował, po czym odchrząknął i spojrzał na Maxa. – Albo mogę zawołać innego...

– Nie – przerwał mu chłopiec, spoglądając na niego stanowczo. – Nie. Wolałbym, żebyś to ty z nim został.

Kamienne rysy Coopera złagodniały. Pochylił głowę i po cichu zamknął drzwi, po czym stanął na straży, a Max opuścił skrzydło dla gości i udał się do gabinetu pani Richter.

David czekał już, kiedy Max się pojawił. Nigel też. Sztylet podarowany Maxowi przez pana Lukensa leżał na biurku pani dyrektor.

– Jak się czuje twój ojciec? – zapytała pani Richter, pokazując Maxowi, żeby usiadł.

– Dobrze – powiedział cicho chłopiec. Jego twarz oblała się czerwienią. – A ten mężczyzna? Ten, którego

uderzyłem...

– Trzy złamane żebra – wyjaśnił Nigel. – Na szczęście miał na sobie nanokolczugę... Powinienem się cieszyć, że to on zarobił, a nie ja.

– Przepraszam – powiedział Max, odwracając wzrok.

– Nie możesz tracić panowania na sobą, Max – powiedziała pani Richter, oglądając sztylet. – Ale w ogólnym rozrachunku mieliśmy wczoraj dużo szczęścia, pomijając złamane żebra. Max, czy wiesz coś o tym sztylecie?

Max pokręcił głową.

– To replika sławnego sztyletu, sztyletu Topkapi, podarowanego szachowi Persji. Mieliśmy szczęście, że Nigel go rozpoznał – wyjaśniła pani Richter.

Max słuchał uważnie, pewien, że kiedyś już słyszał słowo „Topkapi”. Odwrócił się na krześle i spojrzał na elektroniczną mapę pani dyrektor, która była włączona i świeciła z przeciwległej ściany. Mapa pokazywała Istantu. Kody oznaczające poszczególne misje układały się w szeroki okrąg wokół jednej z jego dzielnic.

– Pałac Topkapi – wyszeptał. – To tam mają być porwani kandydaci.

– Zgadza się – powiedziała pani Richter, zerkając na Davida. – To była pułapka. Pan Lukens jest na usługach Wroga. Najwyraźniej nie mógł się opanować i postanowił z nas zadrwić, licząc na to, że nie zauważymy go, aż będzie za późno.

– Gdzie on jest? – zapytał Max.

– Uciekł – wyjaśniła pani dyrektor. – Dostał wsparcie i gdybyśmy naciskali, moglibyśmy narazić twojego ojca na niebezpieczeństwo.

– Czy pan Lukens to wielok? – zapytał Max.

– Nie, Max – powiedziała pani Richter. – To nie jest wielok. To tylko człowiek na usługach Wroga. Z przykrością muszę powiedzieć, że jeden z wielu. Obietnice Wroga są bardzo kuszące... – Pani Richter włożyła sztylet z powrotem do szkatułki i zamknęła ją. – Arogancja pana Lukensa uratowała wiele istnień – powiedziała cicho. – Ale nasze małe zwycięstwo ma niepokojące konsekwencje. Wróg wiedział dokładnie, kiedy i gdzie uderzą nasi ludzie. – Spojrzała Maxowi w oczy. – Z Davidem już rozmawiałam. Żadnemu z was nie wolno przebywać sam na sam z jakimkolwiek wykładowcą czy pracownikiem wyższego szczebla, z wyjątkiem mnie, Nigela i panny Awolowo. Jeżeli stanie się coś podejrzanego, macie natychmiast uruchomić zegarek bezpieczeństwa. Macie go mieć przy sobie przez cały dzień. Czy to jasne?

Max zmarszczył czoło.

– A co z moimi zajęciami ze wzmacniania z panną Boon? – zapytał.

Pani Richter kiwnęła głową.

– Nadal będą się odbywały. W obecności Coopera albo mojej. Wiem, że w tym tygodniu macie egzaminy połówkowe. Sugeruję, żebyście w trakcie rekonwalescencji pana McDanielsa trochę się pouczyli.

David wstał i poszedł do drzwi, ale Max został, żeby zadać pytanie.

– Pani Richter, co się stanie z moim tatą? – zapytał cicho.

Pani dyrektor wyglądała przez okno, masując sobie dłonie. Odwróciła się i uśmiechnęła do Maxa.

– Oczywiście może tu zostać. Rowan będzie jego domem.

Max prawie postrzącał obrazy ze ścian, kiedy biegł do pokoju ojca, chcąc się podzielić najlepszą nowiną, jaką usłyszał od miesięcy.

Jednak tydzień później zapomniał o swojej radości, kiedy, pocierając skronie, czytał ostatnie pytanie w teście. Ze strony patrzyły na niego małe czarne literki:

50. Proszę uszeregować pod względem ważności w opisanym powyżej scenariuszu następujące aspekty taktyczne:

- położenie
- zasoby
- inicjatywa
- elastyczność
- informacje

Max westchnął i wyjrzał przez okno; kilkoro starszych uczniów rzucało frisbee, które znosił wiatr po wczorajszej burzy. Wczesnopopołudniowe słońce

wydobywało z terenów szkoły promienne odcienie, a kampus Rowan na wiosnę rozkwitł. Max spoglądał tęsknie na nieskazitelne połączenie szmaragdowej trawy i ścieżki tonące w żonkilach i tulipanach, peruwiańskich liliach i hiacyntach. „Pustułka” kiwała się na świetlistym, kobaltowym oceanie.

Oprócz niego z uczniów w sali była tylko Cynthia. Pan Watanabe zaczął już sprawdzanie egzaminów; jego pióro mknęło po stronach jak karetką maszyny do pisania.

– Minuta do końca – uprzedził pan Watanabe.

Nauczyciel uśmiechnął się do Maxa i wrócił do sprawdzania testów. Cynthia przeglądała swój test z obrzydzeniem na twarzy. Kilkoma machnięciami ołówka, z których przebijało przygnębienie, Max losowo wpisał liczby w pustych miejscach, po czym oddał arkusz.

Connor i David czekali na schodach Starego Toma, prowadząc pogawędkę w jaskrawym słońcu.

– No i? – zapytał Connor, uśmiechając się wyczekująco.

– Oblałem – odparł Max, zarzucając sobie plecak wyżej na ramię. – A wam jak poszło?

– Mnie się udało – przyznał Connor. – Tylko że ściągałem od Davida. Mdło się od tego robiło – wszystkie odpowiedzi poprawne, a na marginesie komentarze kwestionujące założenia pana Watanabe.

David wzruszył ramionami z senną miną.

– Wszystko jedno – uśmiechnął się Max. – Zapomnijmy o teście. Egzaminy skończone i jedziemy do

miasteczka!

– Hurrra! – krzyknął Connor, rzucając torbę i podbiegając, żeby przechwycić frisbee, które szybowało obok nad trawnikiem. Złapał je zgrabnie jedną dłonią i wykonał obrót, żeby odrzucić je do czekającej na podanie dziewczynki z czwartego roku, ale niechcący wyrzucił je daleko nad skalisty cypel i frisbee wylądowało na plaży. – Przepraszam! – krzyknął, krzywiąc się pod ostrzałem pretensji, kiedy zażenowany sadził susami po torbę.

Ich trójka podeszła do fontanny, żeby dołączyć do reszty uczniów.

Kiedy w końcu przyszła Cynthia, pierwszy rok wyruszył do miasteczka. Pan Vincenti, panna Boon i kilku innych wykładowców i dorosłych poszło z nimi. Max w szczególności zwracał uwagę na jedną osobę – swojego ojca, który powoli przyzwyczajał się do życia w Rowan i postanowił pójść z nimi. Szli razem, uśmiechając się, kiedy Connor na gorąco komentował ludzi i miejsca, które mijali. Connor robił wszystko, żeby zwrócić ich uwagę na jedną uczennicę, która zawracała głowę panie Boon w sprawie jej egzaminu z mistyki.

– A to jest Lucia. Włoszka. Namiętna. Prawdę zaatakowała mnie ustami, kiedy Gamkoryjek, jej podopieczny, zaczął w lutym śpiewać. Ona twierdzi, że wszystko przez żabę, ale według mnie to chemia...

– Sam pan może ocenić, panie McDaniels – powiedział David z uśmiechem. – Mam ich zdjęcie w komputerze. Tak naprawdę zrobiłem z niego wygaszacz

ekranu.

– Powiedziałaś, że je skasujesz! – zaprotestował Connor, który zerknął na pana McDanielsa i zaczerwienił się.

Max nie mógł się doczekać, żeby pokazać tacie miasteczko Rowan i był zachwycony tym, że pani Richter postanowiła zezwolić na wycieczki w towarzystwie dorosłych, za namową wielu nauczycieli, w tym ozdrowiałego i niepoczuwającego się do winy pana Morrowa. Choć w Rowan było wiele niezbadanych zakamarków, uczniowie przez kilka miesięcy nie mogli wychodzić poza kampus i zaczynało ich nosić.

Max i jego koledzy zostawili plecaki na stercie innych przy drzewie, na którym przed wielu laty pan Morrow wyrył swoje imię. Potem zaciągnęli pana McDanielsa do cukierni pana Babela, której wystawa zmieniała się stosownie do pory roku. Teraz były na niej młode drzewka z białej czekolady, których gałęzie uginały się pod ciężarem ptasich gniazd z waty cukrowej wyładowanych marmurkowymi jajkami z czekolady. Pan Babel stał za ladą i pracował nad wspaniałą katedrą z marcepanu i czekolady.

Max oglądał wystawę, kiedy pan Babel wyszedł, żeby przywitać się ze Scottem McDanielsem. Kiedy Max usłyszał, jak jego ojciec zaczyna mówić tonem akwizytora, wiedział, że będzie miał czas, żeby spokojnie wybrać sobie coś z setek słodczy ustawionych w szklanych gablotach.

– Ani mi się waź! – prychnęła Sara, zasłaniając mu dłonią oczy. – Dopiero za tydzień, jak pobijesz rekordy.

Max udał, że patrzy na nią spode łba. Jego oceny z treningu i gier zbliżały się do kilku rekordów Rowan, a Sara przyjęła rolę jego nieoficjalnej trenerki. Zamrugła zdziwiona na widok złego spojrzenia Maxa, po czym szybko wytarła sobie usta z okruszków.

– Chodźmy usiąść na zewnątrz – zaproponowała przyjaźnie, kiedy Connor i David kupili duże kawałki połamanych króliczków z czekolady, które były przecenione.

– Za chwilę wychodzę – powiedział pan McDaniels, po czym ściszył głos. – Czy uwierzylibyście, że on nie słyszał o Chrupiących Wafelkach do Zupy Braci Bedford?

– Tato, oni nie są już twoimi klientami.

– Wiem, wiem – powiedział pan McDaniels, po czym wzruszył ramionami i uśmiechnął się zrezygnowany. – Co nie znaczy, że to zły produkt...

Max odetchnął z ulgą, kiedy ojciec znowu podjął rozmowę z panem Babelem; to był pierwszy prawdziwy znak, że pan McDaniels wraca do siebie po wielu niespodziankach poprzedniego tygodnia.

Uczniowie chodzili po ulicach, panna Boon siedziała na ławce w parku i zapisywała coś zawzięcie w swoim dzienniku. Zerknęła na nich i kiwnęła głową, kiedy mijali ją, żeby spotkać się przy drzewie, gdzie zostawili plecaki. Kilku pierwszaków wspięło się na drzewo i machało nogami z grubych konarów. Rolf zawołał do Maxa z

gałęzi na wysokości pięciu metrów.

– Dasz radę się tu wdrapać?

– Chyba tak – powiedział Max, zerkając na pannę Boon, która siedziała ze wzrokiem wlepionym w książkę.

– Dorośli nie patrzą – powiedział Rolf, rozglądając się po parku. – Chodź, to będzie dobry trening przed Renardem.

Rolf zaczął liczyć; Max napiął mięśnie i przyszykował się do skoku. Jednak zanim Rolf doliczył do trzech, Max się zdekoncentrował. Przyplątał się Alex Muñoz i kilka osób z drugiego roku.

– Popisujesz się, Max? – zapytał niewinnie Alex.

– Nikt was tu nie zapraszał – powiedziała Sara.

– Dalej podkochujesz się w tym szczylu? – prychnął z niedowierzaniem Alex. – Lepiej daj sobie z nim spokój, zanim się roztyje jak tatuś.

Alex uśmiechnął się, kiedy Max się zaczerwienił; spojrzał mu prosto w oczy.

– Anna jest zdania, że tatę w ciągu roku czeka zawał, ale ja bym mu dał może ze dwa lata – powiedział Alex. Wydał policzki i poklepał się po brzuchu, naśladując pana McDanielsa, a Anna i Sasza zachichotali. Dłonie Maxa zaczęły dygotać.

– Nie – wyszeptał David.

– A tak w ogóle, to gdzie jest tatko? – zapytał Alex, kiedy usłyszeli dobiegający z cukierni tubalny śmiech pana McDanielsa. – Mój Boże! – zaśmiał się. – Jest tam? Wcina czekoladę? Wszystko się zgadza, Anna chyba

miała rację!

Anna i Alex uśmiechnęli się drwiąco; Max poczuł, jak mała dłoń Davida przytrzymuje jego szkolny sweter. Connor zeskoczył z gałęzi i wszedł między Maxa i Alexa.

– Tak z ciekawości, Muñoz, co ty właściwie masz do Maxa? – zapytał. – Chodzi o to, że przywalił ci zeszłej jesieni? Czy może o to, że robił cię jak chciał na oczach absolwentów w Halloween? No?

– Zamknij się, Lynch! – warknął Alex.

– A może – ciągnął Connor, który zniżył głos do szeptu, machając palcem pod nosem Alexa – chodzi o to, że za tydzień Max pobije wszystkie rekordy, a jedyne, z czego ty tutaj zasłyniesz, to wyjątkowa upierdliwość.

Alex stał przez chwilę bez słowa z wypisaną na twarzy żądzą mordy. Wargi mu dygotały; zdawał się wkładać całą energię w opanowanie chęci rzucenia się Connorowi do gardła. Ale nagle na jego twarzy pojawiły się chłód i opanowanie. Alex uśmiechnął się złośliwie nad ramieniem Connora bezpośrednio do Maxa.

– Nasz Connor to wyszczekany chłopiec – powiedział. – Takim powinno się obcinać języki. I kto wie? Może pewnego dnia tak się stanie. Mimo wszystko coś w tym jest. Może jestem zazdrosny. Myślisz, że dostaniesz się na tę gałąź szybciej niż ja?

Max rzucił mu gniewne spojrzenie, po czym znowu zerknął na konar.

– Bez najmniejszego trudu i dobrze o tym wiesz – odparł.

– No to udowodnij – zachęcił go Alex. – Pokaż.

– Nie musisz mu nic udowadniać, Max – szepnął David. – On coś knuje.

– No dalej, Max – droczył się Alex. – Powiedziałeś, że bez trudu. Teraz udowodnij!

– Dobrze – powiedział Max. – Kiedy Sara policzy do trzech.

– Poradzi sobie aż do trzech? – prychnął Alex, przepychając się obok Connora i ustawiając obok Maxa przy pniu drzewa.

Sara zignorowała przytyk i zaczęła odsuwać wszystkich o metr od drzewa. Kiedy zaczęła liczyć, Max poczuł przyływ adrenaliny. Kiedy powiedziała „dwa”, przykucnął, zbierając się do skoku. Wtedy Alex nadepnął mu zniecacka na stopę, przyciskając ją do ziemi. Chwyciwszy Maxa za tył głowy, uderzył jego twarzą w pień drzewa i wspiął mu się po plecach, żeby wybić mu się z ramion.

Max zatoczył się do tyłu, chwytając się za czoło, które płonęło żywym ogniem. Alex zwisał na rękach z gałęzi, rechocząc opętańczo i ignorując wściekłe wrzaski pozostałych dzieci.

– Widzicie? – zapał. – Pierwszy na gałęzi! Muñoz wygrywa! Muñoz wygrywa!

Max zerwał się gwałtownie i wskoczył na gałąź. Zanim Alex zdążył się ruszyć, Max szarpnął go za koszulę. Alex puścił gałąź i zawisł nad ziemią w mocnym uchwycie Maxa. Bezradnie wił się i miotał.

– Chłopcy!

Głos zdawał się odległy i nieistotny. Max skoncentrował się na dręczycielu, którego trzymał jak szmacianą lalkę. Alex przestał się szarpać i tylko patrzył na Maxa zszokowany i przestraszony.

– Chłopcy!

To panna Boon krzyczała chrapliwym z wściekłości głosem z drugiej strony placu. Nauczycielka mistyki szła do nich szybkim krokiem, a jej twarz była blada z gniewu. Pozostałe dzieci się rozstąpiły. Nauczycielka podeszła do drzewa, założyła ręce i spiorunowała ich wzrokiem.

– Max McDaniels! Podciągnij Muñoza na gałąź. Potem obaj macie natychmiast zejść! W tej chwili!

Max niechętnie wciągnął Alexa na drzewo, pozwalając mu złapać się pnia. Oddychając ciężko, Alex wymamrotał pod nosem: „Dziwoląg”, po czym czmychnął na niższą gałąź i zeskoczył. Max zszedł chwilę później.

Panna Boon wymierzyła w chłopców palec.

– Bójka? Popisy poza kampusem? Co u diabła w was wstąpiło, żeby wyczyniać takie głupoty? Wiecie, co mogłoby się stać, gdyby ktoś was zobaczył? Czy w ogóle przyszło wam do głowy, że ktoś może was zobaczyć?

Wzrok panny Boon przesunął się z twarzy na twarz, a jej wściekłość powoli zamieniła się w tchnący chłodem spokój.

– Chciał mnie zabić – oskarżył Maxa Alex. – Widziała pani, panno Boon!

– Spokojnie, panie Muñoz. Nie muszę mieć kryształowej kuli, żeby zobaczyć, że pana problem ma coś wspólnego z krwawym guzem na czole pana McDanielsa. Czy któryś z was ma coś rozsądnego do powiedzenia na swoją obronę?

– Przepraszam – powiedział cicho Max. Nigdy jeszcze nie widział panny Boon tak wściekłej.

– „Przepraszam” to za mało! – warknęła. – To się skończy poważną ka...

Wtedy usłyszeli rozpaczliwe wołanie o pomoc. Panna Boon patrzyła jeszcze przez chwilę na chłopców, po czym odwróciła głowę w stronę cukierni. Ojciec Maxa i pan Babel wypadli na dwór. Chwilę później przez drzwi wylała się na chodnik wysoka do pasa fala stopionej czekolady.

– Na pomoc! – krzyknął znowu pan Babel. Panna Boon i dzieci podbiegli w chwili, kiedy prawie ukończona katedra wypłynęła przez drzwi, po czym utonęła w czekoladowej powodzi.

– Co się stało? – krzyknęła panna Boon, rozglądając się po ulicy, żeby sprawdzić, czy nie ma turystów. Z kawiarni i pizzerii przybiegła grupka starszych uczniów i wykładowców; wśród nich był pan Vincenti.

– Nie wiem! – wysapał pan Babel, brnąc do drzwi i próbując bezskutecznie zatamować ciałem zalew czekolady. Jęknął na widok drzewek z białej czekolady, które przepłynęły obok i zaczęły się topić. – Nie wiem nawet, skąd się wzięła ta cała czekolada!

– Czy nic nam nie grozi, Joseph? – zapytała panna Boon.

– Chyba nie, Hazel – wysapał pan Vincenti, konfiskując uczniowi trzeciego roku filiżankę, którą ten napełniał czekoladą. Potem wręczył filiżankę panu McDanielowski, który przyjrzał się uważnie zawartości.

Panna Boon rozejrzała się jeszcze raz po ulicy, po czym podniosła dłoń i wypowiedziała kilka słów. Czekolada przestała wypływać na chodnik i natychmiast zastygła. Wielkie szczeliny, niczym uskoki, przecinały zygzakiem jej powierzchnię, gdy masa stwardniała na kamień. Pan Vincenti podszedł, żeby pomóc panu Babelowi uwolnić się z czekolady i strącił duży kawałek, odsłaniając zanurzoną katedrę. Pan Babel jęknął na widok zrujnowanego arcydzieła.

– Czy wie pan, co się mogło stać? – zapytał opiekun.

– Nie mam pojęcia – wysapał pan Babel. – Czyściłem rząd butelek z napojami i ni stąd, ni zowąd znalazłem się po pas w czekoladzie. Czy to może być sprawka któregoś z uczniów? Taki wiosenny figiel?

– Któryś ze starszych uczniów mógłby to zrobić – powiedział pan Vincenti.

– Nie lekceważmy tych młodszych – wtrąciła panna Boon, rzucając Davidowi gniewne spojrzenie. – W końcu wielu z nich było w ciastkarni krótko przed tym, kiedy to się stało.

– Nie daliby rady zrobić czegoś takiego, Hazel – zaśmiał się pan Vincenti, częstując się kawałkiem

czekolady odłupanym za pomocą kluczyków do samochodu.

– Mylisz się, Joseph – warknęła panna Boon. – Tak czy inaczej, najwyższy czas, żeby pan Muñoz i pan McDaniels zabrali swoje rzeczy i wrócili ze mną do kampusu.

Policzki Maxa płonęły ze wstydu, kiedy wzrok ojca padł na jego krwawiące czoło.

Pan McDaniels zmarszczył brwi i odstawił filiżankę czekolady na chodnik. Potem obejrzał czoło syna.

– Co się stało, Max? – zapytał.

– Nic mu nie jest, panie McDaniels – zawołał uśmiechnięty Alex. – Niech pan sobie dalej podjada czekoladę.

– Alex! – syknęła panna Boon. Odwróciła się do ojca Maxa. – Scott, najmocniej przepraszam, ale Max musi natychmiast wrócić do kampusu. Jego dzisiejsze zachowanie było nie do przyjęcia. Nie będę wchodziła w szczegóły, ale...

– Może się pani do mnie zwracać „panie McDaniels”, młoda damo – powiedział ojciec Maxa.

Panna Boon urwała i na chwilę zaniemówiła.

– Tato, nic się nie stało – uspokoił ojca Max. – Zobaczymy się w kampusie. Proszę, zostań tu z Connorem i Davidem.

– Tak – powiedział szybko Connor. – David i ja mamy panu mnóstwo do pokazania, panie McDaniels.

Ojciec jeszcze raz spojrział na Maxa, po czym

odwrócił się do Connora i przytaknął.

Max i Alex odłączyli się od tłumu i podeszli do drzewa. Kiedy Max brał plecak, zauważył wystającą z zapinanej na suwak kieszonki złożoną kartkę. Został nieco w tyle za Alexem, który włókł się za panną Boon, i rozłożył kartkę.

*Niezły skok. Wracaj do kampusu!
Jak najszybciej idź do Trzęsokrokwi.
Bądź sam. Sprawdź KZWR.*

Ronin

Max odwrócił szybko głowę, spodziewając się ujrzeć białe oko przyglądające mu się zza drzewa albo z tłumu. Zmiał kartkę, jeszcze raz się rozejrzał i podbiegł do czekających na niego Alexa i panny Boon.

Pies Ulsteru

Dopiero po kolacji Maxowi udało się odłączyć po cichu od grona kolegów i pójść samemu do Biblioteki Trzęsokrokwi. Jego ojciec był rozczarowany, że Max wszczyna bójki w kolejnej szkole. Ale dla Maxa to doświadczenie było bardziej niepokojące. To nie była jego decyzja, żeby skoczyć za Alexem i go złapać, to się po prostu stało – było tak szybkie i odruchowe jak mrugnięcie bądź kichnięcie.

Mijając trójkę starszych uczniów, Max wskakiwał po schodach Starego Toma po dwa schodki. Nigdy wcześniej nie był w Trzęsokrokwi, ale wiedział, że większość uczniów i wykładowców unikała tej biblioteki. Zajmująca strych Starego Toma Biblioteka Rosetty zawdzięczała swój brak popularności i potoczną nazwę położeniu bezpośrednio pod kurantami Rowan. Belki, książki i meble trzęsły się równo co godzina.

Długi, niski strych pachniał kurzem i skórzanymi oprawami. Bardziej niż z biblioteką kojarzył się Maxowi z cmentarzyskiem książek. W pobliżu wejścia ciasna spiralna klatka schodowa znikwała w ciemnym pokoju mieszczącym kuranty i maszynę zegara. Max szybko go minął; Stary Tom zawsze wydawał mu się czymś żywym, a w ciemnym wnętrzu robiło mu się nieswojo.

Max usadowił się na chwiejnym drewnianym krześle przy długiej ławie. Włączywszy lampkę, kichnął i starł z blatu warstwę kurzu. Nie miał wątpliwości, że to Ronin spowodował zamieszanie w cukierni, żeby móc podrzucić mu karteczkę. Wiadomość od Ronina była krótka, ale stosunkowo klarowna; KZWR znaczyło oczywiście *Kompendium Znanych Wrogów Rowan*. Otworzył plecak i, zaintrygowany, wyciągnął ciężką książkę. Między jej stronicami znalazł następny złożony list. Otworzył go i przebiegł wzrokiem po nierównym piśmie:

Drogi Maksie!

Piszę w niezwykle pilnej sprawie. Wróg rozpoczął pracę nad realizacją wielkiego planu; porwani kandydaci stanowią tylko jego część. Wróg wierzy, że w naszych szeregach znowu pojawiła się Stara Magia, co daje okazję do odzyskania Astarotha.

Max, Demon nie zginął, jest tylko uwięziony w obrazie.

Co więcej, Wróg wierzy, że jest już w posiadaniu tego przeklętego dzieła. Wiele obrazów wiszących w muzeach to dobre falsyfikaty – skradzione obrazy, o których pisze się w gazetach, mają tylko odwrócić uwagę Rowan od innych kradzieży, których nikt nie wykrył...

Krążą słuchy o niezrównanym dziecku – dziecku, którego przybycie przewidzieli i którego pomocy potrzebują, żeby uwolnić Demona. Potwierdzenie istnienia i tożsamości tego dziecka jest dla nich sprawą

najwyższej wagi.

Max, twoje imię jest im znane i często się przewija na ich zebraniach. Bądź czujny! Jest wśród was przynajmniej jeden zdrajca. Rowan nie jest bezpieczne. Jestem blisko i wszystkiemu się przyglądam. Szukaj mnie na Czuwaniu Brygidy. Spal to!

Ronin

Max przeczytał list kilka razy, zapamiętując szczegóły. „Czuwanie Brygidy” nic mu nie mówiło, ale większość listu była na swój ponury i niepokojący sposób klarowna. Musiał natychmiast porozmawiać z Davidem. David nadal był pewien, że cztery zidentyfikowane przez niego obrazy wisiały bezpiecznie w swoich muzeach, teraz pilnie strzeżone. I to David mógł być owym niezrównanym dzieckiem, którego szuka Wróg.

Max zgniótł list w dłoni i zamienił go w popiół niebieskim płomieniem.

Kiedy wzrok chłopca śledził unoszący się skrawek popiołu, pokój zatrzęsł się nagle od ogłuszających uderzeń kurantów Starego Toma. Max zasłonił sobie rękami uszy i pochylił się do przodu na krześle z mocno zaciśniętymi powiekami. Jego bębienki zdawały się drzeć i wibrować w nieskończoność, aż zegar skończył wybijać ósmą.

Chłopiec otworzył oczy i krzyknął, kiedy zorientował się, że nie jest w starej bibliotece sam. Trzy metry od niego stała panna Boon.

– Przepraszam, że cię przestraszyłam – powiedziała.
– Rozumiem, że to twoja pierwsza wizyta w Trzęsokrokwi. – Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się. – Kiedyś też tu przychodziłam, kiedy chciałam być sama.

Max przytaknął, a dzwonienie w uszach ustąpiło.

– Jacyś uczniowie wspominali, że widzieli cię, jak tu szedłeś – wyjaśniła, pokazując na schody. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Podenerwowany Max zapiął suwak plecaka i zaczął się podnosić.

– Nie, ale już panią przeprosiłem – powiedział cicho.

Kąciki jej ust na chwilę zeszywniały, po czym rozluźniły się i ułożyły w uśmiech.

– Nie przyszłam, żeby omawiać twoje zachowanie po południu. Usiądź, proszę. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Max od niechcenia zgarnął popiół z ławy, a panna Boon usiadła na krześle naprzeciwko. Sięgnęła do torby i wyciągnęła grubą książkę oprawioną w wytartą zieloną skórę. Wzdłuż krawędzi biegły przeplatające się złote celtyckie wzory. Na okładce był wytłoczony tytuł: *Irlandzcy bohaterowie i legendy*.

– Co to jest? – zapytał Max.

– Ciekawe pytanie – zauważyła panna Boon. – Mam wrażenie, że to możesz być ty.

Max spojrzał przez stół. Panna Boon pochyliła się do przodu, a jej oczy o różnych kolorach patrzyły na niego, kiedy podniosła dłonie i wypowiedziała polecenie.

Książka natychmiast się otworzyła, a jej strony przewracały się, aż zatrzymały na ilustracji przedstawiającej stojącego na rydwaniu wojownika o zaciętej minie. Jego czarne włosy były splecione w warkocz, a dłoń trzymała włócznię z haczykami. Max przeczytał na głos tytuł rozdziału: „Cuchulain – Pies Ulsteru”. Od tego imienia przeszedł mu dreszcz po plecach.

– Nie „kuczulejn” – poprawiła panna Boon – tylko „kuhulin”. Zgadza się, Max, to jest właśnie osoba, której życie powinieneś prześledzić, żeby móc lepiej zrozumieć swoją wizję. Jak do tej pory nie chciałeś poznać tego bohatera, więc on przyszedł do ciebie.

Max wzdrygnął się na dźwięk tonu panny Boon i spojrzął na zegarek.

– Czy pozostali też zbierają materiały na temat swoich wizji? – zapytał, grając na zwłokę. – Bo już w tej chwili brakuje mi czasu na naukę. Chyba nie powinienem się dodatkowo obciążać.

Panna Boon zerknęła szybko na schody i uśmiechnęła się do Maxa przepaszająco.

– Słusznie. Widzisz, Max, tak naprawdę chciałam prosić cię o przysługę. Chciałabym lepiej zrozumieć twoją wizję. Wiem, że miała coś wspólnego z uprowadzeniem stad z Cuailnge. Ale muszę wiedzieć więcej. Muszę wiedzieć, co dokładnie zobaczyłeś.

Max poczuł ściskanie w żołądku. W jej natarczywości było coś, co kojarzyło mu się z panią Millen.

– Nie jestem pewien – skłamał. – Trochę ciężko mi to sobie przypomnieć. Dlaczego to jest takie ważne?

– Zazwyczaj wizja to coś ładnego, pozbawionego większego znaczenia – wyjaśniła panna Boon. Max zaczął się niespokojnie wiercić; pani Millen chciała wiedzieć, czy jego gobelin był ładny. – Ale twoja jest nieco inna. Twój gobelin przedstawiał konkretną osobę. Z fragmentarycznych opowieści Nigela wnioskuję, że twoja wizja przedstawiała szczególną scenę. Jeżeli to prawda, to jest to niezwykle rzadkie. W rzeczywistości praktycznie unikalne. Prowadziłam prywatne badania na temat wizji i takiej jak twoja nie zanotowano od ponad czterystu lat. Od kiedy założono Rowan.

Oddech Maxa drżał; chłopiec znał odpowiedź na swoje następne pytanie.

– Kto miał ostatnią?

– Elias Bram – odparła.

Max pomyślał o unoszącym się w sali z trofeami Trasy jabłku ostatniego dominanta.

– Myśli pani, że miał tę samą wizję co ja? – zapytał Max.

– Nie. Jego była zupełnie inna. Ale, w odróżnieniu od pozostałych, i podobnie jak w twoim przypadku, była powiązana z historią i mitologią. Według zapisków Brama jego wizja przedstawiała nordyckiego boga Tyra wkładającego dłoń do pyska wilka Fenrira. Czy znasz tę opowieść? – Panna Boon uśmiechnęła się do niego; zawsze była zadowolona, kiedy wiedziała coś, czego nie

wiedział kto inny. – Wilk Fenrir był potworem – wyjaśniła. – Potrafił siać niewyobrażalny zamęt, chyba że ktoś go poskromił. Żaden łańcuch nie był w stanie go spętać, więc bogowie w tajemnicy stworzyli magiczny sznur, którego nie dało się rozerwać. Kiedy rzucili potworowi wyzwanie, żeby sprawdził na sznurze swoją siłę, wilk roześmiał się, ale był podejrzliwy wobec tak wątych z wyglądu pęt. Zgodził się dać związać pod warunkiem, że jeden z bogów włoży mu do pyska dłoń na dowód dobrej woli. Tylko Tyr się odważył.

Max wzdrygnął się.

– I co się stało? – zapytał.

– Wilk Fenrir nie mógł się uwolnić z magicznego sznura – mówiła dalej. – Kiedy dotarło do niego, że został schwytany, odgryzł i połknął dłoń Tyra. Dzięki ogromnemu poświęceniu Tyra potwór został unieszkodliwiony podczas Ragnarok, czyli Końca Dni, kiedy miał rozerwać pęta.

– Czy Elias Bram nie poświęcił się w Solas – zapytał Max – żeby pozostali mogli uciec?

– Poświęcił się – potwierdziła panna Boon, przyglądając się chłopcu uważnie. – Czy teraz rozumiesz, dlaczego chcę ci pomóc zrozumieć twoją wizję?

Max nie był przekonany.

– Jest tak, jak pani powiedziałem – odparł. – Nie mogę sobie przypomnieć. Może powinniśmy porozmawiać o tym z panią dyrektorką.

Jej oczy się rozszerzyły. Pokręciła głową.

– Nie, nie! To sprawa tylko między nami. – Przez chwilę była zakłopotana. – Pani Richter nie wie, że prowadzę te badania. Mogłaby pomyśleć, że mam przez nie mniej czasu na obowiązki dydaktyczne. Rozumiesz, prawda?

Max przeniósł wzrok kilka razy z jej twarzy na książkę, po czym w końcu przytaknął.

– Dobrze. Wiedziałam, że to zrozumiesz. – Uśmiechnęła się i odepchnęła od stołu. – Zostawię ci to i mam nadzieję, że to przeczytasz. Być może coś ci się przypomni. Zobaczymy się jutro.

Max zawahał się, po czym zadał ostatnie pytanie.

– Co to jest „Czuwanie Brygidy”?

Panna Boon odwróciła się.

– Gdzie usłyszałeś tę nazwę? – zapytała, a jej nos zmarszczył się z ciekawości.

Max wpadł w panikę; najwyraźniej popełnił straszny błąd.

– Usłyszałem, jak pan Morrow to powiedział – skłamał. – To mnie zaciekało. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem.

Panna Boon uśmiechnęła się i podeszła do Maksa.

– Byronowi ta nazwa mogła się spodobać, bo jest romantykiem – powiedziała. – Chodź, to ci pokażę. To jedno z niewielu miejsc w kampusie, skąd można mu się dobrze przyjrzeć. Księżyc świeci dziś chyba dość mocno.

Poprowadziła Maxa do kilku małych okien na drugim końcu biblioteki. Na dworze panował mrok, a ocean był

spokojną taflą czarnego szkła. Panna Boon wskazała na dużą, wystającą z wody skałę pięćdziesiąt metrów od brzegu.

– To jest Czuwanie Brygidy – westchnęła. – To stara legenda Rowan, ale obawiam się, że pamięć o niej zanika. Pochodzi z okresu założenia szkoły. Jest trochę smutna i chyba romantyczna, w zależności od tego, jak się na to spojrzy. Widzisz, wśród ludzi, którzy przyплыли tu na pokładzie „Pustułki”, była żona Eliasa Brama. Miała na imię Brygida. Wieść głosi, że zanim Elias wyszedł stawić czoło Astarothowi podczas wielkiego oblężenia, błagał żonę, żeby uciekała z innymi. Powiedziała, że opuści go tylko pod warunkiem, że Elias złoży przysięgę, że do niej przyplynie, przeprawi się przez ocean i dołączy do niej na nowej ziemi.

– Jak wiesz, po zburzeniu Solas ślad po Bramie zaginął. Gdy uciekinierzy dotarli do tego lądu i postawili szkołę, Brygida całymi dniami brodziła przy brzegu, patrząc na wschód w nadziei na powrót męża. Nigdy nie przybył. Legenda głosi, że pewnego dnia Brygida zniknęła i zamiast niej przy brzegu pojawiła się skała. Niektórzy – jak choćby pan Morrow – twierdzą, że skała przypomina kształtem kobietę ubraną w koszulę nocną i spoglądającą na ocean.

Max przycisnął nos do okna i wyteżył wzrok. Było za ciemno, żeby dostrzec jakieś szczegóły skały.

– Pomimo wysiłków, ja tego nie widzę. Nawet w dzień – westchnęła panna Boon. – Później powiesz mi,

czy tobie się udało. Myślę, że bardzo dobrze zapoznasz się z Czuwaniem Brygidy, kiedy ty i Alex będziecie szorować „Pustułkę” Dobranoc, Max.

Chłopiec patrzył, jak nauczycielka idzie szybkim, zdecydowanym krokiem przez salę i schodzi po schodach. Zerknął na zegarek bezpieczeństwa. Miał czterdzieści pięć minut do wybicia następnej godziny.

Kiedy Max wygładził stronicę książki, jego palce zdawały się skrzyć elektrycznością. Pies Ulsteru patrzył na niego z książki, jego piękna twarz jaśniała młodością i zdecydowaniem. Max wyciągnął się na krześle i zaczął czytać, ustawivszy alarm w zegarku, żeby zapikał kilka minut przed kurantem.

Historia Cuchulaina rozegrała się w Irlandii w czasach, kiedy kraj ten nie był zjednoczony, lecz podzielony na cztery wielkie królestwa. Jak wielu bohaterów, Cuchulain był synem boga – bóstwa słońca, Lugh, które przybrało postać jętki i wleciało do kielicha z winem szlachcianki w dniu jej ślubu. Po wypiciu wina została ona przeniesiona z druhnami do Sidh – Krainy Duszków – pod postacią klucza łabędzi. Szlachcianka ta była siostrą króla Ulsteru, wysuniętego najbardziej na północ z czterech królestw Irlandii. Szukało jej wszędzie wielu wojowników. Rok później sam król trafił do domu, gdzie znalazł swoją siostrę z małym dzieckiem. Malec miał na imię Setanta. Postanowiono, że po osiągnięciu wieku chłopięcego zamieszka na królewskim dworze.

Kilka lat później, kiedy dzieci ulsterskiej szlachty bawiły się na polu, pojawił się chłopiec, odebrał im piłkę i zdobył punkt. Jako że był nieznany i nikt go nie zapraszał, pozostałe dzieci go zaatakowały. Zamiast uciekać, młodzian stawiał im czoło, deprymując wszystkich swoją zaciekłością. Oznajmił, że imię jego jest Setanta i że na polecenie matki ma odnaleźć króla.

Na dworze kóła Setanta był pierwszy pośród wszystkich dzieci. Pewnego dnia zaproszono go, żeby dołączył do króla podczas uczyty w domu kowala Culanna. W tamtych czasach kowalstwo było bardzo ważnym zawodem w królestwie i Culann dorównywał statusem samemu królowi. Dworzanie wyjechali do domu kowala, zanim Setanta opuścił pole zabaw, i chłopiec musiał podróżować sam.

Było ciemno, kiedy dotarł do domu kowala, wypełnionego światłom i odgłosami zabawy. Wtedy Setanta usłyszał warknięcie psa, którego wypuszczono, żeby pilnował w nocy ziemi kowala. Kiedy wielki wilczur szykował się do skoku, Setanta z całej siły rzucił piłkę w gardziel bestii, prawie rozrywając ją na pół. Zwierzę zawyło, a chłopiec złapał jego cielsko i uderzał nim o kamień, aż rozerwał je na kawałki.

Max wstrzymał oddech i jeszcze raz przeczytał akapit. Brzmiał on przeraźliwie znajomo. To był właśnie sen, który nawiedzał go, od kiedy zobaczył gobelin. Pomyślał o olbrzymim psie ze zmieniającym się pyskiem.

„O czym jesteś?”, zawsze go pytał. „Odpowiadaj albo cię pożrę!”. Max zasłonił usta i zerknął na zegarek. Wiedział, że musi porozmawiać z Davidem i że Nick robi się głodny, ale obaj musieli poczekać.

Kiedy Setanta spojrzął znad ciała psa, zobaczył, że zebrali się wokół niego ludzie króla. Kowal Culann był zły.

– Jesteś tu mile widziany, młodzieńcze – powiedział Culann – z uwagi na twą matkę i ojca, ale nie ze względu na samego ciebie. Przykrość sprawia mi ta uczta.

– A cóż ty masz przeciwko młodemu? – zapytał król.

Kowal odparł:

– Smutkiem mnie napawa, że przyszedłeś pić moje wino i jeść moje potrawy, gdyż wraz z tym psem straciłem źródło utrzymania. Pies ów doglądał mojego bydła i owiec. Wszystko, co mam, mogę teraz stracić.

– Nie gniewaj się, mistrzu mój, Culannie – powiedział chłopiec. – Wydam sprawiedliwy osąd w tej sprawie.

– I jakież to wydasz osąd, chłopcze? – zapytał król.

– Jeżeli w Irlandii jest jakiś szczeniak tego psa, to będę się nim opiekował, aż będzie w stanie wypełniać obowiązki swego ojca. Do tego dnia ja będę psem strzegącym ziemi i owiec – i nawet samego kowala!

Mężczyźni roześmiali się na hardą obietnicę chłopca, ale król zważył jego słowa i uznał, że to godziwa propozycja. Tego dnia chłopiec zostawił za sobą imię z czasów dziecięcych i zaczął być znany jako Cuchulain –

Pies Culanna.

Był zaciekły i dumny i bardzo chciał zostać wojownikiem. Pewnego dnia podsłuchał, jak druid i doradca króla przepowiada, że imię dziecka, które dostanie tego dnia do ręki broń, będzie znane w całej Irlandii, ale jego żywot będzie krótki. Usłyszawszy to, Cuchulain popędził do króla, żądając, aby natychmiast wydano mu broń.

– Kto podsunął ci ten pomysł? – zapytał król.

– Druid – odparł chłopiec.

Mając wielki szacunek do rad druida, choć nieświadomy najnowszej przepowiedni, król ustąpił, a Cuchulain pobiegł do kuźni. Nie można było znaleźć żadnej broni, która odpowiadałaby sile chłopca. Roztrzaskał on wszystkie włócznie i miecze, aż w końcu król pozwolił mu wypróbować swoją własną broń. Tylko ta okazała się godna. Kiedy druid to ujrzał, zawołał:

– Kto kazał temu dziecku chwytać tego dnia za broń?

Król odparł, że polecił to podobno sam druid. Kiedy ten zaprzeczył i opowiedział królowi o przepowiedni, król się rozgniewał i wezwał do siebie siostrzeńca.

– Okłamałeś mnie!

– Nieprawda – odparł chłopiec. – Zapytałeś tylko, kto podsunął mi ten pomysł, a ja odpowiedziałem zgodnie z prawdą. To był druid!

Choć król był zasmucony, musiał przyznać, że chłopiec mówi prawdę. I tak oto Cuchulain wziął do ręki oręż króla i stał się obrońcą Ulsteru.

Legenda o Cuchulainie szybko rozeszła się po okolicy. Walcząc pieszo i na rydwaniu, pokonywał on wrogów Ulsteru. Mówiono, że podczas bitwy miota się jak niesione powodzią drzewo, a jego czoło lśni tak mocno, że nie da się na nie spojrzeć. Jedną z jego głównych broni był „gae bolg” – wielka włócznia, której cios był zawsze śmiertelny.

Największe czyny Cuchulaina miały miejsce podczas uprowadzenia stad z Cuailnge – wojny wszczętej przez sprzeczkę męża i żony. Królowa Connacht, jednego z czterech wielkich królestw Irlandii, pokłóciła się z mężem o to, czyj dobytek i spuścizna są większe. Podczas porównywania okazało się, że jej mąż jest właścicielem magicznego byka z białymi rogami o imieniu Finnenbach. Królowa nie mogła znaleźć równego mu okazu w swoich stadach i, zżerana zazdrością, nakazała wysłannikom wyruszyć do Ulsteru, gdzie chciała kupić rywala Finnenbacha, Brązowego Byka z Cuailnge. Kiedy jej odmówiono, postanowiła zdobyć byka siłą.

Królowa wybrała dobry czas, żeby najechać Ulster. Mężczyzn tego królestwa gnębiła odwieczna klątwa, która osłabiała ich o tej porze roku. Kiedy armie królowej ruszyły na północ, ulsterscy mężczyźni, złożeni niemocą, nie mieli sił, żeby je powstrzymać. Na Cuchulaina, który nie urodził się w Ulsterze, klątwa nie działała, więc sam stawiał czoło wojownikom królowej. Napadał ich w nocy, mordował strażę i zostawiał tylko głowy, jako ostrzeżenie. Jego ataki były tak przerażające, że żołnierze królowej

dygotali na dźwięk jego imienia. Armia została powstrzymana.

Królowa bardzo chciała się z nim układać, obiecując bogactwa i nagrody, jeżeli ustąpi. Cuchulain nie dał się skusić, jednak w końcu, wycieńczony zmaganiem, poszedł na ugodę. W zamian za zakończenie nocnych ataków, każdego dnia miał stawać do walki z jednym rycerzem królowej.

W czasie gdy oni będą walczyć, jej armie mogą posuwać się naprzód. W chwili kiedy rycerz królowej polegnie, jej armie miały się zatrzymać i rozbić obóz.

Każdego dnia Cuchulain spotykał się nad rzeką z innym rycerzem i walczył, podczas gdy armie królowej pędziły w głąb Ulsteru. Wyczyny Cuchulaina były tak niezwykłe, że zainteresowała się nimi Morrigan, bogini śmierci, i zaczęła przyglądać im się z góry pod postacią trzech kruków.

W końcu królowa wysłała do walki krewnego Cuchulaina, który służył królestwu Connacht. Odwołując się do lojalności Cuchulaina, jego krewniak wybłagał, żeby ten ustąpił – w ramach przysługi dla człowieka, który go wychował. Cuchulain niechętnie zgodził się ustąpić pola. Jeźdźcy królowej popędzili naprzód, pochwycili byka i wrócili do Connacht ze zdobyczą.

Kiedy magiczne byki się zobaczyły, dostały szału i postanowiły zniszczyć się nawzajem. W furii spustoszyły okolicę i wszelki ślad po nich zaginął.

Max odłożył książkę. Spróbował wyobrazić sobie gobelin, który widział w muzeum. Jego umysł błąkał się po zielono-złoty niciach w jaskrawej poświacie, która promieniowała z przedstawionej na nim sceny. Teraz zrozumiał tę scenę. Śpiący żołnierze byli osłabionymi mężczyznami z Ulsteru, którzy nie mogli obronić Brązowego Byka z Cuailnge. Nadciągający wojownicy to bez wątpienia żołnierze królowej Connacht. Cuchulain stał dumny z tyłu.

Choć obrazy wydały się chłopcu klarowne, ich interpretacja była niejasna. Koniec końców, Cuchulain poniósł klęskę – królowej udało się zdobyć byka pomimo bohaterstwa Cuchulaina. Czy Maxowi też było przeznaczone walczyć za słuszną sprawę i przegrać? Czy jego żywot też miał być krótki? Chłopiec odwrócił stronę i dotknął ostrożnie guza na czole. Jego wzrok padł na wyblakłą ilustrację przedstawiającą ранego wojownika przywiązanego do kamiennego słupa. Nagłówek głosił: „Śmierć Cuchulaina”.

Max po cichu zamknął książkę.

Bolała go głowa i kotłowało się w niej zbyt wiele myśli, żeby je policzyć. Westchnął, wsunął książkę do plecaka i podszedł jeszcze raz do okna. W kampusie było cicho; wzdłuż ścieżek kiwały się nieliczne latarnie. Max już miał się odwrócić, kiedy na oknie zatańczył mały błysk zielonego światła. Za chwilę zniknął. Chłopiec wyteżył wzrok, osłonił oczy przed odbiciem w szybie i wyjrzał w noc. Następny zielony promień wystrzelił z

ciemnego masywu Czuwania Brygidy. Kiwał się i unosił przed oczami Maxa, po czym za chwilę zniknął. Chłopiec stał jeszcze dziesięć minut przy oknie, ale światło się już więcej nie pojawiło.

PRZEMYTNICY NA PÓŁNOCNYM ATLANTYKU

Poranne niebo nad kopułą było bladoniebieskie. Siedzący pod nią Max zmarszczył czoło, w skupieniu przeglądając grubą książkę z tabelami na lśniącym papierze, kiedy David zszedł po schodkach, żeby się do niego przysiąść.

– Co powiedziała pani Richter? – zapytał Max, przekręcając książkę, żeby przeczytać wyjątkowo szczegółową tabelkę.

– Złe wieści – powiedział David. – Dwa z czterech obrazów to faktycznie falsyfikaty! Wróg już je wykradł.

– Co to za obrazy?

David przyniósł z biurka dwa plakaty. Na reprodukcji obrazu Vermeera dziewczyna czytała list, obraz Rembrandta przedstawiał Abrahama składającego w ofierze swojego syna Izaaka. Max odłożył książkę na stół i przyjrzał się reprodukcjom.

– Nie rozumiem – powiedział, podnosząc wzrok. – Jeżeli chcieli ukryć kradzież obrazów, to dlaczego nie zastąpili wszystkich falsyfikatami? Wtedy nie wiedzielibyśmy nawet, że zależy im na obrazach.

David przytaknął.

– Słuszny argument, ale falsyfikaty musiały być prawdziwe, czyli namalowane ręcznie. Jakiegokolwiek ślady

magii wzbudziłyby podejrzenia. Niewielu ludzi potrafi podrobić obraz Rembrandta albo Vermeera, więc mogliby zostawić kopie tylko kilku dzieł – wyjaśnił David. Nachylił się i przeczytał napis na grzbiecie książki, którą przed chwilą czytał Max. – Jak wygląda twoja analiza Trasy? – zapytał.

Max powoli pokręcił głową.

– Nigdy nie jestem pewien, co to znaczy. Szkoda, że nie piszą tego po angielsku. – Max popchnął do kolegi cienką białą broszurkę pełną wyraźnych niebieskich wykresów i specjalistycznych komentarzy.

– Piszą tu dobre rzeczy – przyznał David, przeglądając broszurę. Wybrał akapit ze strony z podsumowaniem. – „McDaniels nadal demonstruje zdolności znacznie wykraczające poza normalne spektrum umiejętności kandydata. Jak widać w scenariuszach MMCD048, MMCD071 i MMCD093, jego zdolności wzmacniania są na poziomie agenta i w dalszym ciągu będą skrupulatnie badane. Na tle rówieśników McDaniels jest w pierwszej czwórce w scenariuszach z żywymi wrogami, w tym w czterech scenariuszach z losową generacją wieloków. Oceny z realizacji strategii nadal są wysokie, a agresywność McDanielsa powinna być jego atutem, jeżeli będzie w stanie stosować ją wybiórczo. Ze względu na wyjątkowe zdolności fizyczne, McDaniels ma obecnie najlepszy wynik z ćwiczeń na Trasie spośród uczniów pierwszego i drugiego roku.

– To naprawdę brzmi całkiem nieźle! – powiedział

Max, ożywiając się znacznie. David zaczął chichotać. – No co? – spytał Max i uśmiech zamarł mu na ustach na dźwięk nieoczekiwanego parsknięcia Davida.

– Sam możesz przeczytać resztę – powiedział jego kolega, nie mogąc powstrzymać się od uśmiešku, kiedy oddawał Maxowi broszurkę. – Drugi akapit, podsumowanie.

Max przebiegł wzrokiem po stronie, mamrocząc pod nosem, podczas gdy David podniósł rzuconą skarpetkę, powąchał ją i wrzucił do kosza.

– „Utrata czołowej pozycji przez McDanielsa jest niechybna i nieunikniona. Połączenie fatalnych wyników z doboru strategii z dobrymi z realizacji strategii wróży katastrofę; jest to praktyczny ekwiwalent bardzo szybkiego biegu w niewłaściwą stronę.

Szybki bieg w złą stronę zdaje się przychodzić McDanielsowi w sposób naturalny i przewija się regularnie w co zabawniejszych scenariuszach. Możemy polecić MMCD006, MMCD052 i MMCD076 jako nasze ulubione, choć inni są przekonani, że MMCD037 jest pretendentem do tegorocznej składanki z wpadkami. Niestety, skłonności te są podstawową wadą i zalecamy, żeby paletę treningową McDanielsa ograniczono do tych scenariuszy, w których położony jest nacisk na identyfikację problemu i wybór strategii. W interesie jego długofalowego rozwoju McDanielsowi powinno się zabronić dostępu do scenariuszy, które zezwalają na nadrobienie rażących defektów taktycznych sprawnością

fizyczną. Można mieć tylko nadzieję, że stały dopływ scenariuszy strategicznych pomoże mu przewyciężyć lenistwo umysłowe i zbudować solidne fundamenty dla sukcesu na dłuższą metę".

Max zamrugał dwa razy, po czym rzucił broszurkę na stół. Odwrócił się do Davida.

– Oni mogą pisać takie rzeczy?

– Nie bierz tego tak bardzo do siebie – poradził David, wkładając buty do biegania. – Jak ci poszedł egzamin połówkowy ze strategii?

– Oblałem – odparł Max, rzucając ostatnie rozzłoszczone spojrzenie na swoją książeczkę. – Ale przynajmniej Boon przepuściła mnie na połówce z mistyki. Choć mam wrażenie, że tylko po to, żebym opowiedział jej o swojej wizji. Czy ciebie pytała o twoją?

David odwrócił się do garderoby, żeby zmienić koszulę.

– Nie za bardzo. Powiedziałem jej, że zapomniałem – odparł.

– Ja powiedziałem to samo, ale chyba mi nie uwierzyła...

Max zamilkł, kiedy zobaczył w lustrze szafy fragment klatki piersiowej Davida. Długa, paskudna blizna biegła przez środek od piersi po pępek. Mały, blady chłopiec naciągnął koszulkę sportową.

Ktoś zapukał do drzwi.

David wszedł po schodkach. Chwilę później Max usłyszał mrozący krew w żyłach krzyk.

– Zabierzcie to ode mnie! Zabierzcie to ode mnie! – skrzeczała Mamuśka.

– Max, to chyba ktoś do ciebie – powiedział David opanowanym głosem.

Max wbiegł po schodach i zobaczył Mamuśkę opartą o ścianę korytarza z rękami na oczach. Mały koszyk leżał przewrócony na podłodze, a dokoła rozsypały się batoniki energetyczne.

Mamuśka wymierzyła oskarżycielski palec w Boba, który zachichotał po nosem.

– Wiedziałeś, że Max mieszka z tym czymś! – zaszlochała. – Dlatego uparłeś się, żeby Mamuśka zapukała! Mogłam dostać ataku serca przez to, że zmusiłeś mnie do stanięcia twarzą w twarz z tym paskudnym, okropnym stworzeniem! Atak serca! Och, to była makabra!

David przewrócił oczami.

– Przepraszam, Mamuśka – wtrącił Max. – A co wy tu w ogóle robicie?

Bob zaczął mówić, ale wiedźma uciszyła go szaleńczym machaniem rąk.

– Cicho bądź! – syknęła. – Już ty zobaczysz, co ja potrafię ukryć w kanapce z grillowanym serem! O, tak! Zupa będzie jeszcze lepsza! – Zaczęła chichotać i wyglądało, jakby zapomniała o powodzie wizyty. Bob odchrząknął, na co wiedźma kilka razy zamrugała. Nagle dygnęła teatralnie.

– Maksie McDanielsie, przybyliśmy odżywić twoje

ciało i pełnić straż honorową tego błogosławionego dnia największej nadziei.

– Słucham? – zapytał Max, unosząc brwi.

– Bob i Mamuśka przyszli odprowadzić cię na testy – przetłumaczył Bob.

Mamuśka spiorunowała Boba wzrokiem za to, że się wtrącił.

Tego ranka pierwszy rok przechodził comiesięczne testy sprawnościowe – składała się na nie seria zadań podobnych do zmodyfikowanego dziesięcioboju. Testy okresowe nie były zwykle przedmiotem specjalnego zainteresowania, tylko że teraz Max był bliski pobicia kilku rekordów. Rozejrzał się po korytarzu i zobaczył paru uczniów drugiego roku, którzy wystawili głowy z pokojów, najwyraźniej obudzeni przenikliwym głosem Mamuśki. Była wśród nich ponura twarz Alexa Muñoza.

– Dziękuję za... eskortę! – powiedział Max, wypchnął Davida przez drzwi i wyszedł za nim. – Lepiej już chodźmy.

Mamuśka złapała go za ramię oślizgłym, zaborczym chwytem i cała czwórka pomaszerowała korytarzem. Mamuśka nalegała, żeby David szedł przodem, by mogła go mieć na oku. Kilku uczniów z drugiego roku życzyło przechodzącemu Maxowi powodzenia; Alex tylko zamknął drzwi. Przez ostatni tydzień obaj znosili swoją odbywaną codziennie karę we względnym spokoju, szorując i czyszcząc pokład „Pustułki” w pełnej napięcia ciszy.

Kiedy doszli do schodów, Mamuśka wyciągnęła z koszyka baton energetyczny.

– Zjedz to – wyszeptała. W jej głosie pobrzmiewała konspiracyjna nuta. – Zdobyłam je specjalnie dla ciebie. I wierz mi, to nie było łatwe! Są bardzo na czasie!

Max był głodny i zerknął na batonik z muesli w srebrnym papierku. Rozpakował go i wziął gryzą, na co Mamuśka prawie omdlała z zachwytu i błysnęła krokodylim uśmiechem.

– Nikomu nie mówi, że ci to dałam – wyszeptała szybko. – Nie jestem pewna, czy to legalne.

– Nie powiem – obiecał Max, ignorując chichot Davida i przytakując, żeby uspokoić Mamuśkę.

* * *

Choć dzień zapowiadał się na bezchmurny, wiatr przywiódł znad oceanu smugi chłodnej mgły. David pobiegł do pokoju po bluzy i wrócił akurat w chwili, kiedy Stary Tom wybił ósmą. Cała czwórka musiała szybko dotrzeć na boisko sportowe, co zniweczyło nadzieje Mamuśki na dostojny pochód. Przez całą drogę przeklinała.

Widok Yayi uzmysłowił Maxowi, że coś jest nie tak. Obok trybun widać było wielką głowę ki-rin. Max zawołał do idącego przodem Davida:

– Czy to Yaya? Co ona tu robi?

David tylko się odwrócił i nieznacznie uśmiechnął.

Kiedy obeszli Dom Sportowy, zobaczyli na trybunach kilkuset uczniów i wielu wykładowców, którzy na widok Maxa zaczęli wiwatować. Nick popędził w jego stronę, robiąc wokół niego małe kółka i podrygując ogonem z metalicznym furkotem. Max pochylił się i wziął go na rękę. Lymrill od razu zaczepił pazury o jego bluzę i rozluźnił się, uwieszając na chłopcu.

Max odwrócił się i przyjrzał rozgadany widzom. Był wśród nich Jason Barrett, który wiwatował i klaskał tak jak większość szóstego roku. Na jednym z niżej położonych krzesełek siedziała Julie, która trzymała aparat i śmiała się z czegoś, co powiedział ktoś obok. Szybko pstryknęła Maxowi zdjęcie. Pan McDaniels też tam był i machał zaciekle. Siedział obok pana Morrowa, który rytmicznie pykał z fajki.

Max usłyszał gwizdek, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że zniecierpliwiony M. Renard przegania Hannę, która nie sprawiała wrażenia zadowolonej. Doczłapała do Maxa, prowadząc za sobą gąsiątka.

– Witaj, skarbie – zagruchał jej słodki głosik. – Życzę ci dzisiaj powodzenia. Wszyscy trzymamy za ciebie kciuki. I zamieniłam parę słów z tym panem, żeby nie było żadnych krętactw.

– Dzięki, Hanno – powiedział Max, zerkając jeszcze raz na tłum, nie do końca przekonany, czy chce mieć widzów. Znowu odezwał się gwizdek i Max potruchtał do miejsca, gdzie M. Renard zebrał uczniów. Nauczyciel był przeziębiony i głośno zatrąbił, wydmuchując nos w

chusteczkę.

– W porządku, moje serdelki. Dziś będę z was dumny, prawda?

Dzieci przytaknęły.

– Test będziemy przeprowadzać w kolejności alfabetycznej, jak zawsze, oprócz biegów, które będziecie zdawali w parach z osobą o podobnym czasie. Nie przejmujcie się tymi wszystkimi ludźmi – skoncentrujcie się na zadaniach i dajcie z siebie wszystko. Czy ktoś ma coś do powiedzenia?

Connor podniósł rękę.

– Tak, proszę pana. – Wychylił się z kręgu kolegów i koleżanek i dźgnął Maxa palcem w pierś. – Nagonienie tego tłumu kosztowało nas sporo wysiłku, więc tego nie spartacz!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem; nawet M. Renard się uśmiechnął, kiedy podniósł gwizdek do ust, żeby dać sygnał do pierwszego zadania. Max pomachał dłońmi, żeby je rozluźnić, i rzucił długie spojrzenie na rozciągającą się przed nim bieżnię.

Godzinę później Max tonął w wiwatach, rykach, gwizdach i krzykach. Podniesiony na ramionach Jasona i jego kolegi z szóstego roku, złapał oddech i spojrzał w odległy punkt boiska, gdzie na jego oszczepie trzepotała zwycięska flaga. Yaya podniosła się i pokłoniła; David mocno przytrzymał Nicka, żeby lymrill nie zrobił sobie krzywdy. Panu McDanielsowi tak się śpieszyło na boisko,

że prawie zdeptał rząd uczniów, podczas gdy pan Morrow tylko uchylił czapki i pomachał z trybuny z dziwnie smutną miną. Nauczyciel nauk humanistycznych uniósł w stronę Maxa butelkę szampana i wypił z niej łyk, po czym przekazał ją panu Watanabe i pannie Boon, którzy zrobili to samo. Max też do nich pomachał, próbując zignorować wrzaski stojącej nieopodal Mamuśki, że zawdzięcza swój sukces jej „cudownym smakołykom”.

– To dopiero coś, Max – powiedział Jason, podnosząc chłopca wyżej. – Tylko trzynaście lat i już najlepszy w historii Rowan!

Jason urządził w swoim pokoju – drewnianej sali wikingów – imprezę na cześć jego zwycięstwa. Bawiło się na niej około czterdziestu uczniów, którzy grali w karty albo rzutki, lub po prostu siedzieli w małych grupkach, słuchali muzyki albo chodzili na palcach przez pole minowe pudełek po pizzy, poszukując jeszcze czegoś do jedzenia.

Max bawił się rewelacyjnie. Po tygodniach przestrzegania ścisłej diety, teraz napchał się pizzą i słodocznymi. Jeszcze bardziej podobało mu się to, że siedział i rozmawiał z Julie, która zachowywała się, jakby zapomniała o ich niezręcznym pocałunku podczas piosenki Garnkoryjka.

Późnym popołudniem imprezę przerwało głośne pukanie do drzwi. Jason otworzył, a Max struchlał na widok rozgniewanej miny panny Boon.

– Max – poleciała – proszę, weź swoje rzeczy i chodź

ze mną.

Max wytarł ręce w papierowy ręcznik i wstał.

– Czy muszę iść dzisiaj? – zapytał. – Pomyślałem, że może...

– Co pomyślałeś? – przerwała. – Że tego ranka stałeś się gwiazdą, której wszystko wolno? Nie, nie, nie. Czy muszę ci przypominać, że zarówno na imprezę, jak i na karę sobie zasłużyłeś? Alex Muñoz od godziny szoruje kadłub na nabrzeżu. Zbieraj się.

Max zaczerwienił się; ugryzł w język i wymamrotał do wszystkich: „Do widzenia” i „Dziękuję”, unikając po drodze wzroku Julie. Szarpiąc brzeg bluzy, poszedł za panną Boon.

* * *

Max zataczał latarnią szerokie łuki na zmianę gnębiony wstydem i złością. Mgła zrobiła się taka gęsta, że co jakiś czas wpadał na krzaki. Stary Tom był wielką szarą bryłą; porozstawiane w kampusie lampy gazowe ożyły – ich światła pojawiały się w mroku jak błędne ogniki.

Mijając pędem Maggie, Max usłyszał uderzenia ciężkich fal i przenikliwy skrzek mew. Kiedy schodził po stromych schodkach na plażę, z mgły wyłoniła się unosząca się nad nabrzeżem „Pustułka”, zawieszona na kilkunastu wątych linkach. Panna Kraken dostarczyła zaczarowane liny, które uniosły ciężki statek jak balonik z

helem.

Alex stał pod statkiem, szorując go bez przekonania szczotką ze sztywnym włosiem. Ta część kadłuba, która normalnie znajduje się pod powierzchnią wody, była obrośnięta milionami skorupiaków w twardech pancerzach. Od usuwania ich drętwiały ręce. Alex i beznadziejna pogoda gwarantowały, że będzie to szczególnie uciążliwe zadanie.

– Dziwię się, że w ogóle raczyłeś się pojawić – zaperzył się Alex, który po przyjściu Maxa zaczął szorować z zapalem. – Musi być miło robić to, na co ma się ochotę.

Max bez słowa postawił latarnię na ziemi i wybrał jedną z leżących obok wiadra na mopy szczotek z długą rączką. Alex prychnął pogardliwie i skoncentrował się na kadłubie.

Zanim Max zabrał się do pracy, długo spoglądał na Czuwanie Brygidy. Jego kształt był ledwie widoczny przez mgłę i Max zastanawiał się, czy Ronin naprawdę tam był, schowany głęboko wśród skał, krabów i kotłującej się wody. Choć Max chodził teraz codziennie do Trzęsokrokwi, Ronin nie odezwał się ani nie dał żadnego sygnału, odkąd Max otrzymał list. A Max nie wybrał się do Czuwania Brygidy, lękając się wody od czasu nocnego incydentu na „Pustułce”. Chłopiec znalazł sobie miejsce z dala od Alexa i zaczął energicznie szorować.

Przez prawie godzinę pracowali w milczeniu – Alex

niechętnie tarł szczotką, a Max zataczał swoją szerokie łuki – kiedy usłyszeli znad krawędzi kurant Starego Toma. Alex odwrócił się, rzucił szczotkę, która przeleciała tuż obok Maxa i wpadła z łoskotem do metalowego wiadra, i syknął:

– Szoruj dalej, Maksiku. Szoruj albo powiem panie Boon, że mały bohater Rowan zaniedbuje obowiązki!

– Odczep się, Muñoz – warknął Max. – Przez ostatnią godzinę zeszkrobałem więcej niż ty przez tydzień.

Alex uśmiechnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Ty naprawdę jesteś idiotą. Wiesz o tym? I-dio-tą – powtórzył, przeciągając każdą sylabę. – Naszą karą nie jest wyszorowanie „Pustułki”! Panna Boon mogłaby to zrobić w pięć minut odrobiną mistyki. Naszą karą jest sterczenie tutaj. Możesz się zaharować na śmierć, Maksiku. Nikogo to nie obchodzi, kretynie. Rany, poczekaj tylko, aż sadło tatusia obrośnie ci jeszcze mózg. Nikt nie uwierzy, że tu chodziłeś!

Max przestał szorować. Jego głos był łagodny.

– Nie waż się nic mówić na mojego ojca.

– Nie muszę – zaśmiał się Alex i wzruszył ramionami. – Powinieneś usłyszeć, co wszyscy o nim mówią! Myślisz, że to przypadek, że „pomaga” w kuchni? Bo ja nie. Moim zdaniem tatko chce zwędzić coś do jedzenia... Nic dziwnego, że mamusia dała dyla, co?

Słowa Alexa były jak policzek. Max nagle zaczął go widzieć bardzo wyraźnie, pomimo mgły spowijającej

nabrzeże. Wypuścił szczotkę. Uśmiech Alexa na chwilę zniknął – na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie – ale zaraz wrócił.

– Co? – zapytał. – Chcesz się ze mną bić? Nie boisz się tak bez Boba i panny Boon? Tym razem cię nie uratują...

Max pokręcił głową i zrobił krok do przodu, macając stopą, żeby sprawdzić stabilność podłoża. W jego głosie było chrapliwe drzenie.

– Na twoim miejscu martwiłbym się o siebie.

Alex zmarszczył brwi i zrobił krok w tył. Nagle jego twarz wykrzywił wstyd i obrzydzenie.

– W porządku! – wymamrotał, jakby sam do siebie. – W porządku. To do roboty. Ale pod jednym warunkiem.

– Może być ich nawet dziesięć – wyszeptał Max. – Nic ci nie pomoże.

Oczy Alexa zaślniły, kiedy się uśmiechał.

– Bez zegarków – powiedział. – Nie chcę, żebyś zaczął w połowie wzywać pomocy.

Max zerknął na zegarek bezpieczeństwa, którego mała tarcza zaparowała. Wyraźnie nakazano mu, żeby nigdy go nie zdejmował. Jednak Alex rozpiął swój zegarek i uśmiechnął się pogardliwie, widząc wahanie Maxa.

Max zdjął zegarek i położył go na nabrzeżu.

Tak jak się tego spodziewał, stopa Alexa wystrzeliła, jak tylko Max się podniósł. Chłopiec odsunął się, złapał ją i podciął drugą nogę Alexa, który przewrócił się boleśnie.

Alex skrzywił się i szybko się podniósł; Max stał bez ruchu, z największym wysiłkiem opanowując furję, która rozchodziła się po każdej cząstce jego ciała. Alex zbliżał się do niego, oddychając ciężko i okrążając go, starając się przyprzeć do ciężkiego drewnianego słupa. Zamarkował natarcie, po czym nagle zatrzymał się i podniósł dłonie.

Mokre nabrzeże zamieniło się w lód.

Max próbował skoczyć, ale brak tarcia sprawił, że nogi mu się rozjechały. Upadł ciężko i uderzył głową o słup. Za chwilę Alex był na nim, dociskając mu łokciem gardło i zaciekle młóćąc pięściami.

W Maksie wezbrał gniew. Złapał nadgarstki Alexa, a ten jęknął z bólu. Max szarpnął gwałtownie całym ciałem i zrzucił z siebie napastnika. Podniósł się w ułamku sekundy. Alex leżał na nabrzeżu i zanim zdołał się ruszyć, Max już na nim siedział.

– Teraz cię słucham, Muñoz – wydyszał. – Wysłucham wszystkiego, co masz mi do powiedzenia. Zobaczymy, co teraz powiesz o mojej rodzinie!

Z głośnym trzaskiem pięść Maxa przebiła deskę na prawo od głowy Alexa. Z nabrzeża uniósł się dym. Chłopiec z drugiego roku wrzasnął i zaczął się wic przerażony, ale nie mógł się wyswobodzić z uścisku napastnika.

Emocje rozsadzały Maxa; dygotał, a po twarzy ciekły mu łzy.

– Nic nie mówisz? Czy to w ogóle możliwe?

Trzask!

– Skończyły ci się obelgi na mojego tatę? To może powiesz, jaki jestem głupi?

Trzask!

– Nie? To powiedz coś na moją mamę! Może mi powiesz, dokąd poszła? Bo ty przecież wiesz najlepiej! No dalej, powiedz mi!

Trzask! Trzask! Trzask!

Trzy kolejne dziury pojawiły się w nabrzeżu, które teraz dymiło i było gorące. Max jeszcze raz podniósł zakrwawioną dłoń, po czym zamarł. Alex przestał się szarpać i leżał bez ruchu, a na jego pustą twarz padał chłodny deszczyk.

Przez chwilę Max myślał, że go zabił, że w furii udusił chłopca. Ale wtedy Alex nagle odzyskał przytomność i spojrzał na Maxa z niemym przerażeniem w oczach. Max zamrugał. Jego gniew rozpląnął się we mgle. Wypuścił Alexa i powoli stanął na nogi.

– Nie jesteś tego wart – westchnął.

Alex leżał przez chwilę i oddychał ciężko. Pomacał się po twarzy, najwyraźniej sprawdzając, czy nic mu się nie stało. Po omacku wyszukał dziury w nabrzeżu i powiódł palcami po ich poszarpanych krawędziach. Podniósł się niezdarnie, po czym zakaszłał i chwiejnym krokiem minął Maxa, który przyglądał mu się bez słowa, zdezorientowany. Alexowi zebrało się na mdłości i zwymiotował do wody. Potem wytarł sobie usta, znowu zakaszłał i wyrzucił zegarek Maxa daleko w szare fale.

Patrzył, jak zegarek tonie, i przez chwilę przyglądał się wodzie. Kiedy się w końcu odwrócił, miał w dłoni długi, cienki nóż – tę samą paskudną broń, którą często nosił Cooper. Płakał.

– Alex – powiedział Max opanowanym tonem. – Nie powinieneś wnosić noża z sali treningowej.

Alex nie odpowiedział; jego twarz wykrzywił niemy krzyk wściekłości, strachu i upokorzenia. Ramiona mu dygotały, kiedy przerzucił nóż do drugiej dłoni.

– Alex! – syknął Max. – Co ty wyprawiasz?

Odpowiedzią był morderczy zamach nożem, którego czubek przeleciał tuż obok piersi chłopca, kiedy ten odskoczył do tyłu oniemiały. Szlochając, Alex przerzucił nóż do prawej dłoni i dźgnął w górę. Max odskoczył do tyłu poza zasięg broni, prawie ześlizgując się z nabrzeża do wody.

– Alex, przestań! – zawołał. – Bójka już się skończyła!

Wtedy, nad ramieniem Alexa i przez mgłę, zauważył postać zbliżającą się szybko z plaży.

– Na pomoc! – krzyknął. – Panna Boon? Tutaj! Pomocy!

Alex zamarł i odwrócił się, wyężając wzrok, żeby zobaczyć coś we mgle. Pochylił się i wrzucił nóż do jednej z poszarpanych dziur, które Max wybił w nabrzeżu. Potem podniósł się i ruszył chwiejnym krokiem w stronę postaci.

– Panna Boon? – zawołał Alex. – Dzięki Bogu, że

pani się zjawiała! McDaniels chciał mnie zabić!

Max miał podnieść głos, żeby zaprotestować, kiedy zamarł. Zbliżająca się postać nie poruszała się jak panna Boon i była zdecydowanie za wysoka. Max poczuł w ustach smak żółci, kiedy zdał sobie sprawę, co to jest.

– Alex – krzyknął. – Uciekaj! To nie jest panna Boon!

Po nabrzeżu biegł wielok.

Ręce Alexa opadły wzdłuż ciała; w mgnieniu oka wielok chwycił chłopca i przycisnął go sobie do biodra.

– Puszczaj go! – wrzasnął Max i popędził po nabrzeżu w stronę stwora.

Wielok wydał z siebie gardłowy pomruk, który przeszedł w cienkie wycie. Przycisnął Alexa mocniej i pochylił się, żeby schwycić Maxa. Jednak chłopiec był zbyt szybki. Rzucił się na wieloka jak rakietą. Czubkiem głowy uderzył go w pysk. Wielok wydał z siebie jęk zaskoczenia i wypuścił Alexa. Wykorzystując zdumienie potwora, Max kopnął go z całej siły w kościstą nogę. Stwór zachwiał się.

Alex był nieprzytomny. Wielok stał między nimi a plażą. Choć zegarek starszego chłopca był tylko sześć metrów od niego, Max nie mógł do niego sięgnąć, nie zostawiając na chwilę Alexa sam na sam z wielokiem. Złapał więc bezwładną dłoń kolegi i powlókł go z dala od stwora, który teraz sunął za nimi na czterech łapach.

Prawie się zaśmiał z szoku i przerażenia, kiedy nagle coś sobie uzmysłowił. Głos Nigela praktycznie wrzeszczał

mu w głowie:

„Zawsze uważaj na drugiego wieloka, Max. Zawsze!”.

Cios w tył głowy był tak silny, że Max stracił przytomność, zanim zdążył poczuć, jak chwytają go pazury.

Max jęknął i zmusił się do otwarcia oczu. Było ciemno. Miał lepką szyję i obolałe stawy, a jego ciało trawiła gorączka. Był przykryty jakimś futrem, które cuchnęło – czuł przyprawiający o mdłości fetor zwierzęcego tłuszczu i zalatującego piżmem włosia. Kiedy zaczął się krztusić, dotarło do niego, że ma ręce i nogi przywiązane do czegoś twardego. Rzucając głową na boki, by odsunąć odrażające futro od twarzy, strącił przy okazji kilka szklanych przedmiotów. Jego ciało podnosiło się i opadało w łagodnym rytmie, od którego zbierało mu się na mdłości. Dokoła słychać było trzaski i skrzypienie drewna.

„Jestem na statku” – pomyślał.

Usłyszał nad sobą kroki; drzwi otworzyły się z łoskotem i do pomieszczenia wpadł pod kątem promień księżyca.

– Jeden chyba się obudził – powiedział głos mężczyzny. Niepewny. Starszy.

– Który? – doszedł go znajomy głos kobiety. Max wzdrygnął się i poczuł, jak ciekną po nim krople potu.

– Ten zadziorny – odparł mężczyzna. – Czas dać mu

zastrzyk.

Coś zasłoniło światło księżyca; na ścianie pojawił się przerażający cień.

Max usłyszał skrzypienie schodów pod powolnymi krokami. Z całej siły wyprężył się w więzach, ale trzymały mocno. Do kajuty zajrzała jakaś twarz. Na widok jej oczu Max poczuł falę pierwotnego lęku: chłodne, zwierzęce oczy – oczy, które analizowały, w których widać było odległy przebłysk ludzkiego intelektu. W oświetlonej blaskiem księżyca kajucie dało się zobaczyć tylko niektóre cechy: jaskrawy błysk zęba, wilgotność pyska, lśniące oko, wilcze uszy. Max wstrzymał oddech, kiedy przez chwilę się sobie przyglądali. Wielok niósł lampę, która nagle zaczęła świecić, a kontury sylwetki i rysy potwora tańczyły i migotały. Kiedy kajuta była już rozświetlona słabym żółtym blaskiem, Max zobaczył starszego, wychudzonego mężczyznę z małymi czarnymi oczami, w luźnym, brudnym płaszczu. Mężczyzna zawiesił lampę na krótkim łańcuchu, który zwisał z sufitu kajuty.

– Dobry wieczór – powiedział, przechylił głowę na powitanie i podszedł do lodówki wciśniętej w wielki zwój liny. Max przyglądał mu się w milczeniu. Mężczyzna pogrzebał w zawartości lodówki, po czym odwrócił się i pokazał olbrzymią strzykawkę, największą, jaką Max kiedykolwiek widział. Złapał równowagę, kiedy statek się kiwał i podszedł do chłopca. – Czas na twój zastrzyk – wyjaśnił, wyciskając ze strzykawki odrobinę

przeźroczystego płynu.

– Nie dotykaj mnie! – zawołał Max, szarpiąc się w więzach. Czuł ból w głowie.

– Ostrożnie – ostrzegł go mężczyzna, zdejmując z chłopca brudne futro. – Musisz dostać lekarstwo. Chyba że chcesz mieć coś takiego. – Otworzył szeroko usta i pokazał wystające z dziąseł zagięte kły. – Widzisz, Peg cię drasnęła. Nie chciała, ale tak jakoś wyszło przez to twoje szarpanie.

– To pan był na nabrzeżu – wymamrotał Max, przyglądając się twarzy mężczyzny. – To pana kopnąłem.

Mężczyzna uśmiechnął się i zbył to machnięciem dłoni.

– Byłeś przestraszony – powiedział. – To zupełnie naturalne.

– Jestem głodny. Nie wiem, jaki dziś dzień.

– Miałeś bardzo wysoką gorączkę – powiedział mężczyzna ze współczuciem. Spałeś przez trzy dni. Za chwilę przyniosę ci coś do jedzenia, po lekarstwie. Widzisz, nie chcemy mieć tu kolejnego paskudnego, brzydkiego wieloka. Nie, proszę pana, wystarczająco wielu już nas tu biega. Chcemy, żebyś był taki, jaki jesteś. A teraz nie ruszaj się. Może cię trochę szczypać.

Mężczyzna podciągnął bluzę Maxa i odsłonił mu brzuch. Chłopiec zacisnął kurczowo powieki, rozpaczliwie usiłując zignorować instynkt, który nakazywał mu szarpać się i kopać, żeby ochronić wrażliwe miejsce. Ukłucie igły było jak dźgnięcie

płomienia; po twarzy Maxa pociekły łzy, a jego dłonie zatrzepotały i zaczęły drapać drewno. Potem ból zniecierpliwienia ustąpił.

– Już po wszystkim – uspokoił go mężczyzna, zabierając igłę. – Gotowe. Możesz mi mówić Cyrus.

Kajuta wydała się nagle Maxowi bardzo ciasna; chłopiec zaczął się pocić.

– Cyrus, potrzebuję powietrza – wyjęczał.

Mężczyzna był zdziwiony tą prośbą. Przeszedł nad lodówką i schował strzykawkę, po czym ruszył na górę po schodach.

– Porozmawiam z Peg – wymamrotał i wyszedł przez właz.

Max usłyszał z pokładu szepty. Chwilę później Cyrus zszedł z powrotem, pochylił się nad Maxem i sprawnie rozluźnił skomplikowane węzły krępujące chłopca. Rozdygotany Max wstał.

– Tu jest zimno – powiedział Cyrus. – Narzuć to sobie na plecy. Będzie ci cieplej.

Max zwalczył odruch wymiotny, kiedy mężczyzna otulił mu ramiona dziwnym futrem; znów lepiły się do niego strzępki skóry i sadła, jakby ktoś śpieszył się, oprawiając wielkie zwierzę.

– Gdzie jest Alex? – wymamrotał, kiedy zaczęła mu wracać pamięć o wydarzeniach na nabrzeżu.

Cyrus mruknął i pokazał na koję nad nimi, gdzie podobnie związany Alex mocno spał. Jego twarz miała niezdrowy, blady odcień.

– Nic mu nie jest – wyszeptał Cyrus, kierując Maxa w stronę schodów. – Tylko śpi. A teraz zjedz to.

Max dostał do ręki ciastko; było chropowate i wilgotne i pachniało pleśnią. Pomimo głodu, Maxa odrzuciło.

– Nie ma nic lepszego, dopóki nie przybijemy, chyba że chcesz zakosztować naszych racji – powiedział Cyrus. – Mamy mnóstwo mięsa. Świeżego mięsa. Powiedz słowo i się z tobą podzielę. Tylko nie mów Peg!

Max nie chciał się domyślać, jakie mięso jadają wieloki. Zmusił się, żeby przeżuć mączne ciasteczko, które miało konsystencję wykładziny.

Na pokładzie panował ziąb, ale dało się wytrzymać. Bezchmurne niebo było usiane gwiazdami, które świeciły nieprawdopodobnie mocno i jaskrawo. Otaczający ich ocean falował w skrzących się promieniach księżycowej poświaty, w której widać było kiwające się na wodzie kawałki lodu. Widmowe góry lodowe wznosiły się w oddali, a statek sprawnie i szybko przemierzał łagodne fale.

Cyrus poprowadził Maxa w stronę czerwonej poświaty, po pokładzie zagraconym porozrzucanymi skrzynkami i linami. Czerwona poświata okazała się żelaznym czajnikiem zawieszonym nad gorącymi węglami. Przy czajniku siedziała kobieta, która robiła na drutach.

Tą kobietą była pani Millen.

Spojrzała na Maxa, a jej oczy były jak dwa

połyskujące w ciemności nienaturalne punkciki zimnego światła. Jej gardłowy chichot przywiódł koszarne wspomnienia.

– Ho, ho, ho! Jak się masz, Maksie McDaniels? Nie wiedziałam, że jeszcze cię zobaczę! Chodź i usiądź obok Peg. Nie ugryzę!

Max opierał się, kiedy Cyrus pchał go do przodu, ale nie miał siły. Był teraz na tyle blisko, że wyraźnie widział jej twarz. Nie miała makijażu i wyglądała na znacznie starszą. Miała zapadnięte usta i zagryzała dziąsłami wargi, kiwając się i robiąc szybkimi ruchami całun z czarnej wełny.

– Urosłeś – wymamrotała.

Max usiadł ciężko na skrzyni obok niej zmuszony przez Cyrusa, który zajął potem miejsce po drugiej stronie. Maxowi kręciło się w głowie z gorączki i przez kilka minut tylko przyglądał się, jak jego oddech rozprasza się w małych chmurkach mgły. Panowała cisza, przerywana tylko pobrzękiwaniem drutów i łagodnym trzaskaniem dopalających się węgielków.

– Dokąd płyniemy? – zapytał chłopiec cichym, słabym głosem.

– Do tajnego miejsca – zachichotała Peg, zagryzając dziąsłem wargę.

– Dokąd? – wyszeptał Max.

Druty znieruchomiały, a Cyrus zaczął się wiercić. Dłoń Peg pomknęła jak strzała, chwyciła Maxa za nadgarstek i wykręciła mu rękę.

Błysnął nóż.

Max krzyknął z bólu, kiedy ostrze przecięło mu dłoń.

Kropłe krwi spadały miękko na materiał całunu, który, wchłaniając je, zaczął lśnić matowym, zielonym światłem. Peg odrzuciła rękę chłopca z pogardą. Nóż zniknął w jej szatach, a całun przestał świecić na zielono.

– To Peg zadaje pytania – warknęła. – Nie niegrzeczni chłopcy, za którymi trzeba ganiać miesiącami przez pół świata.

Pochyliła się nagle i przysunęła twarz do twarzy chłopca. Z jej ust pryskały kropelki śliny, a w miarę jak wzrastał się jej gniew, z dolnej szczęki wyrosły długie kły. Max prawie spadł ze skrzynki.

– Gdyby to ode mnie zależało, to byłbyś już w mojej spizarce, ty mały robaku! – warknęła Peg. – Masz szczęście, żeś coś wart, a Peg ma swoje rozkazy. – Wielok przez chwilę dyszał, obserwując każdy szczegół przerażonej twarzy Maxa, a gniew stworzenia powoli przeszedł w zadowolenie. Milimetr za milimetrem, zęby wsunęły się z powrotem w dziąsła, a wnętrze ust zamieniło się w miękką masę. – Tak, tak, wobec tego to mamy plany – wymamrotała, ponownie biorąc się za robótkę na drutach. – Marley i zdrajca tak twierdzą... Jeżeli to o tego im chodzi. Bo jak nie... ho, ho, ho! To trafi do Peg!

Maxa zabrano z powrotem do cuchnącej kajuty, gdzie Cyrus zabandażował mu świeżą ranę.

– Nie możesz denerwować Peg – ostrzegł, zaciskając

plataninę linek i węzłów wokół Maxa, którego powieki trzepotały z bólu i wyczerpania. – Nie możesz tego robić. Bo nie będę ci w stanie pomóc.

Cyrus wmusił w Maxa kolejne ciastko i trochę wody, po czym zabrał latarnię i zniknął na górze. W kajucie zrobiło się ciemno. Max słyszał oddech Alexa. Wiedział, że niedługo jego ojciec się obudzi i będzie pomagał Mamuśce i Bobowi przygotować w kuchni śniadanie. Podopieczni będą mocno spać w Chatce Rozgrzewania. David będzie miał ich obserwatorium tylko dla siebie. Max nie przypuszczał, żeby Davidowi to się spodobało, i miał nadzieję, że Connor wprowadzi się na jego miejsce.

Statek zadygotał, zderzając się z wyższymi falami.

Co pani Richter powie jego ojcu?

Jak wieloki dostały się na teren Rowan?

Czy Cooper ich szukał?

Czy Yaya zaopiekuje się Nickiem? Czy zajmie się nim Nolan?

Myśli migwały jak znaki drogowe – niektóre istotne, inne próżne i głupie – a Max próbował wyobrazić sobie świat bez siebie. Westchnął i pożałował, że nie ma przy nim Nicka i gąsiątek, po czym zasnął i nic mu się nie śniło.

KRYPTA MARLEYA AUGURA

Kiedy Max otworzył oczy, widział tylko ciemność. Zamknął je więc i postanowił oszczędzać siły. Gdzieś go niesiono; włożono mu coś na głowę.

Nie potrafił zrekonstruować reszty podróży. Nie był pewien, czy płynęli kilka dni, czy kilka tygodni. Majaczyły mu przebłyski światła dziennego i ciche bębnienie deszczu. Co jakiś czas pozwalano im załatwić się do wiadra. Ostatnie, co pamiętał Max, to że po obudzeniu zobaczył stojącą nad nim z czarnym całunem Peg, która mamrotała coś w dziwnym, mrukliwym języku.

A teraz miał świadomość, że przewieszony przez ramię wieloka, jest znoszony po wielu schodkach. Z każdym krokiem stwora ciało chłopca podskakiwało. Otworzyły się drzwi i Max poczuł, jak przez worek na jego głowie przewiewa chłodne, zatechłe powietrze.

– Spóźniliście się, Peg – powiedział głos z prawej strony. Był głęboki i władczy.

– Nic nie dało się na to poradzić – wymamrotała Peg, której usta były niepokojąco blisko ucha Maxa.

Chłopca posadzono na krześle, po czym zdjęto mu worek z głowy. Udając, że jest nieprzytomny, zwiesił głowę na bok. Wtedy, jak plama rozchodząca się po pokoju, nadeszło to coś. Było bardzo zimne. Powietrze

zaczęło drżeć i elektryzować.

– O którym mówił zdrajca?

– O tym – wskazała Peg. Postukała chłopca w czubek głowy twardym paznokciem. – Udaje, że śpi.

Max zignorował ją. Nadal nie otwierał oczu i skoncentrował się na trawiącej go gorączce. Gryzące opary paliły mu nozdrza pomimo ciężkiego, wilgotnego powietrza. Słysząc było kapanie wody; pomieszczenie musiało być bardzo duże. Max usłyszał, jak po lewej stronie coś się porusza.

– Wszystko w porządku, chłopcze – powiedział głos, dudniący, ale nie nieprzyjazny. – Otwórz oczy.

Max podniósł głowę, a jego wzrok powoli przyzwyczajał się do półmroku. Najpierw rozejrzał się, szukając źródła nieznanego głosu, ale w ciemności zobaczył tylko dwa światełka. Alex też je zobaczył; siedział na krześle obok, trzymał się go przerażony i patrzył bez słowa przed siebie.

Byli w ogromnym pomieszczeniu z chłodnego kamienia; wysokie ściany i kolumny były wilgotne od mchu i włochatych narośli. Jedyne światło dochodziło z lamp naftowych i małego ogniska po lewej stronie od Maxa. Nad ogniskiem zawieszony był kociołek, który regularnie wypluwał z siebie kłęby cuchnących oparów. Za kociołkiem stały długie drewniane stoły zastawione dzbankami i flaszками pokrytymi czarnym osadem. Na stołach leżało porozrzucanych wiele książek, wiekowych i postrzępionych jak księgi czarów Davida. Jednak uwagę

Maxa zwróciły przede wszystkim obrazy. Za stołami, na ciemnych, wilgotnych ścianach wisiało kilkanaście obrazów, co wyglądało jak mroczna parodia muzealnej galerii.

Max poszukał wzrokiem wyjścia, ale zobaczył Cyrusa, w postaci wilka, siedzącego u stóp kamiennych stopni, które prowadziły w górę w czarny jak smoła mrok.

Przy uchu Maxa odezwał się głos i chłopiec podskoczył przestraszony.

– Dobrze ci się płynęło, słonko?

W półmroku na twarzy Peg pojawił się uśmiech. Miała rozczochrane włosy, a jej policzki były zapadnięte jak głębokie jamy.

– Daj mu spokój, Peg – powiedział opanowany, władczy głos. – To wielki dzień dla naszego gościa; nie psuj mu go bez potrzeby.

Peg spojrzała na niego spode łba i wróciła na bujany fotel nieopodal kotła. Wzięła druty i zabrała się do robienia kolejnego całunu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Max, a jego głos zabrzmiał słabo i dziecinnie w olbrzymiej komnacie.

– Jesteś w Irlandii, mój synu. Jesteś wśród przyjaciół w kraju poetów i królów.

– Czy to pan tam siedzi? – wyszeptał Max, wpatrując się w świecące małe oczy.

Lodowate punkciki światła pokiwały w ciemności i coś zaczęło się zbliżać. Z mroku wyłoniła się przerażająca postać.

Mężczyzna miał ponad dwa metry wzrostu, a jego kości skrzypiały, kiedy się prostował. Stalowszare włosy były zaplecione w warkoczyki przy skroniach. Na głowie miał zmatowiałą obręcz, a na szyi opaskę z grubego srebra. Postrzępione lniane szaty były wykończone przeplatającymi się wzorami w kolorze wyblakłej zieleni i zwisały luźno z wychudzonej sylwetki. Resztki ciała były zapadnięte i w stanie rozkładu. Rysy twarzy ułożyły się w uśmiech, a dwa punkciki jasnozielonego światła migotały z głębi oczodołów.

Kiedy postać stanęła przed chłopcem, Max wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

– Wiem, że niemiło się na mnie patrzy – powiedział ze smutkiem stwór. – To się zmieni.

Poklepał Maxa w ramię i chłopiec prawie zemdłał; dotyk był jak lód, a ciało wilgotne jak ziemia.

– Ten jest silny – syknęła z kąta Peg. – Powinniśmy go związać.

– To gołowas – zachichotała cicho kreatura. – Jest naszym gościem, a nie więźniem. On ujrzy mądrość naszych słów. – Stworzenie odwróciło się do Alexa. – A ty jak się nazywasz, synu?

Chłopiec wzdrygnął się, kiedy stwór się nim zainteresował.

– AlexMuñoz.

– Jesteś tu mile widziany, Alex – powiedział stwór. – Wysłałem Peg po tamtego. Jak to się stało, że mogliśmy zaznać również twojego towarzystwa?

– Obaj byli na nabrzeżu – zachichotała Peg. – Bili się. Uratowałam tego, zanim został mordercą. Zgadza się?

Stwór spojrział surowo na Alexa.

– Czy to prawda? Dlaczego miałbyś podnosić dłoń na brata?

– Nienawidzę go! – wyduślił z siebie nagle Alex, zerkając na Maxa. – Nienawidzę wszystkiego, co ma z nim jakiś związek!

Stwór przez chwilę wazył słowa, po czym dał sygnał Peg. Ta położyła czarny całun na ramionach Alexa, jakby chciała go ogrzać. Max nachylił się do przodu.

– Co z nami zrobicie? – zapytał. – Gdzie są pozostali?

Cyrus wyszczerzył zęby ze swojego miejsca przy schodach. Mężczyzna zignorował Maxa i podszedł powoli do jednego ze stołów sztywnym, ociężałym krokiem.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, Peg. – Powiedział to takim tonem, jakby myślał o czym innym. Mieszał coś w przybrudzonej kolbie. – Ten z całą pewnością też się przyda.

Wrócił i stanął nad Alexem.

– A jaka była twoja wizja, moje dziecko? – zapytał. – Mów szybko i samą prawdę.

– Marnujemy czas! – powiedziała Peg niskim i wściekłym głosem. – Ten chłopak jest bez wartości, tak jak pozostali! Zgadzam się ze zdrajcą – to McDaniels jest nam potrzebny!

Kreatura odwróciła się powoli do Peg i pierwszy raz Max zobaczył, jak krwiożerczy wielok ucieka wzrokiem.

Peg sięgnęła po grubą książkę i pióro na stole, po czym wróciła szybko na swój fotel. Stwór nie spuszczał z niej wzroku.

– Muszę się upewnić – powiedział w końcu. – Może ty wyjaśnisz naszemu Panu, że jego cierpienie przedłużyło się przez twoją głupotę. Jeżeli zmarnujemy zawartość kotła na złe dziecko, to twoja głowa spadnie.

Peg zagryzła wargę, a stwór zwrócił się do Alexa.

– Teraz, moje dziecko, opowiedz mi o swojej wizji – mówił dalej. – W jaki sposób poznałeś swą wielkość?

– Alex, nic im nie mów! – syknął Max.

– Zamknij się, McDaniels. – Alex odwrócił się do kreatury. – Czy jeżeli opowiem panu swoją wizję, to mnie pan wypuści?

– Nie – odparł stwór. – Przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale mogę ci obiecać inne rzeczy.

– Na przykład co? – zapytał Alex i zaczął się wiercić.

– Władzę – brzmiała odpowiedź. Słowo to wypełniło powietrze i rozeszło się głośnym echem po komnacie.

Alex wzdrygnął się i wyprostował na krześle.

– Potęgę – wymieniał dalej stwór. – Uznanie. Nagrody. Wszystko, czego w głębi duszy pragniesz. Rowan trawi zima; niewiele jest tam kwiatów i szybko więdną. Po co trudzić się jako sługus ludzkości, kiedy można być jej władcą?

Alex nic nie powiedział. Gnijąca kreatura uśmiechnęła się do niego.

– Czy boisz się Peg? – zapytał, wskazując na wieloka,

który siedział i przyglądał się im przez przymknięte powieki.

Alex przytaknął.

– Dlaczego masz się bać Peg, kiedy mogłaby być twoim niewolnikiem? – zapytał stwór.

– Alex! – szepnął Max. – Nie słuchaj tego. To kłamstwo!

Alex posłał Maxowi mroczne spojrzenie.

– Nie – powiedziała kreatura i wyprostowała się. – To nie jest kłamstwo i on o tym wie. Prawda, Alex? Wiesz, że mówię prawdę.

Alex przytaknął.

– Powiem – wyszeptał. – Powiem.

Stwór mruknął zadowolony i zaczął przelewać bulgoczący płyn z zapyziałej kolby do drewnianego kielicha.

Alex opowiedział o tym, jak pewnego dnia zauważył wielką ostrygę w basenie ojca, która nieoczekiwanie otworzyła się, ukazując czarną perłę rozmiarów kuli bilardowej. Przez całą opowieść Max słyszał skrzypienie pióra Peg zapisującej relację w grubej księdze, którą trzymała na kolanach.

– Wspaniała wizja – powiedział stwór, nachylając się, żeby napić Alexa płynem z kielicha. – Nie jesteś tym, którego szukamy, ale oddaję cześć twojej wielkości.

Alex miał niewyraźną minę. Powąchał płyn i zmarszczył nos.

– Muszę? – zapytał.

– Jeżeli naprawdę pożądasz tych rzeczy, które wymieniłem – powiedział stwór, zaciskając palce Alexa na kielichu. – Nasz Pan już niedługo będzie wolny, rozpocznie panowanie i wszystko będzie tak, jak powiedziałem. Jednak nie ceni on sobie tchórzostwa...

– Nie jestem tchórzem! – zawołał Alex i połknął miksturę. Dławił się i krztusił, ale udało mu się ją w siebie wmusić. Czarny płyn wyciekał mu z kącików ust. Chłopiec upuścił kielich na ziemię, uśmiechając się do Maxa zaczepnie. Nagle jego powieki zamknęły się, głowa opadła do przodu, a całun zaczął skrzyć się i lśnić. Max miał wrażenie, że Alex wypił właśnie kielich smoły i umarł.

– Co mu zrobiliście?! – wrzasnął, a jego słowa rozeszły się echem po obszernej kamiennej komnacie.

Peg zaczęła chichotać i wróciła do robótki na drutach.

– Rozpoczął swą wędrówkę – powiedziała powoli kreatura, klepiąc Alexa po głowie i schylając się, żeby podnieść kielich. – A teraz zajmijmy się tobą. Bardzo chciałem cię poznać, Maksie McDaniels.

– Stwór odwrócił się i spojrzał na Maxa z góry. – Powiedz mi, dziecko, o czym była twoja wizja? Co zobaczyłeś tego dnia, kiedy nam się ujawniłeś? – Jego głos był przyjazny i zachęcający.

– Nie pamiętam – powiedział równym tonem Max i odwrócił wzrok.

– Nie utrudniaj – ostrzegł stwór. – Pamiętasz! Ja nadal pamiętam swoją, a było to wiele wieków temu.

– Jest pan jednym z nas? – zapytał z niedowierzaniem Max.

– Nie jestem – padła szorstka odpowiedź. – Opuściłem wasze szeregi dawno temu.

– Kim pan jest? – zapytał Max. – Dlaczego pan to robi?

Stwór odwrócił się i postawił kielich Alexa na stole, a jego głos był ciężki i smutny.

– Powiedz mi, chłopcze, czy jest ci znane imię Marley Augur?

– Nie – odrzekł Max, kręcąc głową.

– A jest ci znane imię Elias Bram?

– Tak – powiedział Max.

W komnacie powiało chłodem. Olbrzymia postać stała nieruchomo.

– A co wiesz o Eliasie Bramie? – zapytał stwór cicho.

– Był ostatnim dominantem. Poświęcił się w Solas, żeby inni mogli uciec...

Cienkie siwe włosy stwora rozwiały się, kiedy ten gwałtownie się obrócił. Jego twarz była rozedrganą maską naciągniętej i postrzępionej skóry.

– Kłamstwa!

Słowo to wstrząsnęło komnatą jak trzęsienie ziemi. Szklana zlewka spadła ze stołu i roztrzaskała się. Max skulił się i zamknął oczy.

– To kłamstwa – powtórzył stwór. Jego głos złagodniał i zamienił się w gardłowy pomruk. – Wybacz mój gniew, ale niesprawiedliwość twoich słów jest jak

sypanie soli na stare rany. Bram nie poświęcił tamtego dnia siebie. Poświęcił mnie. Moje ciało. Mój honor. Moje dziedzictwo.

– Był pan z nim? – zapytał Max. – Był pan w Solas?

– Byłem – odparł stwór, kiwając głową. – To ja, Marley Augur, kowal, wszcząłem alarm, kiedy zauważono Wroga. To ja spełniłem swój obowiązek i pobiegłem do wyłomu, kiedy Bram pobiegł do swojej żony. To ja powstrzymałem falę najeźdźców, kiedy Bram się ociągał... – Augur zaczął chrypieć; zielone światełka w jego oczach płąsały i migotały. – Pokonałem wielu, zanim mnie złamano – westchnął i zwiesił głowę.

– Ale w takim razie jest pan bohaterem – wyszeptał Max.

Olbrzymi stwór pokręcił gwałtownie głową i spiorunował Maxa wzrokiem.

– Bohaterem? Nie, chłopcze, z całą pewnością nim nie jestem. Bohaterów się pamięta! Bohaterowie otrzymują należne im miejsce w pamięci swojego narodu. Nie zostawia się ich, żeby gnili, bez pochówku, bez żałoby, zapomnianych na polu bitwy!

Max skrzywił się, kiedy głos stworzenia znowu stał się bardziej piskliwy i intensywny. Peg zachichotała cicho z kąta.

– Ale tamtego dnia mnie oszczędzono – odezwał się głuchy szept. – Oszczędził mnie Wróg obdarzony mądrością i dobrocią, które wcześniej przede mną ukrywano. Zanim zostałem pokonany, Lord Astaroth

dostrzegł moją wielkość. Rozkazał swoim sługom zabrać moje ciało. Dostałem honorowe miejsce i poznałem się na błędach mojego wcześniejszego poddaństwa. Mam nowego Pana, i to dla niego Marley rozpoczął swoje wielkie dzieło.

Max nagle się rozgniewał.

– Jakie „wielkie dzieło”? Jest pan tylko szukającym zemsty zdrajcą!

– Jesteś młody, chłopcze – powiedział spokojnie Augur, układając na stole kolby. – Nie bądź taki pochopny. Zemsta to potężny impuls, impuls, który dał początek wielu wspaniałym rzeczom. Zemsta daje poczucie celu; to zemsta trzymała mnie przy życiu przez tyle lat, pozwalając tworzyć arcydzieła.

Max skulił się na krześle, kiedy Augur się nad nim nachylił. Powoli, łagodnie, mężczyzna odwrócił Maxa razem z krzesłem.

Chłopiec krzyknął, kiedy je zobaczył, ustawione pod ścianą – kilkanaścioro bladych, widmowych dzieci stało w cieniu dużej wnęki. Każde było owinięte czarnym całunem i chwiało się niepewnie na nogach. Niektóre wyglądały jak zombie, patrzyły przed siebie niewidzącymi oczyma; inne zdradzały ślady świadomości i spoglądały na Maxa.

– Dzieci przysłużą się naszemu celowi i zostaną nagrodzone. Kiedy Astaroth zwycięży, będą sprawować władzę i rządzić tą ziemią jak szlachetni mężowie!

Jedna dziewczynka ze spletanymi brązowymi

włosami zwróciła uwagę Maxa. Ku jego przerażeniu wyszeptała:

– Uciekaj.

– Mój Boże – jęknął Max. – Niech pan na nie spojrzy! Niech pan zobaczy, co pan z nimi robi!

– Oszczędzam im zdrady! Oszczędzam im mojego bólu! – ryknął Augur, odwracając krzesło Maxa od dzieci w stronę schodów. Zdjęty gniewem chwycił chłopca za twarz. Max jęknął. Palce były tak zimne, że bał się, że zaraz stanie mu serce. Augur rozluźnił uchwyt; druga ręka oderwała pierwszą. – Słyszałem, że uratowano jabłko Brama – wymamrotał, szybko podchodząc do przysuniętej pod ścianę skrzyni. Podniósł wieko i sięgnął do środka. – Słyszałem, że jest cennym trofeum! Że wisi na honorowym miejscu...

Na kolanach Maxa wylądowało coś ciężkiego. To było duże jabłko, a jego pomarszczona, spleśniała skórka była pokryta wieloma żyłkami zmatowiałego złota.

– *To* powinno wisieć na jego miejscu – powiedział Augur. – I będzie wisieć na miejscu jabłka Brama, a ty pomożesz mi je tam umieścić.

Wtedy Maxa dopadły wieloki. Peg przyłożyła chłopcu nóż do gardła, a Cyrus mocno przywiązał go do krzesła grubą liną.

– Zaczekajcie... – powiedział Max, wyprężając się, żeby odsunąć podbródek od noża.

Augur zbył go machnięciem dłoni.

– Czas na rozmowy się skończył – odrzekł. –

Astaroth zdecyduje, co z tobą zrobić.

– Lepiej módl się, żeby to o ciebie chodziło – syknęła Maxowi do ucha Peg, kiedy Cyrus kneblował go brudną szmatą. – Jeżeli nie, eliksir będzie bezużyteczny, a Marley cię nie uratuje.

Wielok postukał twardym paznokciem w głowę chłopca i odszedł. Max spływał potem. Naprężył się w pętach, ale węzły Cyrusa były sprytne i tylko mocniej się zacisnęły. Przez cały czas Max nie spuszczał wzroku z Peg, która zaczęła przyglądać się obrazom jak krytyk sztuki, co jakiś czas zdejmując któryś ze ściany. Jęknął cicho, kiedy zobaczył, że wielok wybiera obrazy Rembrandta i Vermeera, w których zdaniem Davida mógł być uwięziony Astaroth.

Przez cały czas Marley Augur powoli wypowiadał głębokim głosem dziwne słowa.

W komnacie zrobiło się bardzo cicho – jakby wszystkie żywe stworzenia, a nawet otaczająca ich ziemia i kamień przyglądały się ceremonii.

Max poczuł nagły ból, kiedy nóż Peg ponownie otworzył mu ranę na dłoni. Nie widział, kiedy się zbliżyła. Rozwarła mu palce, rozciągała skórę i ugniatała ciało, aż jego dłoń zrobiła się zimna i słaba.

Peg zaniósła płytką miseczkę z krwią Maxa Augurowi. Ponure zawodzenie kowala przybrało na sile; jego palce wykonały gest, jakby wzywały coś z krwi. Max odwrócił wzrok, kiedy Augur wlał do kociołka jego krew i rozmieszał. Wpatrzony w jabłko na kolanach, chłopiec z

trudem panował nad oddechem, kiedy patrzył, jak blask płomieni migocze na pokrywających jabłko złoceniach.

Zawodzenie ucichło.

– Zaklęcie skończone – wychrypiał Augur. – Elik sir jest gotowy.

Peg uśmiechnęła się i zachichotała, po czym wybrała duże płótno i ustawiła je przed stworem. To był przerażający obraz – olbrzym z szaleństwem w oczach pożerał ciało mężczyzny.

Marley Augur zanurzył w kociołku pędzel z grubego włosia. Potem pomalował twarz olbrzyma grubą, połyskliwą warstwą mikstury.

– Jesteś wolny, Astaroth, żeby znów chodzić po ziemi jako jej władca. Stara Magia twoich wrogów powołuje cię do życia i uwalnia z więzów!

Augur pokłonił się, a Peg i Cyrus odstąpili do tyłu.

Nic się nie stało.

– Nałóż więcej! – syknęła Peg, ale Augur odwrócił się i rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Nie będę marnował mikstury na twoje idiotyczne zgadywanki! – warknął. – Przynieś następny!

Augur powtórzył rytuał jeszcze z kilkoma obrazami, coraz bardziej zdenerwowany.

– Pomóż mi, Peg – wymamrotał, a w jego głosie pojawił się gniew, kiedy skrobał i mieszał resztki zawartości kociołka.

Max wstrzymał oddech, kiedy przyniesiono obraz Vermeera przedstawiający dziewczynę czytającą przy

oknie list. Z gardła Cyrusa wydobyło się drżące wycie; wielok popędził do schodów i prawie zniknął w ich cieniu.

Kiedy jeszcze trochę eliksiru zmarnowało się na kilka następnych obrazów, Augur wpadł w straszną furię; połamał ich grube ramy jak zapalki.

Stał pochylony i dyszał, podczas gdy pobladła ze strachu Peg oparła o ścianę obraz Rembrandta. Max przebiegł wzrokiem po znajomym mrocznym, dramatycznym obrazie. Anioł przybył, żeby powstrzymać Abrahama, zanim ten poświęci swojego syna. Abraham zdawał się zaskoczony; wypuścił nóż z jednej dłoni, podczas gdy drugą zasłaniał synowi oczy.

Rzucając pogardliwe spojrzenie na Peg, Augur poskrobał pędzlem po krawędzi kotła i pomazał nim twarz Abrahama.

– Peg, jesteś skon... – zaczął.

– Zaczekaj! – wrzasnęła Peg, cofając się od Augura. – Coś się dzieje!

Max przypatrzył się obrazowi, próbując dojrzeć pod lśniącem eliksirem twarz Abrahama.

Wstrzymał oddech; słyszał tylko bicie swojego serca.

Abraham na niego *patrzył*.

W jego wzroku była wiekowa mądrość. I było coś głęboko niepokojącego w tym, jak jego oczy błędziły po twarzy i więzach Maxa. Te oczy mogły mieć nawet milion lat.

Marley Augur i Peg pokłonili się nisko przed

obrazem.

– Astaroth, twoi lojalni słudzy przywołują cię do życia – powiedział kowal nabożnym głosem. – Zstąp na tę ziemię, mój Panie, i zaprowadź porządek swoim panowaniem.

Maxa porwał strach, kiedy oczy zignorowały Augura i nadal patrzyły na niego. Ręce mu drżały i skóra zjeżyła się na karku.

Rozpaczliwym szarpnięciem chłopiec strzaskał krzesło i rozerwał więzy. Wyrwał z ust knebel, złapał jabłko Augura i popędził do schodów. Cyrus porwał się z krzesła i zablokował mu drogę.

– Solas! – krzyknął Max, zaciskając palce rannej dłoni i wypełniając komnatę błyskiem oślepiającego światła.

Przeskoczył nad wielokiem, który zawył i skulił się. Popędził po schodach i uderzył ramieniem w solidne drzwi, które nie ustąpiły.

– Zatrzymać go! – ryknął z dołu Augur.

Spanikowany Max zobaczył, że drzwi były zaryglowane ciężką belką. Odsunął ją w chwili, kiedy Cyrus zaczął wbiegać po schodach na czterech łapach. Max wrzasnął i popchnął drzwi ze wszystkich sił, po czym wybiegł w zimną, gęstą mgłę.

Wydostał się z czegoś, co wyglądało jak grobowiec, i popędził zygzakiem między nagrobkami, które wynurzały się z wilgotnych oparów. Wielok wypadł za nim.

Max jęknął, kiedy uderzył kolanem o wystający z

ogrodzenia metalowy pręt. Ignorując ból, biegł dalej, rozpaczliwie szukając wyjścia z cmentarza. Znowu spróbował wzmocnić ciało, ale nic się nie zdarzyło.

Nagle zobaczył znajdującą się nieopodal otwartą wysoką bramę. Przekuśtykał przez nią i zatrzymał się, żeby zamknąć ją za sobą, kiedy zobaczył wyłaniającą się z mgły sylwetkę wieloka. Brama była zbyt ciężka i oporna, więc Max ją puścił. Odgłos sapiącego za nim wieloka wzbudził lęk tak straszny, że chłopiec krzyknął i zaczął szybciej przebierać nogami. Na krawędzi stromego zbocza stało wysokie drzewo. Max ruszył w jego stronę, popędził pod górę, szykując się do wybiecia do skoku.

Wielok podciął go, przewrócił na trawę i skoczył na niego. Próbował przytrzymać go za ramiona wielkimi pazurami, podczas gdy tylne łapy drapały wściekle, szukając dobrego oparcia. Max przeturlał się na bok, podnosząc ramię, żeby osłonić gardło przed warczącym, kłapiącym pyskiem. Kły wieloka rozerwały mu rękaw i przedramię. Max jęknął i odepchnął od siebie szczęki Cyrusa, który usiłował precyzyjnie się pod ramieniem chłopca w stronę jego twarzy.

Max nie mógł się wzmocnić i zaczął ustępować, a szczęki kłapały coraz bliżej. Zdesperowany chłopiec wcisnął drugą pięść w pysk stworzenia i wepchnął mu głęboko do gardła jabłko Marleya Augura. Wielok przeraźliwie zaryczał z bólu i zaskoczenia, szarpiąc się, żeby się uwolnić. Max trzymał go z całej siły, wciskając jabłko jeszcze głębiej. Turlali się po ziemi złączeni w

uścisku, aż wielok dostał konwulsji i wydał z siebie ostatnie tchnienie. Chwilę później znieruchomiał.

Max wstał niepewnie i użył bluzy, żeby zatamować krwawienie i wytrzeć ślinę wieloka. Na przedramieniu miał kilka ran średnicy monety, a jego nadgarstek i dłonie obficie krwawiły. Max wypatrywał we mgle Peg albo Marleya. Nic się nie ruszało – tylko rzeński wiatr chłodził jego spocony kark. Kilka czarnych ptaków zakrakało na gałęziach, spoglądając na chłopca chłodno małymi oczami.

– Muszę iść – wymamrotał Max. – Muszę wezwać pomoc.

Spojrzał na niebo: nie było słońca, nie było gwiazd, nie miał jak ocenić, w którą idzie stronę, tak samo jak nie mógł ustalić pory dnia. Krzywiąc się, ściągnął bluzę i podarł ją na pasy, którymi obwiązał sobie rękę, żeby powstrzymać krwotok.

Wielok leżał w wysokiej trawie, a jego język był napuchnięty i różowo-niebieski. Maxa przeszedł dreszcz na myśl o tym, co przed chwilą zrobił.

Spojrzał jeszcze raz w stronę cmentarza i przypomniał sobie słowa, które zapadły mu w pamięć po przeczytaniu ich w Trzęsokrokwi.

Imię dziecka, które otrzyma tego dnia do ręki broń, będzie znane w całej Irlandii, ale jego żywot będzie krótki...

Rozmasowując kolano, zaczął oddalać się od cmentarza. „Gdzieś tu musi być jakaś droga” – pomyślał.

Truchtał w półmroku, prowadząc dyskusję z samym sobą.

Max, postępujesz właściwie.

Nieszczęście już się stało – Astaroth się obudził.

Tylko przez to zginiesz. Pomyśl, co będzie wtedy z twoim tatą!

To nie jest Trasa. To prawdziwe życie.

Możesz wezwać pomoc. Cooper albo pani Richter uratują te dzieci!

Jeszcze tu będą, kiedy...

Max zwolnił i stanął, zwijając się z tętniącego w ręce bólu. Krzywiąc się, mocniej zacisnął opatrunek. Kiedy rany zaczęły się zasklepiać, Max nagle przyznał sam przed sobą, że niedługo nie będzie już kogo ratować. Zanim zdąży wezwać pomoc, pozostałych dzieci już nie będzie. Wyobraził sobie buzie i oczy pozbawione nadziei. Przypomniał sobie z okropną wyrazistością wychudzoną dziewczynkę, która błagała, żeby uciekał.

Odwrócił się i ruszył biegiem w stronę cmentarza. Wrony przywitały go przenikliwym krakaniem, kiedy chłopiec mijał drzewo, pod którym leżał wielok. Wrócił po swoich śladach, aż dotarł do ogrodzenia, o które się wcześniej uderzył. Czarny żelazny pręt, zardzewiały i mocno wygięty, zwiężał się na końcu, tworząc ostrze. Max rozchybotał pręt, wykręcając i kopiąc go u podstawy, aż udało się go odłamać.

Czuł się niepewnie z tą prowizoryczną włócznią w dłoniach, przemykając między nagrobkami. Mgła zaczynała rzednąć; widział ciemne wejście do krypty.

Kiedy skradał się do niego, usłyszał odgłosy pośpiesznych ruchów – skrzypienie ciężkich drzwi, stukanie metalu i szkła. Przemknął się po cichu w dół po kamiennych schodach. Kiedy był już prawie na samym dole, zatrzymał się i przylgnął do ściany.

Jakieś sześć metrów od niego stała Peg i mamrotała coś pod nosem, podnosząc łańcuchy z leżącego na ziemi stosu. Poczłapała z powrotem do miejsca, gdzie trzymano dzieci. Max wyjrzał zza węgła; Augur pakował kolby, słoje i narzędzia do skrzynek. W pobliżu miejsca, gdzie siedział nieprzytomny Alex, otwarta była wielka kłapa w podłodze.

Nagle Peg upuściła łańcuchy. Powęszyła w powietrzu.

– Ho, ho, ho! Być może nie musimy jednak uciekać!

Max schował się na schodach, ale było już za późno. Peg zarechotała triumfalnie i pognąła na czterech łapach ku chłopcu, a jej ciało przybrało postać potwornego wieloka. Max przygotował się. Kiedy Peg się odbiła i skoczyła ku niemu, nastawił włócznię.

Uderzenie prawie wyrwało mu broń z rąk, ale chłopiec mocno trzymał pręt. Przez okropną chwilę ich oczy się spotkały; we wzroku Peg był zupełny szok. Stary wielok wrzasnął i wyszarpnął ostrze z ciała, a jego kończyny miały się jak u pająka. Peg powlokła się, zacharczała i upadła pięć metrów dalej – napuchnięty wielok z czerwono-brązowym futrem trzymający się za brzuch.

Ściskając włócznie w drżącej dłoni, Max wszedł do komnaty.

Marley Augur stał przy klapie i patrzył na Peg. Pokręcił smutno głową i odwrócił się do Maxa, który przesuwiał się w stronę dzieci, obchodząc konającego wieloka szerokim łukiem.

– Odłóż to – zachrypiał Augur, zerkając na zakrwawioną włócznie.

– Nie – wysapał Max, opierając się plecami o grubą kolumnę.

Marley Augur wyprostował się i podszedł do chłopca. Niczym niezadowolony rodzic, sięgnął, żeby odebrać mu prymitywną broń. Max ze wszystkich sił machnął prętem, odbijając dłoń kreatury.

Wokół umarlaka pojawiła się delikatna zielona mgiełka.

– Odłóż to, bo się zdenerwuję – powiedział Augur, podnosząc głos.

– Nie – syknął Max. – Wypuść dzieci!

Temperatura spadła, a Marley Augur trochę jakby urósł. Jeszcze raz wyciągnął dłoń, ale nie do Maxa. Z przeciwległej ściany przyleciał potężny młot kowalski, który ułożył mu się w dłoni, a jego obuch był śmiertcionośnym blokiem czarnego metalu. Podnosząc młot, Augur spojrział gniewnie na chłopca. Zielona mgła wirowała mu wokół nóg.

– Będziesz służył naszemu Panu. Czy cały, czy połamany...

Kiedy Augur zrobił krok naprzód, z rykiem wyrosła przed nim ściana jaskrawych płomieni. Max przycisnął się do słupa, a Augur cofnął się zdezorientowany, zerkając na obraz, na którym czatował i przyglądał się Astaroth.

– Zostaw to dziecko w spokoju – odezwał się niespodziewany głos.

Na najniższym schodku stał Ronin. Był ubrany na szaro i ciężko oddychał. Z rękawów płaszcza wystawały mu dwa długie noże. Odezwał się do Maxa spokojnym, opanowanym głosem.

– Zabierz dzieci i wyprowadź je. Ja zajmę się zdrajcą.

– Ronin! – krzyknął Max. – W tym obrazie jest Astaroth!

Ronin zerknął na obraz Rembrandta. Podniósł dłoń, a z ziemi wystrzeliły płomienie, żeby go pochłonąć. Jednak mroczny obraz pozostał nietknięty.

Z głębi brzucha Augura dobiegł mrukliwy śmiech. W komnacie zrobiło się jeszcze chłodniej; płomienie między Maxem a kowalem rozeszły się po ziemi.

– To jest armia Rowan? – zaburczał stwór. W oczach Augura coraz intensywniej pulsowało światło, kiedy podnosił ogromny młot. – Jestem o wiele potężniejszy od ciebie, szczeniaku. Jesteś dla mnie tym, czym dla ciebie jest to dziecko. Stara Magia i ważniejsze powołanie drzemią w Marleyu Augurze...

Max wzmocnił się w chwili, kiedy młot spadł, miażdżąc kamienne płyty, na których stał chłopiec, podczas gdy ten odskoczył do niszy, w której tkwiły

owinięte czarnymi całunami dzieci. Młot Augura przeleciał nad Maxem, wysyłając fontannę iskier po zderzeniu ze słupem, który zatrzeszczał i pękł od ciosu.

W mgnieniu oka nie jeden, lecz trzech Roninów otoczyło Augura wirem noży, pozorując ciosy i atakując. Kował wymachiwał zaciekle młotem, roztrzaskując w przerażającym amoku drewno, kamienie i szkło. Ściany krypty drżały, rozświetlane jaskrawymi błyskami jak podczas burzy z piorunami.

Max pozrywał czarne całuny z tych dzieci, które były przytomne, i popchnął je w kierunku schodów, krzycząc na nie, żeby się obudziły i pospieszyły. Uciekały chwiejnym krokiem w dwui trzyosobowych zdezorientowanych grupkach, trzymając się ścian i szurając nogami, w stronę chłodnego światła dnia na górze.

Kiedy chłopiec zerwał już wszystkie całuny, w niszy nadal było jeszcze kilkanaścioro dzieci, z głowami zwieszonymi jak podczas snu. Max zaczął drzeć, kiedy jego ciało wchłaniało energię z toczącej się obok walki. Zarzucił sobie po jednym dziecku na ramię, po czym pognał przez komnatę, minął Peg i popędził po schodach. Na dworze położył dzieci na mokrej trawie. Wróciwszy do krypty, struchlał z przerażenia, kiedy zobaczył, jak młot Augura zamierza zmiażdżyć głowę Ronina. Ale młot uderzył tylko o ziemię, a sobowtór Ronina zniknął i w ułamku sekundy pojawił się znowu, jakby powstał z magnetycznego dymu.

Prawdziwy Ronin zakradł się za Augura. Potem wyciągnął zza pazuchy dubeltówkę. Huk rozszedł się po komnacie potężnym metalicznym echem.

Augur zachwiał się i zatoczył do przodu, ale nic więcej. Ronin musiał odskoczyć, kiedy zamach młota zmiażdżył lufę strzelby.

Kiedy Max położył na trawie ostatnią dwójkę dzieci, komnata zaczęła się walić. W drzwiach pojawił się błysk i Max usłyszał, że Ronin przeklina. Chłopiec wrzasnął na przytomne dzieci, żeby odciągnęły pozostałe, i wrócił pędem do krypty.

Ronin chwiał się przy kolumnie. Sobowtóry zniknęły, a on nie miał broni.

– Ronin! – krzyknął Max, podbiegając do niego.

– Jeszcze jeden, Max. Bierz go i uciekaj! – wysapał Ronin, przytrzymując się kolumny i obchodząc ją chwiejnym krokiem, kiedy Augur szedł w jego stronę, przestępując nad roztrzaskanym stołem.

Max spojrział na Alexa bezwładnie siedzącego na krześle. Tuż za nim oczy Astarotha uważnie go obserwowały.

– A co z obrazem? – krzyknął Max.

– Bierz chłopca i uciekaj! – ryknął Ronin. – Trzymaj ich z dala od schodów! Augur nie może wyjść na górę!

Ronin zrobił unik przed ciosem młota, który wyłupał w kolumnie wielką wyrwę, a potem wyciągnął z kieszeni płaszcz coś, co wyglądało jak szary krążek hokejowy z metalu, i rzucił to na środek komnaty, po czym uchylił się

przed kolejnym śmiertelnie groźnym ciosem młota.

Max podbiegł do Alexa, przerzucił go sobie przez ramię i zerknął na obraz.

Astaroth uśmiechnął się do niego.

Kiedy Max odwrócił się, żeby pójść do schodów, coś złapało go za nogę. Upuścił Alexa i upadł na ziemię. U jego stóp leżała Peg. Dysząc ciężko, podciągnęła się na wysokość oczu Maxa. Jej twarz zmieniała się to w pysk śliniącego się potwora, to w oblicze kobiety z szaleństwem w oczach, która goniła go w Chicago.

– Pójdiesz ze mną – wycharczała. – Pójdiesz z Peg w serce ciemności.

Max wykręcił szyję z dala od jej szponów i skoncentrował się na zdrowej prawej dłoni; poczuł, jak zapala się i wiję wokół niej niebieski płomień. Przycisnąwszy dłoń do twarzy Peg, zamknął oczy, kiedy usłyszał nagły jęk i poczuł okropny swąd. Cielsko wieloka powoli zeszywniało i sturlało się, a na miejscu pyska została dymiąca masa futra i ciała.

Max podniósł się, chwycił dłoń Alexa i pociągnął go w stronę schodów. Ronin kuśtykał za nimi, ale Augur wydał z siebie przerażający ryk i zamachnął się młotem. Trafił Ronina z paskudnym odgłosem prosto w plecy.

Ronin przeleciał przez komnatę i wylądował bezwładnie przy schodach. Nie ruszał się.

– Ani kroku dalej! – ryknął Augur, celując w Maxa kościstym palcem.

– Wszyscy są na górze! – wrzasnął Max i poszukał po

omacku dłoni Ronina, nie spuszczać wzroku z Augura. – Nic im nie zrobisz!

– To bez znaczenia – powiedział stwór, opuszczając młot i idąc wolnym krokiem przez komnatę. – Astaroth się obudził i mamy ciebie. Jesteś wart znacznie więcej niż te ich małe duszyczki.

Max spróbował wzmocnić ciało, ale nie miał już siły. Zgrzytając zębami, szarpał się zaciekle, usiłując wciągnąć Ronina i Alexa po schodach. Ręka mocno mu krwawiła i pulsowała z bólu; Ronin był taki ciężki. Nagle w komnacie rozległy się trzy wyraźne piknięcia. Ronin bardzo mocno ścisnął dłoń Maxa.

– Uciekaj – wyszeptał.

Max mocniej chwycił dłoń Ronina, po czym rzucił się w tył w momencie, kiedy metalowy krążek wybuchł.

Chłopiec poczuł, jakby unosił się w powietrzu. W uszach mu dzwoniło, ale mgła na twarzy była chłodna i kojąca. Leżał nieruchomo i głęboko oddychał. Ku swojemu zaskoczeniu, zdał sobie sprawę, że palce miał nadal zaciśnięte na dłoniach Ronina i Alexa. Zerknął w dół z miejsca, gdzie leżał na najwyższym schodku. Ronin i Alex byli na pół zasypani kredową mieszaniną ziemi i kamieni. Alex był nieprzytomny; powieki Ronina zatrzepotały, kiedy mężczyzna spojrzał pustym wzrokiem do góry.

– Jestem połamany – wymamrotał. – Moje nogi...

– Cśśś – wyszeptał Max, puścił Alexa i obiema dłońmi złapał nadgarstek Ronina. Nie zwracając uwagi na

jego gwałtowny, urywany oddech wyciągnął go z rumowiska i położył na mokrej trawie. Wrócił chwiejnym krokiem do Alexa i złapał go za rękę. Nagle usłyszał wydobywający się spod ziemi odgłos, wciągnął przestraszony powietrze i puścił dłoń chłopca.

Ziemia zadrżała od stłumionego ryku furii i rozpacz.

Alex zaczął zapadać się wraz z masą ziemi i kamieni. Spanikowany Max złapał go za rękę i ze wszystkich sił pociągnął. Nic to nie dało. Coś znacznie silniejszego od Maxa McDanielsa trzymało Alexa i wciągało go powoli, nieuchronnie, do grobowca. Pomimo jęków i błagań Maxa, Alex wyslizgnął się z jego uchwytu i pochłonęła go ziemia.

Dygoczące dzieci zebrały się wokół Ronina. Mężczyzna spoglądał na niebo, bardzo spokojny i blady. Max przecisnął się przez pozostałe dzieci, po czym ukląkł i wziął go za rękę.

– Zawsze mnie ratujesz – wyszeptał.

– Warto cię ratować – uśmiechnął się Ronin. Jego zielone oko było zmęczone, ale mocno lśniło, kiedy mrugało do Maxa. Drugie oko ciemniało, jego bielmo robiło się szare i martwe.

– Musimy cię zabrać do szpitala.

Ronin pokręcił głową i uśmiechnął się, ściskając dłoń Maxa.

– Kieszeń... – wyszeptał, zamykając oczy.

Głęboko w kieszeni płaszcza chłopiec znalazł to, co chciał mu dać Ronin. To był zegarek bezpieczeństwa.

Max w kółko naciskał jego tarczę tak mocno, jak potrafił, aż na małym ekranie pojawiła się wiadomość.

W drodze. Czas przybycia: ok. 27 min.

Max zwalczył wyczerpanie i przytulił głowę Ronina do piersi, kiwając się do przodu i do tyłu, tak jak dawno temu robiła to matka. Pozostałe dzieci siedziały wokół nich w ciszy, wątle duszki wpatrujące się bez słowa w mgłę. Kiedy przybyli agenci, myślał, że to anioły.

OJCIEC I SYN

Maxa obudził aromat pieczenia, jakby ktoś szykował coś pysznego. Wniesiony wiatrem z pobliskiego okna zapach bzu musnął go po policzku i chłopiec poruszył się na łóżku w miękkiej pościeli. Bolało go przedramię. Dotknął go i zobaczył, że jest zawinięte w cienką warstwę podobnego do gąbki materiału. Usiadł na łóżku i oparł się o zagłówek. Zmierzchało i pokój pogrążony był w cieniu: był purpurowo-granatowy z wyjątkiem smużki żółtego światła pod drzwiami.

Max podszedł powoli do drzwi i wyszedł na korytarz, gdzie dobiegły go odgłosy śmiechów. Ignorując szum w głowie, oparł się dla równowagi o ścianę zabandażowaną dłonią i ruszył chwiejnym krokiem do przodu.

Kilka osób jadło kolację przy dużym stole. Pierwsza zobaczyła go jakaś brunetka, która popijała wino.

– Witaj – powiedziała słodkim głosem, jak do zgubionego szczeniaka.

Pozostali dorośli przestali rozmawiać i spojrzeli na Maxa z przejęciem.

– Musisz umierać z głodu – powiedział mężczyzna z rumianymi policzkami i silnym irlandzkim akcentem. – Pewnie masz ochotę coś przekąsić, prawda, Max?

Chłopcu kręciło się w głowie. Przytaknął i pozwolił

się mężczyźnie zaprowadzić do miejsca przy stole obok młodszej kobiety z rudymi włosami. Kobieta uśmiechnęła się i dała mu talerz pieczonego kurczaka z dzikim ryżem. Max chwycił duży kawałek mięsa i wepchnął go sobie do ust.

– Alistair musiał mieć z nim pełne ręce roboty – zachichotał mężczyzna w okularach.

– Cicho! – powiedziała brunetka. Uśmiechnęła się do Maxa i popchnęła w jego stronę talerz pokrojonego kurczaka. – Witaj w dublińskiej kryjówce, Max.

Uświadomiwszy sobie nagle, że je w obcym domu i z obcymi ludźmi, Max odłożył kawałek kurczaka. Jego wzrok przeskakiwał po twarzach.

– Mam na imię Max – wyszeptał.

– Wiemy. Wiemy o tobie wszystko, Maksie McDaniels – powiedział rumiany mężczyzna z promiennym uśmiechem. – Bardzo się cieszymy z twojej obecności.

Jak woda przez przerwana tamę, Maxa zalała fala wspomnień.

– Kandydaci! – zawołał. – Ronin! Co się z nimi stało? Próbowałem uratować Alexa, ale nie dałem rady. Coś mi go wyrwało. Astaroth się obudził! – Chłopiec prawie przewrócił się do tyłu.

Ruda kobieta przytrzymała jego krzesło. Pogładziła go po włosach i uspokoiła. Max przez chwilę siedział cicho, obserwując płomyki świec.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków i do pokoju

weszło trzech ubranych na czarno mężczyzn, którzy zdawali się migotać i wtapiać w otoczenie. Ku zdziwieniu Maxa, zaraz za nimi weszła pani Richter. Skinęła nieznacznie zebrany, po czym jej wzrok padł na Maxa, który siedział skurczony i skulony przy stole. W jej oczach pojawił się błysk, kiedy przyglądała się jego twarzy.

– No cóż, drodzy koledzy, nasz gość już wstał. – Jej głos był cichy i poważny. – Witaj, Max. Jak się czujesz?

Max zmarszczył brwi, spoglądając na swoją rękę, gdzie opatrunek z gąbki zakrywał głębokie cięcia i rany po kłach Cyrusa. Wspomnienia ich zmagania na wzgórzu były bardzo wyraźne.

– Alex Muñoz – wymamrotał Max. – Już po nim...

– Wiem – powiedziała poważnym głosem pani Richter. – To z jego zegarka dobiegło wezwanie o pomoc. Krypta jest w tej chwili odkopywana i badana. Właśnie stamtąd wracam z tymi panami.

Max spojrzał na mężczyzn w dziwnych strojach, którzy teraz zabierali się do jedzenia. Nie mógł oderwać wzroku od materiału ich ubrań, na którym pływały odcienie szarości i czerni, i zieleni, i brązu. Jeden z mężczyzn, przystojny blondyn z ogorzałą twarzą, uśmiechnął się i podszedł do Maxa. Ukląkł i uchwycił palcami kawałek tkaniny z ramienia, żeby chłopiec mógł go dotknąć. Max zafascynowany pocierał materiał kciukiem i palcem wskazującym. Tkanina była śliska w dotyku, niewiarygodnie gładka, a przy tym zupełnie

matowa – światło świec nie odbijało się od jej powierzchni.

– Nanokolczuga – wyjaśnił mężczyzna. – Nowa wersja. Testowa. Mam na imię Carl. To ja odebrałem twoje wezwanie.

Coś w zachowaniu mężczyzny przypominało Maxowi Coopera. Obu cechowała ta sama bezpośrednia maniera: spokojny, lakoniczny sposób mówienia, który kojarzył się z koncentracją i dyscypliną.

– Dziękuję, agencie Drake – powiedziała pani Richter. – To wszystko. Jeżeli pozostali nam wybaczą, chciałabym zamienić z Maxem słowo na osobności.

Wzniesiono toast na cześć Maxa, po czym chłopiec wyszedł za panią Richter z jadalni.

Usiedli na werandzie z podniszczonego kamienia i sękatego drewna. Księżyc świecił nad drzewami wysoko, jasno i było zupełnie bezwietrznie. Max spojrzał odważnie na panią dyrektor, która zdawała się zagubiona w myślach, kiedy przyglądała się okolicy. Max pomyślał, że na jej twarzy jest tysiąc historii i tajemnic. Wszystkie były wypisane w głębokich zmarszczkach na jej czole i w małych kurzych łapkach przy oczach. Jej źrenice wyglądały w świetle księżyca jak krople rtęci.

– Jak długo mnie nie było? – zapytał Max.

– Trzydzieści siedem dni – odparła pani dyrektor.

Max spuścił głowę oniemiały.

– Trzydzieści siedem straconych dni, czterdzieści dwoje uratowanych dzieci – powiedziała, odwracając się

do niego z uśmiechem. – Niezła wymiana. Czterdzieści dwoje dzieci wróci do swoich rodzin dzięki tobie. Jesteś bohaterem.

– Ale nie uratowałem Alexa – powiedział Max udręczonym głosem. – I mają Astarotha, który się obudził!

Pani Richter poklepała go po dłoni.

– Cśś. Zrobiłeś, co mogłeś, i więcej nie można od siebie wymagać. Zresztą to i tak znacznie więcej, niż można oczekiwać od trzynastolatka, Max.

– Czy Ronin przeżył? – zapytał cicho chłopiec.

Pani Richter zmarszczyła zaciekawiona nos.

– Kto to jest Ronin?

– Peter – wyjaśnił Max. – Peter Varga. On mnie uratował. Czy nic mu nie jest?

– Aha. Chyba z tego wyjdzie, Max. Tak myślę – powiedziała pani Richter, uśmiechając się nieznacznie. – Peter wybrał sobie ciekawe imię. Czy wiesz, kim jest „Ronin”?

Max pokręcił głową.

– Ronin to samuraj, wędrowny samuraj bez władcy. Taka wizja mogła się chyba spodobać Peterowi. Peter będzie żył, ale został bardzo ciężko ranny. Zobaczymy, czy będzie mógł jeszcze chodzić. Jest tutaj – moomenhoveny robią, co mogą.

Max nic nie odpowiedział; nie był nawet pewien, czym jest „moomenhoven”. Był za to pewien, że bez Ronina byłby teraz pod ziemią z Marleyem Augurem.

Poczuł ściskanie w gardle.

– Spróbuj na chwilę zapomnieć o Peterze – powiedziała pani Richter. – Wiesz najlepiej, że stało się coś bardzo poważnego i mogą nadchodzić mroczne czasy. Muszę dowiedzieć się o wszystkim, co się stało, poczynając od dnia, kiedy cię porwano.

Max opowiedział pani Richter o ataku na nabrzeżu, o podróży przez ocean i zmaganiach w krypcie Marleya Augura. Żadna z tych rzeczy nie wydawała mu się prawdziwa; czuł, jakby opowiadał historię, która przydarzyła się komuś innemu.

– Kim był Marley Augur? – zapytał. – Powiedział, że kiedyś był jednym z nas.

– To, kim był, z całą pewnością bardzo się różni od tego, kim jest teraz – odparła. – Był niewątpliwie bardzo szlachetnym i cenionym członkiem naszej organizacji. Wygląda jednak na to, że jego nieszczęście zamieniło go w upiora – niespokojnego ducha zżeranego pragnieniem zemsty. Niestety, jako kowal Augur był uzdolniony w rzemiośle i sztuce czarów: tworzeniu i niszczeniu przedmiotów. Ta powolna, metodyczna magia dobrze się nadawała do uwolnienia Astarotha.

Max zmarszczył czoło i spróbował wymazać z pamięci uśmiech Astarotha pośród dymu i łoskotu w krypcie Augura. Spojrzał na pogrążoną w mroku okolicę.

Potem dowiedział się od pani dyrektor, że ktoś przeciął liny trzymające „Pustułkę”, co skończyło się strasznym wypadkiem. Statek spadł i zniszczył połowę

nabrzeża, a strażnik „Pustułki” głośno wył i wzburzył wody. Obawiano się, że Alex i Max zostali przygnieceni, a ich ciała porwał ocean. Te obawy się potwierdziły, kiedy ich jabłka w sadzie zamieniły się w złoto. Trzy dni później zauważono, że jabłka były jedynie pokryte warstewką kruszcu. Upadek „Pustułki” był tylko manewrem mającym odwrócić uwagę od porwania chłopców. Rozpoczęto poszukiwania, ale trop się urwał.

Kiedy pani dyrektor zakończyła swoją opowieść, Max zadał gnębiące go pytanie.

– Co się stanie z Roninem?

– Zrobimy, co w naszej mocy, żeby wyzdrowiał, a potem zobaczymy. To będzie po części zależało od jego stanu.

– Wielki nie mogłyby się same dostać do sadu – powiedział ponuro Max. – Ktoś im pomagał. W Rowan jest zdrajca, słyszałem, jak wielki rozmawiały o tym z Marleyem Augurem!

– Wiem wszystko o tym zdrajcy – wyjaśniła ze smutkiem pani dyrektor. – Wczoraj został zatrzymany. Dzięki Bogu, bez walki.

– To panna Boon, prawda? – zapytał bardzo cicho Max. Na przedramionach wyskoczyła mu gęsia skórka na myśl o niebezpieczeństwie, jakie groziło mu, kiedy był z nią sam na sam w Trzęsokrokwi.

– Panna Boon? – zapytała pani Richter, a w jej głosie brzmiało niedowierzenie. – Na Boga, dlaczego miałbyś podejrzewać Hazel?

Twarz Maxa oblała się rumieńcem w ciemności; zrobiło mu się bardzo głupio.

– Ona... była taka zaciekawiona moją wizją. Pytała mnie o nią i prosiła, żebym nikomu nie mówił. Wyznaczyła mi karę za bójkę z Alexem. Kazała mi iść nad wodę, gdzie czekały wieloki.

– Aha, no tak – powiedziała pani Richter, przytakując ze zrozumieniem. – Przypuszczam, że Hazel chciała, żebyś zachował wasze rozmowy w tajemnicy, bo wiedziała, że nie byłabym zadowolona; prowadziła badania w dziedzinie, której nie aprobowałam. A o twojej karze wiedziała cała szkoła. – Pani dyrektor wyglądała, jakby ze wszystkich sił starała się zapanować nad emocjami. – To był pan Morrow – powiedziała w końcu. – To on był zdrajcą w naszych szeregach.

Max siedział oniemiały. W jego głowie kłębiły się myśli o prowadzonych chrapliwym głosem lekcjach, o smużkach dymu z fajki i o małej chatce za wydmami.

– To nie może być pan Morrow – warknął. – To on był zdania, że niewystarczająco się pani przykładła do schwytania zdrajcy! Jak to może być on?

– Mówił te wszystkie rzeczy, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że Bob zda mi relację z waszej rozmowy – odparła. – I w pewnym sensie, chyba był szczery. Myślę, że w głębi duszy chciał, żeby zdrajca został znaleziony i schwytany.

– Ale dlaczego miałby to zrobić? – zapytał Max. – Czy ma pani całkowitą pewność, że to on?

– Jesteśmy pewni – powiedziała pani Richter, klepiąc go po dłoni. – Był bardzo chory i bardzo samotny. I bardzo się zmienił po śmierci żony. Najwyraźniej Wróg twierdził, że ma jego syna – syna, który zaginął ponad trzydzieści lat temu. Ponadto Wróg obiecał mu długi żywot wolny od cierpienia i leków, które zdominowały jego życie. Chyba perspektywa wielu lat zdrowia i powrotu syna była bardzo kusząca, bo w końcu uległ.

– Nie wierzę – powiedział Max. – Nie wierzę, że pan Morrow mógłby poświęcić życie tylu dzieci, żeby zobaczyć syna. Nie jest aż takim egoistą!

– Max, on chyba nie myślał, że je poświęca. Wróg twierdził, że kandydaci to karta przetargowa, czyli brutalny, ale konieczny środek, żeby wymusić na upartym dyrektorze, aby jeszcze raz zastanowił się nad sensem pokojowej strategii. Nie było tajemnicą, że pan Morrow nigdy nie pogodził się z moją nominacją na to stanowisko. On chyba bardzo chciał wierzyć, że to ja narażam życie innych, a jego działania służą dobrej sprawie.

– Ale jak on to w ogóle zrobił? W jaki sposób pomógł Wrogowi znaleźć kandydatów?

– Dochodzenie w tej sprawie ciągle trwa. Myślę, że znalazł jakiś sposób, żeby wykorzystać Isabelle May. Po tym, jak jej jabłko zamieniło się w złoto, porwania kandydatów się skończyły, z czego wiele osób wywnioskowało, że to ona była zdrajczynią. Jej śmierć chyba mocno poruszyła pana Morrowa. Niedługo potem podupadł na zdrowiu.

Max zadrżał i pani Richter okryła go płaszczem.

– Ale Wróg wiedział również o misji w Pałacu Topkapi! – krzyknął nagle. – Dlaczego pan Morrow by im to powiedział? Po co miałby narażać na niebezpieczeństwo tych wszystkich agentów?

– Bo kiedy Wróg go usidlił, kiedy już pan Morrow podjął się działalności szpiegowskiej, bardzo łatwo było nim manipulować i wywierać dalsze naciski. Wróg ostrzegł, że kandydaci są chronieni potężnymi czarami, które mogą wyrządzić im krzywdę, jeżeli ktoś spróbuje uwolnić ich siłą. I tak, jak na ironię, żeby zadbać o ich „bezpieczeństwo”, pan Morrow zaczął informować Wroga o naszych posunięciach. Ogólnie rzecz biorąc, był to zmyślny plan, który mógł się dla nas skończyć poważnymi stratami. Na szczęście prywatny żart pana Lukensa ostrzegł nas o planowanej zasadzce i o obecności w naszym gronie zdrajcy. To by tłumaczyło zniknięcie pana Lukensa. Ten człowiek bardziej powinien się teraz obawiać Wroga niż nas.

– Jak się czuje mój ojciec? – zapytał cicho Max.

– Na początku był załamany – powiedziała pani Richter. – I wściekły. Teraz jest uszczęśliwiony rozwojem wypadków i bardzo chce się z tobą zobaczyć. Choć to będzie musiało jeszcze kilka dni zaczekać, aż twoja ręka trochę się zagoi.

Max poczuł nagle pragnienie ucieczki z werandy i zaszyca się w głębi lasu.

– Żałuję, że to wszystko się stało – powiedział. –

Żałuję, że w ogóle zobaczyłem ten gobelin.

Pani Richter uśmiechnęła się wyrozumiale. Jej oczy lśniły jak krążki z wypolerowanego srebra.

– Wiesz, że na trawniku jest teraz jedenaście duszków rosy? – zapytała.

Max wstał i oparł się o poręcz werandy, wpatrując się w ciemność.

– Nie widzę ich – powiedział.

– O! – pokazała, stając obok niego. – Jeden jest tuż pod nami.

Wskazała palcem na ziemię przed nimi. Wymówiła po cichu jakieś słowo, po czym pojawiła się niewielka, świecąca na złoto żarówka. W jej blasku widać było maleńką dziewczynkę z trzepoczącymi skrzydełkami ważki, ubraną w jedwabną koszulę nocną. Trzymała mały koszyk i przefruwała między źdźbłami trawy jak koliber.

– Zbierają wieczorną rosę, żeby nakarmić rodziny – powiedziała. – Są piękne, prawda?

– Tak. – Max był zafascynowany delikatną małą postacią krążącą pod nim. – Dlaczego wcześniej jej nie widziałem?

– Jesteś nadal bardzo młody – powiedziała pani Richter. – Nie spodziewasz się, że je zobaczysz, i dlatego ich nie widzisz. Kiedy skończysz Rowan, zobaczysz świat magii, którego istnienia nawet nie podejrzewałeś. Ale to nie tylko echa Starej Magii czynią z tego świata takie wspaniałe miejsce. Są góry i rzeki, równiny i łąki, oceany i przyływy. Architektura i orkiestry, odkrycia i

osiągnięcia. Ludzie od tysięcy lat dążący do doskonałości w najróżniejszych dziedzinach. To są wspaniałe rzeczy. Ale są też drobiazgi – ciągnęła z uśmiechem. – Dla mnie to są poranne spacerunki po ogrodzie. Czajnik, który mówi mi, kiedy woda jest gorąca. Żarliwa miłość w sprzeczkach Mamuśki i Boba... To ci dopiero para! Dwie istoty, które wyruszyły bardzo mrocznymi drogami, ale uległy temu, co dobre. To wszystko są rzeczy, o które walczę, Max. To są rzeczy, dla których jestem gotowa zmagać się z mniej przyjemnymi aspektami tego świata.

Max usiadł i zamyślił się nad tym, co powiedziała. Światło duszka rosy przygasło, kiedy istotka odfrunęła nad trawą ku samotnemu drzewu na ciemnym polu.

Cooper był prawie niewidoczny w świetle zachodzącego słońca, kiedy Max wysiadł z samolotu. Ubrany na czarno agent stał nieruchomo na prywatnym pasie startowym ze złożonymi przed sobą dłońmi. Otworzył drzwi limuzyny i pokazał Maxowi, żeby wsiadł.

– Dobrze cię widzieć, Max – powiedział cicho. – Cieszę się, że nic ci nie jest.

Max podziękował mu, ale podczas podróży nie odzywał się; wyglądał tylko przez okno i czekał cierpliwie na spotkanie z ojcem.

Kiedy dojechali do Rowan, niebo było prawie czarne. W miasteczku właściciele zamykali sklepy. Ściana drzew otaczających kampus była wysoka i ciemna. Przy bramie Cooper opuścił okno, a samochód otoczyli nieznajomi z

ponurymi minami. Zajrzeli do środka i przyjrzeni się Maxowi i Cooperowi, skanując ich twarze czerwonym światłem, zanim pozwolili im przejechać. Max odwrócił się i patrzył, jak brama się za nimi zamyka, a samochód ruszył dalej krętą drogą, która prowadziła do Domostwa.

– Kim byli ci ludzie? – zapytał.

– Dodatkowa ochrona – wymamrotał Cooper. – W Rowan się ostatnio nie próżnuje. W przygotowaniu są dodatkowe środki ostrożności. Jednak dopóki nie zostaną wprowadzone, zwiększyliśmy liczebność ochrony.

Max spojrział do góry i zobaczył fontannę oświetloną falami bladego światła. Za nią było Domostwo, z rozświetlonymi oknami i murami porośniętymi grubą warstwą bluszczu i kwiatów. Wsiadł z samochodu i wsłuchał się w odległy szum fal, powiódł wzrokiem po biegnących między trawnikami i klombami ścieżkach do Starego Toma i Maggie. Za nimi było nabrzeże, z którego zostali porwani on i Alex.

Drzwi do Domostwa zniecka się otworzyły. Panna Awolowo zbiegła po schodach i ze wszystkich sił przytuliła Maxa. Prawie go zgmiotła, gdy zatonął wśród jej falujących szat, grzechoczących paciorków i połyskujących pasemek ciężkiego złota. Kobieta zatrzęsa się od ciepłego, radosnego śmiechu, kiedy trzymała Maxa za ramiona i przyglądała mu się.

– Mój chłopcze, mój chłopcze – wołała, odgarniając włosy z jego twarzy i ściskając mu dłoń. – Witaj w domu.

Łzy wezbrały w oczach Maxa i chłopiec mocno

zacisnął powieki. To było tak, jakby panna Awolowo wyzięła gąbkę – wyszły z niego wszystkie emocje, które tak rozpaczliwie w sobie skrywał. Zaczął szlochać jej w ramię, a jego smutek i strach, i triumf wypływały z niego razem ze łzami.

– Już dobrze. – Westchnęła. – Jesteś znowu w domu i jesteś bezpieczny.

– Wiem – odpowiedział Max, wycierając nos ręką. – Po prostu... tyle tego było.

– Więcej niż może znieść młody człowiek. – Przytaknęła, prostując się na swoją królewską wysokość i biorąc go za rękę. – Ale wróciłeś jako bohater. Heros Rowan! Chodźmy do twojego ojca.

Cooper skinął na pożegnanie i odszedł szybkim krokiem w stronę bramy, podczas gdy panna Awolowo poprowadziła Maxa przez hall i po schodach. Chłopiec słyszał pokrzykiwania uczniów, którzy kończyli jeść kolację w jadalni.

Po otwarciu drzwi Max i jego ojciec przez długi czas patrzyli na siebie. Pan McDaniels obejrzał syna od stóp do głów, zatrzymując wzrok na ręce i dłoni, które ciągle były owinięte opatrunkiem z gąbki.

– Jesteś ranny – powiedział cicho.

– Nic mi nie jest, tato – odparł Max, wszedł do środka i wtulił się w koszulę ojca.

Max przez kilka dni nie wychodził z apartamentu ojca. Koledzy pukali i Connor podrzucał mu pod

drzwiami zabawne karteczki, ale pan McDaniels nie zezwalał na przyjmowanie gości, żeby chłopiec mógł w spokoju zapomnieć o przerażających doświadczeniach i czarnych myślach. Kiedy uczniowie podchodzili do egzaminów końcowych, McDanielsowie grali w karty i słuchali radiowych relacji z meczów, zajadając kanapki przynoszone przez Mamuszkę albo Boba.

Jednak pewnego wieczoru Max postanowił wyjść z pokoju ojca i pójść do swojego. Wieści o jego powrocie rozeszły się po szkole i musiał po drodze udawać, że nie widzi wielu zaciekawionych twarzy.

David siedział na niższym poziomie ich pokoju i właśnie wkładał buty.

– Cześć, Max – powiedział cicho, kończąc wiązać sznurowadło.

– Cześć – odparł Max, rozglądając się po pokoju i patrząc na świecące nad nimi jaskrawe gwiazdy.

– Szedłem właśnie nakarmić Nicka – poinformował David.

– Ja się tym zajmę – powiedział Max. – Chcę go zobaczyć.

Na ścianie Davida wisiała reprodukcja obrazu Rembrandta, z którego uśmiechał się do niego Astaroth.

– Wiesz, to był właśnie ten obraz – powiedział cicho Max. – Miałeś rację.

David przytaknął, zerwał plakat i wyrzucił go do kosza.

– Żałuję, że nie mogłem tam z tobą być, Max –

powiedział ponuro. – Żałuję, że mnie też nie porwali.

– Wiem – odparł Max, zerkając na kosz na śmieci. – Astaroth się obudził. Będzie coraz silniejszy...

David spojrział na niego stanowczo.

– Tak jak my.

Kiedy Max dotarł do Chatki Rozgrzewania, Nick biegł już po swojej przegrodzie. Na dźwięk głosu Maxa zamarł i odwrócił głowę w stronę drzwi. Max uśmiechnął się i mocniej zacisnął wokół pasa gruby skórzany fartuch. Jednak zamiast rzucić się na chłopca, lymrill tylko przysunął się do niego i powąchał jego kostkę. Zerknąwszy na Maxa z wyrzutem, wdrapał się na małe drzewo, na którym miał legowisko. Ziewnął i powoli pomachał na boki ogonem.

– Daj spokój, Nick – poprosił Max, głaszcząc miękkie miedzianorude futerko na czubku jego głowy. – Nie gniewaj się. Nie chciałem cię na tak długo zostawić.

Nick odwrócił się na drzewie, pokazując umięśniony grzbiet pełny groźnie wyglądających kolców. Gałąź zatrzeszczała pod jego ciężarem. Max domyślał się, że mięśnie i metaliczne kolce Nicka muszą ważyć przynajmniej czterdzieści kilo. Rozbijał uginającą się gałąź.

– No chodź – zachęcał. – Chodźmy na spacer. Na dworze jest ładnie. Chyba nawet widziałem gdzieś skunksa. Śliczny, soczysty skunks. Hm?

Lymrill nie ruszył się. Max obszedł gałąź, żeby

spojrzeć na jego pyszczek. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, po czym Nick zamknął oczy i udał, że śpi.

– Nie bądź śmieszny – prychnął Max. Wsunął dłonie pod ciepły brzuch Nicka i zarzucił sobie ciężkie zwierzę na ramię. Lymrill rozluźnił się i zwiśł bezwładnie całym ciężarem.

Max podszedł chwiejnym krokiem do dystrybutora pokarmu.

– Jedzenie dla obrażonego lymrilla z Czarnego Lasu – mruknął, po czym odsunął się, kiedy komora się zatrzęsła. Zaczęły się pojawiać skrzynie metalowych prętów i wijących się gryzoni futerkowych. Nick nie zamierzał ułatwiać chłopcu zadania i leżał bezwładnie na jego ramieniu, kiedy ten stękał, ładując skrzynie na taczki. Mamrocząc pod nosem, Max wytoczył ładunek na dwór.

Zamiast dobrać się jak zwykle do skrzyń, Nick skupił uwagę na swoim opiekunie. Napiął mięśnie i przyczaił się przy ziemi, jakby szykował się do ataku. Wiedząc, o co chodzi, Max pognął przez mroczną polanę, chichocząc, kiedy lymrill dogonił go i zaczął uderzać łapami po stopach. Nick zawył zirytowany, kiedy Max nagle wzmocnił i wysforował się do przodu. Chłopiec krzyknął i pognął w stronę stawu, przeskakując połąć podmokłego trawnika. W końcu usłyszał tuż za sobą serię cichych parsknięć. Przygotował się na nieunikniony cios, który nastąpił ułamek sekundy później.

Nick trafił go w pierś, pozbawiając tchu. Nawet przez

skórzany fartuch jego pazury zdawały się niepokojąco ostre. Nick przyjrzał się Maxowi lśnącymi oczami. Zakwilił zirytowany i nagle mocno ugryzł go w nos małymi, ostrymi zębami. Max krzyknął i zrzucił go z siebie. Lymrill poczłapał do taczki w wyraźnie lepszym humorze.

Kiedy Nick kończył myć pyszczek i pazury w stawie, Max odwiózł na taczce puste skrzynki do Chatki Rozgrzewania. Kiedy wrócił, Nick czekał cierpliwie na zewnątrz, a jego wilgotne futro było gładkie i lśniąco. Pomimo próśb i gróźb chłopca, lymrill nie chciał wejść do środka. Stary Tom wybił jedenastą.

– No cóż, muszę wracać – powiedział w końcu Max, ruszając w stronę leśnego tunelu. – Możesz tu zostać albo pójść ze mną.

Lymrill poczłapał obok niego, a jego kolce drżały z zadowolenia.

Podczas wieczoru, kiedy odbyła się uczta pożegnalna, Max trzymał Nicka na kolanach i patrzył przez okno z pokoju ojca, przyglądając się grupkom rozgadanych uczniów idących w stronę Sanktuarium. Pan McDaniels szperał w szafie, podczas gdy Nick próbował wymknąć się z kolan Maxa, żeby dobrać się do unoszących się na dworze świetlików. Jedna grupka uczniów zatrzymała się i odwróciła, żeby spojrzeć na okno. Max rozpoznał Sarę, Lucię i Cynthię w mundurkach. Pomachały do niego; Lucia posłała mu całusa. Max też do nich pomachał i

podniósł Nicka, żeby lymrill mógł zobaczyć Sarę, która pomagała się nim opiekować, kiedy Maxa nie było. Podeskcytowany lymrill wyszarpał dziurę w koszuli Maxa i strącił wazon z małego biurka.

– Jak wyglądam? – zapytał pan McDaniels.

Max odwrócił się i zobaczył ojca w granatowej marynarce i żółtym krawacie. Marynarka była o kilka rozmiarów za mała i z ledwością mieściła obfity brzuch pana McDanielsa.

– Ech... nieźle – odparł Max.

– Nieprawda – powiedział ze śmiechem pan McDaniels. – W marynarce Nolana wyglądam idiotycznie.

– To dlaczego ją włożyłeś? – zapytał Max.

– Bo nie mogę pójść na ucztę pożegnalną w pizamie Boba – powiedział ze śmiechem ojciec.

– Idź beze mnie – powiedział Max, odwracając się do świetlików.

Ojciec usiadł obok niego.

– Nie możemy na zawsze zostać w tym pokoju – powiedział pan McDaniels. – Nadszedł już chyba czas, synu.

Max słuchał szumiącego w sadzie wiatru i pozwolił Nickowi zejść z kolan i rozłożyć się na stercie rzeczy do prania.

– Wszyscy będą chcieli wiedzieć, co się stało – wyjaśnił Max. – Będą mnie pewnie winić za Alexa.

– Być może – odpowiedział bez ogródek ojciec. – I

być może będzie ci nieprzyjemnie, a ja będę wyglądała idiotycznie, ale musimy dalej żyć...

Max rzucił gniewne spojrzenie na Nicka, który skubał ostatnią parę czarnych skarpet.

Max nigdy nie widział w Sanktuarium takiego tłoku. Kiedy McDanielsowie przyszli, ceremonia rozdawania dyplomów dobiegała końca. Setki uczniów, wykładowców i absolwentów siedziały przy długich, oświetlonych świecami stołach, sączyły szampana i zjadały przystawki, a pani Richter wręczała ostatni dyplom rozpromienionemu uczniowi szóstego roku. Na stawie migotały pływające świece, wirujące powoli na tafli wody marszczonej przez zataczające leniwe kółka Friggę i Helgę. Polanę zdobiło kilkanaście olbrzymich fosforyzujących muszli, z których każda oświetlała otaczającą ją trawę kręgiem miękkiego, żółtego światła.

– Chcesz się napić szampana, tato? – zapytał Max, kiedy mijał ich faun z tacą z drinkami.

– Boże, pewnie – wymamrotał pan McDaniels. Sięgnął po kieliszek, podczas gdy faun patrzył poirytowany na jego buty.

McDanielsowie usiedli na końcu pustego stołu. Max pochylił głowę i skupił się na plusku wody uderzającej o brzeg stawu, kiedy zauważono go i zaczęły się szepty. Podniósłszy wzrok, chłopiec zobaczył krzywe spojrzenia siedzących parę stołów dalej Anny Lundgren i Saszy Iwanowicza. Zignorował ich i odwrócił się ku pani

Richter, która właśnie wstała, żeby rozpocząć przemowę.

– Jesteśmy bardzo dumni ze wszystkich naszych absolwentów – powiedziała pani dyrektor. – I w czasie, kiedy nasi ukochani analitycy Trasy będą jeszcze dopieszczać składankę najzabawniejszych incydentów – tu starsi uczniowie jęknęli – chciałabym poświęcić tę chwilę na coroczne nagrody Rowan. Chyba że wolicie po prostu czekać na film.

Ciało uczniowskie zaczęło pokrzykiwać i gwizdać w proteście. Pan Alistair schował twarz w serwetce.

Pani Richter zachichotała.

– No cóż, może uda nam się je jakoś wcisnąć. Jak wszyscy wiecie, nagrody te są w Rowan czymś niezwykłym; każda z nich symbolizuje wartości będące niezbędnym składnikiem tego, co robimy i w co wierzymy.

Kiedy pani Richter skończyła przemówienie, przy głównym stole zmaterializowało się sześć lśniących szklanych gablot na wysokich podestach z polerowanego drewna. W środku, podświetlone od wewnątrz, unosiły się nagrody z sali trofeów Trasy.

– Widziałeś? – wyszeptał pan McDaniels, szczypiąc Maxa w łokieć. W Sanktuarium zrobiło się bardzo cicho.

Następnie pani Richter wręczyła Pióro Macona zarumienionej dziewczynce z piątego roku za wyniki w nauce, a Pas Szczodrości – uczennicy wyróżniającej się pracowitością w Sanktuarium. Max bardzo mocno klaskał z szóstym rokiem, kiedy Jason Barrett został wywołany,

żeby odebrać Hełm Tokugawy. Jason podszedł pewnym krokiem od stolika absolwentów, wywołując śmiech zgromadzonych, kiedy wyciągnął pióro i udawał, że skrupulatnie wypisuje swoje nazwisko na tabliczce.

Pani Richter odchrząknęła i mówiła dalej.

– Zdobycie tej nagrody zdarza się kandydatom niesłychanie rzadko. – Max poczuł ściskanie w żołądku, kiedy zebrani ponownie odwrócili się w jego stronę. – A mimo to nie potrafię sobie przypomnieć ucznia za mojej kadencji na stanowisku dyrektora, który bardziej by na nią zasługiwał. O wręczenie tej nagrody chciałabym prosić absolwenta i jej niegdysiejszego zdobywcę, pana Petera Vargę.

Głowa Maxa poderwała się do góry.

Zza rzędu siedzących wykładowców wyszła zaczerwieniona, korpulentna, niska kobieta w stroju pielęgniarki, pchając na wózku Ronina. Kilkoro absolwentów wymieniło spojrzenia i rozległy się szepty; uczniowie zaczęli niepewnie klaskać.

Ronin był osłabiony, ale szczęśliwy. Po cichu zamienił kilka słów z panią dyrektorką, która machnięciem dłoni wzmocniła jego głos.

– Gdyby nie ten młodzieniec, nie byłoby mnie w tym doborowym towarzystwie – wychrypiał Peter Varga, zamykając z wysiłku oczy. Wśród zgromadzonych zapadła idealna cisza. – Podobnie jak nie byłoby kilkudziesięciorga dzieci, które już wkrótce wrócą do swoich rodzin. Za wyjątkową odwagę w starciu z

Wrogiem Rękawicę Beowulfa otrzymuje Max McDaniels.

Idąc w stronę głównego stołu, oszołomiony Max utonął we wrzawie wiwatów. Głowa Ronina zwisała bezwładnie do przodu, ale mężczyzna uśmiechał się, kiedy drżącą ręką ścisnął dłoń Maxa.

– Kiedy przyjechałeś? – wyszeptał Max, ujmując jego dłoń i nachylając się blisko do Ronina, żeby ten mógł go usłyszeć ponad wrzawą.

– Parę godzin temu. – Ronin uśmiechnął się, ponownie zamykając oczy. – Zależało mi na tym.

– Nie powinieneś był przyjeżdżać – powiedział Max.
– Nie jesteś jeszcze zdrowy!

– Jeszcze nie, ale będzie – wtrąciła pani Richter, kładąc dłoń na ramieniu Maxa. – Pan Varga nie przyjechał tylko po to, żeby wręczyć ci nagrodę, Max; dokończy tu rekonwalescencję. Gratuluję, chłopcze! Teraz wróć na miejsce.

Max uścisnął jej dłoń, zerkając w nieprzeniknione srebrne oczy. Podszedł do nagrody. Powgniatane płytki i nity rękawicy lśniły w podświetlanej gablocie. Znowu rozległy się oklaski, a spojrzawszy w dół, chłopiec zobaczył wypisane płomiennym krojem swoje imię.

Przez resztę ceremonii Max nie mógł się skoncentrować. Czuł się bardzo mały i odsłonięty. Posłusznie oklaskiwał pozostałych zwycięzców. Kiedy pani Richter kończyła prowadzenie ceremonii, Max poszukał wzrokiem Ronina, ale już go nie było.

Dwa dni później, kiedy większość uczniów wyjechała, w Sanktuarium zrobiło się cicho. W promieniach gorącego popołudniowego słońca Max złapał rzuconą przez ojca piłkę i próbował przegonić gąsiątka od kanapki, którą zostawił na trawie.

– Tu jesteście! – zawołał znajomy głos. – Chodźcie do mnie, moje skarby! Mama jest znowu miękka i piękna!

Max podniósł wzrok i zobaczył człapiącą w ich stronę z leśnego tunelu Hannę. Za nią szła Julie Teller.

Gąsiątka dały spokój kanapce Maxa i, gęgając, podreptały do matki. Julie, która wyglądała bardzo ładnie w niebieskiej letniej sukience, wyminęła je ostrożnie.

Max zerknął na ojca i ulżyło mu, kiedy zobaczył, że je kanapkę i prowadzi przyjacielską pogawędkę z opalającymi się na brzegu stawu Friggą i Helgą.

– Cześć – powiedziała Julie, zatrzymując się.

– Cześć. – Uśmiechnął się, osłaniając oczy przed słońcem. – Dzisiaj wyjeżdżasz?

– Tak. Chciałam się pożegnać przed wakacjami. – Spojrzała w dół i obejrzała sobie buty. – Mam coś dla ciebie.

Max nie wiedział, co powiedzieć, kiedy wręczyła mu małą niezaklejoną kopertę z eleganckiej papeterii.

– Dzięki – powiedział w końcu, obracając kopertę w dłoniach.

– Przeczytałam to na naukach humanistycznych, i do tego w ulubionej książce Morrowa! I pomyślałam o tobie.

Max otworzył kopertę.

– Boże! – zaśmiała się, zasłaniając sobie usta. – Tylko nie czytaj tego teraz!

– Przepraszam! – zawołał Max, odsuwając dłoń od listu.

– No nic, życzę ci, żebyś miał udane lato, Max. Jeżeli będziesz miał ochotę, możesz coś do mnie napisać. Mój adres jest po drugiej stronie i fajnie byłoby dostać od ciebie jakąś wiadomość.

Julie mocno się zaczerwieniła, nachyliła się i pocałowała go w policzek. Chwilę później już jfSf ipę było – wracała szybkim krokiem w stronę tunelu. Max patrzył, jak idzie; jej postać z każdą chwilą robiła się coraz mniejsza, aż w końcu zniknęła w ciemnozielonym listowiu.

Upuścił piłkę i rękawicę na ziemię. Sięgnął do koperty i wyciągnął z niej złożoną kartkę papieru listowego. Była zapisana równym, eleganckim pismem.

Nie poddawaj się więc ogniowi, gdyż ten cię odwróci i oszołomi, jak to na chwilę uczynił i ze mną. Istnieje mądrość, która jest nieszczęściem, ale istnieje też nieszczęście, które jest obłędem. A jest w niektórych duszach orzeł z Catskill, co zarówno potrafi znurkować w najczarniejsze rozpadliny, jak też i wzbić się z nich znowu i zniknąć w słonecznych przestworzach. A nawet jeśli by na zawsze krążył po owych rozpadlinach, toć znajdują się one wśród gór, więc nawet opuszczając się tak nisko, jak tylko może, ów orzeł górski pozostanie nadal wyżej od

ptaków z równin, choćby się w górę wzbijały.

Herman Melville, Moby Dick

Max przeczytał list kilka razy, po czym złożył kartkę, uważając, żeby trafić w linię zagięcia. Wsunął ją do tylnej kieszeni, wziął głęboki oddech i patrzył na smugę czarnych łabędzi lecących po niebie koloru aksamitków. Frigga i Helga wśliznęły się bezdźwięcznie do wody; ojciec i syn zostali w Sanktuarium sami. Pan McDaniels się uśmiechał. Uderzył w rękawicę, po czym zajął pozycję obok wysokiego snopka, który robił za łapacza. Max sięgnął po swoją rękawicę. Jego pierwszy rzut był wysoki.